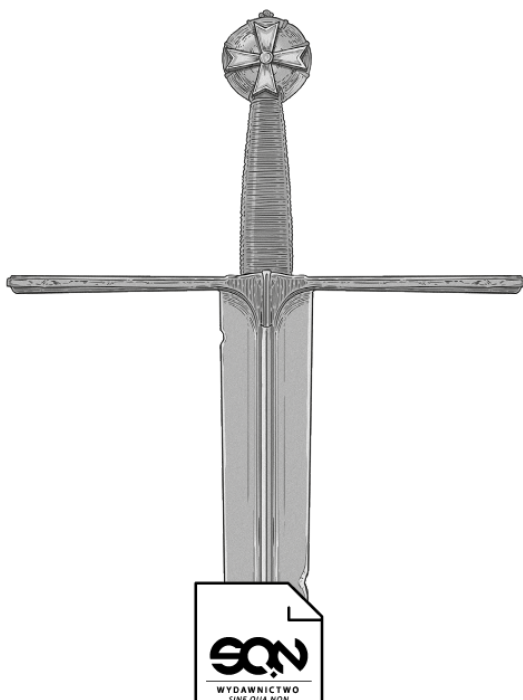


MARCIN
MORTKA

MALE
FICIVVM

*Kiedy ideały, bunt i przekleństwo
zderzają się w jednym człowieku,
zaczyna się krwawa wędrówka*

MALE
FICJUM



Książka zaprojektowana i wydrukowana w Polsce

MALE
FICJUM

SPIS TREŚCI

Okładka

Strony tytułowe

Dedykacja

Rok 1547

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Posłowie

*Książkę tę dedykuję żonie Marcie,
która jest dla mnie wszystkim*

ROK 1547

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W powietrzu wisiało coś niedobrego.

Bruno Calazzo, młody rycerz Zakonu Szpitalników Świętego Jana Jerozolimskiego, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Świadczyły o tym dreszcze, które pomimo upalnego maltańskiego dnia co rusz spływały mu po plecach, oraz osobliwy ucisk w skroniach, tłumiący wszelkie zmysły. Bruno nie miał w zwyczaju takich sygnałów ignorować.

Tym bardziej że i tej nocy śniła mu się kobieca twarz wśród płomieni, wykrzykująca niewyraźne słowa. Wołała długo, zasłaniana coraz bardziej żarłocznym ogniem, aż znikła, a Bruno zerwał się z pryczy z mocno bijącym sercem i długo wpatrywał w chłodną ciemność dormitorium. Niewiele już zaznał snu tej nocy, o świcie zaś z otępiałą obojętnością przyjął wieści o tym, że przy południowych wybrzeżach Malty rzekomo widziano tureckie galery.

Wielu spośród braci zakonnych wątpiło w prawdziwość doniesień rybaków, którzy przybyli z sensacyjnym meldunkiem. Przeważali w tym gronie zwłaszcza starsi rycerze, z natury popierający stanowisko wielkiego mistrza, sędziwego Hiszpana Juana de Homedesa, który od lat pozostawał głuchy na wszelkie ostrzeżenia. Niektórzy otwarcie pokpiwali z panikujących rybaków i ostentacyjnie powoli szykowali się do wyjazdu z fortu Świętego Anioła, ich głosy jednak ginęły wśród tryumfalnych pokrzykiwań co bardziej buńczucznych konfratrów, mających nadzieję na rychłą rozprawę z wrogiem Chrystusa. Siodłano konie, sprawdzano broń, przydzielano rejony patrolowania. Komendy i szczęk oręża odbijały się echem od kamiennych ścian fortu. Kawalerowie zakonu ruszali na wojnę.

Twarz Brunona Calazza, który jechał w środku oddziału, była jednak równie nieporuszona jak oblicze wielkiego mistrza, który przyglądał się wymarszowi wojsk z wysokości murów.

Niedługo trzeba było czekać, by bezlitosne, palące słońce wyspy wydusiło z serc rycerzy zawadiackość oraz brawurę, a po nich wszelkie inne emocje. Sunęli w kilkadziesiąt koni na południe, spowici milczeniem, otoczeni chmurami pyłu. Żwir zgrzytał pod kopytami, pobrzękiwał oręż, od czasu do czasu słychać było prychnięcie któregoś z koni.

Świadomość, że coś jest nie w porządku, dokuczała Brunonowi coraz bardziej.

Odpiął bukłak, pociągnął łyk ciepłej wody i spojrzał na bladobłękitną tafłę morza, znakomicie widocznego z traktu, którym podążali. Oślonił oczy dłonią, ale dostrzegł jedynie kilka drobnych łodzi, ani chybi należących do miejscowych rybaków. Przesłonięty łagodną mgiełką horyzont zdawał się równie niewinny jak zawsze.

Żadnych Turków, przemknęło mu przez myśl.

Skrzywił się. Skądś wiedział, że prześladowające go uczucie nie ma żadnego związku z zagrożeniem ewentualną napaścią muzułmanów. Ba, nie wydawało mu się, by pomyślał o niej choć raz od chwili wyjazdu z twierdzy w Wielkim Porcie.

Chodzi o coś innego, stwierdził, przygryzając wargę.

Zerknął na potężnego Erhana, który jak zwykle jechał po jego prawej stronie. Surowa twarz towarzysza, zbrązowiała i sucha niczym uformowana z piaskowca, pocięta błękitnymi kreskami tatuaży i okolona ciemną brodą, nie wyrażała żadnych uczuć. Podobnie prezentowały się oblicza jadących dalej braci.

Wyjątkiem był Philippe de l'Isle-Phellet, który jechał kilka koni za nimi.

Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Francuz wyprostował się w siodle i przechylił lekko głowę, nie spuszczać z Brunona wzroku. Ów prosty gest, niemalże niezauważalny dla kogoś postronnego, krył w sobie bezbrzeżną wprost wzdargę i niechęć. Bruno przytrzymał przez moment jego wzrok z uporem człowieka, który ma ochotę poprzecznać w dłoniach rozżarzony węgielek, a potem się odwrócił. Uśmiechnął się

lekko, choć po jego plecach znów, nie wiedzieć dlaczego, przeszedł dreszcz.

– *Pater noster, qui es in caelis* – zaintonował ochryłym głosem brat Amalryk de Filesti, wyznaczony na dowódcę ich grupy.

– *Sanctificetur nomen tuum*¹ – podjęła reszta braci, w ich liczbie Bruno, choć ten mówił cicho, mechanicznie, bez zaangażowania.

Przecież coś miało się wydarzyć.

Trakt wił się wśród rozgrzanych winnic i gajów oliwnych, aż oczom rycerzy ukazały się niskie chaty wioski zwanej Bisqallin, pomiędzy którymi wyrastała bryła kościoła Świętej Katarzyny. Wśród braci zaszemrały niewyraźne rozmowy, konie znów zaczęły prychać z ożywieniem, jakby już wyczuwały rychły postój. Brat Amalryk również zaprzestał odmawiania modlitwy i wpatrywał się w niewysoką wieżyczkę z dzwonem, gdzie ciemniała sylwetka obserwującego morze wartownika.

Postać była spokojna, nieruchoma. Bruno jechał na tyle blisko czoła kompanii, że widział ulgę, jaka przemknęła przez spoconą twarz Amalryka.

Nie masz ochoty na żadną świętą wojnę, prawda? – pomyślał nie bez złośliwości. Przyznaj się, że przez całą drogę modliłeś się tak naprawdę o to, by de Homedes miał rację. By jedynymi Turkami na Malcie okazali się niewolnicy na naszych galerach.

Złośliwość jednakże, choć szczerą, po chwili wydała mu się nieuzasadniona. Wszak on sam nie miał ochoty na świętą wojnę. Zwłaszcza tego dnia.

Amalryk de Filesti znów podjął modlitwę, tym razem mocniejszym głosem, jakby bliskość świątyni zachęciła go do ambitniejszych starań. Nim odmówił ją po raz drugi, pierwsze konie zatrzymywały się już w cieniu rzucanym przez ściany kościoła. Brat de Filesti dostrzegł spieszącego ku nim ożywionego, załamującego ręce proboszcza i zsiadł z konia. W jego ruchach na nowo pojawiły się powaga i dostojeństwo, jakby samą swoją obecnością zsyłał na okolicę ochronę przed każdym zagrożeniem. Wśród rycerzy zaś znów dało się słyszeć ciche rozmowy, a zaciekawione, skrzące spojrzenia obracały się ku morzu, wciąż pustemu i niewinnemu.

Bruno zerknął na Amalryka i uśmiechnął się ledwie zauważalnie. Wiedział dobrze, że należy on do stronników de Homedesa i w rychły atak turecki nie wierzy. Przeczuwał też, że brat zrobiłby wiele, by móc zakłąć rzeczywistość, że niechętnie ruszy w dalszą drogę, w obawie by ostrzeżenia rybaków nie okazały się prawdą.

– Pilnuj koni – nakazał Erhanowi. – Ja zaś... Ech, nieważne.

Jak zwykle nie miał ochoty dołączać do innych braci, rozprawiających coraz głośniejszy i śmielej. Nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, pchnął drewniane wrota i wkroczył do świątyni.

Panował tu chłodny półmrok, przesycony zapachem kurzu i gorącego wosku. W strużkach światła, padających przez wąskie okna, widział fragmenty obrazów, złożenia wokół ołtarza oraz rzędy dumnych, prostych świec. Jakiś nowicjusz, zajęty ich zapalaniem, drgnął na widok rycerza, dwaj inni, skryci w cieniach, zaczęli pospiesznie szeptać.

Bruno uklęknął powoli, wykonał znak krzyża i uniósł głowę. Przechylił ją lekko, podobnie jak Philippe przed chwilą, i odnalazł wzrokiem statwę cierpiącego Chrystusa.

Ten, przykuty do krzyża, irytująco patrzył gdzieś w bok. Jak zwykle.

Musiałbym stanąć w kącie, byś na mnie spojrzął, pomyślał Bruno. A najlepiej by było, gdybym się położył. Tak, wtedy wszystko byłoby jak należy.

Odetchnął parokrotnie. Lubił wnętrza kościołów i kaplic, bo te studziły jego rozhukane myśli i pozwalały mu wtopić się w bezpieczny, cichy półmrok, a powtarzane chórem słowa modlitw pomagały się uspokoić. Tym razem jednak nie było mu to dane. Czuł się tu równie daleki od spokoju jak na zewnątrz. Myśli skakały mu w głowie, porozrywane i niespójne, a wzrok bezwiednie wodził za promykami rozpalanych świec.

Coraz wyższymi.

Bruno zamrugał, ale promyki rosły i potężniały, a gdy ze wszystkich sił zacisnął powieki, płomienie buchnęły z ogromną siłą i przesłoniły cały świat. Wśród huku ognia rozległ się kobiecy głos, ten sam, który słyszał w nocy, przepełniony bólem, ale także innymi uczuciami, niepokojącymi, trudnymi do nazwania.

Nie rozumiał słów, zbyt odległych i niewyraźnych, choć miał wrażenie, że kobieta krzyczy w nieznaną mu mowę. Jak we śnie, nie widział też jej

twarży, rozmytej w gorącym powietrzu. Owładnięty nagłym przypiływem gniewu, zacisnął pięści. Chciał otworzyć usta i zawołać do nieznajomej, by przybliżyła się lub krzyknęła głośniejsze, choć...

Choć wiedział, że nie powinien. Że tej kobiecie należy się szacunek.

– Panie – szepnął ktoś obok niego.

Płomienie znikły, głos umilkł. Bruno otworzył oczy, zamrugał i potrząsnął głową, oszołomiony nagłą ciszą. Minęła chwila, zanim uzmysłowił sobie, że tuż obok niego klęczy młody nowicjusz o wytrzeszczonych ciemnych oczach. Jego dłonie, niemalże niknące w wielkich rękawach habitu, zauważalnie drżały.

– Panie – wyszeptał nowicjusz. – Czy to prawda? Że Turcy się pojawili? Że...

Przez umysł Brunona przemknęły dziesiątki odpowiedzi, w tym również takie, które ukończyłyby lęk w duszy chłopaka, na pierwszy rzut oka niespełna piętnastoletniego, ale jak zwykle wybrał najgorszą z możliwych.

– Że pożerają ludzi żywcem? – dokończył za niego i rozejrzał się dookoła, jakby się obawiał, że ktoś ich podsłuchuje. Kątem oka zauważył, że wrota rozchyliły się i do kościoła weszła wyprostowana postać. – Nie wiem, bracie, ale na jednej z naszych galer znalaziono ogryzione do czysta szkielety. – Pokiwał głową, jakby przytakiwał sam sobie.

Nowicjusz otworzył oczy jeszcze szerzej i odsunął się lekko od joannity. Tymczasem nowo przybyły zbliżał się powoli i niespiesznie, akcentując każdy krok brzękiem zbroi.

– Módlmy się, by byli to Turcy, bo tych znamy i z nimi walczyć umiemy – ciągnął szeptem Bruno. – Co, jeśli to algierskie demony? Saharyjskie dżiny?

Chłopak obliznął wargi i z największym trudem przełknął ślinę. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale nagle zerknął za plecy Brunona, skinął rycerzowi głową na pożegnanie i czmychnął z wprawą kogoś, kto przez całe życie manewruje wśród urodzonych lepiej od siebie.

Bruno się wyprostował. Wrażenie, że nadciąga coś niedobrego, nasiliło się i zakotłowało niczym morskie fale, grożące przedarciem się przez falochron.

Brzęknął pancerz klękającego rycerza. Zgrzytnął naramiennik, gdy ten uniósł dłoń, by wykonać znak krzyża.

– Gdyby przyszło nam potykać się z dżinami czy demonami – odezwał się Philippe de l’Isle-Phellet – pomógłbyś nam chyba w negocjacjach, co, Calazzo? Przecież z nas wszystkich dogadałbyś się z takim paskudztwem najswobodniej, a to, że schowałeś się właśnie w kościele, jakoś cię nie wybiela.

Mówił po francusku, choć doskonale władał włoskim, językiem, który Bruno uważał za ojczysty. W założeniu miał to być kąśliwy prztyczek, ale serce Calazza nawet nie zabiło mocniej.

– Chciałem się schronić przed smrodem twojej szkapy – odparł. – Dopiero gdy tu wszedłeś, zrozumiałem, że to koń prześmierdnął tobą, a nie na odwrót.

Nie musiał patrzeć na twarz Francuza, by wiedzieć, że na jego policzkach pojawiły się czerwone plamy. Słyszał jego przyspieszony oddech, jak wielokrotnie wcześniej.

– Doigrasz się, wiedźmi synu – wysyczał Philippe. – Doigrasz...

– Już to słyszałem. Czego ode mnie chcesz? Wybacz, że skracam wymianę uprzejmości, ale naprawdę cuchniesz i wolałbym...

– Doigrasz się jeszcze dziś – parsknął wściekle de l’Isle-Phellet i podniósł się gwałtownie. – A właściwie to za moment. Nieopodal są ruiny starej rzymskiej willi. Będę tam na ciebie czekał.

– Pojedynek? – Bruno uniósł brwi. – Bracie Phillipie, toż to grzech! I wykroczenie wobec naszej reguły!

– A od kiedy grzechem jest zatłuc szczura, który zakradł się do spiżarni? – prychnął Francuz. Skierował się w stronę wyjścia, ale zatrzymał się po kilku krokach. – I lepiej się nie spóźnij, bo po raz ostatni traktuję cię jak równego sobie, wiedźmi synu. Jeśli się nie stawisz, zatłukę cię łopata w śnie.

Calazzo odprowadził Philippe’a wzrokiem. Serce nadal biło mu spokojnym rytmem.

Nie, pomyślał, gdy przypomniał sobie o prześladowającym go uczuciu. Nie chodzi również o to.

Słońce minęło już zenit i nieznacznie rozciągało cień Brunona na zakurzonej podłodze, ułożonej z romboidalnych płytek. Rycerz zrobił jeszcze kilka kroków i zatrzymał się przy resztkach prasy do wyciskania

oleju z oliwek, przykrytej pyłem przez tysiące maltańskich wiatrów. Westchnął.

– Nie, Erhan – powiedział spokojnym głosem. – Naprawdę nie trzeba.

Jego ogromny przyboczny nieraz zadziwił go tym, jak bezszelestnie potrafił się przemieszczać. Teraz, gdy wyrósł za jego plecami, zaskoczył go również swoją intuicją.

– Pójdę – burknął Erhan głucho, wyłoniwszy się spomiędzy masywnych, skruszonych kolumn. Jego wielka, włochata dłoń zacisnęła się na rękojeści miecza.

– Pójść możesz – wycedził Bruno. – Ale ani się waż mi w czymkolwiek przeszkadzać. Ten Francuz od dawna za mną łązi i... – Uśmiechnął się dziwnie, nieprzyjemnie. – Sam wiesz – dodał.

– Nie jeden – wychrypiał Erhan z trudem, jakby wypowiedzenie tych dwóch prostych słów stanowiło dla niego wysiłek fizyczny. Zmrużył oczy, oślepiony blaskiem słońca, co pomimo szat brata służebnego w przedziwny sposób uwydatniło jego tureckie pochodzenie.

– Tak, wiem, że Philippe de l'Isle-Phellet nie będzie sam – oznajmił Bruno. – Ale wierz mi, tym lepiej dla niego.

Niespiesznym krokiem pokonał przejście w wypłowiłym od słońca, kruszącym się murze i zbiegł po kilku stopniach. Luźne kamyki zachrząściły pod jego podeszwami, wygrzewające się w słońcu jaszczurki smyrnęły na boki. Wszedł do atrium, obwiedzonego resztkami kolumn. Grudka piaskowca, którą bezwiednie kopnął, potoczyła się po posadzce i znieruchomiła tuż obok buta Philippe'a de l'Isle-Phelleta.

Francuz stał z obnażonym mieczem. Za jego plecami znajdowało się jeszcze dwóch innych młodych rycerzy languy Francji oraz jakiś Owernijczyk. Cała trójka przybrała nonszalanckie pozy, w kącikach ust Philippe'a czał się wzgardliwy uśmiech.

– Widzę, że bez swojego Saracena nie zrobisz nawet kroku – prychnął.

– Sam przyłazł. – Bruno wzruszył ramionami. – Nie mógł się oprzeć i trudno mu się dziwić. Któż nie lubi patrzeć na to, jak Francuz obrywa w dupę?

Philippe wycelował klingą w serce Brunona. Błysnęło słońce, odbite od stali.

– Ja mam inny plan, wiedźmi synu.

– Nie w dupę? – zmartwił się Bruno.

Owernijczyk parsknął śmiechem. Ramię trzymające miecz drgnęło, twarz de l'Isle-Phelleta pociemniała z gniewu.

– Spryskałem tę ziemię święconą wodą – wycedził z tryumfem. – Twoje czarcie sztuczki w niczym ci dziś nie pomogą!

– Jeśli chcesz, możemy się też zamienić miejscami – zaproponował Bruno. – Bo tam, gdzie stoisz, słońce świeci ci prosto w oczy. Mogę również odwrócić się plecami, by ci ułatwić sprawę.

Philippe warknął głucho i zrobił krok naprzód, ale wtedy któryś z jego towarzyszy, wpatrujący się w Brunona z niepokojem, złapał go za naramiennik i szepnął mu coś do ucha. De l'Isle-Phellet westchnął chrapliwie i skinął głową. Jego usta zaczęły się miarowo poruszać.

Modli się, pomyślał Bruno. Dobrze, a więc ostatnim razem czegoś się jednak nauczył. Wie, że tylko boska interwencja uchroni go od kolejnego łomotu.

Patrzył na Francuza z lekko przechyloną głową, a w jego oczach błyszczało zaciekawienie. Nie darzył go nienawiścią, wręcz przeciwnie, czuł nawet odrobinę podziwu za to, że brat Philippe był w stanie głośno powiedzieć to, o czym inni tylko szeptali. Że nie przestawał mówić, gdy inni milkli i odwracali wzrok.

Wiedźmi syn.

Bruno pokręcił głową z ledwie zauważalną dezaprobatą.

– Kiedy ci się to znudzi? – powiedział cicho.

Philippe de l'Isle-Phellet uniósł lekko głowę i otworzył oczy.

– Co? – warknął.

– Ta zabawa. Obrzucanie mnie dziwaczными spojrzeniami – mówił Bruno. – Wzgardliwe półuśmieszki. Rozprowadzanie idiotycznych plotek. Kiedy dasz sobie spokój z tą dziecinadą, co?

– A dlaczego miałbym to zrobić? – Francuz przymknął nieznacznie powieki. – Mało mamy dowodów na to, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz, Calazzo? Nasz wielki mistrz w swej mądrości zajęty jest innymi sprawami. Gdyby nie to, zapewne już przeprowadziłyby dochodzenie, które ujawniłoby nam wszystkim...

– Że jestem synem wiedźmy? – Bruno zmarszczył brwi z udawanym namysłem.

– Że jesteś plamą w szeregach naszego zakonu! – wypalił Francuz. Drobinki śliny padły na jego krótko przyciętą brodę. – Że...

– Oplułeś się.

Philippe urwał, zaskoczony, i odruchowo zaczął unosić dłoń, jakby chciał się obetrzeć, na co Bruno parsknął śmiechem. Na policzki francuskiego rycerza ponownie wstąpiły plamy wściekłości. Spokój, który tak bardzo usiłował zachować, znów go opuszczał.

– I nie odpowiedziałeś mi na pytanie – ciągnął Calazzo. – Kiedy masz zamiar sobie odpuścić?

– Kiedy? – wycharczał Philippe i zrobił krok ku niemu. – Wtedy, gdy cię ostatecznie upokorzę, synu wiédźmy i parchatego mameluka!

– Moimi rodzicami pyska sobie nie wycieraj – warknął Bruno. W jego głosie pojawiła się ostrzegawcza nuta, której zapalczywy Francuz chyba nie usłyszał, bo zrobił kolejny krok.

– Zabronisz mi? – spytał niemalże piskliwym głosem. – A może wstydzisz się, bękaracie? Przybłędó?

Powietrze stało się nieprzyjemnie lepkie. Po plecach Brunona spłynął dreszcz.

Spowaźniał.

– Wetknę twój wiédźmi pysk w pył! – syczał Philippe de l'Isle-Phellet. – Będziesz lizał mi buty, aż...

– Znowu się oplułeś.

Atak Francuza był tak szybki i piorunujący, że Bruno natychmiast pożałował nonszalancji, która nakazała mu nie dobywać broni. Wychylił się w bok, a miecz przeciwnika przemknął o włos od jego ramienia. Lekko się schylił, a ostrze przeleciało nad jego głową. Odskoczył o krok i wyciągnął własną broń.

Dreszcze wędrowały mu po plecach, jeden za drugim.

Coś się działo. Coś niedobrego.

Spojrzał na obracającego się ku niemu Francuza, na jego zaczerwienioną twarz i wybałuszone, nieledwie komiczne oczy.

Nie, zdecydował. To nie o ciebie tu chodzi.

Philippe uniósł miecz i runął do kolejnego ataku.

Był szybki, naprawdę szybki. Bruno potykał się z nim parokrotnie i zawsze fascynowało go, z jaką furią nacierał de l'Isle-Phellet. Czuł, że

z czasem by mu uległ, ale przeciwnik słabo panował nad emocjami, a wówczas popełniał błędy.

Ponadto Bruno mógł liczyć na jeszcze jedną, przedziwną właściwość.

Tę samą, która była przyczyną wszelkich jego problemów.

Jednakże nie myślał o niej teraz. Skupiony i poważny, sparował kolejne uderzenie Francuza i prześlizgnął się pod jego ostrzem.

– Nie wiesz, kiedy sobie odpuścić, prawda? – syknął mu nad uchem i odruchowo uskoczył w tył przed świetlistym kręgiem, zakreślonym przez miecz francuskiego szermierza. – Podpowiem ci – warknął już z innego rogu atrium.

Odskoczył, a miecz przeciwnika wyrąbał długą rysę w szczątkach antycznej kolumny. Zatańczył, gdy Francuz zamarkował uderzenie w lewe udo, z trudem odbił cios mierzący w ramię, potknął się o coś, zatoczył, ale odzyskał równowagę w porę, by odtrącić kolejne uderzenie.

I następne. Cofał się, krok za krokiem, osłaniając przed nawałą srebrzystych ciosów. Po jego skroni wędrowała samotna, drażniąca kropla potu.

Odbił kolejne uderzenie, a po nim dwa szybkie pchnięcia. Znów zakreślił się w poszukiwaniu lepszej pozycji, a świat zawirował. Lazurowa tafla morza, złota kula słońca, kolumna, twarze popleczników Philippe'a, znów kolumna, nieruchome oblicze Erhana, cienie.

I znów czerwona twarz nacierającego Francuza.

Świadomość, że dzieje się coś bardzo niedobrego, nadal wgrzyzała się Brunonowi w skronie. Nagle przeszedł do kontrataku. Uderzył mocno, bardzo mocno, w głównię tuż nad jelcem. Mniej doświadczonemu szermierzowi wytrąciłby zapewne oręż z dłoni, ale de l'Isle-Phellet nie dość, że nie upuścił miecza, to jeszcze zdołał wykonać piruet w przeciwnym kierunku, osłabiając w ten sposób siłę uderzenia.

Poderwał ostrze i odwrócił się ku Brunonowi, lecz wtedy pomylił kroki, zatoczył się i runął na twarz.

– Na przykład dzisiaj – zaproponował zdyszany nieco Bruno. – Bo się o własne nogi przewracasz.

Francuz, który przy upadku nałykał się pyłu, uniósł ku niemu załzawione oczy i się rozkaszał.

– Przykro mi z powodu wody święconej – dodał Bruno. – Sam nie wiem, czemu nie podziałała.

Wymierzony w bok Philippe’a kopniak niemalże oderwał go od ziemi.

– Może, cholera, zdążyła wyschnąć? – stwierdził Bruno z udawaną zadumą i kopnął przeciwnika ponownie, tym razem w udo. Philippe przetoczył się i zatrzymał na kruszącym się obramowaniu zbiornika na wodę. – A może manierki pomyliłeś?

Bruno powoli podniósł wzrok i uwięził nim trójkę towarzyszy francuskiego rycerza, wpatrujących się w niego z oszołomieniem.

– Nie lubię, jak ktoś mnie od wiedźmich synów wyzywa – oznajmił. – Niczego tak nie znoszę jak tego.

Philippe wyjęczał coś. Bruno cofnął się o krok i spojrzał na niego z udawanym współczuciem.

– Wybacz, nie słuchałem. Mógłbyś powtórzyć?

Zamierzył się do kolejnego kopnięcia, ale zmarł, ostrzeżony osobliwą wibracją w rozgrzanym powietrzu. Dreszcze przyspieszyły i stały się naprawdę nieprzyjemne, a wtedy padł na niego nowy cień. Bruno obrócił gwałtownie głowę i ujrzał Erhana – stał na osypujących się schodkach, po których mieszkańcy willi ongiś schodzili na ulicę, i wpatrywał się w dal.

W morze za cyplem na południowym wschodzie.

Bruno bardziej wyczuł, niż usłyszał, jak jego przyboczny i towarzysz odwraca ku niemu głowę. W ciemnych, okolonych siatką zmarszczek oczach wyczytał niepokój.

Pokiwał głową.

– Wstawaj, Philippe – powiedział. – Pora, byś się na coś naprawdę przydał.

Spojrzał też na towarzyszy powalonego Francuza.

– Turcy na wyspie – dodał ze spokojem, który zdziwił nawet jego samego.

Nie, szepnął do siebie w myślach. Nadal nie o to chodzi.

Wybiegli z ruin rzymskiej willi. Przez pierwsze dwa, trzy uderzenia serca Bruno Calazzo miał wrażenie, że ziemia w oddali popękała, a każda szczelina wypłuła z siebie rzesze tureckich korsarzy. Wrażenie było tym bardziej nierealne, że tłumy kroczących wrogów, miał wrzeszczeć, dąć

w puszczalki i walić w kotły, zachowywały niezwykłą, upiorną wprost ciszę.

Dopiero po chwili jego mózg, oszołomiony nieoczekiwanym widokiem, zaczął rejestrować pierwsze fakty.

Nadciągają od strony Marsa Scirocco, najdalej na południe wysuniętego krańca wyspy. Jak im się udało tak niespostrzeżenie wylądować?

Strażnik na szczycie kościoła Świętej Katarzyny darł się wniebogłosy i bił w dzwon, jakby entuzjazmem próbował nadrobić opieszałość. Gdzieś skrzykiwali się rycerze.

Bruno wytężył wzrok. Chaty rybackie na przylądku już buchały dymem, a w rozgrzanym od słońca i ognia powietrzu drżały cielska kotwiczących przy brzegu tureckich galer i galeot. Bruno widział przerażonych tubylców, siekanych batami i zaganianych do niewoli. Wiatr przynosił ich słabe krzyki.

Tam nie ma umocnień, pomyślał. Nie ma garnizonów. Nie było komu stawić im czoła...

Oddziały Turków już przedzierały się ku nim, bliższe z każdym uderzeniem serca Brunona. Słońce odbijało się w ostrzach wznoszonych ku niebu bułatów, w klejnotach wszytych w turbany oraz w drogocennych pierścieniach. Widział już ich brodate twarze, tatuaże na czołach, a nawet szydercze uśmiechy.

Czemu są tak cicho? Przecież to korsarze, szakale morza, zawsze rozwrzeszczani... Kto im narzucił swą wolę?

I wtedy, niczym stado barwnych ptaków spłoszonych przez niewidocznego do tej pory drapieżnika, hordy korsarzy poderwały się do biegu. Z tym wyjątkiem, że to oni byli drapieżnikami.

– Brat Amalryk! – rzucił Bruno, przytomniejąc. – Szybko!

Od kościoła Świętej Katarzyny dzieliło ich zaledwie kilkaset kroków, ale biegnący w jego stronę młody rycerz miał wrażenie, że brnie w smole, a świątynia znalazła się na innym kontynencie. W tejże chwili nadciągający korsarze, jakby sami nie mogli już wytrzymać napięcia, eksplodowali istną kakofonią dźwięków, zagłuszając bicie samotnego dzwonu. Pod rozżarzone niebo buchnęły ich chrapliwe wrzaski, wzmocnione jękiem puszczalek i trąb oraz palbą z muszkietów. Przez

ogłuszający, miazdzący hałas próbował się przebić wibrujący śpiew imama.

– Szybko! – krzyczał Bruno, pędząc przed siebie. Z tyłu czuł kojącą obecność olbrzymiego Erhana, a dalej biegli trzej Francuzi i Owernijczyk. – Boże litościwy...

Nie o to chodzi, szeptał mu umysł. Nie to ci przeszkadza. Nie tego się obawiasz.

Jednakże Bruno nie dopuszczał już do siebie spójnych myśli. Jego ruchami kierowały tylko strach, instynkt oraz wpojone poczucie obowiązku. Nie przestając biec, wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w kościół oraz brata Amalryka, który wybiegł zza świątyni, zamarł przerażony, a potem potrząsnął głową, nie potrafiąc zdobyć się na rzucenie rozkazu. Widział uciekającego w panice księdza, który wywrócił się, wzbijając chmury pyłu, widział umykających nowicjuszy, którzy nawet nie spojrzeli za siebie, ujrzał wreszcie swych braci, którzy nie czekając na rozkazy, wskakiwali na konie, obracali się ku wrogom i dobywali mieczy.

Sercem Brunona na chwilę krótką jak myśl targnęła duma. Na każdego rycerza przypadało dziesięciu wrogów, może więcej, ale żaden nawet się nie zawahał.

Erhan trącił go w naramiennik. Bruno odwrócił głowę i nagle zrozumiał, że do brata Amalryka już nie dobiegnie.

Pierwsi korsarze z niezauważonej dotąd grupy przesadzali właśnie kamienny płotek ciągnący się wzdłuż drogi i rzucali się do ataku. Ich twarze wykrzywiała nienawiść, której Bruno nawet nie próbował pojąć.

Odkąd upadło Królestwo Jerozolimskie, zakon Świętego Jana przeniósł wojnę ze światem islamu na wody Morza Śródziemnego. Bez względu na to, gdzie znajdowała się siedziba zakonu – na Cyprze, Rodos czy Malcie – rycerze spod znaku czerwonego krzyża tępili muzułmańską żeglugę z zapalem przekraczającym nawet ogień świętej wojny. Ścigali muzułmańskie jednostki, łupili je, topili, więzili ich załogi, palili porty, plądrowali magazyny. Wśród wyznawców Allacha, którzy zwiążali swe życie z morzem, nie było nikogo, kto nie straciłby kogoś bliskiego na rzecz joannitów bądź przynajmniej nie słyszał z pierwszej ręki przerażających opowieści o ich straszliwych czynach.

Teraz, doprowadzeni wolą swego niezwykłego przywódcy, wylądowali na maltańskiej ziemi, w samym mateczniku śmiertelnego wroga. Nic dziwnego, że ich wściekłość, żądza krwi oraz euforia nie miały sobie równych.

Bruno wykrzywił wargi w wilczym uśmiechu. Przychodziło mu walczyć przeciwko ogromnej przewadze, ale wroga furia była jego największym sojusznikiem.

Najbliższy z napastników, pędzący na Brunona z dzikim wrzaskiem, wzniosł trzymany oburącz bułat. Rycerz doskoczył doń, umknął spod opadającego ostrza pirata i oszczędnym ciosem rozciął mu czarną, naoliwioną brodę wraz z gardłem. Przyjął inny cios na miecz, odrzucił go najprostszym z możliwych zwodem i pchnął zaskoczonego korsarza barkiem na innego, który zawirował włócznią nad głową. Obaj runęli na ziemię, splątani, a Bruno skoczył na trzeciego, który postanowił ich obiec. Ułamek sekundy zawahania kosztował napastnika życie, gdy młody szpitalnik brutalnym rzeźnickim ciosem rozrąbał mu twarz.

Tumult czyniony przez wroga okraślił wrzaski pierwszych rannych i konających. Miecz Brunona zaświstał, gdy rycerz, wyszczerzywszy zęby, rzucił się ku kolejnym nacierającym.

Choćby to powinno dać im do myślenia – wszak nieczęsto się zdarza, by samotny mężczyzna rzucał się na kilkunastu świetnie uzbrojonych przeciwników, nawet w słynącym z niebywałej waleczności zakonie szpitalników. Żądza krwi i przeświadczenie o własnej przewadze oddaliły jednak od nich wszelkie podejrzenia i korsarze, owiani złą sławą *bravi d'Alghieri*, rzucili się na Brunona ze wszystkich stron.

Bruno zawirował, odbijając ciosy zadawane zbyt szybko, by móc nadażyć za nimi wzrokiem. Zdawać by się mogło, że w takiej zawierusze ostrzy nie znajdzie już miejsca, by samemu zadać cios, że nie wyjdzie z tej matni mimo swej szaleńczej odwagi.

Znalazł ułamek sekundy, by unieść wargę w szyderczym uśmiechu.

Powietrze na moment zgęstniało, zupełnie jak przed chwilą w ruinach rzymskiej willi.

A potem korsarze zaczęli ginąć.

Któryś z nich potknął się, gdy spory kamień utknął mu między palcami stopy a podeszwą sandała. Zdołał się poderwać, ale w tej samej chwili

zahaczył go obracający się miecz. Ostrze zatoczyło krąg i rozrąbało brzuch innego, który pchnął włócznią, lecz chybił, oślepiony pyłem. Jeszcze inny zamierzył się toporem, ale miał zdjąć głowę Brunona, rąbnął w przedramię kamrata wznoszącego do strzału muszkiet.

Bruno zaś, uśmiechnięty coraz szerzej, tańczył po zakrwawionym, pylistym szlaku, ciął, rąbał i odbijał nieskładne wrogie ciosy.

Zdołał pośląć na kolana kolejnego korsarza, choć okupił to długim, piekącym draśnięciem w miejscu, gdzie wrogie ostrze wgryzło się w szparę pancerza. Kątem oka ujrzał Erhana, który najpierw wyszarpnął dwa kindżały i celnie cisnął nimi w pierś składającego się do strzału z muszkietu korsarza, a potem runął między napastników. Jednego wyrzucił w powietrze ciosem dwuręcznego miecza w pierś, a kolejnego zgiał w pół rąbnięciem głowicą. Więcej Bruno dostrzec nie zdołał, bo któryś z *bravi* z rozmachem chlasnął go po napierśniku. Zgrzytnęła stal, ale korsarz potknął się i zachwiał. Bruno złapał go za rękaw, pchnął na pylisty trakt i przybił do niego sztychem miecza.

Potem poderwał głowę i wyszczerzył zęby. Korsarze zaczęli się cofać.

I wtedy po plecach Brunona przeszedł dreszcz, silniejszy niż dotychczas.

Teraz, uświadomił sobie z lodowatym spokojem. Teraz wydarzy się to, na co się zanosi od rana. Coś niedobrego...

Huknął wystrzał, gdzieś przerażająco blisko. Bruno odwrócił się odruchowo.

Erhan wypuścił miecz i złapał się obiema dłońmi za gardło. Między jego palcami pociekły strumyki ciemnej, niemalże czarnej krwi. Na oczach oszołomionego Brunona zatoczył się i runął. Słabnąca dłoń, jeszcze przed chwilą zaciśnięta na przebitym kule gardle, opadła bezsilnie w kałużę gęstej od pyłu krwi.

Nie, pomyślał Bruno. Erhan. To niemożliwe. Absolu...

Instynkt rozpędził oszołomienie i kazał mu się odwrócić. Bruno znów zawirował, siejąc naokoło kroplami krwi ściekającymi z miecza.

Strojnje odziany korsarz stał na murku z dymiącym muszkietem w dłoni. Jego bladoniebieskie oczy, nieco wylupiaсте, oddalone od siebie jak u rekina, przewiercały Brunona z pełnym zdziwieniem. Wzrokiem zarezerwowanym dla dawno niewidzianych znajomych.

Bruno Calazzo jednak, zamiast poczuć zaskoczenie, odnalazł w sobie jedynie bezbrzeżną furję, która narastała niczym rodząca się burza piaskowa.

Zabiłeś Erhana, rozbrzmiał lodowaty głos w pustej, czarnej jaźni Brunona. Zabiłeś...

Korsarz, jakby usłyszał jego słowa, uniósł nieco brwi, a potem przeniósł wzrok na kogoś za plecami młodego rycerza. Skinął głową.

Huk. Ból. Ciemniejący świat.

Ostatnim, co usłyszał, była odległa, jękliwa pieśń dzwonów Mdiny oraz Wielkiego Portu.

¹ *Pater noster, qui...* (łac.) – Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje (przyp. red.).

ROZDZIAŁ DRUGI

Przez mrok najpierw przebił się tępy ból, a po nim odległe dzikie wrzaski po turecku i w językach, które niejasno kojarzyły się z północą Afryki, wzmocnione od czasu do czasu wystrzałem z muszkietu. Bruno skądś wiedział, że wokół źle się dzieje, że powinien schronić się przed tym na powrót w czerni, ale coś – czyżby wola przetrwania? – uparcie wlokło go ku świadomości.

Rozszarpane gardło Erhana. Jego opadająca bezwładnie, sztywniejąca dłoń, pokryta pajęczą siecią tatuaży.

Ta sama, która wiele lat temu trzymała jego drobną rączkę podczas niekończących się spacerów po Mesynie, Viterbo i Nicei, gdzie chronił się zakon przed otrzymaniem Malty. Która pokazywała mu ułożenie nadgarstków podczas walki mieczem. Która w miejscu zatrzymała narowistego, usiłującego go zrzucić konia, obwiązywała mu ramię, ranne w walce z muzułmańskimi piratami nieopodal Lesbos, i obmywała mu czoło, gdy podczas swej drugiej *corso*¹ zapadł na afrykańską gorączkę.

Żal – bezbrzeżny, niepowstrzymany – na moment oddalił głosy oraz palpę. Bruno szlochał w głębi duszy.

Właściwie nie znał Erhana.

Niewiele o nim wiedział, poza tym, że przyszedł na świat w tureckim domu, ale na skutek niewyjaśnionych wydarzeń przyjął wiarę chrześcijańską i służył jego ojcu, rycerzowi Gilbertowi Calazzowi, aż do momentu gdy wraz z matką zginęli podczas oblężenia Rodos. Jego lojalność okazała się niewzruszona – z chwilą śmierci jego pana Erhan mógł wszak odejść, dokąd chciał, a nawet przyłączyć się do armii

tureckiej. Mimo to postanowił zostać i choć sam odniósł rany, opiekował się malutkim Brunonem przez ostatnie dni walk. Po upadku twierdzy, gdy oszczędzeni przez miłosiernego Sulejmana joannici wchodzili na galery zakonne, bez wahania do nich dołączył. Za błogosławieństwem wielkiego mistrza pozostał przy zakonie i zastępował malcowi ojca i matkę, do czasu gdy jako nastolatek Bruno rozpoczął nowicjat w zakonie. Rola Erhana właściwie wtedy się zakończyła, ale nadal towarzyszył Brunonowi jako giermek, zarówno podczas nowicjatu, jak i później, gdy młodzieniec wstąpił w szeregi rycerzy languy Włoch. Ogromny Turek nie odstępował Brunona ani na krok.

Aż do tej pory.

Bruno nie pamiętał rodziców, nic więc dziwnego, że jako dziecko przepadał za swoim opiekunem i w skrytości ducha uważał go za przybranego ojca. Potężny, milczący Erhan wydawał się najmądrzejszym i najsilniejszym człowiekiem na świecie, a każde jego słowo było świętością, tym bardziej że odzywał się rzadko, niechętnie, zawierając każdą wypowiedź w możliwie najmniejszej liczbie słów. Nie opowiadał bajek na dobranoc, ale po prostu siedział przy posłaniu Brunona, trzymał go za rękę i czekał, aż zaśnie. Nie tłumaczył mu zasad, wedle których działa świat, a jedynie wskazywał interesujące rzeczy i czekał, aż Bruno sam je rozgryzie. Nie mówił o tym, jak należy postępować, za to brał się do pracy i dawał dobry przykład.

Dzięki niemu Bruno zrozumiał, że nie warto zasypywać ludzi pytaniami, bo nierzadko wystarczy im się przyjrzeć, by doszukać się odpowiedzi. Nauczył się, że uśmiech to często udawany grymas, a jego autentyczności należy się doszukiwać w oczach. Odkrył, że uniesienia religijne, o ile nie pojawiają się w sposób naturalny, w żaden sposób nikogo nie wyróżniają, umacniają jedynie tępy, szkodliwy fanatyzm.

Wrośli więc we dwóch w szeregi zakonu, najpierw przez długie lata wygnania, a potem jeszcze dłuższe i trudniejsze – umacniania rządów na Malcie. Żyli na jego łonie niczym samotna, dwuosobowa wyspa, milcząca, niepowiązana, wolna od szaleństw religijnych, lecz kąśliwa i zębata. Jedyłą bowiem rzeczą, której Bruno nie zdołał przejąć od niewzruszonego opiekuna, był spokój. Ognisty temperament popychał go do nierozważnych czynów, podsycił złośliwość, rozbudzał pragnienie

odgrywania się na innych. Towarzystwo Erhana przynajmniej nieco wyciszało jego dzikość. Płonące serce młodego rycerza stygło niczym ognisko zasłonięte cieniem ogromnej góry.

Aż do tej pory.

Bruno zacisnął powieki i raz jeszcze wyobraził sobie twarz towarzysza. Widział ciemne oblicze, ogorzałe od słońca i wiatru; czarne oczy, przenikliwe, badawcze, skryte pod zrosniętymi, gęstymi brwiami; bruzdy na policzkach, przypominające spękana, wysuszoną ziemię; długą, kudłatą brodę, którą Erhan strzygł niechętnie pomimo nakazów zakonnych; a także garbaty nos, bliznę na skroni i wytatuowane na skórze błękitne, opasujące całe ciało linie, których znaczenia Erhan wyjaśnić mu nigdy nie chciał.

Na skórze, którą przeszzyła wroga kula.

Płonąca furia rozpędziła wygodną jeszcze przed chwilą ciemność. Bruno z trudem rozchylił powieki, zatrzepotał nimi i uniół głowę. Potylicą eksplodowała bólem tak wielkim, że zacisnął usta, by nie jęknąć głośno. Między zębami zazgrzytały drobinki piasku.

Minęła chwila, nim odkrył, że jeśli nie próbuje się poruszać, ból pozwala mu myśleć. Znieruchomiał więc i zaczął układać fakty. Piasek. Leżał z twarzą wciśniętą w piasek plaży. Jakaś nieubłagana siła trzymała jego drętwiejące dłonie na plecach, co oznaczało, że skrępowano go, brutalnie i mocno. Gdzieś nieopodal unosiły się głosy w obcej mowie, ostre, nieprzyjemne, a dalej szumiało jednostajnie obojętne morze.

Powoli, ostrożnie obrócił głowę. Mokre, brudne od piachu włosy przesłaniały mu widok, ale ujrzał trzech *bravi*, którzy stali kilka kroków od niego i wpatrywali się w coś, co działo się gdzieś dalej. Po chwili Bruno wyodrębnił wystrzały. Wrzaski. Trąby.

Bitwa, pomyślał. Tam toczy się bitwa, a ci tutaj... Może zdołam się podnieść... Uciec...

Podciągnął kolano i z ulgą odkrył w nim dawną zwinność. Podciągnął drugie, już szybciej, i napiął mięśnie, by poderwać ciało do pozycji klęczącej, gdy najbliższy korsarz odwrócił głowę, gwałtownie niczym sęp, który dostrzegł ofiarę; wyszczerzył nierówne zęby i zagadał głośno w obcej mowie, unosząc brudny od krwi i błota bułat.

– Chcesz mi o czymś opowiedzieć? – wychrypiął Bruno. – Założę się, że to ważne, ale...

Wtedy drugi z korsarzy, wysoki, wychudły Nubijczyk z łysą głową i brodą pełną kolczyków, spojrział na rycerza martwymi oczami. Uniósł pięść, ku zgrozie Brunona ciężką od pierścieni, a potem rąbnął. Mocno a celnie.

Świat znowu rozpląnął się pośród bólu. Ostatnim wrażeniem były przybliżające się wrzaski walczących.

Świat podzielił się na nierówne fragmenty, przedzielone momentami nieprzytomności. Bruno miał wrażenie, że ktoś wlecze go po piachu, a potem bezceremonialnie wrzuca do łodzi. Słyszał plusk fal i wrzaski, wiele wrzasków, wzmocnionych palbą muszkietową. Słyszał huk armat i inne krzyki, chyba komendy.

I znów rzucono go na coś twardego. Zabolalo jak cholera.

Potem otoczyła go mętna, bolesna ciemność, z której wyrwała go świadomość, że się topi. Poderwał głowę, plując i parskając, ale tym razem świat poukładał się nieco szybciej. Najpierw pojawiły się deski kołyszącego się mokrego pokładu. Czyjeś ciemne stopy, krople wody ściekające z przechylnego wiadra. Tępy ból potylicy, nieco lżejszy niż wcześniej.

I smród. Trudny do zniesienia smród niemytych ciał i nieczystości.

Galera, przemknęło mu przez głowę. Znalazłem się na galerze. Wrogiej galerze...

Zawładnęła nim czarna, bezlitosna rozpacz. Doskonale wiedział, co się dzieje z chrześcijanami, którzy wpadają w ręce algierskich korsarzy. Uderzył czołem o pokład, zacisnął powieki i zapragnął, by ciemność znów powróciła i nim zawładnęła. Najlepiej na zawsze.

Boże Wszechmogący, stwórzycielu nieba i ziemi, odruchowo szeptał w myślach, ale słowa, które miały osłonić go bezpiecznym pancerzem, wydawały się puste, odarte z siły, jak zwykle zresztą. Wytęskniona ciemność nie nadchodziła. Ktoś wydawał ostrym głosem komendy, szeregi wiosł w nurzały się z wody i z pluskiem w niej pograżały, brzęczały łańcuchy, gdzieś darł się jakiś ranny.

Bruno nie musiał unosić głowy, by wiedzieć, że oddalają się od brzegów Malty. Że płyną ku jego zgubie.

Nagle zdał sobie sprawę z toczącej się tuż przy nim wścieklej rozmowy. Dwóch mężczyzn wrzeszczało na siebie po turecku, aż jeden przypadł do Brunona i kopnął go w bok, a potem uklęknął, złapał go za długie włosy i poderwał jego głowę. Chrapliwym głosem zadał pytanie.

Jego rozmówca zaś stał nieruchomo jak posąg. Jak ktoś, kto za nic ma podmuchy wiatru, kołysanie pokładu i targające nim emocje. Jak ktoś, kto stoi ponad trywialnymi siłami rządzącymi ludzką egzystencją, ponieważ jest kimś wielkim, większym niż przeznaczenie. Urodzonym władcą. Panem losu.

Wzrok Brunona biegł po wyszywanej złotą nicią sukni i kolejno zatrzymywał się na wysadzonej klejnotami pochwie bułatu, potem upierścienionych, założonych na piersi dłoniach oraz długiej, starannie naoliwionej brodzie. Spojrzał na surową, pobrużdżoną, wychłostaną wiatrami twarz i gęste brwi, niemalże nakrywające oczy, ciemne i złe. Przeniósł wzrok na zdobiony klejnotami turban i znów na oczy.

Spojrzenie nieznanego dostojnika niemalże wbiło go w deski pokładu. Bruno naraz uświadomił sobie, że wie, na kogo patrzy. Na całym Morzu Śródziemnym działał tylko jeden człowiek, który był w stanie spoglądać w ten sposób. Tylko jeden, którego wzrok niósł śmierć i zagładę.

Turgut Reis, pomyślał.

Patrzył na króla algierskich korsarzy i przywódcę floty sułtana Sulejmana Wspaniałego. Na największego, niepokonanego i całkowicie nieprzejednanego wroga zakonu.

Jakby mało było, że wpadłem do niewoli, pomyślał z rezygnacją.

Kolejną falę rozpacz rozpedziła nagła złość, gdy rozmówca Turguta, nadal trzymający go za włosy, szarpnął za nie gwałtownie. Mówił coś żarliwie, z nadzieją. Korsarski admirał ściągnął brwi i przechylił nieco głowę, jakby chciał się Brunonowi lepiej przyjrzeć, po czym wydał wargi.

– Jak cię zwał? – odezwał się w chropowatym, nieprzyjemnym włoskim.

– Jak mnie zwał? – wychrypiał Bruno. Zebrał w sobie resztki hardości i zmierzył korsarza wzrokiem. – A jakie ma to dla ciebie znaczenie, morska hieno, skoro i tak zaraz przykujesz mnie do wiosła?

Trzymający go człowiek najprawdopodobniej rozumiał włoski, bo brutalnym szarpnięciem obrócił twarz Brunona ku sobie. Młody rycerz ujrzał oblicze rybiokiego wojownika, który zastrzelił Erhana, teraz zaczerwienione i wykrzywione z furii. Korsarz wrzeszczał na niego i targał jego głowę, wrywając mu włosy.

Ból był Brunonowi jednakowoż obojętny.

- A ty zabiłeś mi przyjaciela - wycedził, nie zważając na drobinki śliny padające na jego twarz. - Dobrze mnie przymocuj do tego wiosła, padalcu, bo to jedyne, co cię ocali...

Turgut Reis warknął coś groźnie po turecku. Rybioki korsarz odepchnął Brunona, który boleśnie uderzył czołem o deski pokładu, ale zaraz zadarł głowę, by spojrzeć na sultańskiego admirała.

- Ze mną rozmawiasz - oznajmił Turgut Reis. - Ze mną, nie z nim. Odpowiedź na moje pytanie jednakże znam. Napatrzyłem się i wiem wszystko. Tyś Scozzi.

- Ha! - roześmiał się złośliwie młodzieniec. - I tu się, pohańcze, mylisz. Nazywam się Calazzo, jeśli bardzo chcesz wiedzieć. Bruno Calazzo.

- Calazzo. - Turgut się skrzywił, jakby do ust wpadła mu mucha. - I kogo ty chcesz w pole wywieść, co? I kbal się nie pomylił - rzekł, ledwie dostrzegalnie skinąwszy na swego przybocznego. - Wykapany Scozzi.

Bruno przez moment przetrząsał umysł w poszukiwaniu kąśliwej riposty, ale zrezygnował i opuścił głowę.

- Nazywam się Calazzo - powtórzył uparcie. Jego los był i tak przesądzony, bez względu na to, co Turgut powie i jak on na jego słowa zareaguje.

- Doprawdy? - Turek uniósł brwi, udając zdziwienie. - Swego czasu parałem się handlem niewolnikami, a to nauczyło mnie wiele o ludzkich twarzach. Masz oczy i brwi matki, ale podbródek i kości policzkowe ojca. Ciekawe tylko, czy odziedziczyłeś po nim ten sam spryt. Jak się miewa stary Gilberto?

Wzmianka o ojcu, postaci nieobecnej, nieistniejącej, wręcz mitycznej, sprawiła, że Bruno podniósł głowę.

- Kto? Mój ojciec? - wyjąkał.

- Onże sam - odparł Turgut Reis. - Największy przechera na Rodos - dodał, a przez jego usta przemknął uśmiech, będący połączeniem

niechętnego podziwu i zadawnionej wrogości.

– Na Rodos? – Głos Brunona zadrżał z powodów, których sam nie zrozumiał. – Znałeś mego ojca na Rodos, pohańcze? Jakże to?

Ikbał poderwał dłoń, w której nagle znalazł się bat. Ani chybi pragnął ukarać zuchwalca, który ośmiela się zadawać pytania samemu Turgutowi Reisowi, ale admirał powstrzymał go samym tylko spojrzeniem.

– Tak, poznaliśmy się na Rodos – rzekł Turek. – Niedługo przed tym, zanim najjaśniejszy pan raczył przepędzić waszą zgraję z wyspy. – Spojrzał przy tym wymownie na czerwoną tunikę zakonną Brunona, na której biały, ośmiokończasty krzyż był ledwie widoczny pośród brudu i zakrzepłej krwi. – A poznałem go lepiej, niżbym chciał – dodał, a jego głos nagle stał się chłodniejszy. – Stąd też pragnę omówić z nim transakcję, którą z nim zawarłem, a która... Cóż, mocno mnie rozczarowała. – Oparł twardą, upierścienioną dłoń na głowicy bułatu. – Mam szczerą nadzieję, że stary Gilberto żyje i ma się dobrze. A skoro i tak goszczę na waszej wysepce, będę mógł złożyć mu wizytę. Zaprowadzisz mnie do niego?

Przygładził brodę, wpatrując się w młodzieńca z zaintrygowaniem wyglodniałego sępa.

– Nie, tak się nie stanie – oznajmił Bruno i wzruszył lekko ramionami. – Ojciec nie żyje. Zabiliście go podczas oblężenia Rodos, gdy byłem dzieckiem.

Wzruszył ramionami raz jeszcze, jakby chciał w ten sposób odciąć się od tematu raz na zawsze.

– A matka? – naciskał Turgut, przechylając głowę.

Osobliwa ciekawość w jego głosie, ku zdumieniu samego Brunona, nagle obudziła w nim złość. Jak to możliwe, że najgroźniejszy pirat wybrzeży Morza Śródziemnego, postrach chrześcijańskich żeglarzy, interesował się jego rodzicami? O których, jak się okazało, wiedział więcej niż on sam?

Ikbał, jakby wyczuwając narastające napięcie, znów uniósł bat.

– Matka również nie żyje – wycedził Bruno.

– Oczywiście – przytaknął admirał, niemalże rozbawiony. – Cóż innego masz, chłopcze, powiedzieć?

– Ale oni naprawdę...

– Dość! – Turgut Reis podniósł dłoń. – A skarby twego ojca, z których był tak dumny, zapewne zaginęły podczas ewakuacji wyspy? Z woli Allacha zatoneły wraz z przewożącą je galera? Słusznie się domyślam?

Bruno znów zaniemówił.

– Skarby? – bąknął. – Ja... Ja naprawdę nic nie wiem.

– Uhm. – Turgut Reis pokiwał głową z rozbawieniem. – Mimo wszystko jakoś nie chce mi się w to uwierzyć. Czyli ojciec nigdy nie próbował wprowadzić cię w interes? Słynny Gilberto Scozzi, chwyt i awanturник, który przeżył niejedną sztorm, nie pochwalił się przed synem, jak to wystrychnął pewnego tureckiego admirała na dudka? Nigdy nie opowiadał ci o Krwiopijcy?

– O kim? – wyjąkał Bruno.

Admirał naraz westchnął, jakby dostrzegł bezsens toczonej rozmowy. Rzucił coś niecierpliwie do Ikbala, a potem skinął na kilku zbrojnych, którzy stali za jego plecami. Ci przypadli do jeńca, postawili go szarpnięciami i poprowadzili w stronę pokładu wioślarskiego, wrzeszcząc i nie szczędząc mu kuksańców. Jeden napluł mu w twarz, na co oszołomiony Bruno nie zwrócił nawet uwagi.

Zdażył się natomiast rozejrzeć. Od brzegów wyspy dzieliła go mila, może dwie lazuruwej, obojętnej toni, co w innych okolicznościach wydałoby się zgoła niczym, ale z pokładu tureckiej galery dystans zdawał się rozciągać w nieskończoność. Nad chatami nabrzeżnych wiosek snuły się słupy dymu, a za nimi kolejne, w głębi ładu. Po kamieniach plaży, upstrzonych nieruchomymi plamkami ciał, gnał oddział kawalerii zakonnej.

Ostre szarpnięcie obróciło go ku morzu i gromadzie pirackich galer, które odbijały już ku wybrzeżom Afryki, uskrzydłone rzędami ociekających wodą wioseł. Potem czyjaś dłoń pchnęła go na pokład wioślarski, ciemny, cuchnący nieczystościami, brudem i rozpaczą.

Na dole zdarto zeń tunikę, napiersnik i wszystko, co przedstawiało sobą jakąkolwiek wartość, po czym pobito go raz jeszcze. Któryś z korsarzy wcisnął mu twarz w rękę szczyn i łajna, płynącą kanalikiem przez środek pokładu, i trzymał tam do chwili, gdy rycerz zaczął się krztusić. Inny namoczył w niej tunikę i spróbował wepchnąć mu ją do ust, a gdy Bruno

zaczął się szarpać, kopnął go w szyję. Kolejni, zachwyceni okazją, by wreszcie rozprawić się ze znieawidzonym zakonnikiem, bili go i szarpali, a Bruno bronił się coraz słabiej, coraz bardziej niemrawo. Wioślarze, brudni, wynędzniali, bardziej przypominający cienie niż ludzie, siedzieli nieruchomo, udając, że niczego nie dostrzegają.

Agresję przerwał ostry, chrapliwy okrzyk. Bruno splunął krwią i gównem, po czym uniósł głowę. Między rzędami ławek stał Ikkal z batem w dłoni.

Przez kilka sekund mierzył rycerza spojrzeniem ciężkim od wzgardy, po czym warknął coś po turecku. Korsarze poderwali Brunona z ziemi i posadzili go na ławce, a potem przykuli kajdanami zarówno do ławki, jak i do wiosła.

– Myśl, myśl o ojciec – warknął Ikkal łamanym włoskim. – O ojciec i skarby. Przypomnij. A teraz praca.

W ciasnej przestrzeni strzał z bata zabrzmiał niczym uderzenie błyskawicy. Plecy Brunona eksplodowały wściekłym bólem. Stęknął głucho i pochylił się nad wiosłem.

– Myśl – szepnął mu Ikkal nad uchem. – Przypomnij.

Ból, wbrew nadziejom Brunona, nie odebrał mu przytomności. Co gorsza, odpędził również czarną rozpacz, w której miał nadzieję się pogрузić, by zapomnieć o upokorzeniu. Chwilę później ból jeszcze się wzmógł, gdy rozkaz korsarskiego podoficera ożywił cały pokład i Bruno wraz z innymi musiał unieść wiosło. Jego ramionom brakowało sił, ale na szczęście siedzący obok niego więźniowie pracowali z mechaniczną wprawą.

Umrę, pojął Bruno z oszałamiającą jasnością. Umrę tu. A więc o to chodziło. O to... Erhan nie żyje, a ja trafiłem w łapy korsarzy, których przywódca najwyraźniej żywi zadawnioną nienawiść do mojej rodziny. Stąd się brało wrażenie, że zanosi się na coś niedobrego...

Powrócił myślami do pojedynku w ruinach rzymskiej willi, który, choć odbył się zapewne godzinę, może dwie temu, zdawał się należeć do innego życia. Przypomnił sobie pytania Turguta, dziwne, niepokojące, ale przecież nieistotne. Spojrzał na swoje bosa stopy, omywane krwią i szczynami, na puste, nieobecne twarze innych wioślarzy, na zwierzęcą

twarz strażnika z batem, widocznego przez moment nad plecami pochylających się współwięźniów.

Chryste, miejże litość! – westchnął w myślach, odruchowo, bez wyraźnej potrzeby, a potem znów musiał pociągnąć wiosło. I znów, i raz jeszcze, aż ból rozmazał kontury nowego świata, otępił zmysły, rozpędził myśli.

Galera płynęła w nieznanym kierunku. Bruno wiosłował. Ból pleców stępsiał, a w jego miejsce pojawił się ból barków oraz dłoni, nienawykłych do nowego wysiłku. Po skroni rycerza płynął pot, oczy łzawiły, włosy lepiące się do policzków cuchnęły.

Strażnik oderwał się od ściany i szedł teraz wzdłuż ławek, przyglądając się niewolnym z chłodem. Końcówka bata wlokła się za nim w strumieniu nieczystości.

Nie patrz na mnie, modlił się w duchu Bruno. Nie patrz na mnie.

Ramiona sztywniały mu z wysiłku. Obejmy kajdan wgrzyzały mu się w skórę, a spod zaciśniętej dłoni wypłynęła kropla krwi, która ściekała po nadgarstku. Bruno czuł, że lada moment wypadnie z rytmu, a wtedy...

– Co oni ze mną zrobią? – szepnął. – Co się ze mną stanie?

Po raz pierwszy w życiu czuł strach. Choć Erhan był dlań jak przybrany ojciec, Bruno nigdy dotąd nie nazwał go rodziną, wzbraniał się też przed nazwaniem zakonu domem, ale teraz, pozbawiony zarówno jednego, jak i drugiego, czuł narastające przerażenie. Jego wzrok, rozmazany, przestraszony, skakał dookoła, aż zawisł na współwięźniu, potężnym mężczyźnie o mięsistych ramionach i, o dziwo, pokaźnym brzuchu. Bruno zdołał dostrzec, iż mężczyzna miał niebieskie oczy, mętne i szkliste niczym u ludzi pijanych bądź śmiertelnie zmęczonych.

– Co oni robią z... – zaczął, ale tamten potrząsnął głową.

– Zamknij się – syknął po francusku. – Zamknij się.

Suchy trzask bicia i rozzierający wrzask trafionego niewolnika starczył za wyjaśnienie. Bruno zacisnął oczy, a wtedy nieznamy współwięzień dodał coś całkowicie niezrozumiałego:

– Rozpraszasz mnie.

Płynęli przez resztę dnia. Bruno czuł na karku przesuwające się słońce, prażące, bezlitosne, i wiedział, że galera zatacza szeroki krąg. Wbrew jego

podświadomym oczekiwaniom nie ruszyła wraz z pozostałymi na południe, ku berberyjskim portom, ale okrążyła Maltę od zachodu. Młodzieniec przeczuwał, że gdyby zerwał się z ławki, ujrzałby zachodnie wybrzeże, w znacznej mierze klifowe, ale rzecz jasna nie miał zamiaru się ważyć na podobną zuchwałość. Wiosłował z samobójczym uporem i zaciskał zęby, by zignorować ból, by nie dać żadnemu ze strażników pretekstu do kolejnego uderzenia. By wytrwać.

Czasem wydawało mu się, że traci przytomność, ale gdy wracała doń świadomość, nadal widział swe okrwawione dłonie, zaciśnięte na wiosle. Bywało, że znów odzywał się bat strażnika. Wiosła unosiły się miarowo, pluskała rozgarniana woda, pobrzękiwały kajdany, ktoś się modlił po hiszpańsku, urywanym szeptem, przeciętym kolejnym strzałem z biczu. Mewy darły się jak na drwinę. Raz na jakiś czas Brunonowi migало oblicze grubego Francuza, po którym ściekały krople potu. Czasem wracały do niego słowa Turguta. Widział twarz umierającego Erhana. Słyszał szyderstwa Philippe'a.

Jak długo jeszcze? – pytał sam siebie. Jak długo jeszcze wytrzymam?

Z góry dobiegła komenda, powtórzona chrapliwie przez strażnika na dole. Zachrobotąło, zaszurało, a otepiały ze zmęczenia Bruno w ostatniej chwili spostrzegł, że niewolnicy wciągają wiosła do wnętrza galery. Pomógł im skwapliwie, po czym wsparł się na drzewcu i zastygł bez ruchu jak pozostali więźniowie, by z rozpaczą zaznać choć trochę odpoczynku. Otarte do krwi dłonie paliły żywym ogniem, podobnie jak mięśnie ramion i barków, nogawki spodni powalane były wymiocinami, choć nie pamiętał, kiedy zwrócił treść żołądka. Płomień, który od zawsze płonął w jego sercu, podsycił jego niepokój i kazał krytykować zakonną rzeczywistość, ledwie się tlił.

Wystarczyło pół dnia, nasunęła mu się jakaś półprzytomna myśl. Pół dnia wiosłowania w tureckiej niewoli, bym zapomniał, kim jestem. By przestało się to liczyć. Bym upodobił się do zwierzęcia.

W jego głowie pojawiły się inne myśli, odległe, wręcz obce.

Wciągnięte wiosła. Zatrzymaliśmy się. Galera stoi. Nie jesteśmy daleko od Malty. Turgut czeka. Znosi się na kolejny atak na Maltę. Tak, kolejny atak...

Uniósł głowę z trudem, jako jedyny na ciemniejącym pokładzie wiosłarskim. Powietrze stygło, nabierało wieczornej woni, wyczuwalnej pomimo smrodu.

Coś szcęknięło obok niego. Bruno odruchowo odwrócił głowę i znieruchomiał.

Obejma kajdan, jeszcze przed momentem szczelnie opasująca prawy nadgarstek Francuza, kołysała się na łańcuchu. Po tej na lewym nadgarstku nie było śladu.

Z niedowierzaniem spojrzął na twarz współwięźnia, która w ciemnościach wydawała się wręcz kredowobiała. Mężczyzna zaciskał oczy z ogromną siłą, a z czoła, choć już przestał wiosłować, nadal spływały krople potu.

– Co się dzieje? – zapytał Bruno ledwie słyszalnym szeptem.

– Zamknij się – wychrypiał tamten. – Rozpraszasz mnie. Albo... Nie, albo nie. Zacznij jęczeć.

– Co?

– Jęcz. Wydzieraj się. Ściągnij tu tę świnię z batem.

Na usta Brunona cisnęły się kolejne pytania, ale zacisnął mocno wargi. Coś mu mówiło, że los zesłał mu niejasną szansę, być może desperacką i samobójczą, ale za to jedyną. Zerknął raz jeszcze na uwolnione nadgarstki grubego Francuza, a potem pochylił głowę i zajęczał głośno.

Chwilę później dał się całkowicie pochłonać przedstawieniu. Wył jak torturowane zwierzę, targał głową, odrzucał ją, usiłował się zerwać. Nie wiedział, dlaczego posłuchał współwięźnia, ale nagle poczuł, jak jego ogień się wzmacnia. Kątem oka widział obracające się ku niemu głowy innych niewolników i ich puste, obojętne spojrzenia, widział też sylwetkę idącego ku nim strażnika. Błysnęły wyszczerzane zęby, uniosła się ręka z batem.

Bruno przygotował się na eksplozję wściekłego bólu.

– Bum – mruknął Francuz.

Naraz rozległ się suchy, rozdzierający trzask, który zdawał się biec wzdłuż całej sterburty galery. Okręt lekko drgnął, a potem ledwie zauważalnie zaczął się przechylać na bok. Gdzieś na dziobie rozległo się niespokojne wołanie, a niewolnicy, nawykli do stabilności pokładu,

poczęli rozglądać się z pytaniem w oczach. Strażnik z batem znieruchomiał, zapomniał o Brunonie, spojrzął w górę.

Wtedy trzask rozległ się ponownie, tym razem głośniejszy. Galera przechyliła się mocniej, rozległy się wrzaski, do których niespodziewanie dołączył żarłoczny plusk wody. Niewolnicy podnosili się, zataczali, machali łańcuchami. Nadzieja, jeszcze przed momentem nieśmiała, buchnęła gwałtowniej.

– Jak już rzekłem – burknął Francuz. – Bum, na chustę Świętej Weroniki.

Zerwał się z zaskakującą rączością i złapał bułat, którego rękojeść wystawała zza pasa strażnika. Oswobodził go jednym szarpnięciem, pchnął pirata pod żebra, a ten z dzikim wyciem padł na sąsiednią ławkę, na zaskoczonych, rozglądających się z niedowierzaniem niewolników.

– Rąb! – wrzasnął Bruno, pokazując mu swoje łańcuchy. Kątem oka widział, że strażnik próbuje się zerwać, ale w oczach niewolnika, na którego się przewrócił, nagle obudziło się życie. A z nim nieprzebrana wściekłość.

Francuz chlasnął ostrzem po ogniwach. Brzęknęło, strzeliły iskry, łańcuch niczym stalowy wąż zsunął się na deski pokładu. Bruno zerwał się i zakoiysał, gdy zakręciło mu się w głowie. Rozejrzał się półprzytomnie.

Niewolnicy krzyczeli, podnosili się, szarpali za łańcuchy. Pod ich nogami rozlewała się już czarna, migotliwa woda, coraz szybciej, coraz bardziej zachłannie. Galera przechylała się zauważalnie.

Toniemy! – przemknęło Brunonowi przez myśl.

Woda zachlupotała, gdy na pokładzie wioślarskim pojawiło się kilku korsarzy. Jeden z nich wysoko unosił latarnię, której blask padał na jego pobrużdżoną, brodatą twarz, inni chlastali niewolnych batami, czym tylko pogłębiali zamieszanie. Korsarze krzyczeli, wymachiwali rękami, wskazywali przegłębienie na burzę, ktoś pokazywał innym wiadro. Na schodach nad ich głowami mignęło oblicze zaniepokojonego Turguta.

Wtedy któryś z piratów zauważył dwóch uwolnionych chrześcijan, stojących już w przejściu między ławkami. We wrzaskach pojawiło się oburzenie, a najbliżsi ruszyli na nich, dobywając broni, jakby wręcz cieszyli się z tego, że mają inny, łatwiejszy problem do rozwiązania.

Bruno zmrzął oczy. On też się z tego ucieszył.

Serce załomotało mu głośniejsze, zaszumiła adrenalina, odpędzając ból, zmęczenie i rozpacz. Młody rycerz skoczył ku nadbiegającemu korsarzowi. Opadający bułat błysnął w świetle latarni. Bruno uchylił się w porę i z całej siły chlasnął Berbera końcem łańcucha po gębie. Uderzenie odrzuciło przeciwnika prosto między ławki wiosłarskie, gdzie zrywali się już niewolnicy, naraz ożywieni dziką, rozpaczliwą nadzieją. Czyjeś dłonie zacisnęły się na jego gardle, inne wduszały mu gałki oczne, jeszcze inne wyszarpywały genitalia i wyrzywały miecz.

Bruno nie słyszał jednak jego przeraźliwych krzyków. Odurzony własną furją, skoczył ku kolejnemu korsarzowi, piruetem wyminał wymierzoną w niego włócznię, pchnął barkiem trzymającego ją pirata na inną ławkę, a potem odruchowo uskoczył przed zakreślającym morderczy łuk sztyletem. Korsarz poślizgnął się i runął w przemieszaną z nieczystościami wodę, a kolejny potknął się o niego. Trzeci ciął znad głowy zdobycznym, chrześcijańskim mieczem, ale źle obliczył odległość i zahaczył ostrzem o krawędź górnego pomostu, a czwarty, już rozpędzony, wbił kamratowi miecz w plecy. Ten ryknął niczym raniony żubr, brocząc krwią z ust, targnął się w tył i uderzył kolejnego zabijakę, który rozbił głową latarnię. Jego turban momentalnie stanął w ogniu.

Zdrowy rozsądek Brunona odezwał się dokładnie w tej samej chwili. Rycerz wyrwał czyjś bułat z pogłębiającej się brei i popędził za Francuzem, który piął się już po schodach na pokład dziobowy. W biegu rozrąbał czyjeś kajdany, a potem rzucił broń podnoszącemu się niewolnikowi.

Rozgwieżdżone niebo nad Francuzem zasłoniła czyjaś sylwetka. Znów błysnęła unoszona broń, ale jego towarzysz niedoli zdołał złapać nieprzyjaciela za kostkę i szarpnąć ze wszystkich sił. Ten runął w dół, gubiąc ostrze, a rozpędzony Bruno rozdeptał mu gardło. Francuz biegł już na górę.

Nie dostrzegł korsarza, który wyrósł tuż za jego plecami.

A raczej dostrzegł go – bądź wyczuł – w chwili, gdy było już za późno: gdy ostrze opadało prosto na jego czaszkę.

Wtedy korsarza potrafił ktoś inny, kto przebiegł za plecami napastnika. Klinga w ostatniej chwili zmieniła trajektorię i zdołała jedynie zedrzczeć

kawałek rękawa złachmanionej koszuli. Francuz zakończył konfrontację potężnym ciosem pięści, a potem kopniakiem w krocze.

Obrzucił zasapanego Brunona zaintrygowanym, trwającym jedynie ułamek sekundy spojrzeniem.

– Cały jesteś? – burknął.

– Cały – wykrztusił rycerz.

– Umiesz pływać?

– Nie!

– Na kotwicę Świętego Mikołaja, szlag by to trafił – warknął Francuz. – Bo ja, psia mać, też nie.

Rozejrzał się wokół i wyrzucił z siebie serię zapewne najbardziej plugawych przekleństw świata.

Wiązanka ani chybi została doceniona przez najlitościwszych spośród bogów morskich awanturników, którzy w odpowiedzi zesłali narastający jęk drewna, akcentowany trzaskiem zrywających się lin. Bruno odwrócił się i otworzył szeroko oczy.

Pogłębiający się przechył galery sprawił, że maszt coraz mocniej wychylał się pod własnym ciężarem, aż pękł ostatni z podtrzymujących go sztagów, a wtedy runął z głuchym łoskotem. Przez miażdżony pokład przeszedł wstrząs, który zbił obu uciekinierów z nóg i – choć wydawało się to niemożliwe – jeszcze wzmógł chaos panujący na galerze.

– Szybko! – Francuz trącił Brunona w ramię. – To nasza szansa!

Zerwali się, z determinacją roztrącili wrzeszczących, wzywających Allacha i kłócących się Berberów. Francuz ogłuszył któregoś pięścią, wyrwał mu broń i strącił go na pokład wiosłarski, a Bruno rozbroił innego i wyrzucił go za burtę. Nad głową joannity wyrósł wrzeszczący Ikbal, który wybałuszył oczy i wzniosł bułat, ale młodzieniec uskokzył przed cięciem i sam chlasnął pirata po twarzy, odrzucając go w bok wśród strug krwi. Chwilę później obaj zsuwali się już po maszcie i cięli takielunek, a gdy zdołali odciąć reję, cisnęli na bok niepotrzebną już broń i zaczęli wściekle wiosłować nogami.

Nad ich głowami przemknęło kilka niecelnych kul, a potem rozległy się inne wystrzały, stłumione częściowo przez okaleczony kadłub, zwieńczone dzikimi wrzaskami. Korsarze tłumili rebelię.

Bruno, prychając, wynurzył głowę. Na posrebrzonej księżycem tafli morza widział inne galery, idące na pomoc jednostce Turguta. Wydawało mu się też, że dostrzega samego admirała, który stał przy burcie i wpatrywał się w nich z twarzą wykrzywioną nienawiścią, ale nie był tego pewien.

Tym bardziej nie miał pewności, czy naprawdę dostrzega inną jednostkę, o wiele mniejszą od muzułmańskich galer, łódź zaledwie, która na skróconym żaglu zawracała właśnie w stronę lądu.

– Co to za miejsce? – parsknął Francuz, wsparty o reję. Pokazywał ręką ciemniejszy od nocy kontur wyspy.

– Malta! – Bruno wypuścił nieco wody.

– Wyspa pełna zakutych w stal durni – mruknął jego towarzysz. – Ale może być. Wszystko jest lepsze od tych... No, nieważne. Płynimy.

Płynęli. Byli wolni.

1 *Corso* (wł.) – rejs, nierzadko łupieżczy, odbywany przez joannitów w ramach służby zakonnej (przyj. autora).

ROZDZIAŁ TRZECI

Wielkie fale przyboju pochwyciły ich litościwie, w chwili gdy Bruno zaczynał tracić siły. Słone, mocne, podrywały belkę z wczepionymi w nią podtopionymi rycerzami i wyrzucały naprzód w rytmicznych sekwencjach, aż Bruno, ku swej niewyobrażalnej uldze, poczuł, jak jego kolana wbijają się w ostry żwir na brzegu. Kaszląc i parszcząc, niezgrabnie przelazł przez reję, zazdrośnie wyszarpywaną przez cofającą się falę, a potem pomógł Francuzowi, który zdołał się zaplątać w resztki lin.

– Przyjmę wszystko – bełkotał Francuz. – Każdą ilość durni w pancerzach. Byleby mi tylko znów było sucho! I ciepło... I...

– Chodź. – Bruno złapał go wpół.

Nieznajomy z ulgą oplótł go ramieniem.

Szli, zataczając się, rozchlapując coraz płytsze fale, które z sykiem cofały się w głąb morza. Gniewny, morski wiatr szarpał ich mokrymi łańchmanami. Malejący księżyc obrzucał czarne fale srebrzystym blaskiem. Rany bolały, a jakże.

Plaża była tu wąska, a nad nią wznosiły się czarne klify, ale gdzieś pośród mroku znać było ludzkie sylwetki i migotały ogniki pochodni.

– Co to za jedni? – wysapał Francuz i wskazał nieznajomych drżącą ręką. – Nie zbójcy aby? Z gatunku tych, którzy nie wierzą uczciwemu człowiekowi, gdy tłumaczy, że nic nie posiada?

Potknął się i padł na kolana w wodę. Nie przestawał gadać, ale widać było, że ucieczka z tureckiej galery kosztowała go o wiele więcej niż Brunona. Ten podniósł go z trudem.

- To miejscowi - rzucił. - Rybacy zapewne. Ne zrobią krzywdy rycerzowi Świętego Jana.

W przekrwionych oczach Francuza dojrzał zaskoczenie.

- Racja - wysapał jego towarzysz. - Przecież ty należysz do tych przerdzewiałych baranów.

- Należę. Czyżbyś miał z tym problem?

- Nie, nie mam. Nikt nie jest idealny...

- Nikt - zgodził się Bruno.

Na suchy ład dotarli w milczeniu, a tam otoczyły ich zaniepokojone twarze rybaków, opromienione rwącymi się na wietrze pochodniami. Bruno zauważył u nich włócznie, siekiery i długie noże, a dwóch nawet chuchało na lonty muszkietów, co nie dziwiło go wcale. Malta oraz sąsiednia wyspa, Gozo, często padały ofiarami tureckich ataków i mieszkańcy nabrzeżnych wiosek nauczyli się żyć w gotowości. Bruno mógłby się założyć, że rodziny tych ludzi już dawno skryły się wśród skał za klifami, nieopodal zaś czaili się ich towarzysze, uzbrojeni w kolejne muszkiety, tym bardziej że na pewno dotarły już tu wieści o napaści Turguta na nieodległe południe wyspy.

- Jestem brat Bruno Calazzo z languy włoskiej! - zawołał po maltańsku, próbując przekrzyczeć szum morza. - Jesteśmy rozbitkami! Uciekliśmy z tureckiej galery!

Opromienione migotliwymi pochodniami twarze, surowe i nieufne, przybliżyły się nieco. Bruno wypuścił towarzysza, przeszedł kilka kroków i osunął się na kolana w piach.

- Jestem brat Bruno - wychrypiał. - A to... - machnął bezwładnie ręką w kierunku Francuza - to mój towarzysz - dodał, a potem, przechodząc na francuski, spytał: - A właściwie to jak ciebie zwą?

- Jestem Hugo Onfroi de Dahlia-Connos - wybełkotał tamten. - Przekażesz tym dobrym ludziom, że nie stanowią zagrożenia, prawda?

Najbliższy z miejscowych, stary, siwobrody rybak z całkiem niezłym muszkietem, ostro kontrastującym z jego ubogim strojem, nawet na niego nie spojrział.

- Turcy? - odezwał się z niepokojem, kierując pytanie do Brunona. Pozostali utworzyli za jego plecami nierówny półkrąg. - Turcy się zbliżają?

- Nie wiem. - Bruno potrząsnął głową. - Naprawdę nie wiem. Przy brzegu - machnął dłonią w stronę niewidocznego horyzontu - stoi kilka galer, ale chyba mają teraz co robić.

Przez moment oddychał ciężko i walczył z pustką w głowie, która nigdy dotąd nie wydawała mu się tak obezwładniająca. Nigdy też w życiu nie był tak wyczerpany. Patrzył na Maltańczyka bez wyrazu, ale naraz zamrugał powiekami i pozwolił, by przebudziło się w nim poczucie obowiązku.

- Musimy dostać się do Mdiny, najszybciej jak się da! - wyszeptał. - Trzeba ostrzec wielkiego mistrza! Możecie nam jakoś pomóc?

Rybak z namysłem skinął głową.

Bruno zawsze uważał szum morza za najpiękniejszy, najbardziej kojący dźwięk na świecie, ale teraz cieszył się z tego, że zostawił go daleko za sobą. Wiatr, cichszy i spokojniejszy, suszył ich mokre odzienie. Gdzieś uparcie śpiewały cykady. Stukot kopyt osiołków niósł się daleko w noc i nikt między nadmorskimi klifami.

- Naprawdę musieliśmy ruszać od razu? - odezwał się nagle Hugo Onfroi. - Nie mogliśmy najpierw poprosić tych przemyłych ludzi o coś na ząb?

Bruno westchnął w duchu. Jego ostatnim posiłkiem było śniadanie w forcie Świętego Anioła, spożyte przed wyruszeniem na południe wyspy, i burczenie w brzuchu stawało się równie dokuczliwe jak ból nadwerżonych barków, smagniętych batem pleców czy poodzieranych ze skóry dłoni. Skaleczenia piekły od morskiej wody, a okowy kajdan, których nie miał okazji ściągnąć, nadal raziły pokaleczone nadgarstki. Co gorsza, potworne zmęczenie powracało falami i przyćmiewało obraz dookoła. Miał wrażenie, że zaraz zsunie się z grzbietu osiołka, a upadek na kamienisty trakt, równie bolesny jak uderzenie bata tureckiego strażnika, nie wydawał mu się niczym strasznym.

Bo mógłby zasnąć nawet wśród tych kamieni.

- Ja mam zadanie do wykonania - burknął. - A ciebie nikt nie zatrzymywał. Mogłeś zaproponować tym przemyłym ludziom, by cię ugościli.

- Mogłem - odparł Francuz. - Ale nie znam ich mowy, a Francuzowi omawiać jadłospis na migi jakoś nie wypada.

- Można było chociaż spróbować - westchnął Bruno.

- Co? - zachnął się rycerz. - Na kij Świętego Romualda, na migi rozmawiać?

- Nie - odezwał się przewodnik, jadący kilka kroków przed nimi. - Odezwać się. My naprawdę mili ludzie.

Mówił w chropowatej, niegramatycznej, ale zrozumiałej francuszczyźnie. Bruno uśmiechnął się lekko. Zakon Świętego Jana był kosmopolityczną, wielojęzyczną formacją, stworzoną przez osiem oddziałów zwanych languami, skupiających rycerzy z poszczególnych krain i grup językowych. W oficjalnych kontaktach między languami posługiwano się łaciną, a dodatkowo wielu braci liźnęło nieco rdzennego języka mieszkańców wyspy, zbliżonego do arabskiego. Sami Maltańczycy, którzy od wieków utrzymywali kontakty ze wszystkimi nacjami Morza Śródziemnego, a od kilkunastu lat służący rycerzom, również nierzadko przyswajali sobie mowę braci.

- Jakbyście byli mili, sami byście coś zaproponowali - zachnął się Francuz. - Jestem tak głodny, że zaraz zacznę pożerać cykady.

- Tylko osła oszczędźcie, panie.

- Nie obiecuję.

- Niedługo będziemy w Mdinie. - Bruno, ku swemu zdumieniu, znów się uśmiechnął. - A na razie, Hugonie, mógłbyś opowiedzieć o tym, jak nas wydostałeś z galery.

Odpowiedziała mu długa cisza.

- Że niby ja was wydostałem? - burknął w końcu Francuz. Bruno nie widział jego twarzy, ale w pozornie niefrasobliwym pytaniu wyczuł ostrożność. Podejrzliwość. - Co tu opowiadać? Burta pękła, zaczęliśmy tonąć i tyle. Głupiec nie skorzystałby z okazji.

- A kajdany? Pękły same z siebie?

- Silny ze mnie człowiek, nawet gdym spokojny. I bez obiadu. A kiedy pomyślę sobie o mateczce, to taka potęga we mnie wstępuje, że potrafię nawet kajdany rozerwać.

- Matkę trzeba czcić. I kochać - odezwał się pouczającym głosem przewodnik.

- Każdą, tylko nie moją. Choćbyś przetrząsnął wszystkie haremy na świecie i połowę przedsiódków piekła, nie znalazłbyś tak wrednej,

pyskatej, paskudnej wiedźmy, która...

Bruno zeszywniał. Przypomnił sobie przenikliwy wzrok Turguta, gdy wypytywał go o ojca i matkę, i przeszył go dreszcz.

– Nie zbywaj mnie gadkami o swej matce – odezwał się ochrypłym głosem. – To, co się wydarzyło na galerze...

– Da się łatwo wytłumaczyć. – W głosie Hugona pojawił się sztuczny, chłodny spokój, który wydawał się najeżony lodowymi ostrzami. „Zadaj jeszcze jedno pytanie, a się pokłujesz”, zdawał się mówić. – Zapewne równie łatwo jak to, w jaki sposób poradziłeś sobie z korsarzami.

– Pokład był przechylony – wycedził Bruno. – I śliski. Panowały mrok i panika, a...

– A mimo to jeszcze nigdy nie widziałem, by Turcy potykali się o siebie z taką skwapliwością – podjął Hugo niemalże wesoło, ale w jego głosie wciąż kryło się ostrzeżenie. – Choroba, gdybym wiedział, że są takimi niezgłumami, skrzyknąłbym paru sąsiadów i jeszcze tego lata odbił Jerozolimę.

Bruno przygryzł wargę.

Bystry sukinsyn, przeszło mu przez głowę. Widział, co widział. W porządku, mamy impas.

– Jedziemy do Mdiny, tak? – odezwał się nagle Hugo.

– Tak.

– Czy biskupem nadal jest tam jego ekscelencja Domenico Cubelles? – W głosie Hugona pojawiła się nuta, której Bruno nie umiał rozgryźć. – Z łaski Bożej i papieskiego błogosławieństwa były inkwizytor?

– Onże sam – bąknął Bruno. – Czemu pytasz?

– Tak sobie.

– Znać się z jego ekscelencją?

– Nie. – Odpowiedź była równie zdawkowa, jak wiele mówiąca.

Aha, pomyślał Bruno. Dobrze. Rozumiem. O nic już nie pytam.

– Szczobry pan – odezwał się Maltańczyk. – Zacny, szczobry i hojny. Bardzo hojny.

– Szczobry. – Hugo udał zadumę. – I hojny. Ciekawe, czy nauczył was trochę tej hojności. Obraziłbyś się, gdybym jednak zeżarł ci osła?

Reszta drogi upłynęła w milczeniu.

Znużenie i głód sprawiły, że Bruno w końcu uległ senności. Nie miał pojęcia, jak długo trwała drzemka, z której ocknął się, gdy dotknął czołem grzywy zaniepokojonego osiołka, ale to wystarczyło, by jego myśli podjęły ożywioną gonitwę. Śmierć Erhana, niejasne słowa Turguta i ucieczka z galery wstrząsnęły fundamentami życia, które dotychczas wiódł, a wokół niego niczym upiory majaczyły pytania i wątpliwości.

Nawet nie zauważył, że dotarli do Mdiny.

Dawna stolica Malty, obwiedziona wysokimi murami, powitała ich okrzykami straży i niespokojnymi ognikami pochodni, drżącymi na tle rozgwieżdżonego nieba. Rycerze pożegnali się z przewodnikiem i oddali osiołki, a Bruno przykazał mu, by stawił się do dowódcy miejscowego garnizonu zakonnego po nagrodę za trud. Sam nie miał bowiem grosza przy duszy.

Następnie odwrócił się ku bramie.

– Jestem brat Bruno Calazzo z languy włoskiej! – zawołał. – Uratowałem się z tureckiej galery! Mam ważne wieści dla dowódcy garnizonu.

– Jasne – burknął Hugo. – Sam się uratowałeś.

Bruno zmierzył go przeciągłym spojrzeniem.

– O ile dobrze cię zrozumiałem, nie chcesz o tym rozmawiać.

Francuz zmełł przekleństwo i splunął.

– No ale żeby tak oficjalnie przypisywać sobie zasługi...

– Za bramą czeka żarcie.

– Dobra, mów, co chcesz.

Brama uchyliła się i obaj rycerze wkroczyli w tłum najemników ze straży miejskiej, służby zakonnej i zwykłych mieszkańców miasta, którzy nie mogli zmrużyć oka, zaalarmowani wieściami o grabieżczym napadzie na południu wyspy. Padające zewsząd niespokojne pytania ogłuszały. Gdzieś rżały konie, czekał pies, pobrzękiwała stal. Pochodnie łopotąły.

– Ranniście, panie? – krzyczał jakiś mieszczanin z kordem za pasem, bynajmniej nie z chęci pomocy, lecz własnego lęku. – Ranni! Widzicie ich? Ranni! Litości nie mają, mużułmańskie psy!

– Mówią, że się napaśli na południu, a teraz na zachód uderzą! – darł się ktoś inny, nawet nie siląc się na opanowanie.

– Na Gozo popłyną – dowodził jakiś opasły jegomość z trzęsącym się podbródkiem. – Zawsze na Gozo szli, bo tam...

- Niech tu przyjdą! - wołał żołnierz z wyraźnym hiszpańskim akcentem. - Damy im popalić, że się pięć razy zastanowią, nim...

- Cisza! - warknął niskim głosem przysadzisty rycerz w skórzanym kaftanie z poodciskanymi śladami po zbroi. - Chcecie piąć, to do kurnika, jeden z drugim. Wyście brat Bruno?

- Jam ci.

- Jestem Tancredi di Viano, z rozkazu wielkiego mistrza dowódca obrony Mdiny. Macie ważne wieści, jak mniemam.

- Nie wiem, czy ważne, ale wieści na pewno. - Bruno wzruszył ramionami. - I chętnie opowiem wam wszystko, ale dajcie nam najpierw, mnie i memu towarzyszowi, coś do jedzenia.

- Chodźcie więc.

Bruno nie znał rycerza di Viana, który zapewne należał do świeckich najemników zakonu, ale ujęła go skuteczność, z jaką przegonił swych ludzi z izby wartowniczej, oraz rzeczowość zadawanych pytań. Pogryzając ciemny chleb maczany w oliwie oraz kawałki koziego sera, opowiedział mu o wszystkim - o ataku na południe wyspy, swej krótkotrwałej niewoli oraz rejsie na zachodnie wybrzeże. Okoliczności samej ucieczki, czując na sobie czujny wzrok Hugona, przedstawił w samych ogólnikach, ale Tancredi skupił się na innych szczegółach.

- Czyli, mówicie, cała flota Turguta przeniosła się na zachód Malty - mruknął z niedowierzaniem i nalał sobie rozwodnionego wina z glinianego dzbana.

- O ile wciąż tam są - stwierdził Bruno. - Po podjęciu rozbitków z okrętu Turguta galery mogły ruszyć dalej, choć... Choć byłem przekonany, że stoją na kotwicy.

- Być może galery zakonne zdążyły im pomieszać szyki - stwierdził Tancredi di Viano. Ziewnął szeroko i potarł zmęczone oczy. I skrzywił się z niejasnego powodu. - A Turgut ustalił zachód wyspy na punkt zbiórki - dodał, jakby sam sobie coś tłumaczył.

- Być może nie. - Bruno sięgnął do miski z wędzoną szynką, ale uprzedził go Hugo, który wielkim łapskiem wybrał większość jej zawartości. - Tak czy owak, wielki mistrz musi się o wszystkim dowiedzieć.

- Nie ucz mnie mojej roboty - burknął niechętnie dowódca obrony, obrzucając Calazza trudnym do zdefiniowania spojrzeniem, a potem powstał. Skórzany kaftan skrzypnął. - Zaraz wezwę cyrulika, by opatrzył wam rany. Znajdziemy wam również jakieś lepsze łąchy...

- I coś więcej do jedzenia, bo... - Hugo urwał, wywrócił oczami i potrząsnął głową z lekką dezaprobatą.

Di Viano zmierzył go kusym spojrzeniem i wyszedł z izby, trzaskając drzwiami.

Noc była chłodna i Bruno podszedł do kominka, by podsycić ogień. Ogrzewał przez moment dłonie nad płomieniami, aż zerknął na Hugona, który wyjadał okruchy z misy na chleb.

- Zapomniałem ci podziękować - rzekł.

- To się nie krępuj.

- Dziękuję.

- W sumie to ja tobie również - westchnął Francuz. - Jak by to ująć... Nie do końca sobie tę ucieczkę zaplanowałem i gdybyś się nagle nie pojawił, zapewne... Ech, nieważne.

- Nieważne - zgodził się Bruno. - Jutro o świcie wracam na wschodnie wybrzeże, do moich braci zakonnych. Możesz... cóż, możesz udać się ze mną.

Patrzył teraz wprost na Hugona, który nie odwracał wzroku.

- Nie sądzę, by ktoś tam zadawał zbyt wiele pytań o... No wiesz.

- O tureckie galery, które łaska Zbawiciela wpycha na rafy? - Hugo uniósł brwi.

- Właśnie. O te same.

- Dobra propozycja. - Francuz się zamyślił. - Bo, choroba, nawet gdybym chciał się stąd wydostać, musiałbym mieć za co. Nie mam grosza przy duszy, a choć wiele udało mi się w życiu zdziałać dzięki pięknemu licu, w zakonach wolę tą walutą nie płacić. No, sam wiesz czemu.

Bruno skrzywił się i wywrócił oczyma.

- Mogę natomiast oddać wam na usługi mój miecz. Którego, w sumie, też nie mam.

- I naprawdę jesteś gotów służyć zakutym w stal durniom?

- Phi! Jeszcze wczoraj wiosłowałem dla tureckich zboczeńców - oznajmił Hugo, po czym przyciągnął do siebie miskę, przy której siedział

wcześniej rycerz di Viano, i z wyraźną dezaprobatą przyjrzał się jej pustemu wnętrzu. – Przeżyję. A ty gdzie się wybierasz?

Bruno kładł już dłoń na klamce.

– Coś mnie tknęło. Za moment wracam.

Przestąpił przez próg, gdy znów usłyszał głos Hugona:

– Calazzo.

– Co takiego? – Bruno odwrócił głowę i spojrzał w głąb izby.

Hugo Onfroi, opromieniony blaskiem ognia z kominka, wpatrywał się w niego intensywnie.

– Masz na pieńku z tym di Vianem?

– Nie – zdziwił się nieco Bruno. – A skąd ta myśl?

– Nie wszystko z tej waszej italskiej paplaniny zrozumiałem, ale patrzył na ciebie, jakby chciał cię zeżreć. I to, na bicz Świętego Protazego, bez soli.

Do wschodu słońca pozostała godzina i idący wąskimi uliczkami miasta Bruno wyczuwał, że Mdina jest już znużona niepokojem. Pokrzykiwania straży na murach wydawały się cichsze, mniej buńczuczne, jakby zbrojni nie pamiętali, że od zawsze ta pora była wybierana na najdogodniejszą chwilę każdego ataku czy napadu. Chłodne powietrze nocy odświeżało natomiast i intensyfikowało aromat kwiatów, które mieszkańcy sadzili w kamiennych donicach u progu domów. Po tym, przez co Bruno przeszedł, ich woń nigdy dotąd nie wydawała mu się tak mocna i piękna.

Zamęt w jego głowie nigdy też nie osiągnął takich rozmiarów.

Powodem oczywiście były słowa Turguta. W drodze do Mdiny Bruno doszedł do oczywistych wniosków – Ikbal nigdy nie pojmałby go w niewolę, gdyby nie rozpoznał jego twarzy, a rozpoznał ją wyłącznie dlatego, że skojarzyła mu się z obliczem ojca, Gilberta Calazza. To zaś oznaczało, że ojciec – a być może również i matka, skoro Turgut również ją znał – przed narodzinami Brunona naprawdę robili z tureckim admirałem interesy.

Interesy, które – sądząc po reakcji obu muzułmanów – skończyły się źle dla Turguta. Choć minęło wiele lat, korsarz wciąż pragnął zemsty.

Cóż się wydarzyło przed jego narodzeniem? Co zwaśniło jego rodziców z potężnym Turgutem Reistem?

I czy naprawdę nie nazywam się Calazzo? – pomyślał Bruno. Jak mnie nazwał Turgut? Scozzi? Dobry Boże, chyba muszę się dowiedzieć czegoś więcej o moich rodzicach.

Skręcił w wyludnioną uliczkę, prowadzącą do wrót katedry Świętego Pawła.

Muszę!

Z jakiegoś powodu nagle stało się to dla niego ważniejsze niż kiedykolwiek wcześniej.

To przez śmierć Erhana, pomyślał, owładnięty paraliżującym smutkiem. Szkoda, że nigdy nie zmusiłem go, by mi o nich opowiedział.

Jako dziecko usiłował czasami wyciągnąć z Turka informacje na temat rodziców, ale Erhan nie należał do gawędziarzy, a o czasach sprzed upadku Rodos mówił tak niechętnie, że Bruno zaniechał wszelkich prób. Wspomnienie ciemnej, porytej bruzdami i tatuażami twarzy tureckiego giermka sprawiło, że ciemną uliczkę, którą szedł Bruno, rozmazały łzy.

Otarł je wściekle.

– Nigdy cię nie zapomnę, przyjacielu – szepnął chrapliwie. – Morde tego, który cię zastrzelił, już nazaczyłem. Jak Bóg da, poszatkuję ją jeszcze bardziej.

Wychudły kot, który wychynał zza kamiennej kadzi z różami, zamiauczał przeraźliwie i czmychnął. Bruno zatrzymał się, raz jeszcze otarł oczy, zamrugał i uświadomił sobie, że dotarł na główny plac Mdiny.

Wyszedł na dziedziniec przed kościołem. Bruk mienił się w srebrnym blasku księżyca, a każdy krok Brunona odbijał się echem od fasad okolicznych kamieniczek, strojnych w spływające kwiaty. Dwie wieże katedry Świętego Pawła pięły się wysoko ku wciąż ciemnemu, rozgwieżdżonemu niebu, a szerokie wrota z brązu były uchylone. Przez szparę widać było pełgające światło świec, Bruno słyszał też psalm, recytowany przez znużony chór.

W jego głowie pojawił się nieśmiały pomysł.

Od upadku Rodos minęły dwadzieścia cztery lata, pomyślał. To nie aż tak wiele. Ktoś musi pamiętać moich rodziców.

Słyszał kiedyś, że biskup Mdiny, Hiszpan Domenico Cubelles, na ogół rezyduje w Birgu, gdzie wzniósł swój pałac. Zastępował go wówczas sędziwy, siwowłosy Fernando Mendinno, który był kapelanem zakonu

jeszcze w czasach jego świetności na Rodos. Bruno nie utrzymywał z nim kontaktów – nigdy nie łączyła go więź z żadnym spośród maltańskich kapłanów – ale kilkakrotnie widział ojca Fernanda i pamiętał jego szczery, nieco zadumany uśmiech.

Jeśli nie on, to nikt, pomyślał.

Natychmiast poczuł w głębi serca ukłucie wyrzutów sumienia.

Ojciec Fernando będzie zajęty, przeszło mu przez myśl. Ma mnóstwo przestraszonych dusz pod opieką, zwłaszcza teraz, gdy wokół Malty znów grasują hieny Turguta. Nie powinienem mu zawracać głowy prywatą.

Zwątpił w sens tego, co robił. Już miał się odwrócić i odejść, gdy ujrzał postać w długim habicie, która wyszła z wąskiej uliczki i zmierzała w stronę bocznego wejścia do katedry. Nie widział twarzy, ale w krokach wyczuł znużenie typowe dla starszych ludzi.

– Ojcze? – zawołał cicho. – Ojcze Fernando?

Nieznajomy zatrzymał się w odległości raptem kilku kroków i zaczął się odwracać. Bruno przyspieszył.

– To ja, brat Bruno Calazzo! Nie rozmawialiśmy nigdy, ale... Ale dręcą mnie wątpliwości i zastanawiałem się, czy...

Blask księżyca padł na twarz duchownego i Bruno zrozumiał swój błąd. Zatrzymany człowiek był w istocie w podeszłym wieku, ale na jego obliczu na próżno by szukać zadumy czy smutnego uśmiechu Fernanda. Zmarszczki przecinające jego twarz przypominały blizny, przez co rysy wydawały się bardzo surowe, wręcz kamienne. Mocno mrużył oczy, co mogło mieć związek z wadą wzroku, ale pierwszym, o czym Bruno pomyślał, była podejrzliwość.

Odruchowo cofnął się o krok, ale nieznajomy duchowny złapał go za rękę z zaskakującą szybkością.

– Brat Bruno Calazzo – szepnął miękko. – To naprawdę ty?

Rozchylił nieco powieki, a jego usta, suche i pomarszczone, rozciągnęły się w lekkim uśmiechu niedowierzania.

– Całe miasto o tobie mówi, bracie – wypowiadał cicho słowa, gładząc go po wierzchu dłoni. – Rzekomo wyrwałeś się z niewoli samego Turguta, oby anieli zagnali go ognistymi mieczami na samo dno piekła! Mówią, że pochlastałeś mu załogę, a potem ostrzegłeś nas wszystkich!

– To nie do końca prawda...

- To akurat nieważne - rzekł ksiądz. - Grunt, że pojawiła się bohaterska opowieść, a tego tym nieszczęśnikom najbardziej potrzeba. Jestem ci głęboko wdzięczny w imieniu zarówno swoim, jak i każdego najlichszego zebraka w Mdinie.

Bruno westchnął i ledwie dostrzegalnie pokręcił głową.

- Może i tak jest... - zaczął.

- Bóg cię prowadzi, bracie - przerwał mu ksiądz.

- Tego również wykluczać nie będę - ciągnął rycerz, na co uśmiech księdza przygasł ledwie zauważalnie. - Ale ja nie o Bogu chcę rozmawiać. Przywiodły mnie tu inne... powody. A właściwie powód. Muszę porozmawiać z ojcem Fernandem.

- Przez całą noc modlił się ze zbłąkanymi, którzy w Bogu szukali pociechy - wyjaśnił duchowny. - Udał się na spoczynek i spieszę, by go zastąpić, ale jeśli chcesz, bracie, zostanę tu z tobą. Jeśli trzeba ci spowiedzi...

Nie puszczał jego dłoni. Palce miał ciepłe, a Bruno czuł, jak jego wewnętrzny opór topnieje.

- Nie wiem, czy „spowiedź” to odpowiednie słowo - szepnęła i spojrzała na fasadę katedry, by choć na moment uniknąć świdrującego spojrzenia księdza. - Szukam kogoś, kto pamięta czasy z Rodos. Kto... Kto może słyszał coś o moich rodzicach. Wiem tylko tyle, że ojciec miał na imię...

- Gilberto - dokończył szeptem nieznanym duchowny. - Twój ojciec zwał się Gilberto i zaiste pamiętam go. Aż za dobrze. Ale - rozejrzał się uważnie - nie jest to historia, którą chciałbym opowiadać tutaj.

Duchowny przedstawił się jako ojciec Bonifacy. Blask samotnej świecy, którą postawił na ławie, nie docierał nawet do ścian celi i w najmniejszym stopniu nie rozpraszał mroku wspomnień.

- Nie jest to też historia, którą w ogóle chciałbym opowiadać - mówił cicho, przykuwając spojrzenie Brunona. Ten spijał każde słowo duchownego, z rzadka przypominając sobie o oddychaniu. - Bo tak po prawdzie to wielu szczegółów nie znam. Nic ci nie powiedziano?

- Prawie nic - przyznał Bruno. - Dorastałem pod opieką piastuna, a zwierzchnicy zakonni przekazali mi jedynie tyle, że Gilberto Calazzo był rycerzem i że zginął w obronie Rodos. O matce nie chciał rozmawiać nikt.

- Cóż. - Ojciec Bonifacy wydał usta. - Ci, którzy uszli z życiem z oblężenia Rodos, mieli bowiem ważniejsze zmartwienia na głowie, a ci, którzy tę historię pamiętali, zrobili wszystko, by dziś nie miał jej w pamięci nikt, tym bardziej że Gilberto Calazzo zginął. Każdy, kogo zapytasz, wyprze się jej i zbędzie cię. Nadmierną natarczywością wywołasz zaś gniew. Nie pytaj więc, Bruno. Nie rób tego.

- Calazzo? - przerwał mu Bruno. - Czy aby na pewno, ojcze?

- Ech, młodzieńcza popędliwość - westchnął duchowny z udawanym z troskaniem. - Mówię ci, byś pytań zaniechał, a co słyszysz?

- Ale ja muszę wiedzieć - wykrztusił młody rycerz. - Po tym, co teraz usłyszałem, muszę! Kim był mój ojciec? I czy naprawdę nazywał się Calazzo?

- Skoro pytasz o nazwisko, znaczy, że coś już wiesz. - Ojciec Bonifacy uśmiechnął się lekko, choć jego oczy pozostały poważne.

Stare oczy, jak zauważył Bruno, choć lśniące osobliwą iskrą.

- Historia o moich rodzicach nie zaginęła tak, jak mówicie, ojcze. - Bruno się wyprostował. - Coś z niej odpłynęło z Rodos wraz z nami. I nie tylko z nami. Dziś nazwano mnie obcym nazwiskiem.

- Scozzi - rzekł spokojnie Bonifacy, na co Bruno o mało nie podskoczył. - Twój ojciec nazywał się Gilberto Scozzi, ale po odpłynięciu z Rodos wielki mistrz Philippe Villiers nakazał Erhanowi, by wybrał ci inne nazwisko. Nie chciał, by cokolwiek kojarzyło cię z czynami twego ojca.

- Co się właściwie stało? Co takiego zrobił mój ojciec, że...

- Zdradził nas wszystkich - przerwał mu ostro Bonifacy. Poruszył się przy tym, jakby to wyzwanie również jemu sprawiło dyskomfort. Samotny, mosiężny pierścień na jego palcu odbił światło świecy. - Nie Turkom, nie. Zdradził nas siłąm nieczystym. Diabłu. On i twoja matka.

Bruno umknął spojrzeniem w bok. Słowa kapłana wzburzyły go, ale mniej, niż się tego spodziewał. Jakby podświadomie przygotował się na podobne oskarżenia. Odetchnął z drżeniem i znów spojrzął na ojca Bonifacego, który wpatrywał się w niego badawczo, jakby pragnął ocenić reakcję.

- Część tej prawdy chyba wyszła na jaw - oznajmił młodzieniec. - Bo niektórzy bracia nadal nazywają mnie wiedzim synem. Ci odważniejsi,

dodam.

Ojciec Bonifacy nie dał po sobie poznać, że usłyszał buńczuczność w głosie młodzieńca.

– Nie walcz z tym. Wybaczaj, jak uczył nasz Pan, a zapomną.

Bruno pokiwał głową równie skwapliwie, co nieszczerze.

– I to wszystko? – spytał z lekkim rozczarowaniem. – Moi rodzice służyli diabłu? Ale co konkretnie robili, ojcze? Skrzywdzili kogoś?

– Nie znam szczegółów. – Ksiądz zmarszczył brwi. – Wiem tylko tyle, że przeprowadzono szczegółowe dochodzenie, w wyniku którego twoi rodzice zostali zatrzymani. Ich konszachty z diabłem udowodniono podczas wielkiego procesu, a potem twój ojciec został stracony.

Bruno przez moment trawił informację, przygryzając wargi.

– Czyli nie walczył w obronie Rodos? – wycodził w końcu.

– Nie. Gdyby do tego doszło, zapewne wybaczone by mu winy za poświęcenie w obronie chrześcijaństwa. – Kapłan uśmiechnął się. – Przypuszczam, że właśnie dlatego zabraliśmy cię z Rodos, Brunonie. Byś mógł odkupić jego winy.

– Jego – szepnął młodzieniec z roztargnieniem. – A co z matką?

– Spłonęła razem z twym ojcem. Wybacz mi szorstkie słowa, młodzieńcze. Wiem, że ci źle...

– Nie, nie jest mi źle. – Bruno się podniósł. W jego sercu rozlewało się zimne rozczarowanie okłamanego człowieka i naraz zapragnął już tylko ułożyć się do snu. – Niepotrzebnie zawracam ci głowę, ojcze. Spokojnej nocy.

Ojciec Bonifacy poderwał się w ślad za nim.

– Bruno, jeśli zapragniesz modlitwy za duszę ojca oraz matki, będę gościł w Mdinie jeszcze jakiś czas. Możesz mi złożyć wizytę albo...

Młody rycerz mruknął coś pod nosem, ukłonił się i wyszedł, zamykając cicho drzwi.

I wtedy coś go tknęło. Coś, co nie miało żadnego związku ze słowami ojca Bonifacego. Coś, co usłyszał nie tak dawno, ale zapomniał bądź zignorował, gdyż...

„A że i tak goszczę na waszej wysepce, będę mógł złożyć mu wizytę” – odezwał się w jego głowie Turgut Reis.

Bruno zatrzymał się w pół kroku. Serce, chłodne i uśpione, nagle zaczęło tłuc jak szalone.

Przed oczami Brunona nagle stanęła niewielka łódź, niewyraźna plama na tle wybrzeża, którą widział przez moment podczas ucieczki z przechylonej galery. Usiłował sobie jakoś owo spostrzeżenie zracjonalizować – wszak istniały setki powodów, dla których ktoś mógł żeglować przy zachodnim brzegu Malty po nocy – ale dręczące go od wielu godzin złe przeczucie znów doszło do głosu.

A potem połączył fakty z domysłami.

Chwilę później biegł już jak szalony przed siebie. Musiał odnaleźć Hugona, a potem tajnie zakonne.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wielkim mistrzem Juanem de Homedesem targały silne emocje.

Bruno zauważył to niemalże natychmiast, tuż po tym, jak wpadł do sali narad, a siedzący za stołem zasłanym mapami de Homedes, ubrany w czarny habit z białym krzyżem, odłożył trzymany w ręku dokument i zmarszczył brwi. Ktoś, kto go nie znał, zapewne nigdy by się nie domyślił jego wzburzenia. Twarz starca, pobrużdżona, pociemniała od śródziemnomorskiego słońca, wydawała się nieporuszona, ale uwadze Brunona nie uszło to, że gładzi trójkątną brodę ostro, niemalże drapieźnie i bez przerwy oblizuje wargi.

Rycerz stał przez moment i łapał oddech po szaleńczym biegu po schodach fortu. Wtedy dostrzegł coś jeszcze – mistrz, choć siedział wyprostowany, zwrócony wprost ku niemu, odchyłał się jednocześnie od stojącego obok kawalera Nicolasa de Villegagnona, nie na tyle, by było to wyraźnie zauważalne, ale wystarczająco, by bystry obserwator domyślił się z trudem tłumionej urazy. Potem zauważył na policzku de Villegagnona delikatną szramę, niemalże na pewno pozostawioną przez wrogie ostrze.

Umknął na moment wzrokiem w stronę okna, za którym rozciągał się lazur morza. Już się domyślał.

– No – odezwał się szorstko któryś z dostojników zakonu, otaczających stół. Pozostali patrzyli na Brunona z lekką przyganą. – Mówże, chłopcze. Cóż takiego sprawiło, że przerywasz nam ważną naradę?

– Wybaczcie, szlachetni bracia – odezwał się Bruno, wciąż zasapany, w porę przypominając sobie protokół zakonny. – Jestem brat Bruno

Calazzo z languy włoskiej. – Zawahał się lekko, wypowiadając nazwisko. – I przybyłem, by...

– Wiemy, kim jesteś – rzekł sam de Homedes i zmrzył jedyne oko, jakby coś sobie przypominał. – Należałeś do oddziału Amalryka de Filesti. Znalazłeś się na liście ofiar, Calazzo. Wraz ze swoim giermkim.

Serce Brunona przeszył ból, stłumiony nie bez wysiłku.

– Z boskim wstawiennictwem uniknąłem śmierci, mistrzu – odpowiedział. – Zawleczono mnie na galerę i przykuto do ławki.

De Homedes ani drgnął, ale Bruno kątem oka zauważył, że jeden z otaczających go rycerzy wyprostował się, a inny nabrał tchu. W istocie, trudno było o dolę straszliwszą od losu niewolnika na tureckiej galerze. Młodzieniec nabrał tchu.

– Przypadek chciał, iż była to galera samego Turguta Reisa – dodał powoli.

Tym razem de Homedes przechylił lekko głowę, jakby nie dowierzał temu, co przed chwilą usłyszał. Kawaler de Villegagnon oparł się obiema dłońmi o blat i pochylił ku przybyszowi.

– Robi się ciekawie – prychnął z kpiarskim uśmiechem. – Opowiadajcie, bracie Brunonie.

De Homedes zmiażdżył go spojrzeniem, jakby chciał napomnieć Francuza, że to on powinien prowadzić rozmowę, ale Bruno wykorzystał chwilę i podjął:

– Przesłuchiowano mnie – ciągnął, wpatrzony w wielkiego mistrza. – Jeden z przybocznych Turguta mówił po włosku. Chcieli wiedzieć wszystko o naszej flocie, nastrojach w zakonie, stanie fortyfikacji. Niczego im nie powiedziałem.

Przez całą drogę z Mdiny zastanawiał się, jakimi słowami przekaze meldunek wielkiemu mistrzowi. Nie mógł przecież przyznać, że rozmawiał z samym Turgutem, i to głównie o jego nieuregulowanych porachunkach z Gilbertem Callazem, a może Scozzim. Co więcej, nie znając innego życia niż zakonne, żywił głęboką niechęć do kłamstwa. Uznał więc, że fragmenty, które pragnął pominąć, zastąpi półprawdami i ogólnikami i postara się jak najszybciej przejść do najważniejszej sprawy.

Wielki mistrz, nie odrywając od niego spojrzenia jedyne go oka, ujął stojący przed nim puchar i zwilżył usta.

– Niczego – powtórzył jeden z dostojników tonem lekko zabarwionym drwiną.

Bruno przeniósł na niego wzrok. Człowiekiem, który się odezwał, był Francuz o pociągłej twarzy i długich, niemalże kobiecych rzęsach. Demonstracyjnie założył ramiona na pierś i przechylił lekko głowę, jakby czekał na reakcję młodego rycerza.

– Tak, panie – potwierdził Bruno, gorączkowo przetrząsając pamięć w poszukiwaniu nazwiska Francuza.

– Nie słyszałem jeszcze o kimś, kto nie powiedziałby tureckim oprawcom wszystkiego, co ci chcą usłyszeć – rzekł dostojnik i powiódł wzrokiem po otoczeniu, jakby szukał poparcia dla swoich słów.

– Ja również nie, panie – odparł Bruno. – Bogu więc dziękuję, że Turgut nie miał przy sobie oprawcy. Jeśli zaś go miał, zapewne uznał, że pozna mnie z nim przy innej, dogodniejszej okazji, bo jego galera natychmiast ruszyła na zachodnie wybrzeże.

Francuz chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ubiegł go Nicolas de Villegagnon.

– Turgut ma szpiegów w każdej dziurze Wielkiego Portu – oznajmił i uśmiechnął się lekko, gdy wielki mistrz spojrzał na niego z oburzeniem. – A do tego w każdej wiosce na wybrzeżu. Dajcie chłopakowi spokój.

Przeniósł spojrzenie na Brunona.

– Mówże, młodzieńcze. Bo założę się, że nie sprawdzasz naszej cierpliwości nadaremnie.

Młody rycerz uklonił się lekko i podjął, tym razem patrząc na de Villegagnona:

– W istocie, panie, korsarz, który mnie przesłuchiwał, nie przykładał się specjalnie do roboty, jakby samo przesłuchanie było dlań formalnością. Jakby... – zastanowił się nad doborem słów – jakby właściwie nie potrzebował niczego się ode mnie dowiedzieć.

Półprawda, mocno granicząca z kłamstwem. Bruno z jakiegoś powodu poczuł, że na policzki wypływa mu rumieniec.

– A potem pycha nakazała mu powiedzieć, że wróci do naszej rozmowy, bo i tak wnet będą gościć na wyspie – dodał pospiesznie.

Mocniejsza półprawda. Spokojniejsza.

– Nie zastanawiałem się specjalnie nad tymi słowami, bo przykuto mnie do wiosła i miałem inne zmartwienia, ale przypomniałem je sobie w nocy. Galera Turguta niespodziewanie dla załogi zaczęła tonąć na wysokości Mdiny. – Bruno zacisnął powieki, by zdusić kolejną półprawdę, i przeniósł wzrok na wielkiego mistrza. – Przypuszczalnie weszła na rafę. W każdym razie na pokładzie wybuchło zamieszanie, które wykorzystałem, by uciec. Uczepiony złamanego masztu wraz z pewnym francuskim rycerzem, płynąłem w stronę lądu, gdy...

Teraz, pomyślał. Najważniejszy moment.

– Gdy ujrzałem w mroku inną jednostkę, mniejszą – wykrztusił i przełknął ślinę. – Wyglądała, jakby szła prosto na okręt Turguta, ale widząc zamieszanie na pokładzie, zawróciła w stronę lądu.

Zapadła cisza. Dwóch dostojników spojrzęło po sobie. Francuz wyduł wargi, a de Homedes upił kolejny łyk wina.

– Jesteś w stanie coś więcej powiedzieć o tym statku? – spytał Nicolas de Villegagnon ze zmarszczonymi brwiami.

– Nie, panie. Niewiele. Było ciemno, a ja walczyłem o życie.... – Bruno przygryzł wargę. – Zwykła łódka, choć pod żaglem. Zawracała w stronę lądu, jak już mówiłem. Tego jestem pewien. Po dotarciu do Mdiny miałem trochę czasu na przemyślenia i nimi przychodzę się podzielić. Co jeśli Turgut rzeczywiście ma rozeznanie na wyspie? – rzekł w stronę wielkiego mistrza, który coraz szybciej gładził dłonią brodę. – Ba, zdrajców, którzy otworzą przed nim bramy? Co jeśli atak na południe miał tylko odciągnąć naszą uwagę, bo tak naprawdę zamierzał przybić do zachodnich brzegów i na czele swych sprzymierzeńców wedrzeć się do Mdiny? Tych sprzymierzeńców, którzy zmierzali mu na spotkanie, gdy wjechał na rafę?

Umilkł, nagle zasapany. Wbił wzrok w dzban z winem stojącym wśród map i dokumentów, ale nikt z poruszonych rewelacjami zakonników nie zaproponował mu nic do picia. De Villegagnon wyprostował się nagle i wbił wzrok w ciemny kąt, bez wątpienia zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszał, a de Homedes zaciskał pięści, jakby żałował, że usłyszał cokolwiek.

W istocie, udany atak na Mdinę oznaczałby wielki cios, nie tyle dla zakonu, ile dla całej Malty. Tam bowiem, gdy zakon obejmował władzę nad wyspą, zamieszkiwała stara arystokracja, zacne i bogate rody. Miasto miało porządne umocnienia i mogło się długo bronić, ale gdyby ktoś wprowadził wroga cichcem, za plecami obrońców...

Zakonnicy szeptali między sobą, poruszeni rewelacjami Brunona. Nagle rozległ się mocny głos Francuza.

– Tyś Bruno Calazzo, bracie? – spytał. – Tak, znam twe miano. I wiem, że różnie o tobie w zakonie mówią. Bardzo różnie. – Zawiesił przez moment wzrok na młodym rycerzu. – Plotek powtarzać jednakże nie będę, bo to niegodne rycerza i mężczyzny. Skupię się więc na faktach. – Uniósł obie ręce tak, że rękawy tuniki zsunęły się z nadgarstka, odsłaniając głębokie, nieprzyjemnie wyglądające blizny. – Tak się składa, że ja również byłem galernikiem w tureckiej niewoli. – Jego głos zmroczniał. – I to nie dzień czy dwa, ale kilka długich miesięcy. Dobrze pamiętam ciężar tych szatańskich kajdan i stąd chcę wiedzieć, jak się ich pozbył, Calazzo.

Jego wzrok palił niczym rozżarzony pogrzebacz.

– Łańcuchy przeciął mój towarzysz, gdy wybuchło zamieszanie na pokładzie – odparł Bruno, wzruszając ramionami. – A obejmy zdjęli mi Maltańczycy, zanim ruszyłem do Mdiny.

– Towarzysz? – syknął Francuz. – A jak on się ich pozbył?

– Nie wiem – bąknął Bruno. – Nie patrzyłem.

– Aha. – Francuski rycerz spoglądał na niego z pogardą. – A przywiódłeś go może, by opowiedział nam o wszystkim? By potwierdził twoje słowa?

– Przyjechaliśmy do Birgu wspólnie – bąknął Bruno. – Prosiłem, by zaczekał...

Jeśli Hugo nie posłuchał, ale poszedł sobie w diabły... – pomyślał zdjęty nagłym lękiem. Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć na swą obronę, ale znów w sukurs przyszedł mu de Villegagnon.

– O co ci właściwie chodzi, Bellamy? – spytał ostro. – Coś się tak młodego uczeplił?

– Sam nam przed chwilą powiedziałeś, że nasze wsie i porty roją się od tureckich szpiegów – parsknął Bellamy. – A jeśli on jest jednym z nich? – Drżący palec rycerza wycelował w pierś Brunona. – Co jeśli Turcy jedynie

udali porwanie, by go wypuścić i kazać mu siać ferment? Opowiadać o szykowanych zdradach! O szpiegach na każdym kroku? Znacie przecież ludzką naturę! Wystarczy jedna podła plotka, by dziesięciu tysiącom zbrojnych odebrać ducha do walki!

– Wystarczy też jeden durny pomysł, by zacny rycerz wyszedł w moich oczach na idiotę! – odciął się de Villegagnon. – Chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz!

Ktoś parsknął śmiechem, ale w porę opanował wesołość.

– Nie uwierzyłbym, gdyby nie to, że tego chłystka przezywają wiedźmim synem – oznajmił Bellamy. – I to nie bez powodu. Ponoć dobrych chrześcijan w jego towarzystwie trapi pech, a...

– Dość tych bredni! – wrzasnął niespodziewanie Juan de Homedes. Zerwał się na równe nogi i trzepnął dłońmi w blat ławy.

Bruno, który podobny wybuch widział pierwszy raz w życiu, odruchowo cofnął się o krok.

– Dość! – wycharczał wielki mistrz. – Nie będę tolerował takiego handryczenia w mojej przytomności! Chcecie sobie pluć w gęby, proszę bardzo, ale won mi z tym na dziedziniec! Albo między przekupy na targowisku, gdzie nie wzbudzicie większej sensacji! Rycerze jesteście czy praczki, gotowe tłuc się kijankami po gębach? – Sapnął ciężko. – Wasza konduita nie przystoi kawalerom Świętego Jana – wychrypiął. – Oddałem zakonowi większość życia oraz prawe oko podczas oblężenia Rodos. – Wymownie postukał się palcem w przepaskę na oku. – Nie pozwolę, by obyczajnie dalej upadały. Nie pozwolę!

Rycerz Bellamy, zaczerwieniony na twarzy, pochylił głowę i coś wymamrotał pod nosem. W jego ślady poszło dwóch innych braci, ale Nicolas de Villegagnon wyprostował się tylko.

– Trudno się nie zgodzić, panie, że paplanina po próżnicy niewiele nam daje – rzekł, wpatrując się w oddychającego ciężko sędziwego Hiszpana. Bruno mógł się mylić, ale miał wrażenie, że w jego głosie doszukał się zawołowanej, starannie skrywanej ironii. – Zezwólcie więc, bym udał się z bratem Brunonem do Mdiny, choćby i dziś. Przeprowadzimy małe śledztwo. Może rybacy na brzegu widzieli ową łódź?

– Zezwalam – odpowiedział wielki mistrz z ulgą, której nie próbował nawet skrywać. Z szelestem szat opadł na swe krzesło i złapał pucharek

z winem, który opróżnił jednym haustem.

– Zezwólcie więc, bym i ja dołączył – odezwał się nowy głos.

Bruno uniósł głowę i ujrzał niemłodego już rycerza, który od chwili jego wejścia stał nieruchomo po prawicy wielkiego mistrza i niewzruszenie przysłuchiwał się wymianie zdań. Czerń jego włosów powoli zagarniała nieubлагana siwizna, a wiek rzeźbił coraz głębsze zmarszczki wokół oczu, te jednak pozostały bystre, przenikliwe. Przez usta rycerza przemknął lekki uśmiech, właściwy ludziom, którzy niejedno w życiu widzieli i przez to zdołali sobie do większości rzeczy wyrobić należyty dystans.

Juan de Homedes wbił w niego wzrok.

– Jedźże, kawalerze Alejandro de Heredia. Niech wśród tych kogutów znajdzie się choć jeden, który zanim piąc zacznie, zastanowi się, czy warto. Ruszajcie z Bogiem, bracia! – Zamachał dłońmi. – Poważna praca mnie tu czeka!

Bruno uklonił się i wyszedł, a za nim obaj rycerze.

Choć dzień był upalny, gorące powietrze co rusz studziły chłodne powiewy wiatru znad morza, przenikające nad wysokimi murami fortu Świętego Anioła. Bruno miał jednak wrażenie, że nawet potężny północno-wschodni wiatr *gregale* nie rozpedziłby zamętu w jego głowie. Nie wiedział, jakiej reakcji powinien się spodziewać, przybywając do siedziby zakonu z istotnym, jak sądził, ostrzeżeniem, ale na pewno nie oczekiwał, że właściwie zostanie ono częściowo zignorowane, a on sam zelżony.

Wiedźmi syn, myślał, idąc ku bramom. Zda się, że zakonowi brakuje poważniejszych wyzwań, skoro bracia tak bardzo przejmują się plotkami.

Dopóki był przy nim Erhan, dopóty trwali we dwóch na jego łonie, wpasowani w procedury, rytuały i wydarzenia. Teraz, gdy Erhana zabrakło, Bruno poczuł, jak traci stabilność. Miał wrażenie, że obca, nieznaną mu fala porywa go gdzieś daleko.

– Wyjeżdżamy po południu – zawołał za nim de Villegagnon. – Doprowadź się do porządku, chłopcze! I odpocznij!

Bruno chciał zapytać, czy nie powinni wyruszyć natychmiast i spróbować dopaść ewentualnych spiskowców, zanim ci zdołają się wynieść z wyspy, ale przeszkodziło mu w tym szerokie ziewnięcie

i świadomość, że właściwie jest mu to obojętne. Pokiwał więc tylko głową i najpierw udał się do łaźni. Chwila spędzona w gorącej wodzie niezbyt mu pomogła, podobnie jak założenie świeżych szat i wizyta w szpitalu Sacra Infermeria, gdzie oczyszczono mu skaleczenia i otarcia na nadgarstkach, a na poważniejsze nałożono opatrunki. Pewną ulgę przyniosło natomiast kilka godzin snu.

Snu? Po wydarzeniach ostatniej doby Bruno miał wrażenie, że z chwilą zamknięcia powiek zapadł się w czarną, bezdenną otchłań, wolną od najpłytszych nawet snów. Obudził się, gdy przez sen przedarł się łomot dzwonów z kaplicy Świętej Anny, ale minęło sporo czasu, nim zdołał podnieść się z pryczy. Głowa tętniła mu wściekłym bólem, opatrzone skaleczenia piekły, a w sercu buchała wściekłość, nie wiadomo na kogo czy na co.

Bruno wziął miecz, odruchowo wygładził szatę zakonną i udał się na poszukiwanie Hugona.

Choć minęło dobrych kilka godzin, Hugo Onfroi de Dahlia-Connos nadal znajdował się mniej więcej tam, gdzie Bruno go pozostawił, co mogło oznaczać, iż dzielny Francuz żywi wielką niechęć do błądzenia po obcych miastach lub – co wydało się Brunonowi bardziej prawdopodobne – znajduje wiele przyjemności w rzeczach drobnych. Zważywszy na to, że właśnie wyrwał się z tureckiej niewoli, drewniana ławka pod rozłożystym, dającym wiele cienia figowcem i gliniany dzban w rękę wystarczały aż nadto.

– Dobrze sobie radzisz jak na kogoś, kto nie ma grosza przy duszy – stwierdził Bruno, siadając obok niego.

– Lubię miasta – oznajmił Hugo Onfroi. – Zwłaszcza takie, które potrafią rozpoznać prawdziwego chwata i docenić jego męstwo.

Uśmiechnął się szeroko i uniósł dzban ku dziewczętom sprzedającym owoce na straganie po drugiej stronie ulicy. W naczyniu zachlupotały żałośnie resztki ożywczego napoju.

– Cholera, kończy się – skwitował niepocieszony Hugo i pociągnął tęgi łyk. – Naprawdę się kończy. Zaraz, gdzie się podział ów zacny człowiek, który tak chętnie obdarował mnie winem w zamian za opowieść o moim ocaleniu?

Wstał z niemałym trudem, zachwiał się lekko i usiadł ponownie, aż ławka skrzypnęła.

– Poszedł sobie, niewdzięcznik – oznajmił, po czym wyciągnął chusteczkę i wytarł spoconą, poczerwieniałą twarz.

– Ciekaw jestem owej opowieści, którą zapłaciłeś za wino – rzekł sucho Bruno. – A zwłaszcza kilku mniej jasnych szczegółów.

Zmętniałe od trunku i upału oczy Francuza rozbłysły na moment chytrze. Wymownie spojrzął na pałac biskupa Cubellesa, którego dach mienił się w słońcu wśród pióropuszy palm, i skrzywił się wesoło.

– Te szczegóły – odparł po chwili – łatwo zastąpić opisami prawdziwego męstwa. Bóg mi świadkiem, że czasami równie trudnego do wyjaśnienia jak te tam... No, to, o czym mówisz.

Bruno uśmiechnął się pod nosem. Z niezrozumiałych dla niego powodów towarzystwo Hugona działało na niego odprężająco.

– Uważasz, że męstwo jest niepojęte? – spytał.

– Czasami! – Hugo pokiwał głową, splótł dłonie i oparł je na wydatnym brzuchu. – Niedorzeczne. Nieuzasadnione. Sprzeczne z zasadami logiki. No, durne. Bywa... – Urwał na moment, po czym beknął przeciągle. Przejeżdżający obok woźnica spojrzął na niego spod cienia kapelusza, nie wiedzieć, z podziwem czy zgrozą. – Bywa pożyteczne, czego dałem dowód na galerze, ale męczące, czego daję dowód teraz. Zaiste, gdyby nie to, że gwałtownie muszę coś zjeść, przesiedziałbym tu jeszcze tydzień. Albo dwa. Ty, Bruno! – zaniepokoił się nagle. – Na kielich Świętego Marcellego, a może ta ławka do kogoś należy?

Joannita bez słowa wskazał mu sąsiednią, na której stłoczyły się cztery siwiejące staruszki w czarnych szatach, pozornie pogrążone w rozmowie i obojętne na cały świat, a mimo to nieszczędzące podpitemu rycerzowi ukradkowych, nieprzychylnych spojrzeń.

– Chyba naraziłem się tym czcigodnym damom – oznajmił Hugo. – Cholera, cały dobry humor mi odszedł.

– A więc ci go poprawię – rzekł Bruno, wstając. – Albo zepsuje, kto cię tam wie. Jadę z kawalerem de Villegagnonem i pewnym hiszpańskim rycerzem z powrotem do Mdiny, gdzie sprawdzimy mój domysł. Opowiadałem ci o nim po drodze, pamiętasz?

- Pamiętam - czknał Hugo. - Uważasz, że ktoś tylko się pali, by otworzyć Turgutowi bramy Mdiny.

- Zgadza się. Masz bystre oko, Hugonie. Przydasz się.

- Bystre oko? - Francuz podniósł się chwiejnie i teraz kłaniał się w pas starszkom, które zawzięcie go ignorowały. - Drwisz sobie ze mnie? Spójrz, jakiego nietaktu się dopuściłem. Boże przenajświętszy, jak ja mogłem?

- Jedziesz? Nie będziesz musiał być mężny!

- Jadę, jadę! - Hugo pospieszył za oddalającym się Brunonem, dopijając w marszu wino. - Tylem wstydu się nażył, że już nigdy... Gdzie my jesteśmy?

- W Birgu!

- Właśnie. Nigdy do Borgu nie wrócę! Nigdy!

Wyjechali z miasta późnym popołudniem, gdy cienie stawały się coraz dłuższe, a powietrzem, choć nadal gorącym, dawało się łatwiej oddychać. Prowadził kawaler de Villegagnon, za którym jechał drobny giermek, przygarbiony nad końskim karkiem, ale nieprzestający bystro lustrować okolicy. Dalej podążał Bruno, za nim Hugo, osobliwie cichy i markotny, a na końcu Alejandro de Heredia w asyście dwóch milczących, śniadoliczych zbrojnych. Trójka zakonników założyła czarne płaszcze z białymi, ośmiokończastymi krzyżami zakonu, a pozostali, włączając w to Hugona, mieli na sobie szaty braci służebnych, co wystarczało, by tłum na ulicach rozstępował się przed nimi, a wozy zjeżdżały na bok.

Szybko opuścili Birgu i wnet wjechali w obręb zabudowań drugiego z miasteczek Wielkiego Portu - Bormli. Wzrok jadącego przodem Nicolasa de Villegagnona uciekał jednak ku północy, gdzie wybiegał w morze cypel z trzecim miasteczkiem, zwanym Isolą. Nad czerwonymi dachami domów obracało się tam cierpliwie kilka wiatraków, a między nimi migotały plamki żywej zieleni.

Kawaler de Villegagnon, świadomie bądź nie, zwolnił nieco, aż zrównał się z koniem Brunona.

- Przykro mi z powodu tego, czego byłeś dziś świadkiem - odezwał się całkiem nieoczekiwanie.

Bruno uniósł brew, na co de Villegagnon spojrział na niego bystro. Miał szeroką, mało urodziwą twarz i spore zakola, a także szeroko rozstawione, dziwnie mętne oczy. Gdyby Bruno nie znał jego reputacji, nie miałby pojęcia, za kogo go uznać. Na pierwszy rzut oka Francuzowi brakowało bowiem urody dworzanina, ogłady dyplomaty, przenikliwości odkrywcy czy srogości wojownika. Bruno wiedział jednakże, że kawaler jest wszystkimi tymi osobami. Co więcej, z plotek zrekonstruował już przebieg wczorajszego starcia z Turkami, a to obudziło w nim jeszcze większy szacunek do Francuza.

– No, nie rób głupiej miny – zachnął się kawaler de Villegagnon. – Cudem wyrwałeś się z osmańskiej galery i w te pędy przybyłeś do wielkiego mistrza, by ostrzec go przed spiskiem, a ten ledwie cię raczył wysłuchać. Nie tego się spodziewałeś, wiem.

– Nie wiedziałem, czego się spodziewać – rzekł wymijająco Bruno. – Być może niepotrzebnie biję na alarm.

De Villegagnon zaśmiał się sucho, odwracając twarz ku słońcu.

– Niepotrzebnie? Uczepiliśmy się tej przekłętej skały i zwracamy wzrok ku Bogu, zgoła niepomni, że wokół krążą rekiny, gotowe poobgryzać nam stopy. Każdy sygnał powinien być sprawdzany, bracie Brunonie. Każdy. By ludzie wiedzieli, że czuwamy. – Wskazał dłonią dwóch wyrostków, którzy w panice usiłowali zjechać na bok dwukółką z pomarańczami. – I by Osmanowie wiedzieli, że czuwamy. – Machnął w stronę horyzontu. – Poza tym – podjął po chwili – stary piernik de Homedes powinien wiedzieć, że opryskliwość i brak zainteresowania tłumią żar i zapał, a bez tych dwóch rzeczy długo jako zakon nie pociągniemy.

– Czyli – odezwał się Bruno – postanowiłeś sprawdzić poszlaki w sprawie spisku po to, by nie zagasł mój żar? Z litości, innymi słowy?

Nicolas de Villegagnon nie odpowiadał przez moment. Odczekał, aż plamy zieleni między zabudowaniami staną się bardziej widoczne, a wtedy wskazał je i rzekł:

– Widzisz te ogrody? Pomarańcze, figi, cytryny, grona, sadzawki, fontanny, rzeźby nawet jakieś... Turcy krążą wokół nas jak watahy hien, a jego świętobliwość wielki mistrz Juan de Homedes y Coscón zajmuje się pielęgnowaniem kwiatów i rozdawaniem jałmużny. – Zacisnął usta i splunął. – Władamy tą wyspą od siedemnastu lat, a nasz szpital to

zaledwie cień tego, którym mogliśmy się poszczycić na Rodos, fort Świętego Anioła zaś wzbogaciliśmy raptem o jeden bastion, nadszaniec i fosę. Mistrz de Homedes, rozkochany w swoim ogrodzie, ignoruje wszelkie zagrożenia i wykazuje w tym konsekwencję tak wielką, że gotów był zignorować nawet tych korsarzy, którzy zaczęli mu wyspę palić! Wyprowadziłem kawalerię z fortu wbrew jego woli, by ruszyć z odsieczą bratu de Filesti!

Odwrócił się i spojrzął na Alejandra, który z dziwnym uśmiechem przysłuchiwał się wywodowi.

– Starość powinna kojarzyć się z doświadczeniem i mądrością – rzekł gorzko. – Tymczasem jedynym, co starość przyniosła de Homedesowi, jest głębokie przeświadczenie o własnej racji. Bez względu na to, co mówią fakty. Gdyby Turgut wdarł się do pałacu, złapał go za brodę i cisnął na kolana, nasz mistrz udawałby zapewne, że się potknął. A wiesz, co zazwyczaj rodzi fanatyzm?

Zawiść, pomyślał Bruno. Nienawiść. Żądę zemsty.

– Wiem – rzekł krótko.

– Ja również wiem – odezwał się Alejandro z miękkim hiszpańskim akcentem.

Nicolas de Villegagnon odwrócił głowę i obrzucił niemłodego rycerza długim spojrzeniem. Ten uśmiechnął się lekko.

– Wiem też, dlaczego wygłaszasz tę tyradę tak głośno, kawalerze – ciągnął. – Chcesz, by dotarła do moich uszu, a ja przecież również nie jestem pierwszej młodości, to i pewnie gorzej słyszę.

Bruno miał wrażenie, że na opalone policzki Nicolasa zakradł się rumieniec, ale rycerz przegnał wszelkie emocje pogardliwym parsknięciem.

– Dobrze, że mnie słyszysz, bracie Alejandro – oznajmił. – Chciałbym, by usłyszał mnie każdy. By te słowa niosły się po Malcie od brzegu do brzegu niczym wichur, aż dotrą do wszystkich.

– I co wtedy? – spytał Alejandro de Heredia. – Zbuntować się mamy przeciwko własnemu mistrzowi?

– A bronić go chcesz?

– Juan de Homedes ma swoje wady, ale...

– Wady! – zaśmiał się Nicolas. – Czyżbyś, bracie Alejandro, był jednym z tych starców, którzy stoją murem za mistrzem i utwierdzają go w jego własnych przekonaniach? Którzy tak bardzo tęsknią za powrotem na Rodos, że nie chcą nawet fortyfikacji rozbudowywać? Ba, pozwalają, by Turcy poddanych im wyrzynali?

– Nie, nie jestem – warknął Alejandro.

– Ale jakoś nie widziałem cię wczoraj podczas szarży, którą poprowadziłem.

– Miałem rozkazy.

– A ja miałem zakazy! I to wyraźne! – wrzasnął Nicolas de Villegagnon. – I nie chcę wiedzieć, ilu ludzi jeszcze by zginęło, gdybym nie zlekceważył gadaniny de Homedesa i nie wyjechał w pole! Rozkazy miałeś, tak? Dla mnie brzmi to jak wymówka, bo...

– Dość.

W tym jednym słowie hiszpański rycerz zaklął taką moc, że Bruno aż podskoczył, a de Villegagnon zamilkł i nie odzywał się przez chwilę.

– Cenię twe męstwo – podjął cicho Hiszpan. – Nie będę też przeczył twym słowom, choć za dużo w nich młodzieńczej buńczuczności, za mało zaś wyważenia i cierpliwości. Nie tak winien się wysławiać człek dojrzały i obyty, nie tak. Bo mało brakuje, by ci ktoś gówniarstwo zwykle zarzucił, jak ty mnie zarzucasz tchórzostwo.

– Ja nie... – zaczął de Villegagnon, ale Alejandro znów mu przerwał.

– Nie broń się, bo wszyscy cię słyszeli. Takeś się darł, że twoje słowa iście jak ten wicher pognały. – Poprawił się w siodło i dodał: – Walczyłem w obronie Rodos, skąd ledwie z życiem uszedłem. Mam za sobą siedem *corso*, rok na galerach i ran tyle, bym wszystkich mógł was obdzielić. Zarzuc mi tchórzostwo raz jeszcze, de Villegagnon, a kijem cię złoję.

Zapadła cisza, przerywana jedynie stukotem kopyt na wyschniętej, pylistej drodze. Gdzieś na bezchmurnym niebie zataczał kręgi jastrząb. Bruno znieruchomiał w oczekiwaniu na reakcję Nicolasa, ale dojrzał jedynie błysk rozbawienia w jego oczach.

Niespodziewanie tym, który odezwał się jako pierwszy, okazał się giermek de Villegagnona.

– W sumie trochę racji w tym jest. Jak na dyplomatę za dużo, panie, gadacie. Wyzwiska, oskarżenia, łubu-dubu. Karczemna gadka, zda mi się,

nie dla kawalerów złotoustych. Ale co mi tam, sam dyplomata nigdy nie byłem. Na razie przynajmniej. Dobra, już nic nie mówię.

Nicolas de Villegagnon, zamiast zbesztać swego giermka, przeniósł wzrok na Brunona, wstrząśniętego nieoczekiwaną i całkowicie niestosowną tyradą, po czym uniósł brew i wzruszył ramionami.

„Nie wiem, skąd on się urwał” – mówiło jego spojrzenie.

Lekko mrugnął przy tym do Brunona. Wydawał się całkowicie nieporuszony słowami Hiszpana, ale młody Italczyk zapamiętał je doskonale.

Zwłaszcza jedno zdanie.

– Nadymacie się, szlachetni panowie, jak te indory – burknął Hugo. – Który to silniejszy, mądrzejszy, honorniejszy, bardziej pochlastany. Ciekawe, który pierwszy rzuciłby się do ucieczki, gdyby moja mateczka postanowiła was rozumu nauczyć?

Zatrzymali się w niewielkiej przydrożnej tawernie, skąd widać było już mury Mdiny i wieże katedry Świętego Pawła. Nad rdzawymi równinami, pokrytymi winnicami i oliwkowymi gajami, niesło się wybrzmiewające echo odległych dzwonów. Po bielonych ścianach tawerny rozlewał się czerwonawy blask zachodzącego słońca. Goście siedzący pod rybackim żaglem, za dnia chroniącym przed upałem, pozdrowili rycerzy, unosząc kubki z winem.

– Zapraszam na wieczerę – oznajmił Nicolas de Villegagnon i uśmiechnął się szeroko do towarzyszy, jakby podczas drogi nie padły żadne gorzkie słowa. – Później przedstawię wam plan działania.

Zeskoczył z konia i rzucił wodze stajennemu. Hugo Onfroi, któremu słowo „wieczerza” najwyraźniej przywróciło część sił witalnych, poszedł w jego ślady, a po nim giermek kawalera. Alejandro, w przeciwieństwie do pozostałych, postanowił osobiście rozkulać rumaka. Zauważył to Bruno, który bez wahania udał się za nim.

– Pozwólcie na słowo, bracie – szepnął, stanąwszy w cieniu stajni.

Alejandro de Heredia odpiął siodło i oparł je na leżącej nieopodal belce. Spojrzał na jednego ze swoich przybocznych, który zbliżył się odruchowo, jakby spodziewał się kłopotów ze strony młodego rycerza, i odprawił go skinieniem głowy. Brat służebny obrzucił Brunona pustym, martwym

niemalże spojrzeniem i odszedł, a Alejandro ujął zgrzebło i odwrócił się ku młodzieńcowi.

- Jeśli wzburzyła cię moja wymiana zdań z kawalerem de Villegagnonem... - zaczął z serdecznym uśmiechem, ale Bruno pokręcił głową.

- Walczyłeś podczas oblężenia Rodos - rzekł cicho, żarliwie, wpatrując się w Hiszpana. - Znałeś więc być może człowieka, którego zwano Gilberto Scozzi? Jedni mówią, że został stracony kilka miesięcy przed oblężeniem, inni twierdzą, że w nim walczył...

Alejandro przez moment wpatrywał się w Brunona, aż jego uśmiech pocięła.

- Ach, już wszystko rozumiem. Już wiem, skąd znam twe oblicze, młodzieńcze.

Milczał przez moment.

- Tak, znałem twego ojca. I pojmuję, dlaczego ów Bellamy w przytomności wielkiego mistrza nazwał cię wiedzim synem.

- Czyli... - zaczął głucho Bruno, ale Alejandro przerwał mu machnięciem dłonią.

- Od tamtych wypadków minęło wiele lat. Po upadku Rodos z woli wielkiego mistrza powróciłem do Hiszpanii, gdzie zarządzałem jedną z komandorii. Wiele szczegółów zatarł więc czas i ułomna ludzka pamięć - jego uśmiech ostygł nieco - ale najważniejsze fakty zapamiętałem. Nie, Gilberto Scozzi nie walczył w obronie Rodos. Nie żył już wówczas od paru miesięcy, bo został skazany wyrokiem sądu za konszachty z nieczystym i spłonął na stosie. Wraz z nim zginęła twoja matka, która, jeśli wierzyć plotkom, ponoć do zła go przywiodła. Saracenką rzekomo była. Ty zaś zrzędzeniem boskim znalazłeś się małym dzieckiem wśród nas, gdy przyszło nam Rodos opuszczać, i z tego powinieś się cieszyć, a nie w przeszłości grzebać.

Znów milczał przez moment, aż zniecierpliwiony koń trącił go łbem.

- Nie wiem, dlaczego cię zabrano - podjął Hiszpan, nakrywając końskie chrapy dłonią. - Zapewne uznano, że łaska boska może uzdrowić dziecięcą duszę, skażoną diabolicznymi czynami rodziców. Mistrz wraz z przeorami dołożyli starań, by historia o nich została zapomniana. Wielu z tych, którzy uszli z Rodos, już nie żyje, inni rozeszli się po komandoriach

europiejskich, jeszcze inni po prostu zapomnieli, a mimo to opowieść w jakiejś formie przetrwała. Coś ją karmi, Bruno. Nie wiem, czy to aby nie ty sam.

Młody rycerz odkrył w sobie narastającą irytację. Miał wrażenie, że wyczuwa w tych słowach nakaz, by pochylić głowę, by się ukorzyć i żałować za nie swoje grzechy, a na to jego rogata dusza zgodzić się nie mogła.

– Ja? – wychrypiał.

– Tak, ty – odparł z chłodnym uśmiechem Alejandro. – Ty sam. Choćby tym, jak się miotasz. Jak się ciskasz. Z jaką butą stanąłeś przed mistrzem. Jak patrzysz teraz na mnie. Przyznaj się, Bruno, ile pojedynków stoczyłeś z tymi, którzy próbowali ci zaleźć za skórę? Którzy wyzywali cię od wiedzmiach synów?

– Kilka – przyznał Bruno.

Tłumioną wściekłość rozmiękczył teraz wstyd i rycerz wbił wzrok w zasłaną słomą polepę.

– Mniej bądź bardziej świadomie, ale podtrzymujesz tę opowieść, Bruno – odezwał się hiszpański rycerz. – A żyć ona będzie długo, o ile sam tego nie zmienisz.

– Jak? – wychrypiał młodzieniec. – Niby jak tego dokonać, bracie Alejandro?

Hiszpan zastanowił się.

– Dokonaj czegoś, co otoczy cię wielką sławą. I to jak najszybciej. Byłeś wszak na naradzie u mistrza i słyszałeś słowa Bellamy'ego. Zła sława niesie się szybciej od zarazy. Przetoczy się od brzegu do brzegu, że zacytuje naszego wielkiego towarzysza, a potem pomknie dalej.

Odwrócił się i przejechał zgrzeblem po sierści zgrzanego rumaka, a Bruno odkasznął i spytał:

– A czy wiecie, bracie, kto zasądził winy moich rodziców?

Hiszpan westchnął z udawanym znużeniem, ale młodzieniec nie ustawał:

– Miałbym bowiem do nich niejedno pytanie, bracie Alejandro. I wbrew pozorom nie chodzi mi wcale o grzebanie we własnej przeszłości, ale być może w przeszłości zakonu. Mówicie, że moi rodzice układali się ze złem.

Ja zaś sądzę, że mieli również kontakt z Turkami. I to niemały. Słyszeliście może o Krwiopijcy?

Wpatrywał się w szerokie plecy Hiszpana i nie przeoczył tego, że staremu rycerzowi naraz drgnęła dłoń.

– Nie, nie słyszałem. – W jego głosie pojawiła się nowa nuta, natychmiast zdławiona. – Ale lepiej tego nikomu nie powtarzaj. Zwłaszcza tego o Turkach, bo nie będzie już kolejnego pojedynku. Kijami cię zaćwiczą.

Znów zamilkł, jakby się nad czymś zastanawiał. Spojrzał na młodzieńca z lekkim uśmiechem, który tym razem wydał się nieco chłodniejszy.

– Gdy nadarzy się okazja, by dokonać czegoś wielkiego, nie wahaj się ani chwili – dodał i wrócił do czesania konia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Plan Nicolasa de Villegagnona, wyłożony reszcie towarzystwa podczas wieczery, okazał się niezwykle prosty.

Mieli jedynie dwa punkty zaczepienia. Jednym z nich była łódź, którą dostrzegł Bruno podczas ucieczki z galery Turguta, a drugim słowa samego admirała, w zeznaniach młodego rycerza wsunięte w usta jego podwładnego, a sugerujące rychłą interwencję. Wnet okazało się, że istnieje również trzeci podejrzany element – był nim najemny oficer Tancredi di Viano, dowódca obrony miasta. Podejrzenia wobec niego wysnuł Hugo Onfroi, który z ustami pełnymi koziego sera mianował się wielkim znawcą ludzkich charakterów.

– Widziałem, jak patrzy na Brunona! – perorował. – Jakby zeżreć młodego chciał! Nie w smak mu było, że Turgut poszedł na dno, zamiast zejść do miasta, nie w smak!

Zapał francuskiego rycerza nie okazał się jednak szczególnie zaraźliwy, bo Brunonowi wydawało się, że entuzjazm w głosie kawalera de Villegagnona jest cokolwiek sztuczny, a powątpiewanie w oczach Alejandra jak najbardziej szczerze. Mimo to Hiszpan nie powiedział ani słowa krytyki, a de Villegagnon, dopijając wino, rzekł:

– Udam się więc do Mdiny i pogadam z owym di Vianem. Augustin, mój jakże wygadany giermek, powęszy w miejscowych tawernach, a ty, bracie Alejandro, udaj się ze mną. Z twoim talentem do przenikania ludzkich osobowości na pewno się przydasz.

Jeśli Hiszpan wychwycił subtelny prztyczek, nie dał tego po sobie w żaden sposób poznać.

- Brat Bruno wraz z dzielnym rycerzem Hugonem powinni objechać pobliskie wsie – mówił dalej de Villegagnon. – Popytajcie, rozejrzyjcie się. Może dowiedziecie się, czy ktoś nie wynajmował ostatnio łodzi. Może uda wam się nawet takową przyuważyć. No, ruszajcie.

I wyruszyli.

Mimo zapadających ciemności Bruno i Hugo dosiedli koni i udali się traktem na północ, do niewielkiej wioski zwanej Mgarr, skąd niedaleko było do piaszczystej plaży, lubianej przez rybaków.

Kopyta koni stukwały na trakcie. Świerszcze i cykady celebrowały głośnym koncertem rzedniejący blask dnia. W sercu Brunona tymczasem kotłowały się płomienie gorętsze od piekielnych.

Przyuważyć, myślał rycerz z narastającą złością. Po zmroku mam szukać? Wzdłuż skalistego wybrzeża, porytego dziesiątkami jaskiń? Ktoś, kto zna te okolice, galerę zdołałby tu schować, a co dopiero łódź.

Hugo Onfroi jakimś przedziwnym sposobem wyczuwał chyba nastrój Brunona, bo milczał czujnie i na wszelki wypadek zachowywał sporą odległość. Dopiero w połowie drogi do Mgarr zrównał się z nim i odchrząknął znacząco.

- Przyszło mi do głowy, by cię spytać, jakiej łodzi szukamy – bąknął. – I w sumie jak ją mamy znaleźć.

- Nie mam pojęcia – parsknął Bruno. – Pamiętasz naszą ucieczkę? Było ciemno jak w lufie armaty, a ja widziałem łódź raptem przez chwilę. Szła na północ lub północny wschód, i to pod żaglem, ale to wszystko, co wiem.

- Ja niczego nie widziałem – przyznał Francuz. – A to, że nie wiemy zgoła nic, prowadzi do jeszcze jednego wniosku.

- Że de Villegagnon wykorzystał jedynie okazję, by oddalić się od Homedesa? – prychnął Bruno. – A teraz popija wino z di Vianem i nabijają się z dwóch durni, którzy po ciemku szukają łodzi? Cóż, przyszło mi to do głowy.

Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu.

- Na jabłka Świętej Perpetuy, zastanawiam się, czy jednak nie... – zaczął Hugo, ale w tej samej chwili przebudził się wiatr.

Nadciągnął z głębi wyspy i szedł ku nim, unosząc tumany gryzącego pyłu znad pól i gajów. Zaniekokojony Bruno zmrzął oczy. Przez moment

zmagął się ze zdenerwowanym rumakiem, aż zrezygnował i pozwolił mu się ustawić zadem do kurzawy. Kątem oka ujrzał, że Hugo zrobił dokładnie to samo.

– To normalne tu? – zawołał Francuz, przekrzykując świst i szum wichru.

Bruno niejednokrotnie widział miejscowy *gregale* i wiedział, że ten pojawia się podczas chłodniejszych miesięcy, a do tego wieje z północnego wschodu. Zrodzony nad Saharą *sirocco* pojawiał się latem, ale nadciągał od południa, a nie od wschodu. Jak każdy, kto żył w gorącym klimacie, rycerz zwykł postrzegać silniejszy wiatr jako przeciwnika, z którym nie można wygrać. Z niepokojem zerknął za siebie.

– Wracamy? – zawołał Hugo, który zauważył jego wzrok.

Choć przez większość jazdy Bruno bił się ze wściekłymi myślami, miał wrażenie, że udało im się pokonać większość drogi do Mgarr. Wydawało się, że wystarczy konia popędzić, by znaleźć się na miejscu.

Poza tym chyba nie chcę widzieć min tych dwóch mądrali, gdy im powiem, że zawróciliśmy z powodu wiatru, pomyślał.

Wytarł drobinki piasku z kącików oczu i zmusił konia, by stanął bokiem do podmuchów. Zwierzę boczyło się, parskało i targało głową, ale posłuchało. Hugo, ledwie widoczny wśród kłębow piachu, poszedł w jego ślady.

Ruszyli naprzód i już po kilkunastu krokach Bruno pożałował swojej decyzji, a także paskudnego losu, który rzucił go w to miejsce. Wiatr unosił się i opadał w nierównych spazmach, podrywając za każdym podmuchaem kłęby gryzącego pyłu. Bywały chwile, kiedy młody rycerz nie widział uszu swego konia, ale już po chwili widoczność zwiększała się do kilkunastu kroków. Niskie, rozłożyste drzewa oliwkowe tańczyły po obu stronach traktu na podobieństwo koślawych karłów.

Hugo coś krzyknął. Bruno odwrócił głowę, smagnięty przez policzek garścią piachu, i spojrział na towarzysza. Ten wskazywał coś przed nimi.

Młody rycerz zmarszczył brwi. Wśród tumanów pyłu zamajaczyło coś, co wprawdzie wydało mu się światłami zabudowań, ale zanadto było rozedrgane, niespokojne. Popędził konia i już po chwili wiedział, że spogląda na płomień pochodni, trzymany przez zgarbionego człowieka. Obok niego szedł inny, z małą latarenką. Obaj wydawali się nawoływać.

Na widok jeźdźców zatrzymali się, zawahali. Bruno uniósł dłoń i wskazał krzyż na piersi, na co piechurzy pospieszyli ku niemu.

– Chwalić pana! – zawołał pierwszy z nich po maltańsku, głosem ochryplym od pyłu i nawoływania. – Myślelim, że wy złoczyńcy albo Turcy jacyś!

W przeciwieństwie do wielu braci, którzy uważali bratanie się z pospólstwem za rzecz niegodną rycerza, Bruno lubił upartych, zawziętych miejscowych i wyuczył się ich języka, w którym odnalazł wiele podobieństw do włoskiego. Maltańczyk wołał jednakże pospiesznie, a dziki ryk wiatru sprawił, że joannita musiał się nachylić, by cokolwiek zrozumieć.

– Coś się stało? – krzyknął.

– Nasz starszy znikł! Starszy wioski, panie rycerzu! – zawołał Maltańczyk, a jego towarzysz dodał:

– Myśmy z Mgarr! O, tam! – Machnął dłonią za siebie.

– Tam też jedziemy! – wrzasnął Bruno. – Gdzie wam ten starszy znikł?

– Z chaty go wywlekli, panie! Na oczach starej i dzieci!

Wiatr szarpnął go za opończę i odsłonił zdobyczny turecki bułat u boku. Maltańczyk z pochodnią miał w rękę kij nabijany ostrymi kamieniami. Po plecach Brunona spłynął zimny dreszcz.

– Kto go wywlekł?

– Nie wiadomo! – Maltańczyk z pochodnią rozłożył ramiona. – W płaszczach tacy!

Omiótł wzrokiem Hugona. Zdanie: „Tacy jak on” zamarło mu na ustach.

Bruno zwilżył suche, spękane od wiatru wargi. Jeden zimny dreszcz ścigał kolejny. Rozejrzał się po targanym wichrami, upiornym krajobrazie.

„Gdy nadarzy się okazja, by dokonać czegoś wielkiego, nie wahaj się ani chwili” – w jego głowie odezwał się Alejandro, ale wspomnienie tych słów niespodziewanie zbladło, rozproszone nowym, gwałtownym doznaniem.

Niewiele się różniącym od tego, które towarzyszyło mu w chwili, gdy wyjeżdżał z fortu Świętego Anioła pod dowództwem brata Amalryka, co zdarzyło się ledwie wczoraj.

Złapał się na tym, że zaciska dłoń na rękojeści miecza. Rozluźnił ją i pochylił się ku Maltańczykom.

– Pomożemy wam w poszukiwaniach! – wykrzyknął.

– Niech was Bóg wynagrodzi! – W oczach miejscowego błysnęła radość, jakby sam fakt, że ich wysiłki ma wesprzeć rycerz Świętego Jana, oznaczał połowę sukcesu. – Ruszcie tedy, panie, ku zachodowi. Tam nikt z naszych nie poszedł! On zna waszą mowę! Tylko... – Spojrzał na konie obu rycerzy, nie mając pojęcia, jak im przekazać, że dla własnego dobra powinni z nich zejść.

– Tak, wiem – odparł sucho Bruno. – Nierówny teren. Jak zwał się wasz starszy?

– Saliba, panie! Saliba!

– Mógłbyś, z łaski swojej, choć odrobinę przybliżyć mi, co się dzieje? – zawołał Hugo. – Lub, sądząc po twojej minie, w co nas wpakowałeś?

– Ktoś uprowadził starszego ich wsi! – odrzyknął Bruno. – Chcę im pomóc go znaleźć.

Przez twarz Hugona przemknął ledwie dostrzegalny grymas, jakby ten chciał się skrzywić, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Zamiast tego pochylił się ku Brunonowi i wykrzyknął:

– Kto? Turcy się nadal tu szwendają?

– Nie można niczego wykluczyć! – Bruno wzruszył ramionami.

Choć byłoby to bardzo, bardzo dziwne. I zupełnie do Turków niepodobne, pomyślał, a niepokój zaatakował go mocniej, jakby przypieczętowując wniosek.

Ruszyli ścieżką, która odbiegała od wąskiego traktu na zachód. Podmuchy na moment przycichły, co pozwoliło Brunonowi ustalić, że ostrzeżenia miejscowego były jak najbardziej na miejscu – ścieżyna biegła w dół wśród ogromnych okruchów jasnego piaskowca, miejscami całkiem ostro, i byłaby niebezpieczna dla jeźdźca na koniu nawet w biały dzień. Teraz, w nocy i w samym środku niewytlumaczalnej wichury, jazda tędy byłaby samobójstwem.

Bruno zeskoczył więc z konia i gestem nakazał Hugonowi, by ten poszedł w jego ślady, po czym złapał zwierzę za uzdę i ruszył w dół.

– Saliba! – wrzasnął. – Saliba!

Jego głos poniósł się nieoczekiwanym echem. Młody rycerz namacał rękojeść miecza, nabrał tchu i krzyknął ponownie.

– Co oznacza to słowo? – zapytał głośno Francuz.

– To imię zaginionego!

Teraz wołali we dwóch.

– Saliba!

Wiatr zawahał się na chwilę i uderzył ponownie niczym wygłodniały sokół. Iglaste drzewa o poskręcanych pniach i korzeniach przywodzących na myśl żmijowiska zakolysały się kurczowo, spomiędzy skał wyrwały się kłęby roztańczonego pyłu, co rusz unosząc kępy trawy. Księżyc, przez moment idealnie widoczny na niebie, nagle pożółkł, przesłonięty tumanami.

– Saliba! Saliba!

Konie boczyły się i rżały, a więc spętali je i zostawili w niewielkiej niecce, utworzonej przez fragmenty piaskowca. Potem znów ruszyli i szli tak, krzycząc imię zaginionego, zdawałoby się, w nieskończoność. Czas przestał mieć znaczenie, a niepokój w sercu Brunona powoli ustępował miejsca zwątpieniu. Zastanawiał się, czy nie powinien zawrócić na główny trakt, póki jeszcze jest w stanie dojrzeć ścieżkę.

Pograżony w myślach, nie zauważył zakapturzonej postaci, która niespodziewanie wychynęła zza kępy kolczastych krzewów. Stała nieruchomo, a wiatr unosił połę jej płaszcza, jakby szykował się, by porwać ją ze sobą. Bruno zwolnił i zatrzymał się, po nim to samo zrobił Hugo.

– Wszystko przygotowane – odezwała się tajemnicza postać. Mówiła po francusku z osobliwym, trudnym do odgadnięcia akcentem. – Tak jak sobie zażyczyłeś, panie. Pochwyciliśmy tego, który z pewnością wie wszystko.

– Co takiego? – Bruno postąpił o krok. Puścił konia i zacisnął dłoń na mieczu.

– Powiedziałem, że twoja wola została spełniona i możemy przystąpić do przesłuchiwania! – powtórzył nieznajomy. – Ale...

Bruno nadal nie widział wyraźnie jego twarzy, przesłoniętej cieniem kaptura, ale widział już, iż ten nosi czarny płaszcz rycerza zakonnego. Zaskoczony odkryciem, uniósł wzrok i przekonał się, że nieznajomy przeniósł spojrzenie na Hugona. Zrobił kolejny krok, wyciągając miecz z pochwy.

– Mylisz mnie z kimś – warknął. – Ale dobrze się stało, bo coś mi mówi, że szukam człowieka, którego pochwyliłeś, nieszczęśniku.

– Rozumiem, panie. – W głosie nieznanego pojawiła się uniżoność. – Konieczność dochowania obietnicy. Nie zapomnieliśmy o tym.

Ledwie dostrzegalnie skinął głową.

Zazgrzytał jeden z kamieni murku, którym oddzielony był pobliski, dawno już zapomniany taras uprawny, teraz przesłonięty płasającymi tumanami. Bruno odruchowo odwrócił głowę w tym kierunku i dostrzegł cień, ciemniejszy od samej nocy, wybijający się do skoku. Uderzenie serca później cień grzmotnął w bok zaskoczonego Hugona, który z głośnym jękiem runął na ziemię i stoczył się ze ścieżki, miażdżąc krzaki. Napastnik skoczył w ślad za nim. Bruno zaś odwrócił głowę i z zaciśniętymi zębami runął na tego, który stanął mu na drodze. Nie przewidział tylko, że ów człowiek nie czekał beczynnienie i sam błyskawicznie skrócił dystans. Żelazna dłoń zacisnęła się na jego nadgarstku i szarpnęła. Miecz spadł na kamienie z brzękiem stłumionym wyciem wichru. Bruno odruchowo złapał za sztylet, ale nim zdążył go wyciągnąć, obcy rąbnął go w szczękę, ostro i bez pardonu.

Świat zakołysał się, dźwięki oddaliły, stłumione hukiem krwi w żyłach. Bruno potrząsnął głową, lecz wtedy dopadł go ból. Otworzył usta, wciągnął powietrze, a wówczas zakapturzony obcy przyłożył mu w brzuch. I ponownie.

Bruno, nie mogąc złapać tchu, opadł na kolana, choć instynkt wył, by się nie poddawał. Gdzieś na skraju świadomości zarejestrował, że pomocnik jego przeciwnika kopnięciami zgania Hugona w dół zbocza. Kolejne obserwacje przerwało następne uderzenie, tym razem w krocze. Stęknął głucho i zwiesił głowę, z trudem łapiąc powietrze.

– Dość tych protestów – wysyczał nieznanomy tuż nad jego uchem. – Masz swój miecz, by było ci raźniej. No, proszę. I nie miej do mnie żalu. Dobrze wiem, że nie ma nic gorszego od urażonej dumy rycerskiej.

Wsunął mu upuszczony miecz do pochwy.

– A teraz pójdziemy naprzód. Spokojnie. Nie martw się, to nie będzie długi spacer.

Popchnął półprzytomnego Brunona tak, by ten wstał, po czym poprowadził go jeszcze kilkaset kroków, nie szczędząc mu kopniaków i kuksańców, zwłaszcza wtedy, gdy dłoń rycerza zbłądziła w okolice rękojeści miecza. Niebawem, pomimo mroku i rozszałanych kłębow pyłu,

joannita zauważył wyłaniające się z mroku skały, grube i ciosane, niektóre ułożone w osobliwe konstrukcje, inne rozsypane. Wśród nich kilka jaśniejszych tworzyło coś na kształt bramy.

– Ta’ Hagraat – mruknął nieznajomy. – Miejsce dobrane idealnie pod gustą wiedźmiego syna, przyznaję.

Bruno słyszał o Ta’ Hagraat. Mianem tym określano pozostałości świątyni, pochodzącej nawet sprzed czasów rzymskich, które wciąż opierały się czasowi i żywiołom. Było to zdecydowanie miejsce pogańskie, ale rycerz nie spotkał się dotąd z plotkami, by było ono okryte złą sławą. Być może dlatego żaden z mistrzów nie zainteresował się jeszcze jego rozbiórką.

W tej jednakże chwili było to dla Brunona najmniej istotne. Nieznajomy pchnął go na kamienne schody przed bramą i kopnął raz jeszcze w bok. Rzęzący rycerz, usiłując wciągnąć powietrze, podczołgał się w górę. Dostrzegł, jak zakapturzony nieznajomy w zakonnym płaszczu, gadając coś pod nosem, wyjmując kaganek ze skalnej niszy i podpala stojące na podłodze świece.

Wiatr przycichł, ledwie słyszalny za ogromnymi głazami. Minęła chwila, nim Bruno uzmysłowił sobie, że świece stoją na wierzchołkach wymalowanego ciemną farbą pentagramu. Minęły dwie, gdy zrozumiał, że to nie farba.

– Owcza – wyjaśnił nieznajomy, który nadal raz po raz zerkał na niego. – Dość prymitywny pomysł, zdaję sobie z tego sprawę, a nawet zenujący, ale w naszej sytuacji okaże się dość skuteczny.

Skądś dobiegło ciche zawroźnienie. Bruno uniósł się na łokciach i dostrzegł, że w kącie, między dwoma ogromnymi, kruszącymi się ze starości głazami, kuli się jakieś monstrum, ledwie widoczne w rozedrganym blasku świec. Po plecach młodego rycerza spłynął dreszcz. Istota co rusz drgała i podrywała się niczym niezdarny wąż próbujący przypomnieć sobie sztukę pełzania. Unosiła też głowę, zadziwiająco podobną do ludzkiej, ale czarną, lepka, z wytrzeszczonymi ślepiami.

– Eeeergh... *ħniena, ħniena...* – wychrypiała.

Bruno zrozumiał, że patrzy na leżącego człowieka, któremu związano ręce na plecach. Krew z szerokiego skaleczenia na czole zalewała mu

twarz, oblepioną pyłem i brudem.

– Litości, tak? – spytał nieznajomy. – Nie znam waszej mowy, ale zakładam, że o to chodzi. Cóż, a skąd przekonanie, że stanie ci się jakaś krzywda, przyjacielu? Choć w sumie... – uśmiechnął się krzywo i odwrócił ku Brunonowi – któż może wiedzieć, jaki los zgotuje ci wiedźmi syn?

Wiatr między kamieniami nadal świstał i gwizdał, kołysały się wyrastające ze szczelin kępy traw, szalały tumany pyłu. Jedna ze świec zgasła.

– Coś ty powiedział? – wycharczał Bruno, który zdołał już się podnieść. – O co tu, na litość boską, chodzi?

Kolana nadal mu drżały, ale odzyskał oddech. Zakapturzony nieznajomy pokręcił lekko głową, jakby nie dowierzał, w czym przyszło mu wziąć udział.

– Och, witaj, panie – rzekł i ukłonił się nisko. – Rad jestem, że wreszcie do nas przybyłeś. Wszystko już przygotowane.

– Co to ma znaczyć? – Bruno szedł ku niemu chwiejnym krokiem. Zacisnął dłoń na rękojeści miecza. – Co to za wygłupy?

– Zrobiłem wszystko, co kazałeś, panie! – Nieznajomy pochylił głowę z udawaną pokorą. Wyszarpnął sztylet, przypadł do szlochającego więźnia i rozciął mu więzy, po czym poderwał go gwałtownym szarpnięciem, jakby chciał go pokazać Brunonowi. – To dobry jeńiec! Dobry! Na pewno wyciągniemy z niego prawdę! Twój rytuał nigdy jeszcze nie zawiódł!

– Wypuść tego człowieka, sukinsynu! – wyrzęził Bruno. Niewprawnym ruchem wyciągnął miecz z pochwy i wycelował ostrzem w twarz obcego. – Wypuść go!

– Nie karz mnie, panie! – Nieznajomy odepchnął jeńca. – To dobry jeńiec, będzie się nadawał, naprawdę!

Odskoczył o krok, zasłaniając twarz ramieniem, jakby obawiał się karzącego ciosu.

Bruno niespodziewanie poczuł, jak w jego sercu znów bucha wściekły ogień. Z ciemności w jego głowie dobiegł krzyk kobiety, której głos znał, ale słów nie rozumiał. Skoczył w ślad za nieznajomym, ale zderzył się z jeńcem, który zatoczył się, padł na siedzenie, obrzucił Brunona spanikowanym spojrzeniem i zerwał się do ucieczki. Potknął się

o kamień, obejrzał raz jeszcze za siebie i znikł niczym nocny ptak wśród wichury, która wydawała się już uderzać rzadziej, jakby wytraciła impet.

– Stój! – huknął Bruno, nie wiedzieć, do uciekiniera czy do niby-brata, który już wyprostował się i założył ręce na piersi. Po uległości i pokorze sprzed chwili nie było ani śladu.

Jego nienaturalne zachowanie wyraźnie wskazywało, że Bruno właśnie dał się wciągnąć w jakiś niepojęty spisek. Ta świadomość jeszcze bardziej roznieciła jego gniew. Wycelował ostrzem miecza w obojętną twarz nieznanego.

– Mów, o co w tym chodzi – wysyczał. – Mów, padalcu!

– Niebawem się dowiesz – odparł tamten. Stał niczym posąg, a słabnący wiatr ledwie poruszał połami jego płaszcza. – A teraz idź stąd, Calazzo. Twoja rola się zakończyła, moja zresztą na szczęście też. Ależ ja nisko upadłem. Ja, który kiedyś smoka ubiłem... Nie, nie wierzę. No dobra, Calazzo, won stąd.

– Nie – wycedził Bruno. – Dowiem się wszystkiego tu i teraz. Od ciebie.

– Ode mnie, tak? – Tym razem nieznanomy się uśmiechnął. – Rozmawiać to akurat mi nie wolno, ale na szczęście możemy zająć się czymś innym.

Wyciągnął miecz płynnym ruchem.

– Choć zaznaczam, że to w sumie zbędne – dodał.

Bruno rzucił się do wściekłego natarcia. Jego mięśnie jednakże, wciąż obolałe po bezlitosnych kopniakach, nie reagowały tak szybko, jak by sobie tego życzył. Obcy z dziecinną łatwością odbił serię jego uderzeń, po czym płynnie wskoczył na ogromny głaz. Cofnął nogę na ułamek sekundy przed tym, jak ostrze Brunona wbiło się w zwietrzały piaskowiec, a potem przydepnął mu miecz ciężkim butem.

– To zbędne! – powtórzył. – Ale skoro nalegasz...

Druga noga wystrzeliła do kopnięcia w twarz, ale Bruno zdołał wykonać unik. Nieznajomy z łopotem płaszcza zeskoczył na pokrytą okruchami skalnymi ziemię i schylił się po coś. Usiłujący uwolnić broń Bruno dostrzegł tylko rękę wznoszącą się do rzutu.

Jedną myśl później jego czaszka eksplodowała bólem.

Zatoczył się, ale zdołał rozpaczliwym szarpnięciem uwolnić miecz. W ostatniej chwili zasłonił się przed potężnym uderzeniem znad głowy,

potem przed kolejnym, które nadleciało z boku, diablo wprost szybko. Oszołomiony bólem, ledwie widział swego przeciwnika, a swą rozpaczliwą obronę oparł już tylko na instynkcie. Zdołał odbić jeszcze jeden cios, nachylić się pod kolejnym i cofnąć, by uniknąć trzeciego.

Potem zahaczył stopą o coś na ziemi.

Grzmotnął potylicą o kamień z taką siłą, że aż go zamroczyło. Odruchowo zacisnął dłoń, ale przekonał się, że wypuścił miecz.

– Właściwie to zasłużyłem sobie na odrobinę zabawy. – Niewyraźny głos nieznajomego dobiegał z wielkiej oddali.

Bruno nie widział swego przeciwnika, ale skądś wiedział, że ten stoi teraz nad nim z wzniesionym mieczem. Z rozpaczą szukał wypuszczonej broni.

Cios nie padał.

– Cóż. – Głos nieznajomego zdał się bliższy i wyraźniejszy. Ból powoli odchodził i Bruno widział już sylwetkę nad sobą. – Miałem nadzieję, że uciechy będzie nieco więcej, ale...

Dłoń Brunona nagle zacisnęła się na przedmiocie, o który się potknął. Rączka wiadra.

– Ale w mojej sytuacji niespecjalnie można wybrzydzać. – W głosie nieznajomego pojawiło się coś nowego. Żal? – Wybacz, ale...

Bruno zacisnął powieki i napiął mięśnie.

Włożył w ten jeden, jedyny cios całą swą siłę. Odepchnął się łokciem od ziemi, a drugą ręką wykonał błyskawiczny zamach. Wiadro grzmotnęło jego przeciwnika w żuchwę i rozbiło się w drzazgi, rozsyłając naokoło drobinki krwi, a ten zatoczył się, tracąc równowagę.

– To też było dość prymitywne! – warknął Bruno, ocierając twarz. – Grunt, że skuteczne.

Poderwał miecz z ziemi, kopnął nieznajomego w pierś, przewrócił go i przygniół kolanem. Z dłoni przeciwnika, na której widniał jakiś skomplikowany rysunek bądź tatuaż, wypadło z brzękiem ostrze. Miecz Brunona znalazł się na jego gardle.

– Zaczniemy od rzeczy najważniejszych! – wysyczał. – Masz jakieś imię czy mam ci coś wymyślić?

Kapturem nieco opadł i Bruno po raz pierwszy ujrzał oblicze człowieka, z którym przyszło mu walczyć. Było nienaturalnie blade, a na policzku

widniała czarna dziura, przywodząca na myśl niezagojoną ranę po strzale. Twarz rozciągnął krzywy uśmiech, który odsłonił wyrwę między zębami w miejscu, gdzie uderzył grot.

Bruno zamrugał. Po jego plecach przemknął zimny dreszcz.

Taka strzała niechybnie by go zabiła, szepnęła jakaś myśl.

Spojrzał w oczy przeciwnika, żywe, skrzące, wręcz rozbawione. Ten zerknął na niego i znów się uśmiechnął.

– Kim jesteś? – wybełkotał przerażony Bruno.

– Nie poznasz mego imienia – oznajmiły poranione usta. – Nie wolno mi...

Jego źrenice naraz zgasły. Między kamieniami pradawnej świątyni zaśpiewał cichy, niemalże smutny wiatr.

Bruno, wciąż oszołomiony, podniósł się z trudem. Krew dudniła mu w skroniach.

– Czy trafnie się wyrażę... – wymamrotał Hugo, który stanął na schodach wsparty na włócznie, trzymając się za bok głowy – jeśli powiem, że gównu, przez które brniemy, już jest tak rzadkie, że aż chlupocze?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jedyną dobrą rzeczą, jaką Bruno mógł sobie przypomnieć, było to, iż Francuz, jakże barwnie opisując ich sytuację, użył liczby mnogiej.

Cała reszta budziła w nim gorycz i wściekłość.

Dołożył wszelkich starań, by usunąć resztki śladów po pentagramie, wrzucił też do głębokiej skalnej szczeliny świecę oraz szczątki roztrzaskanego uprzednio wiadra. Hugo zaś, który cofnął się po konie, z filozoficzną zmarszczką na czole przerzucił trupa przez siodło jednego z nich. Przytroczył go uważnie, poklepał po zadku i odwrócił się ku nadchodzącemu Brunonowi.

– Zda mi się, że zanim zrobimy cokolwiek, trzeba by nam się pozbyć tego jegomościa – powiedział.

Bruno odpiął od siodła bukłak ze słabym winem i pociągnął kilka łyków. Odkaszlnął i spojrzał na Francuza.

– Spodziewałbym się raczej pytań – wychrypiał. – Jak na przykład: dlaczego właśnie zabiłeś brata zakonnego i co to wszystko w ogóle, do cholery, oznacza.

– Nie ty go zabiłeś. – Hugo wskazał ciemną plamę z tyłu głowy nieboszczyka. Bruno nie widział dobrze jego rysów twarzy, ale wydawało mu się, że głos towarzysza lekko zadrżał. – Nie miałeś kuszy, a życie temu chwytawemu odebrał bełt. I to... Cóż, dawno temu.

– A więc powinieneś zadać o wiele więcej pytań. Jak choćby: dlaczego ów zabity uprzednio chwyt machał mieczem tak dziarsko, że mało by mnie nie zabił. I dlaczego urządził scenkę z pentagramem, jeńcem i wiadrem z owczą krwią.

Hugo wzruszył ramionami.

– Coś mi mówi, że jeśli będziesz chciał mi powiedzieć, to powiesz. A ja wtedy pożałuję, że się dowiedziałem.

Bruno milczał przez moment.

– Dziwny z ciebie człowiek. Inny dawno wzięłby nogi za pas i gnał jak przed tłumem trędowatych.

– Rozumiem, że w ten oto sposób chcesz powiedzieć: dziękuję ci, Hugonie Onfroi, że pomimo mętnych okoliczności zdecydowałeś się mnie nie opuścić – parsknął Francuz. – Nie ma za co, na krzyż Świętego Pamfila. Zresztą – dodał, wsuwając nogę w strzemię drugiego konia – mam wrażenie, że ci rzekomi bracia zakonni tego właśnie chcieli. Towarzysz tego tu – z siodła wskazał trupa – mógł mnie wszak ukatrupić. Poprzestał, łaskawca, na ciosie w czaszkę. Nie wiem, co tu się dzieje, ale najwidoczniej zależało im, by ktoś o tym rozpowiedział.

Bruno przytaknął mu w duchu, bo sam doszedł do zbliżonych wniosków.

– Tak – burknął. – Dziękuję ci. I naprawdę mam nadzieję, że niczego nie pożałujesz.

– Ja też – odparł z humorem Hugo Onfroi. – To co? Pora, by odwieźć naszego nieboszczyka tam, gdzie już nikt go nie odnajdzie. Macie tu takie miejsce?

– Na Malcie są tylko takie miejsca – mruknął Bruno.

Hugo roześmiał się i ujął wodze.

– A więc prowadź – oznajmił i znów zmarszczył lekko brwi. – Chyba nie masz mi za złe, że trupa wrzuciłem na twojego konia, co?

– Nie – bąknął Bruno. – Wcale nie. W końcu trup też właściwie jest mój.

Osobliwa burza dobiegła już końca i powróciła ciepła, niemalże duszna noc. Bruno, ciągnąc za sobą objuczone zwierzę, prowadził towarzysza przez wymarły, bezludny krajobraz na zachód, ku wzgórzom okalającym zatokę Gnejna. Nie natknęli się już na nikogo, choć w pewnym momencie miał wrażenie, że od strony wioski Mgarr dobiegają wrzaski, ni to przerażenia, ni to tryumfu. Bruno nie miał pojęcia, co to dla niego oznacza, ale intuicja mu podpowiadała, że to nie wróży zbyt dobrze.

Na szczyt wzgórza dotarł spocony i zdyszany, z ulgą witając łagodne podmuchy wiatru na mokrej twarzy. Powoli nadciągał świt, który

ukazywał oczom obu wędrowców bezkresne morze, upstrzone przy brzegu czarnymi kształtami skał. Bruno bez ceregieli ściągnął trupa z siodła, dowlekł go na skraj klifu i zepchnął nogą w dół.

Pustym ze zmęczenia wzrokiem patrzył, jak ciało niknie w kipieli, po czym odwrócił się do Hugona. Francuz rozkulbaczył już konie i rozesał na ziemi jakąś derkę, przy której ułożył juki.

– Rozumiem, że na lepsze warunki nie ma dziś co liczyć? – rzekł.

– Nie ma – odparł Bruno i usiadł ciężko. Zjadł kawałek chleba, zagryzł serem, kiełbasą i garścią oliwek, popił rozwodnionym winem i ułożył się na boku, zwrócony plecami do towarzysza.

Nie będę też miał pretensji, jeśli po przebudzeniu już cię tu nie zobaczę, zdażył pomyśleć przed zamknięciem oczu.

Obudziły go promienie słoneczne na twarzy. Zamrugnął, pokręcił głową i podniósł się, mrużąc oczy.

Coś chlupnęło obok. Bruno ujrzał leżący przy nim bukłak.

– Pij – odezwał się Hugo, który siedział nieopodal, oparty plecami o wielki, rzucający cień głaz. – Wstyd taki cienkusz pociągać, ale w tym upale gotów jestem wszystko wyłopać.

Bruno uklęknął, odkorkował bukłak i pociągnął łyk. Skrzywił się – rozwodnione wino było cierpkie i paskudne, a co najgorsze, niewiele go już zostało.

– Zaraz zejdziemy do wsi i... – Urwał, gdy nagle opadły go wspomnienia z wczoraj.

Odetchnął ciężko. Wstał i powłócząc nogami, przeniósł się pod inną skałę, również rzucającą cień, a potem spojrzął na Hugona. Kilka godzin ciężkiego, twardego snu nie przyniosło mu żadnych rozwiązań, ale przynajmniej odpoczął na tyle, by móc zacząć analizować wydarzenia.

A zacząć mógł tylko od jednego.

– Posłuchaj, Hugo – wychrypiał. Pociągnął kolejny łyk i podjął: – Muszę ci rzec kilka słów i myślę, że tego nie pożałujesz, bo będziesz przynajmniej miał okazję i czas, by stąd czmychnąć.

– Ciekawa propozycja – przyznał Francuz i oparł masywne, włochate łapska na kolanach. – Arcyciekawa. No, mówże.

– Wydaje mi się, że to, czego wczoraj byłeś świadkiem, w jakiś sposób wiąże się z moim pochodzeniem – mówił Bruno, wpatrzony w prażony

słońcem skalisty ugó. – Nie znam konkretów. Udało mi się dojść do tego, że moi rodzice w jakiś sposób narazili się zakonowi, rzekomo przez kontakty z diabłem. Oboje spłonęli na stosie, a ja zostałem z litości zabrany przez braci po upadku Rodos i przez nich wychowany. Mimo to opinia wiedźmiego syna przylgnęła do mnie na dobre i choć minęło wiele lat, zatacza coraz szersze kręgi. Musiałem parokrotnie kilku co ambitniejszym łowcom czarownic nakłaść po głębie, a ostatnio rzucił mi to wyzwisko w twarz dostojnik z otoczenia wielkiego mistrza. Okazało się wtedy, że dla niego wyzwisko jest tożsame z oskarżeniem o zdradę. Teraz zaś...

– Teraz zaś postanowiono podbudować opinię faktami, tak? – spytał Hugo, po raz kolejny udowadniając swą błyskotliwość. – Ktoś zaaranżował porwanie jakiegoś Maltańczyka i przygotował lipny rytuał, w którym niby to miałeś, jako ów wiedźmi syn, uczestniczyć. Ja jako bezstronny świadek miałem potwierdzić twój związek ze sprawą.

– A drugim miał być ów Maltańczyk, któremu niby przez przypadek pozwolono uciec. – Bruno przygryzł wargę. – Pytanie brzmi: po co to wszystko?

– Może twój zakon potrzebuje kozła ofiarnego? – podsunął Hugo.

– Nie sądzę. – Bruno pokręcił głową. – Pierwszy atak Turguta został wszak odparty przez de Villegagnona, a do drugiego nie doszło.

– To może ostatnimi czasy naprawdę nadepnałeś komuś na odcisk?

– Niewykluczone. – Na twarzy Brunona pojawił się nieprzyjemny grymas. – Ale komu, Hugo? Kto to był? Bo człowiek, który uznał mnie za wroga, najwidoczniej nie zawaha się przed niczym! Samo porwanie wieśniaka to już dużo, ale żeby wysyłać w tym celu żywego trupa?

– Czego to ja się dowiaduję o tym waszym zgromadzeniu... – mruknął Hugo, kręcąc głową z udawanym oburzeniem. – Cóż, mamy potężnego wroga.

– Mamy? – zdziwił się Bruno. – Hugo, to nie jest twoja sprawa! To ci właśnie próbuję dać do zrozumienia.

– Ależ ja rozumiem to doskonale! – obruszył się Hugo. – I właśnie dlatego...

– Nie, nie rozumiesz! – Bruno oparł się na rękę, jakby chciał się poderwać. – Ten zbiegły Maltańczyk zapewne rozpowiedział już o zajściu

wszystkim we wsi, a wieści być może już rozchodzą się po wyspie. Niebawem, może już za kilka godzin, wszyscy będą o tym wiedzieć, że niejaki Bruno Calazzo chciał poświęcić człowieka w krwawym rytuale, a wtedy jestem skończony. Nikt, ani kawaler de Villegagnon, ani przeor mojej languy, ani tym bardziej wielki mistrz, nie wstawi się za kimś, kto będzie miał przeciwko sobie tak silne dowody. Nie będzie wnikliwego dochodzenia ani uczciwego procesu! Wystarczy, żeby za kimś poniósł się smród siarki, by przełożeni zakonu z ochotą zamietli delikwenta pod dywan. A wiesz dlaczego?

– Inkwizycja – rzucił Hugo.

– Otóż to – prychnął w odpowiedzi Bruno. – Świętego Oficjum na Malcie niby nie ma, ale świętobliwy Domenico Cubelles, biskup Mdiny, miał kiedyś spore związki z inkwizycją hiszpańską, co mistrza de Homedesa bardzo niepokoi. Wszak Święte Oficjum to konkurencja, i to mocna. Ich zwierzchnicy, podobnie jak nasz mistrz, odpowiadają bezpośrednio przez papieżem. De Homedes prędeż przeżuje własny habit, niż pozwoli, by wieści o rycerzu mającym konszachty z diabłem dotarły do jego ekscelencji biskupa Cubellesa, bo wówczas inkwizycja znalazłaby powód, by wszcząć tu śledztwo i umocnić swe wpływy. Innymi słowy, już po mnie.

– Innymi słowy, musisz przestać uważać się nad sobą, a zacząć szukać rozwiązań – rzekł Hugo i wstał. – Spójrz no.

Na żółtym piasku plaży daleko pod nimi spoczywały cielska łodzi rybackich.

– Wybacz, nie mam już ochoty na prowadzenie śledztwa de Villegagnona. – Bruno machnął dłonią. – Nie obchodzi mnie, czy jest tam łódź tego...

– Teraz to ty mnie nie rozumiesz – przerwał mu Hugo. – Na sztylet Świętego Maurycego, mnie też tak naprawdę nie obchodzi to śledztwo. Widzę natomiast łodzie, w tym niektóre całkiem spore, a coś mi mówi, że niedaleko stąd ciągną się brzegi Sycylii. A Mesyna... – Rozmarzył się. – Ty wiesz, co ludzie opowiadają o Mesynie? To stolica całego *Mare Nostrum*, brama do nowego życia, miejsce, gdzie dwóch zaradnych szermierzy znajdzie dla siebie drogę ku bogactwu i...

– Poczekaj no! – Bruno uniósł dłoń. – Czy ty właśnie proponujesz, byśmy stąd uciekli?

– Uciekli? – Hugo skrzywił się lekko. – Nie przepadam za tym słowem. Wolałbym... „przenieśli się”. Tak, to brzmi idealnie.

Bruno odwrócił wzrok ku ciemnozielonym krzewom, nieustępliwie wpijającym się w suchą ziemię między skalnymi okruchami. Propozycja Hugona nie mieściła mu się wprost w głowie. Nie przepadał za surową zakonną regułą, nigdy nie nawiązał tu żadnych większych przyjaźni, a krnąbrna dusza nie pozwoliła mu nawet odnaleźć żadnych autorytetów czy wzorów do naśladowania, niemniej zakon był wszystkim, co znał. Ośmiokończasty krzyż był jedną z pierwszych rzeczy, które rozpoznawał jako dziecko, a przez dwadzieścia pięć lat wrósł w realia zakonne tak bardzo, że nie wyobrażał sobie teraz żyć bez nich. Ba, nie wiedział, czy było to w ogóle możliwe.

W pierwszym odruchu chciał odtrącić propozycję Hugona jako nonsens, ale przeszkodziła mu jakaś uparta myśl, której nie umiał sprecyzować. Przygryzł wargę.

– Ty zaś jesteś żeglarzem – ciągnął Hugo z udawaną zadumą, co chwila zerkając na towarzysza z zaintrygowaniem. – Jak każdy z was, zakonników. W każdej chwili moglibyśmy wsiąść na którąś z tych łodzi i śmignąć ku nowemu życiu. Mówią, że...

– A więc o to ci chodziło? – przerwał mu Bruno szorstkim głosem. – Dlatego się mnie trzymasz wbrew zdrowemu rozsądkowi? Nie masz grosza przy duszy, by opłacić przejazd, a pracować ci się nie chce, a więc szwendasz się za skompromitowanym joannitą w nadziei, że ten cię stąd wywiezie?

Powiedział to ostrzej, niż zamierzał, choć był świadom, że nie to stanowi powód jego irytacji. Myśl, która zrodziła się w nim przed chwilą, stawała się coraz bardziej natrętna i nie wiedział, jak ją przepędzić.

– Może – burknął Francuz. – Może i tak. Choć mimo wszelkich starań nie doszukam się w tym niczego złego. Wszak – przechylił ogromną głowę i wbił niechętny wzrok w towarzysza – jestem podejrzany w tym samym stopniu co ty. Myślisz, że pozwolono by mi odejść wolno, gdyby cię złapano? Przecież uciekłem z tureckiej niewoli wraz z tobą, co czyni mnie potencjalnym zdrajcą i współspiskowcem, a jeśli któryś z twoich przełożonych przypnie mnie do tej awantury – machnął ręką w stronę niewidocznych już ruin – wyląduję na stosie jako twój akolita.

– Chcesz powiedzieć, że to moja wina? – Bruno zacisnął pięści.

– Nie – warknął Hugo. – Wcale nie. Chcę tylko powiedzieć, że nasze losy splotły się na dobre i na złe. Przynajmniej na razie. Zastanów się więc, chłopie, na czym ci naprawdę zależy, a potem mi to powiedz. Obawiam się jednak, że wielu opcji nie masz.

Natarczywa myśl wreszcie nabrała kształtu.

Cokolwiek się wydarzy, uświadomił sobie wstrząśnięty Bruno, nie jestem już joannitą. Ktokolwiek zastawił na mnie pułapkę, dopiął swego. Niebawem rozejdzie się wieść, że pojąłem człowieka dla czarodziejskich praktyk. Plotka rozrośnie się, wypaczy. Nikt nie uwierzy w moje zapewnienia, nikt nie zszarga sobie reputacji obroną wiedźmiego syna.

– Wiem – odpowiedział Francuzowi, nie patrząc na niego. – Mam do wyboru oddać się w ręce zakonu i liczyć na sprawiedliwy proces albo uciec z wyspy.

– Wynieść się – zaproponował nieśmiało Hugo.

Bruno przeniósł wzrok na buchający żarem lazur nieba.

Jest jeszcze jedna opcja, uzmysłowił sobie nagle.

Wstał, ściągnął tunikę zakonną i wyrzucił ją z krawędzi klifu do wody. Patrzył przez moment, jak łopocze, podrywana psotnymi prądami powietrznymi, a potem znika w falach. Przez chwilę przypominała tonącego człowieka, aż Brunona przeszył nieprzyjemny dreszcz. Wzdrygnął się i odwrócił do Francuza, wpatrującego się w niego ze źle skrywaną nadzieją.

– Uciec zawsze można – powiedział. – A ja nie zrobię tego, dopóki nie znajdę odpowiedzi na choć część moich pytań. Weź oba konie, Hugo. Zakon nie zbiednieje. Sprzedaj je na rynku w Rabacie albo gdzieś na południu, może starczy ci na przewóz do Mesyny. Znajdź swoją bramę do nowego życia.

– A ty? – spytał po chwili zaskoczony Hugo Onfroi i wsparł się o swą włócznię z osobliwie grawerowanym drzewcem.

– A ja wracam do Mдины, żeby coś sprawdzić.

– Nie o to pytam. – Francuz wywrócił oczami. – Sprawdzisz i co potem?

– Nie wiem – odparł szczerze Bruno, a w głębi duszy uświadomił sobie, iż nie jest to szczerze udawana. Nie sięgał wizją poza to, co chciał zrobić w Mdinie, ale paradoksalnie uspokajało go to. Pozostałe dylematy zbladły.

Liczyło się teraz tylko jedno.

Zasadzkę na niego mógł zastawić tylko ten, kto wiedział, że wraz z Hugonem udał się na północ do Mgarr. A to – o ile ktoś nie podsłuchał ich rozmowy w tawernie – wiedzieli zaś jedynie brat Alejandro de Heredia bądź kawaler de Villegagnon i Bruno, który późnym popołudniem stanął w cieniu murów obronnych twierdzy, uparł się, że to sprawdzi.

Problem leżał w tym, iż nie miał bladego pojęcia, jak to zrobić.

Zakon nie miał swojej placówki w Mdinie. Wielki mistrz Philippe Villiers de l'Isle Adam, który otrzymał wyspy maltańskie od cesarza Karola V, odebrał co prawda srebrny klucz do miasta, pełniącego funkcję stolicy wyspy, ale na siedzibę zakonu wybrał nadmorskie Birgu na wschodnim wybrzeżu. Od tej pory Mdiną nadal rządziła stara miejscowa arystokracja, a zakon nie mieszał się specjalnie w jej sprawy, ograniczając swe interwencje do naprawy i rozbudowy murów obronnych. Bruno przypuszczał więc, że obaj notable zatrzymali się w jednej z dwóch miejscowych tawern bądź gościli na komnatach biskupa.

Spojrzał po sobie. W znoszonych spodniach, przybrudzonej koszuli oraz z mieczem u boku wyglądał na niezamożnego najemnika, który wraca na służbę po kilku dniach u rodziny, tym bardziej że po parogodzinnej wędrówce po prażonych słońcem ugorach był spocony, brudny i wyczerpany. Cerą i kolorem oczu nigdy specjalnie się nie odróżniał od miejscowych, przez co mógł liczyć na to, że zdoła wtopić się w tłum.

Pytanie, co pocnie, gdy dowie się, gdzie się zatrzymali Alejandro i de Villegagnon, nadal pozostawało bez odpowiedzi.

– Coś wymyślę – szepnął do siebie i zagłębił się w chłodny półmrok Bramy Greków.

Od razu odniósł wrażenie, że miasto ze wszystkich sił próbuje zatuszować strach przed tureckim atakiem, którym emanowało zaledwie wczoraj. Wąskimi, krętymi uliczkami twierdzy niosło się wesołe pokrzykiwanie tłumione chóralnymi śmiechami, skądś dobiegało pojękiwanie *żaaq* – miejscowych dud ze skóry cielecej – wzmocnione suchym stukotem bębenków. Z okna, ku rozbawieniu grupki strażników miejskich, wydzieraa się czerwona ze złości piękność z fryzurą w nieładzie. Drobnny staruszek z miedzianą brodą szarpał się z osłem,

pochylonych nad grą w kości mężczyźni roztrzęsani wzburzeni przegrani, z za rogu wytoczył się podpity kupiec, którego służący jednocześnie podtrzymywał i poił z bukłaka. Ulicznicy rzucali się kamieniami, biesiadnicy stłoczeni pod płóciennym daszkiem śmiali się do rozpuku, gdzieś piszczały dziewczęta. Nad głowami jaśniały już lampy oliwne, wieczorny wiatr napływał leniwymi falami. Pachniało potem, przyprawami i ulgą.

Bruno przeciskał się przez tłum, starając się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi. Po całym dniu wędrówki przez upalne pustkowie hałaśliwa ciżba przytłaczała go i irytowała. Czuł narastającą złość, którą potęgował głód, podsycany krzyżującymi się zapachami, ale zacisnął pięści i przebił się ku katedrze.

Tłum okazał się najgęstszy w pobliżu trójki muzykantów, gdzie Bruno musiał się przedzierać wśród tańczących. Już miał skrócić ku świątyni, gdy dostrzegł znajomą twarz.

Obok barczystego dudziarza z krzaczastą, skudloną brodą kołysał się drobny giermek Nicolasa de Villegagnona i raz dłonią, a raz łokciem tłukł w wielki tamburyn. Miał zaciśnięte powieki, jakby wygrywana przez grupkę grajków melodia była całym jego światem.

Bruno bez wahania ruszył ku niemu i szarpnął za łokieć. Giermek zatrzepotał powiekami, jakby zbudzony z głębokiego snu.

– Co się dzie... A, to ty! – Rozpromienił się, nie przestając płaszać i wybijać rytmu.

– Gdzie nocuje de Villegagnon? – zawołał Bruno.

– Kto? – Na twarzy sługi odbiło się bezgraniczne zdumienie. Przez moment wyglądał na kogoś, kto nigdy o słynnym kawalerze nie słyszał. – A, on – przypomniał sobie po chwili. – Przy katedrze! W komnatach biskupa! Ale nie musisz się spieszyć, bo już wszystko jasne. Ten cały di Viano przyznał się do winy! Uwięzili go w lochach pod katedrą. Chwacko gram, no nie? Posłuchaj tylko!

Znów zacisnął powieki i oddał się muzyce. Bruno chciał jeszcze o coś spytać, ale zrezygnował, zganiony surowym spojrzeniem dudziarza, i nie bez ulgi opuścił tłum amatorów miejscowych występów.

Wystarczyło skrócić za róg, by muzyka natychmiast przycichła, a kilka kroków dalej była już tylko niewyraźnym wspomnieniem. Bruno szedł ku

tyłom świątyni uliczką, która, co nie zdarzało się często w ciasnej, zatłoczonej Mdinie, wydawała się wręcz wyludniona. Minął ostatnią latarnię i wkroczył w świat coraz głębszych cieni. Przed sobą miał tylne wejście do katedry. Blask ognia z latarni pełgał po mosiężnej kołatce.

Bruno się zawahał.

Nie wślizgnę się niespostrzeżenie, pomyślał. Podam lepiej swe prawdziwe miano. Może mnie wpuszczą, a wtedy... Zaraza, sam nie wiem.

Któryś z nich dwóch – kawaler de Villegagnon albo brat Alejandro de Heredia – znał sposób, by przywrócić życie uśmierconemu człowiekowi. Bóg jeden wiedział, do czego jeszcze był zdolny, a pech chciał, że swoją złośliwość obrócił przeciwko Brunonowi. Ten zaś mógł liczyć jedynie na swój miecz, spryt oraz szczęście.

Oraz to, co odziedziczyłem po rodzicach, pomyślał ze złym, krzywym uśmiechem. To, co przyniosło mi miano wiedźmiego syna i nieraz już ocaliło skórę.

Uzbrojony w nową nadzieję, zrobił jeszcze krok.

A potem zatrzymał się jak wryty.

Z ciemnego kąta wyłoniła się postać w zakonnej szacie, wyprostowana, dzierżąca nagi miecz. Serce Brunona zabiło mocniej, z nagłym strachem. Choć było to całkowicie niemożliwe i zakrawało na absolutny absurd, szósty zmysł podpowiedział mu, że widzi kogoś znajomego. Po plecach młodego rycerza spłynął zimny dreszcz.

– Nie chcę, byś miał jakiegokolwiek wątpliwości – rzekł cicho tamten z osobliwym francuskim akcentem, który był już Brunonowi znany. – Nie ma w tym nic osobistego. Sam bowiem, chłopcze, zacząłem cię już podziwiać.

– Kim ty jesteś? – spytał Bruno drżącym głosem.

– To akurat nie ma dla ciebie żadnego znaczenia.

– Myśmy... – Bruno wycelował w niego mieczem. – Myśmy, zdaje się, zrzucili cię do wody z klifu!

– To również jest bez znaczenia. Bywaj, chłopcze.

Druga dłoń wysunęła się spomiędzy fałd szaty. Błysnął metalowy gwizdek i po ulicy poniósł się echem bełkotliwy świergot. W odpowiedzi u góry rozległ się trzask otwieranego okna, a po nim kilka wykrzyczanych głośno słów w nieznanym języku. Młody rycerz uniósł głowę, ale

w gęstniejącym mroku nie dojrzał nikogo, a na dalsze obserwacje zabrakło mu czasu.

Ciemności rozświetliła purpurowa jasność, wraz z którą dobiegło go głuche warczenie.

Przed przybyciem na Maltę Bruno kilkakrotnie widział walki psów. Zdarzyło się też, że musiał się opędnąć przed zdziczałymi kundlami w zaułkach Mesyny, a w Nicei Erhan zaprowadził go do zwierzyńca, w którym, zgodnie ze słowami gnącego się w ukłonach gospodarza, trzymano najgroźniejsze wilki ludojady z dalekiej Północy. Żadne z tych zwierząt jednakże, na ogół sparszywiały i wychudły, nie obudziło w nim nawet cząstki tego przestachu, co stworzenie, na które teraz spoglądał.

Szerokością klatki piersiowej oraz kształtem przypominało bardziej dzika, ale zarówno muskularne łapy, jak i wydłużony pysk sugerowały psie pochodzenie. Psy nie miały jednak tak długich, zakrzywionych pazurów oraz tak masywnych, istic lwich kłów.

Żaden też, warcząc, nie otaczał się jaskrawą, piekielną poświatą.

Bestia szła ku niemu powoli, jeżąc sierść i ostrożnie stawiając łapy. Poświata rozjarzała się i przygasiała, w miarę jak warczenie przybierało na sile i słabło, aż nagle eksplodowała z całą mocą i potwór rzucił się na Brunona.

Nigdy dotąd panika nie zawładnęła młodym rycerzem do tego stopnia. Nie miał czasu na żadną, najprostszą nawet myśl, nie przyszło mu do głowy choćby to, by unieść miecz. Rzucił się do biegu i gnał jak szalony, bez zastanowienia, gdziekolwiek, byle przed siebie.

A jarzący się, rozjuszony potwór gnał za nim.

Kilka uderzeń spłoszonego serca później znaleźli się na kolejnej ulicy, gdzie Bruno wpadł prosto w ciżbę zaniepokojonych dzikim warkotem ludzi. Wokół niego eksplodowała panika. Mieszkańcy uciekali, popychali się, przewracali, tratowali bez litości, a wąskie uliczki zwielokrotniały symfonię przeraźliwych wrzasków.

Bruno odwrócił się przez ramię. Potwór roztrzaskał właśnie z impetem uchylone nieopatrznie drzwi i wskoczył na przewróconą dwukółkę. Kolejno obrócił łeb w obie strony, ani chybi szukając swej ofiary,

i błyskawicznie wypatrzył młodzieńca w tłumie uciekających. Napiął mięśnie do skoku.

– Tędy! – Przez tumult przebił się piskliwy głos.

Bruno ujrzał giermka de Villegagnona, który wskazywał mu przesłonięte kotarą wejście do czyjegoś mieszkania. W oczach sługi, gdy zerkał na piekielnego psa, widniała fascynacja i zachwyty.

Młody rycerz bez wahania skorzystał z zaproszenia. Wiedział, że niektóre mieszkania w Mdinie dysponują wyjściami na inne ulice, a wąska framuga być może była w stanie zatrzymać rozjuszonego potwora. Wskoczył więc w ciemność, przemknął obok rzędów beczek, potknął się o skrzynię, wpadł do jakiegoś pokoju, gdzie próbował go zatrzymać starzec wymachujący laską, i trzęsącymi się dłońmi odryglował drzwi prowadzące na ulicę. Wypadł na bruk, nabrał haust świeżego nocnego powietrza i znieruchomiał na jedno uderzenie serca.

To wystarczyło, by dojść do wniosku, że bestia nie wdarła się za nim do budynku.

Serce waliło mu z taką siłą, że zagłuszało nawet wrzaski paniki dobiegające zza rogów. W przerażonym umyśle pojawiła się tylko jedna myśl, prosta, ale wyraźna.

Muszę jak najszybciej wydostać się z Mдины. Jak najszybciej!

I znów rzucił się do biegu gdzieś przed siebie, mniej więcej tam, gdzie znajdowała się główna brama. Jak najdalej od dzikich wrzasków, nieprzebranego przerażenia i piekielnej poświaty.

Naraz uświadomił sobie, że wrzaski przycichły, a tu i ówdzie rozlegały się teraz okrzyki zdumienia. Uderzenie serca później u jego stóp roztrzaskała się dachówka. Bruno odruchowo uniósł głowę i ujrzał demonicznego psa, przyczajonego do skoku na skraju dachu.

Po ścianie wlaźł, uświadomił sobie, widząc, jak bestia napina mięśnie i wygina grzbiet, gotowa do skoku.

Podczas ucieczki zgubił gdzieś miecz. Pożałował, że wrócił do Mдины, ale potem sobie przypomniał, że przecież nie miał innego wyboru. Ucieczka na razie nie mieściła mu się w głowie. Choć nie przepadał za zakonem, nie umiał żyć poza nim.

Wyprostował się i spojrzął bez lęku na jarzącą się bestię.

Żałuję tylko, że nie udało mi się niczego dowiedzieć, przemknęło mu przez myśl. Choć za chwilę nie będzie to już miało żadnego znaczenia.

Czekał.

– Z drogi, durniu! – warknął ktoś niespodziewanie i odepchnął Brunona na bok.

Zaskoczony rycerz stracił równowagę i padł na bruk, ale błyskawicznie podniósł głowę. Ujrzał wysokiego, siwiejącego mężczyznę w skórzanym kaftanie, który z wzniesionym krzyżem szedł w stronę potwora i wykrzykiwał słowa w nieznanym języku, podobnym do tego, który Bruno usłyszał niedaleko katedry.

Przeniósł wzrok na demonicznego psa. Ten niespodziewanie zatrząśł łbem, wyszczerzył kły, cofnął się niczym smagnięty biczem i... rozplynął w czerwonej poświacie, która znikła chwilę później, ledwie Bruno zamrugał.

Nastąpiła nieoczekiwana, niepojęta wprost chwila ciszy. Siwowłosy wojownik odetchnął ciężko, ucałował krzyż i zatknął go za pas, a potem splunął siarczyście.

– Sukinsyn – warknął.

Odwrócił się i smagnął Brunona lodowatym spojrzeniem.

– Sukinsyn! – powtórzył.

Młody rycerz zrozumiał, że inwektywa dotyczy jego, chwilę później, gdy mężczyzna zbliżył się i zaakcentował obelgę kopniakiem w bok.

Solidnym kopniakiem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Bruno z trudem rozchylił posklejane powieki. Uniósł głowę i rozejrzał się półprzytomnie. Chciał przesunąć ręce, by móc się podnieść, ale odkrył, że te ma mocno związane na plecach. Jego zaskoczenie szybko przerodziło się w niepokój.

Gwałtownym podrzutem ciała podniósł się do pozycji siedzącej, co uwolniło dziki atak bólu żeber. Przypomniawszy sobie mocny, podkutą but wybawiciela i serię bynajmniej nie łagodnych kopnięć, potem narzucony mu na głowę worek, duszny i cuchnący, i w końcu rozkołysany grzbiet konia oraz oddalający się gwar przerażonych głosów, z czasem zastąpiony samotnym stukotem kopyt. Miotał się, szarpał, domagał odpowiedzi, ale jedyną, jakiej się doczekał, było mocne uderzenie twardym przedmiotem.

Bruno nie miał pojęcia, czy stracił w końcu przytomność, czy też zasnął, ale pewność miał co do jednego – nadchodził właśnie świt, różowy i niewinny, a on znalazł się daleko od Mdiny. Jego wybawiciel klęczał zaś, zwrócony plecami do niego, i z pochyloną głową modlił się do krzyża, wsuniętego między dwa głązy.

Bruno odruchowo sprawdził więzy, ku jego rozczarowaniu mocne i z porządnymi supłami, a potem rozejrzał się po okolicy. Na zachodzie widział wzgórze z ciemnym masywem Mdiny, a na zboczach wzniesienia, na którym najwyraźniej obozowali, rozciągały się tarasy z gajami pomarańcz i cytryn. Dalej widać było kwadratowe zabudowania, skupione wokół wijącej się dróżki.

– To Attard – oznajmił jego wybawiciel, wstając i otrzepując kolana. – Jeśli dobrze pójdzie, powinniśmy około południa znaleźć się w Birgu. To,

mam nadzieję, uprzedza przynajmniej jedno twoje pytanie.

– Ale nie najważniejsze – wychrypiął Bruno. – Chciałbym...

Urwał, gdy nieznajomy odwrócił się ku niemu. Miał surowe, pobrużdżone oblicze człowieka, który całe życie spędził pod palącym słońcem Morza Śródziemnego, nierzadko będąc świadkiem rzeczy strasznych. Siwe włosy nosił krótko przycięte, natomiast brwi miał krzaczaste i nastroszone, co nadawało jego obliczu charakter wiecznego skupienia. Brunona jednak nie zaskoczyło ani to, ani podejrzliwe spojrzenie ciemnych oczu, ani też blizna, biegnąca od brody po resztkę prawego ucha.

Twarz, na którą patrzył, była mu znana. Widywał ją, gdy pochylał się nad misą wody bądź zerkał w mętne lustro łaźni. Nie było na niej co prawda zmarszczek, bruzdy i ciemne plamy pod oczami pojawiały się dopiero w chwilach skrajnego zmęczenia, a włosy nadal pozostawały kruczoczarne, ale...

Ale tak mógłby wyglądać, gdy zdołał przeżyć kolejne dwadzieścia lat.

– Kim ty, u licha, jesteś? – wykrztusił z niedowierzaniem.

Nieznajomy wydał wargi i rozsiadł się obok niego. Obrzucił go uważnym spojrzeniem, wyciągnął zza pasa nóż i odkroił sobie sporą pajdę chleba.

– Nazywam się Malatesta Scozzi – rzekł, nie patrząc na młodzieńca. – I jestem, a raczej byłem bratem twego ojca.

– Scozzi – powtórzył Bruno i pokręcił głową. – Czyli jednak nazywam się Scozzi.

– A więc coś już tam wiesz – mruknął Malatesta, wpatrując się w niego z podejrzliwością. – Chyba nawet więcej niż mniej, co? Trochę się wystraszyłeś Dipa, nieprawdaż?

– Kogo?

– Dipa. – Malatesta wsunął sobie kawałek chleba do ust i żuł przez moment. – Tego demonicznego psa. To kataloński upiór, członek dworu samego diabła, uległy słowom egzorcyzmu i znakom Boga, ale na pewno nie woli bezczelnego, pysznego smarkacza. Lepsi od ciebie próbowali bez powodzenia nim zawładnąć.

– Ja... – Bruno obliznął spierzchnięte wargi. – Ja naprawdę nie wiem, o czym mówisz.

- Twemu ojcu wychodziło to nieco lepiej – prychnął Malatesta.

- Co? Co takiego?

- Kłamstwa! – syknął wściekle siwowłosy. – Kłamstwa wychodziły mu lepiej! Najwidoczniej w tym też, nie tylko w kierowaniu demonami, nie nabrałeś jeszcze wprawy, gołowąsie! Pierwszym, co usłyszałem po przybyciu do Mдины, były plotki o jakimś rycerzu zakonniku, który urządził sobie krwawy rytuał w jakiejś prastarej budowli, Bóg jeden raczy wiedzieć po co. Potem widzę, jak mój przygłupi bratanek ucieka przed wściekłym Dipem! Nietrudno jest połączyć fakty i wyciągnąć odpowiedni wniosek. *A fructibus eorum cognoscetis eos*¹, jak powiada Ewangelia Mateusza.

Bruno usiadł ciężko i z rezygnacją pokręcił głową.

- Jak mam cię przekonać, że nie mam z tym nic wspólnego? – wychrypiał.

- Oszczędź sobie wysiłku – warknął Malatesta Scozzi. – I bólu. Bo Bóg mi świadkiem, że rąbnę cię w gębę za każdym razem, gdy zaczniesz skamleć!

- Stryju, ja...

- Nie jestem twoim stryjem! – ryknął Malatesta z twarzą nabrzmiałą purpurą. Jego koń, skubiący wątle źdźbła trawy nieopodal, uniósł łeb i zastrzygł uszami. – Złośliwy los przydał mi twego ojca za brata i na tym się nasze związki kończą, smarkaczu! Bo, jak Boga w sercu noszę, na próżno szukać we mnie zła i szaleństwa, które toczyły duszę twego przeklętego ojca! I nie mam nic, absolutnie nic wspólnego z tym, czym się parał, co doprowadziło do jego końca i co dopadło ciebie teraz.

W spojrzeniu Brunona błysnęła stalowa zawziętość. W sercu znów rozgorzał ogień.

- To w takim razie – wycedził – czego tu szukasz, Malatesto?

Siwowłosy wojownik uniósł nieco głowę, jakby urażony brzmieniem własnego imienia w ustach człowieka niegodnego, by je wymawiać, ale splunął i przez moment znów zajaśniał chleb.

- Odkupienia własnych grzechów szukam – warknął w końcu. – Jako młody człowiek bowiem, zaślepiony i naiwny, pomagałem Gilbertowi w jego ohydnych procederze. Długo to trwało, o wiele za długo. Na oczy przejrzałem na krótko przed końcem, gdy twój ojciec, jakby nie był już

dość zdeprawowany, pozwolił, by bez reszty zawładnęła nim ta zepsuta Saracenka. Nie wiem, ilu ludzi wówczas skrzywdziłem, ile zła na świat sprowadziłem, ile Bożego dzieła zepsułem na zawsze. Poprzysiągłem, jeśli chcesz wiedzieć, że nie spocznę, póki nie położę temu procederowi kresu raz na zawsze.

Złapał za bukłak i pił przez chwilę. Chuda grdyka unosiła się i opadała, a po zarośniętym policzku spływały krople wody. Bruno wpatrywał się w niego w milczeniu.

– Nie miałem pojęcia, co się stało ze skarbem Gilberta – wychrypiął Malatesta. – Przed naszym rozstaniem klóciliśmy się często i ten diabli syn nabrał nieufności. Przeniósł gdzieś te przeklęte kufry i nie zdołałem ich odnaleźć mimo wielu prób, a potem... Cóż, liczyłem na to, że zaginał gdzieś podczas tureckiego najazdu na Rodos i nigdy nie ujrzy światła dziennego. Przez kilkanaście lat żyłem w błogim przekonaniu, że kufry nikomu już nie zagrażają, a ty wychowujesz się na łonie zakonu, z duszą czystą i niewinną. Że ów diabelski koszmar dobiegł już końca.

Znów umilkł. Serce Brunona waliło jak dzwony katedralne.

– Gilberto został zatrzymany przez rycerzy zakonu jakiś tydzień po tym, jak opuściłem Rodos – ciągnął siwowłosy wojownik. – Na śmierć skazano go kilkanaście dni później. Najwidoczniej nie zdążył usunąć zabezpieczeń ze swego skarbu. Widziałeś kiedyś coś takiego?

Uniósł dłoń i pokazał młodzieńcowi wytatuowany na środku dłoni symbol przypominający monetę.

– Obaj to mieliśmy – ciągnął, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Gdy skrzynie ze skarbem otwierał ktoś, kto takiego znaku nie miał, znamię zaczynało piec jak diabli. Nie masz pojęcia, jak bardzo byłem przerażony, gdy poczułem pieczenie trzy miesiące temu. – Pokręcił głową, jakby nie wierzył we własnego pecha. – Nie wiedziałem, gdzie szukać skarbu, ale postanowiłem założyć, że jakimś cudem dotarł tu, na Malte, gdzie żyje jedyny potomek sławetnego Gilberta Scozziego. Tak, wiedziałem o tym, że żyjesz. Ba, próbowałem cię nawet odnaleźć po upadku Rodos i ocalić twą niewinną duszę, ale zarzuciłem wysiłki, gdy dowiedziałem cię, że znalazłeś się pod opieką Erhana i zakonu. Nie ufałem temu tureckiemu przechrzcie bardziej niż twemu ojcu, ale miałem nadzieję, że zakon zadba o to, byś nie poszedł w ślady ojca. Tymczasem wygląda na to, że Erhan

odczekał, aż ukończysz odpowiedni wiek, a potem wtajemniczył cię w mroczny sekret. I proszę, nie pomyliłem się.

– A właśnie, że się mylisz – powiedział z naciskiem Bruno. – We wszystkim. Nie wiem nic o żadnym skarbie czy o tajemnicy mego ojca, a Erhan nie żyje od kilku dni.

– Jeden problem z głowy – prychnął Malatesta.

Bruno wpatrywał się w stryja z narastającą niechęcią.

– I co teraz? – syknął. – Ocaliłeś mnie... No właśnie, po co?

– By dokończyć sprawę, Bruno – powiedział ze zmęczeniem Malatesta. – Bym mógł odejść z tego świata ze świadomością, że uczyniłem wszystko, by zatrzymać dzieło mego opętanego brata. Innymi słowy, skrzynie tego szaleńca muszą zostać odnalezione, ale ja się tym zajmować nie będę. Oddam cię w ręce tych, którzy wiedzą, jak z maleficjum postępować. Oni wyciągną z ciebie prawdę. Im przekazesz swą plugawą duszę i miejsce ukrycia skarbu. Albowiem, jak rzekł Święty Paweł: *Non est potestas nisi a Deo.*² nam nie wolno się temu sprzeciwić.

Podniósł się i z góry spojrział na młodzieńca.

– Ty zaś w tym pomożesz.

– Mylisz się. – Wzrok Brunona chłódł, choć naokoło potężniał upał. – Nawet gdybym wiedział, o czym gadasz, Malatesta, nawet gdybym miał choć strzęp pojęcia, czym są owe skrzynie, nie pomógłbym ci w niczym. Bo nie mam w zwyczaju wyciągać pomocnej dłoni ku ludziom, którzy...

– Ocalają cię przed twą własną głupotą? – Stryj nachylił się ku niemu. – Nie martw się, Bruno. Mam cię za kapuściany łeb, ale wiem, czym jest miłosierdzie. Ja również tobie pomogę. A jeśli nie tobie, to przynajmniej twej duszy. *Discenda est virtus*³.

– Wypuść mnie, dziwaku, bo...

Resztę zdania przerwało potężne kopnięcie w brzuch.

Worek, który Malatesta narzucił mu na głowę, cuchnął niemiłosiernie, a niedługo po wyruszeniu w drogę, gdy słońce rozpoczęło wędrówkę po niebie, zrobiło się w nim niewyobrażalnie gorąco. Spomiędzy kędziorów Brunona wypływały co rusz krople potu, które wnikały w oczy, swędząc i szczypiąc, a popękane usta piekły. Nie pomagało również to, że stryj,

bezcereimonialnie przerzucając go przez siodło, ułożył go akurat na obitym boku, ani to, że zacieśnił mu więzy na nadgarstkach.

Poznane fakty rozpląwały się i rozbiegały. Świadomość topniała, a wraz z nią wściekłość i nienawiść do okrutnego starca. Bruno omdlewał z ulgą, a gdy wracał do przytomności, witała go nieznośna duchota, pragnienie i wrażenie kompletnej klęski.

Co ten dziad chce ze mną zrobić? – pytał sam siebie. I po co?

Stukały kopyta końskie, poskrzypywał skórzany pancerz.

– *Sancta Maria, Mater Dei, ora pro nobis peccatoribus...*⁴ – mamrotał pod nosem Malatesta Scozzi.

Bruno omdlewał i przytomniał.

Znów stukot kopyt, tym razem przynajmniej dwóch koni. I głos, chyba znajomy.

– Tutaj nazywają to *tanbur* – perorował ów głos, na moment stłumiony serią głuchych uderzeń, wzmocnionych pobrzękiwaniem małych talerzyków. – Niby nic, ale też trza na tym umieć grać. Czasem uderza się łokciem, czasem pięścią, nawet brodą można. O, pokażę ci.

Kolejna seria uderzeń.

– Nieźle, nie? Jak mi idzie?

– Rozwalę ci to na łbie – warknął Malatesta. – A te talerzyki w dupę ci powpycham.

– Gbur.

– Won, przybłędo. W modlitwie mi przeszkadzasz.

Rytm kopyt jednego z koni wyraźnie przyspieszył, za nim pognał drugi. Bruno chciał zawołać, ale z jego ust wyrwał się jedynie głuchy skrzek. I znów nastąpiła duszna ciemność.

– *Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum...*⁵ Panie, okaż łaskę. Pozwól mi zbawić tę robaczywą duszę i odnaleźć owo ukryte plugastwo, które ściągnęło grzech na nasz ród. Panie, nie opuszczaj mnie...

Piękna kobieca twarz krzyczała wśród płomieni. Bruno chciał wyciągnąć ku niej dłoń i postąpić o krok, ale tkwił nieruchomo, pochwycony sennym paralizem, i tylko wpatrywał się w jej mękę. Nie pierwszy raz zdarzyło mu się słyszeć ów krzyk, ale po raz pierwszy wyczuwał w nim niewysłowioną tęsknotę, niemożliwą do zaspokojenia.

Po raz pierwszy też czuł, że chce go słuchać. Że nie ma ochoty się przed nim cofać, że odkrywa w nim coś, co należy do niego.

Słuchał. Sycił się. Słowa Malatesty śmigały wokół niego niczym ryby płoszone kijem mącąym dno. Nie rozumiał ich, nie rozumiał natury owego krzyku, ale skądś wiedział, że zbliża się coś złego.

Świat dygotał. Krzyk się oddalał. Zastąpił go inny, bardziej ludzki. Ktoś przeklinał po maltańsku, ktoś dopytywał się gniewnie, kto kupił tyle beczek starej oliwy, ktoś inny wylewnie przeproszał i obiecywał rychły powrót. Śmiech, szczekanie psów, piski dzieci. Odległy krzyk mew. Dudnienie dzwonów. Smród ulicy.

I cienie, które co chwila przynosiły mu odrobinę ulgi, a potem ją odbierały.

Birgu, pomyślał półprzytomnie Bruno. Przywiózł mnie do Birgu.

Nagle kołysanie konia, przesywające ciało młodzieńca rytmicznym, tęnym bólem, ustało. Przez gwar ulicy przebił się głos Malatesty, oschły i nawykły do wydawania rozkazów.

– Weźże tę rękę od mojego konia, człeczce! Jakim prawem, pytasz? Chodźże ze mną, a powtórzysz to pytanie przed jego ekscelencją!

Odpowiedział mu równie stanowczy, ostry głos, na co stryj parsknął suchym śmiechem.

– Gównu mnie obchodzi to, że miastem rządzą rycerze Świętego Jana, sierżancie. Ja im w drogę nie wchodzę, a więc niech i oni zostawią mnie w spokoju. Ze sprawą, z którą tu przybywam, zmierzyć się może tylko Święte Oficjum. Powtarzam więc zaproszenie: idziesz ze mną czy też uznasz mą rację?

Święte Oficjum, pomyślał Bruno. Był zbyt wycieńczony nawet na rozpacz.

Szczęk zamykanych wrót, echo niepewnego stukotu kopyt odbijające się od murów. Mdły zapach prażonych upałem róż. Pospieszne człapanie czyichś sandałów, szelest szat, toczona szeptem rozmowa, z której oteptały umysł Brunona wychwytywał jedynie cząstki zdań.

– ...nie, nalegam, panie pułkowniku. To wielki zaszczyt, doprawdy...

– Mam pieniądze, ojczce. Nie chcę być ciężarem.

– Wasza obecność jest miła zarówno Bogu, jak i nam wszystkim, pułkowniku...

– ...będziemy się modlić o...

– ...ze wszystkich sił.

Zbliżające się człapanie sandałów.

– Ściągnijcie go z konia – powiedział znajomy głos, miękki, ciepły, ale stanowczy. – I zdejmijcie mu tę szmatę.

Głowa młodego rycerza zakołysała się, gdy ktoś szarpnięciem zdjął z niej worek. Bruno zamrugał, oslepiiony ostrymi promieniami popołudniowego słońca, i parokrotnie łapczywie nabrał tchu. Powietrze, po tylu godzinach uwięzienia w smrodzie, smakowało wręcz słodyczą.

Chwilę ulgi przerwał ostry atak bólu. Człowiek, który ściągał go z siodła, najprawdopodobniej nie miał pojęcia o jego obitym boku bądź zupełnie o to nie dbał. Kilka uderzeń serca później odurzony Bruno – już nie Calazzo, lecz Scozzi – klęczał na kamiennej posadzce i z trudem łapał oddech. Instykt jednakże nakazał mu podnieść głowę i się rozejrzeć.

Kątem oka widział Malatestę, trzymającego za uzdę konia, a dalej, wśród długich cieni atrium, stali mnisi i służący. Jeden z duchownych zbliżył się i zatrzymał w odległości kilku kroków przed rycerzem.

– Prosiłem, byś zapomniał – powiedział cicho.

Bruno zamrugał, a wtedy po jego plecach spłynął zimny dreszcz.

Spoglądał w żywe, stare oczy ojca Bonifacego.

1 *A fructibus...* (łac.) – Po owocach ich poznać (przyp. red.).

2 *Non est potestas...* (łac.) – Wszelka władza pochodzi od Boga (przyp. red.).

3 *Discenda est virtus* (łac.) – Cnoty należy uczyć (przyp. red.).

4 *Sancta Maria...* (łac.) – Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi (przyp. red.).

5 *Ave Maria...* (łac.) – Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą (przyp. red.).

ROZDZIAŁ ÓSMY

Na Malcie oficjalnie nie ustanowiono jak dotąd inkwizycji i wielki mistrz de Homedes robił wszystko, co mógł, by do tego nie dopuścić. Złośliwi mówili, że do żadnego zajęcia sędziwy Hiszpan nie podchodził z taką energią jak do tego – wyłączony pielęgnację ogrodów na Isoli – czemu nikt z braci się nie dziwił. Inkwizycja, podobnie jak rycerze Świętego Jana, podlegała bezpośrednio samemu papieżowi, a więc stanowiła dla zakonu konkurencję. De Homedes zaś nie pogodziłby się łatwo z żadną próbą podkopania jego pozycji, zwłaszcza że Malta była niewielką, ciasną wyspą, gdzie nie było miejsca na podział kompetencji.

Tymczasem powszechnie wiadomo było, że Domenico Cubelles, były kapelan zakonu, od siedmiu lat sprawujący funkcję biskupa Mdiny, reprezentował swego czasu hiszpańską inkwizycję, a ostrożni rycerze woleli założyć, że nigdy się swoich inkwizytorskich ambicji nie wyżył. O pałacu, który wzniósł w Birgu, a zwłaszcza o tym, co działo się w jego podziemiach, krążyły liczne plotki, jedna mroczniejsza od drugiej. Nawet Bruno, choć niechętnie przestawał z innymi zakonnikami, usłyszał ich aż nadto.

Z niemałą ulgą uzmysłowił sobie, że opowieści jak zwykle prześcignęły rzeczywistość. Cela, w której go zamknięto, była sucha, a nad wyścielonym słomą wyrkiem znajdował się nawet malutki otwór, przez który do środka wpadały rumiane promienie zachodzącego słońca. Nie widział żadnych szczurów, nietoperzy ani też, co najważniejsze, machin do tortur.

Ale wciąż było to więzienie.

Mnisi, którzy sprowadzili go na dół, nie byli brutalni. Wręcz przeciwnie, dokładali wszelkich starań, by nie musieć go dotykać lub by jak najszybciej oderwać od niego dłonie. Przeszło mu przez głowę, by ich rozepchnąć i spróbować ucieczki, ale czuł na sobie wzrok Malatesty Scozziego. Stryj stał na schodach i z ponurą miną przyglądał się, jak Bruno jest wtrącany do celi. Potem podszedł i sprawdził, czy drzwi zostały porządnie zaryglowane, z głuchym burknięciem odwrócił się i wyszedł.

W podziemiach pod pałacem biskupa Cubellesa zapanowała cisza. Bruno zacisnął dłonie na prętach i przytknął do nich czoło.

I co teraz będzie? – powtórzył pytanie, które pojawiało się w jego myślach w rzadkich chwilach przytomności.

Racjonalna część umysłu przypominała mu oschle, że z oskarżeń o czary nie wywinie się łatwo. Nie przy jego reputacji. Nie po zeznaniach Saliby. Nie po tym, jak w Mdinie na oczach dziesiątków ludzi uciekał przed demonicznym psem. Nie w sytuacji, gdy Bruno nie mógł liczyć na poparcie żadnego z zakonnych dostojników. Przed powrotem do Mdyny łudził się, że być może de Villegagnon zdecyduje się przemówić w jego obronie, ale wyzbył się nadziei, gdy w drodze do jego komnat spotkał... No właśnie, kogo? Upiora? *Vivus cadaver*? Ożywieńca?

Ktoś, kogo zabili, powrócił do służby.

Kolejne pytanie brzmiało: komu służył? Kto władał ożywionymi trupami?

Nie, jestem w tym całkiem sam, pomyślał Bruno. Słowa odbiły się echem w pustej duszy. Całkiem sam. A do tego, niech to szlag, w łapach inkwizycji.

Nie miał pojęcia, czym to wszystko mogło się teraz dla niego skończyć. Nie spodziewał się, że Cubelles okaże mu jakąkolwiek pobłażliwość, bo wieści o tym, jaki los gotowano heretykom w Hiszpanii i na północy Włoch, docierały na Maltę od dawna. De Homedes wraz z kapitułą zapewne również skazałoby go na śmierć, ale mimo wszystko wolałby zostać osądzony przez braci. Nadal czuł się rycerzem.

– Bzdura – warknął, kręcąc głową. – Nie jestem już rycerzem. Nie jestem zakonnikiem. Przestałem nimi być w chwili, gdy wdepnąłem w ową zasadzkę. Gdybym posłuchał Hugona, byłbym zapewne wolnym

człowiekiem, ale... – Machnął ręką z rezygnacją. – Ale wolałem poznać prawdę – prychnął i przymknął oczy. – I gównu mi z tego przyszło.

Strzępy informacji zasłyszanych od Malatesty nadal nie układały się w żadną logiczną całość. Miał już niezbita pewność, że jego rodzice trudnili się czymś, co zarówno władze zakonne, jak i kościelne uznały za odrażające, a w ramach swej działalności mieli kontakt z Turkami. Wiedział, że po tym, czym się zajmowali, pozostał jakiś skarb, który zdaniem Malatesty również znajdował się na Malcie.

Turgut również o to pytał, przypomniał sobie Bruno.

Oparł się plecami o ścianę i powoli zsunął się po niej, aż usiadł na chłodnej podłodze.

Co to za skarb? Co w nim było? I kto go otworzył?

Pytania niespodziewanie przywiodły wspomnienie surowego, nieprzejednanego oblicza Malatesty Scozziiego. Rezygnacja i dezorientacja wyparowały, przegnane nagłym przypiływem wściekłości. Jedyny żyjący krewny! Brat jego ojca! Ten, który mógł rozpędzić zamęt w jego głowie, związał go, pobił i oddał inkwizycji!

Bruno zerwał się i z pasją kopnął ceber ustawiony w kącie celi. Wiadro z głuchym stuknięciem odbiło się od ściany, a młodzieniec przypadł do krat i szarpnął za nie z furją. I znów zacisnął powieki.

– Wolałbym dalej wiosłować na tureckiej galerze, niż spędzić z tobą jeszcze choć kwadrans! – wycedził. – Jeśli kiedykolwiek stąd wyjdę, znajdę cię, kurwi synu, i odpłacę ci się za każdego kopniaka! Dziesięciokroć!

Rąbnął pięścią w ścianę, ale nie czuł bólu. Całe ciało drżało mu z wściekłości i frustracji, które nie miały ujścia, a przed oczami tańczyły płomienie. Być może dlatego minęła chwila, nim uświadomił sobie, że nie jest już sam.

Przez uchylone drzwi u góry schodów wpadało nieco wieczornego blasku. Po stopniach, człapiąc chodakami, zszedł ojciec Bonifacy. Rycerz, tknięty nagłą nadzieją, zdusił w sobie furję.

– Ojcze! – wyszeptał. – Bóg mi cię tu zesłał! Myślałem, że wciąż przebywasz w Mdinie, że...

Ojciec Bonifacy zatrzymał się w pewnej odległości od krat i splótł dłonie w szerokich rękawach habitu. Jego twarz, niemłoda, ale wciąż silna,

stateczna, pozostawała nieporuszona niczym wykuta z kamienia. Oczy, osobliwie żywe, wydawały się wręcz przewiercać rycerza.

– Ojczy! – nie ustawał Bruno. – Może ty jeden zgodzisz się mnie wysłuchać? Wszak okazałeś mi już raz cierpliwość... Nie wiem, do kogo się zwrócić, by udowodnić swą niewinność. Padłem ofiarą spisku i...

– Nie wydzieraj się – odparł cichym głosem Bonifacy.

Zaskoczony jego słowami Bruno zamrugał. Naraz uświadomił sobie, że duchowny zatrzymał się w takiej odległości, by rycerz nie zdołał go pochwycić za habit, a spoglądał nie tyle na niego, ile przez niego.

– Nie wydzieraj się – powtórzył. – Bo każę cię zakneblować.

Bruno, wsparty na prętach, dyszał ciężko.

– Ojczy, nie wierz oskarżeniom, które na mnie spadają! – wyszeptał. – Nie wierz im. Wysłuchaj mnie! Ja... Ja chcę się wypowiedzieć!

– I co ja z tobą zrobię, Scozzi? – szepnął Bonifacy, jakby nie usłyszał prośby. Kąciki jego ust, mocnych i zaskakująco młodych, uniosły się lekko, jakby mimowolnie się uśmiechnął. – Diabli nam tego Malatestę nadali... Nie masz pojęcia, czego on się teraz domaga...

Bruno znieruchomiał, wpatrzony w duchownego.

– Zupełnie niepotrzebne zamieszanie – ciągnął duchowny. – Wszystko to jest zbyteczne, doprawdy. Dlaczego nie posłuchałeś dobrej rady, Scozzi? Dlaczego z pokorą nie pogodziłeś się z moimi słowami? Dlaczego nie zapomniałeś o swoich przeklętych, diabelskich korzeniach? Mógłbyś nadal wieść spokojne, uporządkowane życie pod czujnym okiem wielkiego mistrza, ty narowisty kretynie!

Przez krótką chwilę Bruno ludził się, że za słowami duchownego stoi zwykłe współczucie, ale dodana na końcu inwektywa odebrała mu resztę nadziei, a w takich chwilach, jak to zwykle bywało, w sercu rycerza obudziła się złość.

– Niestety, życie nie jest takie proste, jak chcieliby pasterze naszego Pana – wycedził, zaciskając dłonie na kratkach. – Byłem gotów machnąć ręką na swą przeszłość i spróbowałem nawet wypełnić rycerski obowiązek, ale chyba nikt tego specjalnie nie potrzebował, a wielki mistrz już najmniej. A chwilę później o moich korzeniach przypomniał mi pewien ożywiec ze szczęką rozbitą bełtem z kuszy. To znaczy nie tyle on sam, bo jego ciało wyrzuciliśmy do morza, ale ktoś, kto narzucił mi

swą wolę. W rezultacie owych wydarzeń znalazłem się tutaj. Przykro mi, że cię, ojczy, rozczarowuję.

- Gdybyś naprawdę starał się o wszystkim zapomnieć - Bonifacy odsonił zęby w drapieźnym uśmiechu - przestałbyś wypytywać starszych braci zakonnych o swą przeszłość.

Zaskoczony Bruno przez moment nie mógł złapać tchu. Przed oczami znów stanął mu hiszpański rycerz czeszący swego konia w stajni pod Mdiną oraz jego rada, która...

- Jesteście w znowie! - wypalił. - Ty i Alejandro! O co wam dwóm chodzi? Chryste, bądźże mi świadkiem! Ja naprawdę nic o tym nie wiem! Pewnie... - Urwał, dyszał ciężko. - Nie wiem, kim jesteście i co was nawiedziło, ale pewnie ubrdaliście sobie, że skrywam jakiś wielki sekret i... i trzeba mnie upokorzyć, by nikt nigdy nie wziął mnie na poważnie! Piekło i szatani, ja nic nie wiem! - wypluł duchownemu w twarz. - Wszyscy jesteście w błędzie! Ty, Alejandro, Malatesta, wszyscy!

- Wrzaśnij raz jeszcze, a rozmowę dokończymy jutro! - syknął nieporuszony duchowny. - Po tym, jak odzyskasz przytomność. Bo ja czasu mam wiele - dodał z dziwnym uśmieszkiem, a potem milczał przez moment, przesywając drżącego więźnia wzrokiem. Po chwili jednak podjął: - Swoje wnioski zachowaj dla siebie. Mnie one nie interesują, choć trzeba przyznać, że nie mylisz się do końca. Zaistniały względy, dla których należało ci odebrać wiarygodność. O wiele łatwiej byłoby cię zabić, ale zabójstwo to ryzykowna sztuka, a żyjemy na małej wyspie. Tu nawet kamienie mają oczy. Twoi bracia niechybnie wszczęliby dochodzenie, które mogłoby ujawnić za dużo, stąd uznaliśmy, że lepiej będzie pokazać zakonowi prawdziwego wiedźmiego syna.

Zamyślił się. Bezwiednie wysunął dłonie z rękawów i tarł przez moment jedną o drugą. W półmroku na palcu duchownego błysnął pierścień.

- I poszło idealnie. Do momentu, gdy napatoczył się twój przeklęty stryj.

Bruno jeszcze mocniej zacisnął dłonie na prętach, a z jego gardła wyrwało się zwierzęce wycie. Bonifacy spojrział na niego niemalże z rozbawieniem.

- A więc nie połączyły was cieplejsze uczucia? Cóż, nie moja sprawa. Trzeba ci wiedzieć, chłopcze, że twój stryj nie jest byle kim. To słynny

Malatesta Scozzi, pułkownik i kondotier, przez kilka miesięcy służący samemu papieżowi Pawłowi, a inkwizycji niemalże od chwili jej powstania. Trudno o człowieka, który gorliwiej zwalczałby herezję w północnych Włoszech, przy czym, co cię zapewne nie zdziwi, od zawsze przedkładał miecz i żagiew nad spory doktrynowe.

Spojrzał z udawaną powagą na sińce na twarzy młodzieńca.

– Ach, widzę, że zdołał ci to już udowodnić. Cóż, tak ofiarnego i nieprzejednanego sługi Stolicy Apostolskiej nie możemy po prostu zlekceważyć czy też odprawić. Musimy zaspokoić jego żądania, wiesz?

– Mam głęboko w dupie... – zaczął Bruno, ale duchowny przerwał mu ostrym syknięciem.

– Temat tego, co masz lub czego nie masz w dupie, chętnie rozwinę podczas tortur – oznajmił. – Bo tak się ponuro składa, chłopcze, że tego się właśnie domaga twój stryj. Byśmy ogniem, egzorcyzmem i modlitwą przegonili z ciebie diabła, a potem latami lochów utrwaliли pokorę wobec potęgi Stwórcy.

– Co cię powstrzymuje? – wycharczał Bruno. – Mówią, że inkwizycja lubuje się w ogniu, egzorcyzmach i modlitwie, ze szczególnym naciskiem na to pierwsze. Czemu miałbyś pozostać w tyle za konfratrami, drogi ojczu? Wszak masz prawdziwego wiedzmięgo syna w swoich szponach!

– Nie mam na to ochoty – przyznał Bonifacy. – Ani też czasu, jeśli mam być z tobą szczerzy. Niemniej musimy zadośćuczynić twojemu dzielnemu stryjowi, który zresztą pielęgnuje jeszcze jedną fantazję. Podczas sakramentu spowiedzi wyznał mi, że szuka pewnego skarbu, ongiś należącego do jego brata, a twego ojca, skarbu na wskroś grzesznego, do którego rzekomo masz dostęp. Prawda to?

– Nie.

– Oczywiście. – Przez usta Bonifacego przemknął krzywy uśmiech. – Żeby jednakże się od twego stryja rychło uwolnić, proponuję, byś nie opierał się torturom długo i wyznał, że skarb znajduje się w jaskiniach niedaleko zatoki Ghar Lapsi na południu wyspy. Ja zaś dołożę wszelkich starań, by słynny Malatesta Scozzi otrzymał to, czego szuka, i powrócił do Włoch, gdzie pod jego nieobecność herezja już nader się rozpleniła.

Bruno w odpowiedzi wyduł pogardliwie usta, na co duchowny dodał:

– Przechwałek i wyzwisk sobie, chłopcze, oszczędź. Mnie też. Bo tak się składa, że do ognia mamy tyle samo cierpliwości co do modlitw i egzorcyzmów, a do twej dupy, co raczyłeś podsunąć, możemy wepchnąć mnóstwo rzeczy. W tym również rozgrzanych do białości. Wyznaj to, co ci właśnie powiedziałem, Scozzi, a przysięgam, że od tej pory będziesz się cieszył życiem może mało dostatnim, ale przynajmniej spokojnym.

Bruno oddychał chrapliwie, pospiesznie.

– Kim ty, do diabła, jesteś? – wyszeptał w końcu.

– To akurat jest dla ciebie bez znaczenia – odparł duchowny i się odwrócił. – Zastanów się dobrze.

Twarz Malatesty Scozziego była absolutnie nieporuszona, choć bruzdy między gęstymi brwiami wydawały się głębsze niż dotychczas, zupełnie jakby pogrążony był w intensywnej zadumie. Jego oczy co rusz omiatały więzy na kostkach i nadgarstkach posadzonego na krześle Brunona, jak gdyby się obawiał, że ten może uciec i pozbawić go wyczekiwanej od dawna przyjemności, a potem znów kierowały się ku jego twarzy.

Młody rycerz obdarzył go najpaskudniejszym ze swoich uśmiechów.

Wiem, pomyślał. Życzysz sobie, bym zaczął wrzeszczeć. Bym się miotał ze strachu, lżył wszystkich naokoło, przywoływał demony i toczył pianę z pyska. Cóż, niedoczekanie, drogi stryjku. Będę milczał tak długo... Cóż, tak długo, jak się da.

Nie mógł bowiem nie patrzeć na rozżarzone węgle, w których wysoki, postawny sługa, mimo półmroku noszący kaptur, umieścił już kilka stalowych przedmiotów, od pogrzebacza przez noże po igły.

– Módlmy się – zaintonował ojciec Bonifacy, a jego mocny głos odbił się echem od ścian celi. – Módlmy się o duszę naszego brata Brunona, którą pochwycił i splugawił demon.

Malatesta pochylił głowę i z namaszczeniem wykonał znak krzyża.

– Módlmy się o oczyszczenie duszy tego młodzieńca z win i grzechów. Módlmy się o to, by odnalazł w sobie pokorę wobec Bożej łaski i pozwolił Stwórcy napęłnić swoje serce miłością i zrozumieniem. Módlmy się.

Malatesta wsparł Bonifacego w modlitwie. Dołączył do nich sługa, co rusz przebierający wśród syczących węgli.

– *Pater noster, qui es in caelis, sanctificetur nomen tuum...*

Bruno ledwie słyszał trzy połączone w modlitwie głosy, gdyż jego uwagę w całości pochłonęły ostre przedmioty wśród węgla. Niemalże widział, jak stał zmienia kolor pod wpływem gorąca, niemalże czuł już ich żar na skórze. Po skroni wędrowały mu krople potu, z uszu ściekały kolejne.

Wytrzymam, powtarzał w myślach. Przerazenie, rozpacz i wściekłość zlewały się w jego sercu w szalony wir, tak gwałtowny, iż lada moment groził utratą przytomności. Wytrzymam, bo muszę. Bo nic innego mi nie pozostało. Bo jedyne, co mogę zrobić, to napsuć trochę krwi tej gadzinie!

Wbił nienawistny wzrok w Bonifacego, który wolno, z namaszczeniem wykonywał znak krzyża, a potem przeniósł spojrzenie na Malatestę. Surowe oblicze stryja zadrżało, gdy znad węgla buchnęło rozgrzane powietrze.

– Spłoniesz – wycedził Bruno. – Sam spłoniesz, ty...

Bonifacy podszedł bliżej i smagnął go dłonią po policzku. Zapiekło. Błysnął pierścień na palcu.

– Jaskinie niedaleko Ghar Lapsi – szepnął ledwie słyszalnie, po czym dodał mocnym głosem: – Módlmy się, by Zbawiciel nasz wejrział łaskawym okiem...

Służący ujął niewielki miech i dmuchnął kilkakrotnie na węgle, wśród których roztańczyły się płomienie. Bruno skupił na nich wzrok, a te niespodziewanie zaczęły rosnać i potężnieć.

– Wytrzymam – szeptał. – Wytrzymam. Niech cię szlag, Bonifacy, niech cię demony za pysk po piekle wleka, niech...

Znów poczuł piekący ból policzka, ale nie widział już księdza, bo przesłoniły go płomienie, coraz wyższe, huczące, groźne. Nie bał się ich jednak. Wiedział, że przy tym, co go niebawem czeka, każda wizja, nawet najstraszliwsza, będzie tylko chwilą wytchnienia.

– Wytrzymam... Na przekór wam wszystkim...

Spomiędzy płomieni nadbiegł kobiecy krzyk, niezrozumiały, ale znany mu, choć tym razem zawarty w nim lęk miał nieco inny posmak. Zupełnie jakby... jakby kobieta bała się o niego.

Uśmiechnął się lekko, sennie. W takich chwilach każde wsparcie było na wagę złota, nawet to, które przynosiły senne majaki.

Chyba oberwał po raz kolejny, bo potylicą uderzył w oparcie krzesła, a z wargi pociekła mu kropla krwi.

- Wytrzymam...

Krzyk się urwał. Naraz pojawiła się para szczupłych dłoni, które rozgarnęły płomienie, jak pływak odsuwa od siebie wodorosty, i Bruno ujrzał kobiecą twarz, przepiękną, drobną, z wielkimi ciemnymi oczami, drżącymi od przepelniających je łez. Czarne włosy falowały, trącane niewidzialnym wiatrem, a usta poruszały się, szepcząc słowa, których nie słyszał i nie rozumiał.

Wystarczało, że są kierowane do niego. Że wspierają.

Wizja rozmyła się nieco i Bruno ujrzał Bonifacego z krzyżem w dłoni.

- Wyznaj swe grzechy! - domagał się grzmiącym głosem duchowny. - Wyłóż swe winy wobec majestatu Stwórcy, którego jestem marnym reprezentantem na tym grzesznym padole! Wyznaj, gdzie ukryłeś skarb swój, grzechów siedlisko, dowód łaski diabła!

Malatesta pochylił się w oczekiwaniu na odpowiedź. Bruno przełknął ślinę.

- Śluby zakonne przyjąłem i w zgodności ze słowem Bożym żyję - wychrypiał. - Przeto wstyd się przyznać...

Bonifacy ledwie zauważalnie wywrócił oczami. Malatesta zrobił krok.

- Ale przez skromność skarb mój największy ukryłem i skrywam nadal. - Bruno mówił coraz ciszej, zmuszając księdza i kondotiera, by zbliżyli się jeszcze bardziej. - Skoroście tacy ciekawi, tedy proszę, zajrzyjcie. Podotykać sobie nawet możecie. O, tu jest, niedaleko.

Skinął głową w kierunku swych kolan.

- W moich portkach.

Zahuczały płomienie. Bruno widział, jak tajemnicza kobieta śmieje się przez łzy, ale dostrzegł też, jak Bonifacy daje znać słudze, a ten wyciąga z węgli długi nóż z rozżarzoną ostrzem i podchodzi bliżej. Blask padał na jego oblicze, bez wątpienia orientalnego. Cień kaptura zakrywał paskudne, niezagojone rozcięcie na szyi.

- Wybacz - szepnął cicho osobliwą, znaną mu skądś francuszczyzną i przybliżył ostrze do twarzy rycerza.

Nie bolało aż tak bardzo, ale w końcu i tak zemdłał.

Z przepelnionego nieprzyjemnymi majakami snu wyrwał go czyjś strapiiony głos:

– No dobra, dobra... Tylko co teraz? Kompletnie tego nie przemyślałem. Chyba... chyba powinienem wiedzieć coś więcej o doktrynie tych heretyków! Gdybym cokolwiek wiedział, mógłbym chociaż pokrzykiwać teraz przez kraty... Nie, ale się wpackowałem...

Głos był znajomy, tak bardzo znajomy, że Bruno w pierwszym odruchu uznał go za ciąg dalszy snu. Wszak słyszał ich wszystkich – Bonifacego, de Homedesa, brata Bellamy’ego, a nawet Philippe’a de l’Isle-Phelleta – których twarze co rusz otaczały go w sennym koszmarze i wykrzykiwały kolejne oskarżenia. Z każdą chwilą docierały do niego nowe bodźce, które zdradzały mu, że sen nieodwołalnie dobiegł końca. Gdy już wiedział, że leży na twardej pryczy w swojej celi, a jego ciało promieniuje bólem z kilkunastu poparzeń, zrozumiał również, że głos, który słyszy, jest prawdziwy.

– Co ty tu robisz? – wychrypiął i podniósł się na łokciu mimo protestów wszystkich swoich ran.

Miotający się po sąsiedniej celi drobny człowiek o rozbieganych oczach, którego najpierw wziął za giermka kawalera de Villegagnona, a potem ujrzał z tamburynem na ulicy Mdiny, urwał tyradę i spojrzał na Brunona z zaskoczeniem, które uderzyło młodzieńca jako nazbyt wystudiowane, by mogło być szczere.

– Brat Bruno! Znów się spotykamy! Cóż za miła niespo... Eee, wybacz lapsus. Niespodzianka jest oczywiście niemiła, bo obaj wylądowaliśmy w lochach inkwizycji, niemniej miło jest ujrzeć znajomą twarz. Nawet taką ciut poturbowaną.

Bruno odruchowo dotknął posiniaczonego policzka oraz rozbitej, opuchniętej wargi, a potem ostrożnie musnął palcem poparzenie na szczęce. Zaciśnął zęby, gdy przeszył go kolejny spazm bólu.

– Mocno tu leją? – spytał z zatroskaniem ni to giermek, ni to muzykant.

– Z przekonaniem – rzekł rycerz.

– A z jakiej okazji? Bom ja heretyk i mi się w sumie należy, ale tyś prawy rycerz i święty zakonnik. – Rozmówca Brunona zmrużył oczy. – Jakże to tak? Czyżby naszemu biskupowi słońce maltańskie zaszkodziło?

– Biskup najwidoczniej bawi gdzieś indziej, bo nie ma w sprawę wglądu. Jego obowiązki przejął niejaki *padre* Bonifacy, który... Cóż. – Rycerz zaciśnął mocno usta.

– Słusznie, słusznie – dobiegł go szept z sąsiedniej celi. – Nawet w lochu inkwizycji nie wypada gadać o inkwizycji. Bo swoje usłyszą, a resztę wycisną na torturach. A co do słońca, to mam wrażenie, że wszystko przez te tonsury. Gdyby nie golili łbów, może mniej by ich przyżyło i normalniejsi by byli.

– Może. – Bruno tracił już ochotę do rozmowy.

– To za co cię dopadli? – indagował współwięzień. – Rąbnałeś się w *Pater noster*? Na mokrym śnie cię przyłapali?

– A ciebie? – westchnął Bruno i wyciągnął się na pryczy. – Niech no zgadnę... Tyle gadasz, że wszyscy okoliczni kaznodzieje poczuli się zagrożeni?

– Nie, skąd! – Współwięzień wypiął pierś. – Ja prawy heretyk jestem. Protestant, się znaczy. Niedoszły, prawdę ci wyznam – zmiłogował się. – Z całego serca chciałem się dowiedzieć, o co chodzi z tymi herezjami, i po przybyciu do Birgu zabrałem się do pracy, ale chyba zabrałem się od złej strony. Chodziłem po mieście i pytałem, czy ktoś ma może Biblię po francusku na sprzedaż, ale wszyscy jakoś dziwnie na mnie patrzyli i odwracali się. Jeden czy dwóch nawet wzięło nogi za pas!

– I nie skojarzyłeś – Bruno odkrył, że ostry ból oparzeń potęguje jego sarkazm do rozmiarów, jakich wcześniej nie znał – że znalazłeś się na wyspie, którą włada zakon rycerski podległy samemu papieżowi? Banda tak bardzo podejrzliwa i zazdrosna, że nawet świętej inkwizycji trudno się tu wcisnąć? Tonsury u ciebie nie widzę, ale słońce też musiało ci zaszkodzić.

– To z tego powodu? – ucieszył się współwięzień, który najwyraźniej nie zarejestrował kąśliwej uwagi. – A ja już myślałem, że to przez brak forsy...

Bruno zacisnął zęby i czekał, aż przygaśnie szczególnie długa fala bólu, a potem znów odwrócił się ku rozmówcy. Zaskoczyło go to, że choć rozpoznał jego głos, a raczej sposób mówienia, w żaden sposób nie potrafiłby opisać jego oblicza. Twarz miał raczej drobną, włosy liche, rozczochrane, usta wąskie, policzki pokryte niedbałym zarostem, czoło brudne, podbródek nijaki, a oczy... Oczy nieznamy miał mętne, chyba niebieskie, ale tak rozbiegane, że trudno to było stwierdzić. Wyglądał, jakby usiłował spojrzeć na kilka rzeczy jednocześnie, co w jego interlokutorze wywoływało niepokój oraz przemożną chęć, by przerwać

wszelki kontakt. Bruno, choć nie miało to logicznego uzasadnienia, ucieszył się, że dzielą ich dwa rzędy krat.

– Masz jakieś imię? – spytał. – Kawaler de Villegagnon nazwał cię chyba Augustin.

– Chyba tak – odparł niepewnie człowiek o rozbieganym spojrzeniu. – Ale może być Claude.

– Dobrze. Niech będzie Claude. Posłuchaj dobrej rady, choć nie wiem, czy będziesz jeszcze miał okazję z niej skorzystać. – Bruno dźwignął się na łokciu. – Przy spotkaniu z miejscowym inkwizytorem, *padre* Bonifacym, bij się w pierś, szlochaj, błagaj o wybaczenie za własną głupotę i ciesz się z każdej pokuty, nawet gdyby kazał ci wylizywać kozie dupska. I wróć lepiej do walenia w tamburyn.

– Nudne to było – stwierdził Claude. – A służba u kawalera de Villegagnona okazała się... cóż, mało rozwojowa. Dyplomata, taka jego mać, a dobrych rad nie chciał słuchać.

Słyszac miano kawalera, Bruno, mimo potężniejszego bólu, dźwignął się do pozycji siedzącej.

– Ty, Claude, posłuchaj no mnie – syknął. – I dobrze się zastanów nad odpowiedzią. Długo u niego służyłeś?

– Trzy miesiące będzie – padła odpowiedź. – Cztery może. Nuda jak cholera. Przedstaw sobie, że...

– Cicho bądź. Czy zauważyłeś u niego może... No, coś dziwnego. Jakieś przejawy... Zaraza, jak to ująć... No, osobliwych zainteresowań.

– Że niby się za męskimi tyłkami ogląda? – podchwycił z zachwytem Claude. – Cóż, jeśli tak, to na okres mojej służby musiał sobie przerwę zrobić, bo nie...

– Ja nie o tym! – rozzłościł się Bruno. – Widziałeś u niego jakieś grymuary może? Amulety, talizmany, zwoje z wiedzą tajemną, suszone żaby, magiczne lustra... Cholera, sam nie wiem! Cokolwiek, co by świadczyło, że się z nieczystym obwachuje?

Claude spowaźniał.

– Kawaler Nicolas de Villegagnon to nudziarz, ale zacny człek i nie dam ci go na torturach oczernić – oznajmił.

– Przed jego kwaterą w Mdinie, tą samą, do której wskazałeś mi drogę, czuwał pewien wojownik – wycedził powoli Scozzi. – Na moje oko

ożywienie. Chwilę później ktoś wyrzeszczał inkantację, po której zjawił się kataloński bies. Chcę wiedzieć, kto za tym stoi, Claude. Mówże więc. Po twojemu de Villegagnon byłby do tego zdolny?

– Dla de Villegagnona ten świat trochę jest przyciasny – odparł powoli Claude. Bruno zeszywniał, ale współwięzień nie przerywał. – W zaświaty jednak nie zagłada. Cięgiem o Ameryce mówi i wyprawę wielką tam umyśla. Nic z rzeczy, o których mówisz, u niego nie widziałem, choć zdarzało się, że żaby kroił z ciekawości. Nazywał to naturalną filozofią, wystaw sobie.

Bruno ułożył się na pryczy.

A więc kto? Alejandro? Może to on postawił owego truposza przed domem de Villegagnona? – pomyślał. Ale po co? By mnie zatrzymać? Zmylić? Pojmać do niewoli?

– Ani to naturalne, ani filozofia – ciągnął Claude. – A Ameryka... Co tam jest takiego ciekawego? Spójrz na taką Malte... Na każdym kroku kryje się wyzwanie.

– Fakt – westchnął kpiąco Bruno. – Nie jest łatwo o wyspę, na której trudniej zostać heretykiem.

– Źle się do tego przygotowałem. – Claude uderzył pięścią o kraty.

– Masz coś z głową.

– To nieprawda – obruszył się współwięzień. – To, że świat za mną nadaża, nie oznacza, że jestem stuknięty. Pogadajmy może lepiej o tobie. – Jego oczy dziwnie błysnęły. – Jak doszło do tego, że tu trafiłeś, co? Opowiesz mi? Proszę, opowiedz. Co masz do stracenia?

Przez następne dni Bruno dokonał kilku odkryć. Po pierwsze, odmawianie piętnaście razy *Pater noster* na dobę, co surowo nakazywała reguła, nie przynosiło mu żadnego wytchnienia, a więc równie dobrze mógł tej praktyki zaniechać.

Po drugie, okienko umieszczone wysoko nad jego pryczą wychodziło prosto na ulicę Birgu. Słyszał szczekanie psów, tupot kopyt, skrzypienie osi wozów, śmiechy, a nawet rozmowy po maltańsku, ale zwykły ów świat – zdawać by się mogło, leżący za ledwie na wyciągnięcie ręki – był dlań całkiem niedostępny. Raz czy dwa przemógł się i próbował wołaniem przywabić kogoś do siebie, ale rozmowy zaraz cichły i rycerz słyszał

jedynie oddalające się pospiesznie kroki. Opadał wówczas na łóżko i uświadamiał sobie, że właśnie wzbogacił o kolejny szczegół ponurą legendę otaczającą pałac biskupi.

Po trzecie, towarzystwo Claude'a, choć męczące, miało swoje zalety. Słuchając jego paplaniny, Bruno utwierdzał się w przekonaniu, że jemu samemu wcale jeszcze nie odbiło do szczytu. Co ważniejsze, na moment zapominał o własnym losie, zwłaszcza gdy Claude rozwodził się na temat swojej nie do końca jasnej roli w rozwoju pewnego zamtuza w Tuluzie.

Po czwarte, nadal nie rozumiał kabały, w którą wplątał go los, bo bez względu na to, jak łączył fakty i spostrzeżenia, na końcu zawsze wychodziło coś nieprawdopodobnego.

Po piąte, do bólu przyzwyczać się nie mógł.

– Wytrzymam – szeptał ledwie słyszalnym głosem.

– Nie wytrzymasz – nadpłynął szept Bonifacego. – Im dłużej będziesz się opierał, tym mniej będę mieć cierpliwości i tym więcej bólu ci przysporzę. Zrób to, co ci każę, Scozzi. Przypomnij sobie o grocie w Ghar Lapsi.

– Nie – wycharczał.

– Nie? A dlaczego nie?

– Bo cię nienawidzę. I choć nie wiem, o co ci chodzi, nie ugnę się przed twą wolą.

– Przez nienawiść?

– Wystarczy.

– Jak sobie życzysz. *Pater noster, qui es in caelis...*

– *Sanctificetur nomen tuum* – podjął chropowatym głosem Malatesta Scozzi i przysunął się bliżej, ewidentnie zafascynowany kolejnym odcinkiem spektaklu, który miał się rozpocząć na jego oczach.

– *Adveniat regnum tuum*¹ – dołączył sługa, Maur o smutnej twarzy, który obracał ostre przedmioty wśród węgla. Wyjmował jakieś rozżarzone ostrze, czasem spojrzeniem, a czasem ledwie słyszalnym szeptem prosił o wybaczenie i rozpoczął pracę.

Bruno zaś znów zaciskał powieki i przywoływał całą swą siłę woli, by nie wrzeszczeć, nie płakać, nie rozpaść się całkiem.

Wtedy z ciemności wyłaniała się zjawa o przepięknej twarzy i oczach drżących od rozpacz. Obejmowała go, otulała.

Bolało trochę mniej.

– Jaki skarb? – dobiegło z otchłani.

Bruno z trudem rozchylił posklejane powieki i przez chwilę leżał, wpatrzony w ciemność celi, skupiony jedynie na chrapliwym oddechu. Ciało miał obolałe, usta suche, popękane, oczy piekące. Myśli napływały do głowy leniwie, niechętnie, niczym syte ryby do kolejnego ochłapu wrzuconego do wody.

– Wyraźnie słyszałem – dodał podekscytowany głos. – O skarbie żeś gadał!

– Nie ma... – Bruno rozkaszał się sucho. – Nie ma żadnego skarbu.

– No, to żeś właśnie po prawdzie przez sen gadał. – Głos zmarkotniał. – Że nic nie ma. I mają się od ciebie odpieprzyć. Szkoda trochę.

Była noc, na dworze huczały cykady. Skądś dobiegały chóralne śpiewy, pamiątka z nieistniejącego już życia.

Bolało.

– Idź spać, Claude. – Bruno zamknął powieki. – I nie słuchaj majaków śpiących. A przynajmniej nie bierz ich na serio.

– Jesteś tego pewien? – spytał Claude cicho, z namysłem.

– Czego? Że nie warto słuchać bredzenia?

– Że nie ma skarbu. Bo coś za dużo...

– Idź spać, Claude.

– Nieważne. Mam nadzieję, że tego nie pożałujemy.

– Czego? – Bruno odepchnął na moment powracającą, coraz bardziej natarczywą senność.

Wszelką odpowiedź – o ile jakaś miała nastąpić – zagłuszył chrzęst kruszącej się ściany. Podłoga celi zadygotała gwałtownie, chrzęst się nasilił, do wnętrza zaś buchnęły kłęby duszącego pyłu. Bruno zerwał się błyskawicznie, zapominając o bólu i skaleczeniach, a dwa uderzenia serca później jego pryczę rozgniół olbrzymi kęs spadającego piaskowca.

– Co się dzieje?! – wrzasnął, cofając się do kraty.

Bardziej wyczuł, niż ujrzał, że drzwi do lochów otwierają się i do środka, dzierząc pochodnię, wpada służący Bonifacego. W biegu kaptur zsunął mu się z głowy, a blask ognia uwydatnił nieporuszoną twarz z paskudną blizną na szyi. Blizną po ranie, której nikt nie jest w stanie przeżyć. Brunonowi wydawało się, że sługa go spostrzegł, bo zwolnił na

chwilę i podniósł rękę, jakby chciał zasłonić ranę, ale rycerz nic więcej nie zobaczył.

Nad jego głową pękło nadproże i człowiek – czyżby kolejny ozywieniec? – znikł pod zwałami kamieni.

Tymczasem ściana od strony ulicy kruszyła się i waliła, buchając kolejnymi falami duszącego pyłu. Niewidoczny Claude wrzeszczał – trudno powiedzieć, z zachwytu czy przerażenia – aż rozkaszał się na potęgę, a potem łoskot na moment umilkł.

I wtedy z powstałej wyrwy, wciąż zamaskowanej rozchodzącymi się tumanami, dobiegł głos, którego Bruno bynajmniej nie spodziewał się usłyszeć:

– No, to niezłe trzęsienie ziemi zafundowałem jego ekscelencji – wychrypiał Hugo Onfroi, wciąż jeszcze niewidoczny. – Hej, jesteś tam jeszcze? Długo mam na ciebie czekać?

Długo nie czekał.

1 *Adveniat regnum tuum* (łac.) – Przyjdź władanie Twoje (przyp. red.).

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Bruno ledwie mógł chodzić, o bieganiu nawet nie mówiąc, zatem Hugo oraz Claude, który również zdołał się wyslizgnąć, złapali go pod ramiona i pospiesznie powlekli w kierunku przystani rybackiej. Na ulicach zapanowało istnie szaleństwo – nikt jak dotąd nie zwrócił uwagi na to, że wstrząsy ograniczyły się do jednej ściany pałacu biskupiego, i wieść o tym, że Birgu nawiedziło trzęsienie ziemi, przedostała się już daleko za mury miejskie. Nad ulicami niosły się okrzyki przerażenia, modlitw i sprzecznych rozkazów. Tu i ówdzie pojawiały się drużyny zdezorientowanych mężczyzn z wiadrami, drabinami i bosakami, gdzieś przemknął oddział milicji, ktoś pospiesznie ładował dobytek na wóz, ktoś inny, najwidoczniej noszący się z podobnym zamiarem, próbował opanować spłoszonego osła. Atmosferę zagrożenia potęgowało złowieszcze dudnienie dzwonów kościoła Świętego Wawrzyńca, którym odpowiadała dzwonnica nad fortem Świętego Anioła.

Claude i Hugo Onfroi wykorzystali zamieszanie z wprawą, która sugerowała, iż w przeszłości często salwowali się ucieczką. Ów domysł potwierdzili w samej przystani, gdzie czekał na nich małowówny Maltańczyk, który natychmiast doprowadził ich do swej łodzi. Nim Bruno zdołał wyartykułować choć słowo, znalazł się na stosie cuchnących rybami sieci, a miejscowy rybak odepchnął łódź bosakiem od kamiennego nadbrzeża.

Wkrótce znaleźli się na spokojnych, atramentowoczarnych wodach Wielkiego Portu i sunęli na północ pod bezgwiezdnym niebem.

Maltańczyk mruczał coś pod nosem. Claude pogwizdywał. Nad wodą niósł się słabnący już łomot dzwonów.

- Da ktoś... - wychrypiał Bruno. - Da ktoś radę mi to wszystko wytłumaczyć?

- Chodzi ci o to, w jaki sposób cię uwolniliśmy? - wysapał Hugo Onfroi, który leżał nieopodal i dochodził do siebie po biegu. - Czy może po co to zrobiliśmy?

- O obie te rzeczy - westchnął młody rycerz.

- Uzbrój się jeszcze w odrobinę cierpliwości - polecił mu Francuz i wskazał wzrokiem rybaka.

Wnet okazało się, że jego ostrożność idzie jeszcze dalej. Maltańczyk wpłynął do sąsiedniej zatoki, gdzie wysadził ich niedaleko malutkiej rybackiej wioski, leżącej na północnym wybrzeżu. Hugo wręczył mu kilka srebrnych monet, odczekał, aż odpłynie, po czym wspólnie z Claude'em zaprowadził Brunona do wioski, gdzie bezceremonialnie obudził innego rybaka i wcisnął mu do ręki pieniądze.

- Tyle mniej więcej były warte zakonne chabety - oświadczył półprzytomnemu Brunonowi. - Gdybyś, rzecz jasna, chciał dociekać.

Mrok na horyzoncie ustępował już jasności świtu, gdy całą trójką zleźli w przybrzeżną płyciznę w zatoce Mellieha na północy wyspy. Hugo rzucił kilka monet uszczęśliwionemu rybakowi, po czym, człapiąc w wodzie, ruszyli w stronę plaży. Claude zatrzymał się jeszcze na moment i odprowadził Maltańczyka wzrokiem.

- To chyba nietrudne, takie machanie wiosłami - mruknął ni to do siebie, ni to do kompanów. - Dałbym radę. Samo łowienie zaś...

- Chodź już - warknął na niego Hugo. - Zaraz wstanie słońce, a ja już dość mam pieprzonego prażenia się. Doprawdy - podjął, gdy znaleźli przybrzeżną skałę na tyle wysoką, by jej cień objął całą trójkę. - Pomyślałby kto, że te przeklęte zakute łby wybrały tę wyspę po to, by móc więcej cierpieć na chwałę Pana. Na sandały Świętego Krzysztofa, przecież w tych upałach nawet mojej mateczce odechciałoby się mordą kłapać.

Usiadł z rozmachem pod skałą i ułożył sobie na kolanach pękaty worek. Bruno, posykując, usadowił się obok niego, a Claude przysiadł na głazie i wpatrywał się w coraz dalszą łódź.

- Czy to ten moment naszej opowieści - zaczął cicho Bruno, oglądając oparzeliny na przedramionach - kiedy ktoś z was stwierdza: „Znam się na opatrywaniu ran i przypadkowo mam również wspaniałą maść, która ci pomoże”?

- Nie. - Hugo zajrzał do worka i wsadził do niego rękę. - To ta część opowieści, w której mówisz: „Jestem wam niebywale wdzięczny za ratunek, przyjaciele. Nigdy wam tego nie zapomnę i zrobię dla was wszystko”.

- Jestem wam niebywale wdzięczny. - Bruno uśmiechnął się z trudem. - Naprawdę. Nie wiedziałem... Nie myślałem...

- Że w lochach inkwizycji czeka cię taki ubaw? - spytał Hugo nieco ostrzej, niż wypadało, ale Bruno nie wziął sobie jego ironii do serca.

- Chciałem się poddać - wyszeptał Bruno. - Już przestawało mi zależeć. Ból...

Znów urwał.

- Chciałeś się poddać - powtórzył Francuz. - I wszystko im powiedzieć, tak? Znaczą się; zdążyliśmy.

- I tak, i nie - wtrącił Claude, nadal wpatrzony w łódź, niknącą już na rozpalonym horyzoncie. - Bo nie ma żadnego skarbu.

- Że co? - Hugo, mrugając z niedowierzaniem, wbił wzrok w Brunona, który odetchnął ciężko i zacisnął powieki. - Jak to nie ma? To po co my, kurwa mać, narażamy...

- Udało ci się coś do żarcia ocalić? - przerwał mu Claude. - No, umieram z głodu. Pokaż, co tam masz.

- Jakoś mi się odechciało jeść - burknął Hugo Onfroi, wpatrując się z jawną niechęcią w młodego rycerza.

- A ja jakoś w to nie wierzę - rzekł Claude. - O, pomarańcza. Co ona taka... Usiadłeś na niej?

Bruno, zbyt obolały i zmęczony, by odczuwać głód, skubnął kilkakrotnie podaną mu kromkę, po czym ułożył dłoń na kolanach. Nadal nie otwierał oczu, wsłuchany w szum morza, pokrzykiwanie mew i ciamkanie dwóch towarzyszy, którego intensywność sugerowała, że Hugo bynajmniej apetytu nie stracił. Myśli i wnioski nadpływały wolno i łączyły się ze sobą.

- Czyli tu o to chodziło - powiedział z trudem, wciąż z przymkniętymi powiekami. - O skarb.

– Jeśli Bóg da – odezwał się Hugo, przełknąwszy potężny kęs – kiedyś zrobię dla ciebie to samo z przyjaźni. Przyjaźń jednakże, Bruno, rodzi się wolno i nierzadko w bólach. Nie dane nam jeszcze było jej wyhodować. A więc tak – dodał z narastającym gniewem. – Zadarłem z pieprzoną inkwizycją dla korzyści materialnych.

– A skąd, jeśli wolno spytać, dowiedzieliście się o owych korzyściach materialnych? – spytał Bruno powoli.

– Nie mówię po italsku – burknął Hugo. – Ale co nieco rozumiem. Za rozmową nadażam. Doskonale słyszałem, czego chciał od ciebie Turgut na onej galerze.

– A mnie się udało podsłuchać słowa pułkownika Scozziego – dodał Claude. – Stanowczo powinien zarzucić zwyczaj gadania do siebie i złorzeczenia swoim jeńcom. Wystarczyło na moment przestać grać na tamburynku i już wiedziałem więcej, niż chciałem.

– Sprytni jesteście. – Bruno się skrzywił. – Obaj, działając niezależnie od siebie, wyniuchaliście miejsce ukrycia domniemanej fortuny. I to, jak sądzę, ściągnęło was pod mury więzienia, tak? Tam się spotkaliście, podzieliliście informacjami i ułożyliście plan wyrwania mnie z niewoli?

Zmieszanie, nieco zawstydzone spojrzenia Hugona i Claude'a wskazywały, że nie pomylił się bardzo.

– Ale... – podjął Claude. – Ale i tak chcieliśmy cię uratować. Nie wiadomo, co skrywasz, ale szkoda tego dla inkwizycji!

– A ja jeszcze podrażę sprawę owych korzyści materialnych. – W głosie Hugona znów pojawiła się złość. – Twierdzisz, że zarówno osmański admirał, jak i italski kondotier, krewny twój zresztą, pojęcia nie mają, o czym mówią? Czy ty aby nie skrywasz czegoś przed nami, Bruno? Pojmuję, że może nie miałeś ochoty dzielić się sekretami z piratem i najemnikiem, ale my, do kurwy nędzy, żywot ci uratowaliśmy! Powiedz no więc raz jeszcze, Scozzi. Nie ma skarbu, tak? Nie ma?

– Nie miałem bladego pojęcia, o czym mówi Turgut. – Bruno rozchylił powieki i spojrzał z trudem na Hugona. Oczy miał przekrwione, szkliste z bólu. – A słowa mego stryja wydały mi się równie niezrozumiałe. I nadal nie wierzyłbym w istnienie żadnego skarbu, gdyby nie... Cóż, gdyby nie *padre* Bonifacy.

Hugo odsunął się nagle, jakby w twarz buchnęły mu płomienie.

- Ten inkwizytor? - syknął.

Bruno przeniósł wzrok na prażony słońcem lazur.

- Tenże sam - szepnął i uśmiechnął się krzywo, aż popękały mu spierzchnięte wargi. - Był gotów zrobić wszystko, by pozbyć się Malatesty. Kazał mi kłamać, że skarb rzekomo jest ukryty w Ghar Lapsi, tak jakby...

Przełknął z trudem ślinę. Hugo i Claude wpatrywali się w niego z napięciem.

- Zabiłby mnie. Na pewno by mnie zabił, ale potrzebował mnie, bym uwolnił go od Malatesty. Bym odwiódł go... Bym odwiódł go do Ghar Lapsi. Chciał, by stryj w istocie uwierzył, że wreszcie ów skarb odnalazł. By uznał swą misję za zakończoną. Piekło i szatani...

Znów milczał przez moment. Myśli powoli, ociężałe łączyły się ze sobą jak krople deszczu spływające po szybie.

- Nie mam pewności - powiedział mocniejszym głosem. - Ale coś w słowach inkwizytora każe mi wierzyć, że ów skarb jednak istnieje.

- Czyli jednak jest skarb? - zawahał się Claude.

- Teraz dochodzę do wniosku, że nie jest to wykluczone... - odparł Bruno. - I chyba on go ma.

- On? - spytał słabym głosem Hugo Onfroi. - Inkwizytor, znaczy się? Ten sam, któremu rozpieprzyliśmy kawał pałacu?

- Nie jemu - parsknął Bruno. - Pałac należy do biskupa. Też inkwizytora, że przypomnę.

Milczał przez moment.

- Pewne rzeczy zaczynają mi się układać w głowie - oświadczył naraz. - Ojciec Bonifacy chciał, bym się ukorzył przed potęgą inkwizycji i wydał rzekome miejsce ukrycia skarbu. Wówczas mój stryj uznałby, że jego zadanie dobiegło końca i odjechałby, co uwolniłoby Bonifacego od problemu. Tak, ten skarb chyba naprawdę istnieje. I Bonifacy w istocie musi trzymać na nim łapę.

Pokonując ból mięśni, odwrócił głowę ku Claude'owi.

- Jakes ty to ujął? Że nie wiadomo, o co chodzi, ale szkoda tego dla inkwizycji?

Zapytany skwapliwie przytaknął.

- Otóż to - sapnął Bruno i spróbował się podnieść. - Szkoda, psia mać. Pomóżcie mi wstać. Wracamy do Birgu.

Wieś, na którą trójka wędrowców natrafiła około południa, powitała ich martwą ciszą. Bruno, nie zważając na nic, podszedł do kwadratowej, kamiennej cembrowiny i spuścił w dół wiadro. Echo zwielokrotniło błogosławiony plusk. Młody rycerz z niemalym trudem wyciągnął wiadro i pił przez moment łączywie, po czym przekazał je spoconemu Hugonowi. Ten również zaspokoił pragnienie i rozejrzał się dookoła.

– Co tu się wydarzyło? – spytał chrapliwym głosem. – Tylko mi nie mów, że pomór.

– Raczej korsarze – sapnął Bruno. Płosząc jaszczurki, usadowił się ma kamiennym murku, oddzielającym podwórze od gaju ze zdziczałymi drzewami cytrusowymi. – Algierczycy. Łowcy niewolników. Cała północ kraju tak wygląda, a na Gozo jest ponoć jeszcze gorzej.

– Ponoć mieliście chronić tych ludzi – burknął Claude, który stał oparty o ścianę chaty, niemalże zasłonięty przez bujny krzak róż.

Bruno wzruszył ramionami i uśmiechnął się krzywo. Zawsze istniało coś, co przeszkadzało mu w zlaniu się w jedność z zakonem, ale mimo to jeszcze tydzień temu na takie słowa gotów byłby skrzyczeć śmiałka i okazać mu męstwo. Teraz czuł w sobie jedynie pustkę.

Uniósł głowę ku słońcu, które stało w zenicie.

Choć w taki skwar trudno odczuwać więź z czymkolwiek, pomyślał, próbując się usprawiedliwić przed sobą. Tym bardziej że wszystko boli mnie tak, jakby pieprzony Bonifacy skończył swe zabiegi przed kwadransem.

– Przeczekajmy tu najgorszy upał – zaproponował i usiadł ostrożnie na ziemi. – Ruszymy po południu.

– Zdamy? – spytał Claude.

– Nie wiem – westchnął Bruno i otarł czoło. – Powinniśmy dotrzeć do Bormli po zmroku, nawet w moim tempie.

– Nadal nie mam pewności, czy to dobry pomysł – mruknął Hugo, który poszedł w jego ślady i również usiadł na ziemi. – Znaczy się, wiem, że innego nie mamy, ale...

– Nie kończ – westchnął Bruno. – Nie kończ, bracie. Po tym, czego doświadczyłem, turecka galera wydaje mi się o wiele weselszym miejscem niż lochy Kościoła.

Zapadła cisza. Powietrze nad jedyną, pylistą uliczką we wsi aż drżało z gorąca. Ciepły wiatr trącał leniwie gałęzie drzewek cytrusowych. Po sąsiednim murku kroczył dostojnie wychudzony kot, który nawet nie spojrział na trójkę wędrowców, czym dał im wyraźnie do zrozumienia, że w jego odczuciu nie istnieją.

Bruno, posykując, przez moment oglądał oparzeliny na przedramieniu, po czym uniósł głowę i spojrział na Hugona.

– Coś mi mówi, że byś się ze mną zgodził. Choć sam na galerze spędziłeś o wiele więcej czasu ode mnie.

Hugo Onfroi nie odpowiedział.

– Czyżbyś już kiedyś zaznał gościny Świętego Oficjum?

Claude przybliżył się, zaintrygowany. Hugo ze złością potarł czoło.

– Nie – burknął. – Ale mało brakowało. Nie raz.

– Czy to – ostrożnie indagował Bruno – ma może związek z tym...

– ...jak zatoneła galera Turguta? Czy też z tym, jak rozwalił się biskupi loch? – Hugo prychnął. – Tak, ma.

Milczał przez moment, wpatrując się w dal i oddychając chrapliwie niczym byk, który rozważa sens szarży na bramę zagrody. Jego pucułowatą twarz na nowo powlekła warstewka potu, a potem nagle westchnął, jakby rezygnował z dalszego oporu.

– Niektórzy pewnie nazwaliby to darem – podjął. – I gdybyśmy żyli w innych czasach, pewnie bym się z nimi zgodził, ale... Ech, sami wiecie. W każdym razie potrafię... – Zamyślił się. – Jak by to ująć... Mogę osiągnąć dokładnie to, na czym mi zależy, o ile się należycie skupię.

– Co takiego? – zdziwił się Bruno. – Co ty chcesz nam powiedzieć? Że możesz cuda dziać?

– Cuda? – Hugo zarechotał. – No, nie do końca. Odkryłem swój talent jakieś pięć lat temu, podczas kampanii luksemburskiej, gdzie walczyłem pod znakiem Klaudiusza de Guise. Zaciągnąłem się do lekkiej kawalerii, czego nie żałuję, bo raz na zawsze zrozumiałem, jak bardzo nie znoszę koni i jak bardzo nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. A najważniejszą rzeczą w życiu, pomnicie, jest ustalić, czego się nie lubi, i nigdy już później tego nie robić. Wybaczcie, rozgadałem się. W każdym razie wolą miłościwego księcia Gwizjusza już następnego dnia po zaciągnięciu się musiałem wraz z moim oddziałem pokonać jakieś osiemdziesiąt mil

drogi. Lało jak cholera, drogi rozmokły, kopyta ciamkały w błocku, a ja myślałem, że mnie szlag trafi. Nie dość, że to nuda przeokrutna, to jeszcze człowiekowi mokro. Z tej złości i frustracji zacząłem się gapić w zad konia, który jechał przede mną, i imaginować, jak ten wali największą kupę na świecie. Cóż, nie wyobrażacie sobie, co w ten sposób sprokurowałem.

– Nie wyobrażamy sobie – odparł sucho Bruno, a Claude pokiwał głową na znak, że on owszem.

– Cóż – podjął Hugo Onfroi. – W tymże tygodniu, w ramach eksperymentów, wywaliłem jeszcze pustą szopę na drewno, zdmuchnąłem kilka namiotów, utopiłem rybacką łódź i rozwaliłem wiatrak. Na własną obronę dodam, że zepsuty i nieużywany. Strasznie mi się ten mój talent spodobał i wszystko byłoby dobrze, gdyby do głosu nie doszedł jeden z najsilniejszych ludzkich instynktów.

– Jeśli nie masz na myśli chędożenia – zaczął Claude – zakładam, że postanowiłeś się pochwalić.

– „Postanowiłem” to trochę za mało powiedziane. – Skwaszony Francuz pokiwał głową. – Po prostu pewnej nocy, przy współudziale bukłaczka wina, wypaplałem całą historię kilku kolegom. Nawet, psia mać, nie pamiętam ich imion. Nie dowierzali mi z początku, a więc urządziłem dla nich specjalny pokaz i wypieprzyłem mur cmentarny. W głowie się nie mieści, ilu przyjaciół tej nocy pozyskałem, a co jeden to z lepszym pomysłem na wykorzystanie mej umiejętności. Niestety z rozbijania skarbców bankowych nic nie wyszło, bo wśród moich nowych przyjaciół objawił się Judasz, któremu takie rabowanie nie w smak było. Podrzynać gardła, gwałcić i palić to i owszem, ale piekielną mocą ściany rozwalać? O, co to, to nie. Następnego dnia rano do obozowiska wjechała straż biskupia, poszukująca niejakiego Hugona Onfroi de Dahlia-Connosa. Ledwie uciec zdołał. Od tej pory koni nie cierpię jeszcze bardziej.

Umilkł na moment.

– O tym, co się działo później, długo by mówić, na mózdzierz Świętego Kosmy – podjął. – W skrócie, uciekłem i przeżyłem, czego jesteście świadkami, choć fortuna opuszczała mnie nieraz, a bywało, że na długo. Miałem wiele czasu na przemyślenia i doszedłem do wniosku, iż być może, całkiem nieświadomie, przyczyniłem się do przedwczesnego zgonu

mojej mateczki. Wszak apopleksje w gruncie rzeczy niewiele się różnią od rozpieprzanej szopy. Pewności nie mam, ale stosowałem mą magiczną właściwość jeszcze nieraz i wiem tyle, że by rozwalić ten mur – wskazał ułożone precyzyjnie kamienie, na których wylegiwał się chudy kot, konsekwentnie kontestujący ich obecność – potrzeba by mi pół godziny koncentracji. Na mur biskupiego pałacu zszedł mi cały dzień, a na galerę Turguta ponad tydzień, bo wiosłowanie cholernie rozprasza. I to tyle.

Wzruszył ramionami, a potem wbił spojrzenie w Brunona.

– Pora na ciebie – powiedział. – Bo ty też kryjesz tajemnicę, prawda? Widziałem, jak walczysz na galerze. Chłopie, albo ty masz nieopisane szczęście, albo poltergeista na własne usługi.

– Ani jedno, ani drugie – odparł niechętnie Bruno. – Ale... nieraz zauważyłem, że coś mi pomaga w walce. Nie, źle gadam – poprawił się. – Nic mi nie pomaga. Nic ani nikt. Ale moim przeciwnikom najwyraźniej coś przeszkadza. Chybiamą, potykają się o własne nogi, zderzają z przeszkodami. Oślepia ich słońce. Kurz im leci w oczy. Bywa, że któryś sam sobie czymś przyrznie.

– Pożyteczna umiejętność – zamyślił się Claude.

Bruno uśmiechnął się z goryczą, a potem przeniósł wzrok na otłętego Francuza.

– Jak to mówi nasz przyjaciel, gdybyśmy żyli w innych czasach, pewnie by tak było. Niestety w szeregach rycerstwa zakonnego takie rzeczy rzucają się w oczy jak gołębie łajno na tureckim dywanie, zwłaszcza gdy ktoś nosi miano wiedźmiego syna i co rusz wyzywany jest na pojedynek.

– Zaraza, dobrana z nas banda – sapnął Hugo Onfroi i zerknął na zasłuchanego Claude'a. – A ty? Co ty potrafisz? Też masz jakiś niezwykły talent?

– Ja? – Spojrzenie Claude'a stało się jeszcze bardziej rozbiegane. – Nie, ja... Chyba nie... Może tylko tyle, że...

– Że co?

– Że strasznie mnie kobiety lubią. Ale to na zabój, mówię wam. Piszczą, krzyczą, „nie odchódź!” wołają...

Hugo wpatrywał się przez moment z osłupieniem w Claude'a, po czym nagle zamrugnął i ryknął śmiechem, od którego ze ścian chaty posypał się pył. Bruno zawtórował mu po chwili, a na końcu do wesołości dołączył

sam Claude, z wahaniem, jakby nie dowierzał, że właśnie powiedział coś zabawnego. Uliczką wymarłej wioski toczył się serdeczny śmiech trzech połączonych przez los towarzyszy.

Kot uznał, że obcy złamali zbyt wiele spośród ważnych dla niego zasad, odwrócił się z wyniosłością i odszedł.

Claude, o czym Bruno już wiedział, dysponował jeszcze jednym ważnym talentem, od którego zależał ciąg dalszy ich misji. Najpierw jednak musieli dotrzeć do miasteczka o nazwie Bormla, co okazało się bardzo trudnym wyzwaniem dla trójki wędrowców, z których jeden, ledwie żywy, właśnie umknął z inkwizytorskich tortur, drugi z trudem nadażał ze względu na tuszę, a trzeci był na to zbyt rozkojarzony. Bruno, choć każdy ruch przysparzał mu cierpienia, co chwila musiał się zatrzymywać i ponaglać towarzyszy, na co Hugo reagował coraz bardziej ponurą miną, a Claude coraz szerszym i bardziej nieprzytomnym uśmiechem.

Najwidoczniej wczuł się w rolę, którą mu przydzieliłem, pomyślał Scozzi. Dobrze i to.

Był już późny wieczór i powietrze litościwie stygło, gdy oczom trójki udręczonych wędrowców ukazały się zabudowania Bormli. Było to niewielkie miasteczko, skupione wokół kościoła pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia, a otoczone gajami drzew oliwnych i cytrusowych. Bruno odetchnął ciężko i wsparł się dłonią o kamienny murek, ułożony wzdłuż drogi.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił. – Oto Bormla, miasteczko, które leży na tyle blisko Birgu, by jego mieszkańcy dobrze wiedzieli, co się tam dzieje, a jednocześnie na tyle daleko, by wielki mistrz czy biskup nie mieli potrzeby tu zaglądać. Tu właśnie trzeba szukać wszystkich tych, którzy żyją na bakier z prawem. Obojętnie którym.

Hugo zatrzymał się, odkorkował bukłak i wyżłopał jego zawartość, a potem beknął przeciągle i przetaił twarz.

– Ciekawe słowa – sapnął. – Czyżby jako członek prześwietnego zakonu wojowników o czystość religii dopuszczał do siebie wiedzę o istnieniu prawdziwego życia?

– To siedziba między innymi kilku przemytników, paru paserów, dwóch czy trzech właścicieli burdelu, dorabiających sobie na przykład na handlu

dziećmi, a do tego bliżej nieokreślonej liczby zwykłych rzezimieszków i złodziei – odparł chłodno Bruno. – Masz ciekawą wizję prawdziwego życia.

– Jeszcze jeden dzień tego pieprzonego upału – burknął Hugo – a, na pisma Świętej Klotyldy, przestanę mieć jakiegokolwiek pojęcie o życiu.

– Wybacz – prychnął Bruno. – Przykro mi, że poszukiwanie skarbu okazało się dla ciebie aż taką torturą. O ile dobrze kojarzę, po tym, co się wydarzyło w Mgarr, miałeś okazję uciec z wyspy, prawda?

– Przestańcie się kłócić – szepnął Claude. – Ja... ja jestem gotowy.

Poprawił brudną od potu i pyłu koszulę i spojrzał na Brunona z nadzieją.

– Czy wyglądam jak zwykła łajza? – spytał. – Jak podły łajdak? Jak...

– Tak – przerwał mu młody rycerz. – Wyglądasz.

– To może niech ktoś jeszcze mi w mordę przywali! – zaproponował Claude. – Dla wiarygodności!

– Nie, już dość tej charakteryzacji. Jeszcze cię nie poznamy i co będzie? Mnie znajdziesz tam. – Bruno wskazał pobliski gaj oliwny.

– Zapamiętałem! – powiedział z ożywieniem Claude, uściśnął mu dłoń i odbiegł w mrok, ku miastu.

Pozostali dwaj odczekali chwilę, gdyż zza zakrętu wyjechała dwukółka zaprzężona w zabiedzonego osła, a potem pospiesznie udali się w stronę gaju.

– Poprawka – wycedził Bruno, gdy z trudem przelazł przez mur i zeskoczył w gęstwinę rosnącego tam dzikiego kopru. – My nie szukamy skarbu, tylko upewniamy się, że on naprawdę istnieje.

– Jesteś złośliwym łajdakiem – wymamrotał żałośnie Hugo, który zeskoczył w ślad za nim i skrył się wśród cieni.

– Prawdziwe życie – odparł Bruno i ułożył się na ziemi.

Ta okazała się niewygodna, pełna twardych grud i równie twardych korzeni sąsiedniego drzewa oliwkowego. Młodzieniec jednakże szybko odnalazł w miarę wygodną pozycję i znieruchomiał, co przyniosło mu natychmiastową ulgę.

Nisko upadłem, przeszło mu przez głowę. Jeszcze kilka dni temu byłem dumnym obrońcą chrześcijaństwa, a teraz cieszę się z tego, że mnie korzeń w dupę nie uwiera.

Usłany gwiazdami nieboskłon nagle rozmazał się od zdradzieckiej wilgoci, ale Bruno zdusił ją kilkoma szybkimi mrugnięciami. W tej samej chwili w jego głowie odezwała się inna myśl, ostrzejsza i bardziej cyniczna:

A może tak właśnie miało być? Wszak do zakonu trafiłeś jako dziecko a więc wbrew swej woli. Co więcej, choć godziłeś się na regułę i porządek życia, nigdy się tam naprawdę nie zadomowiłeś! Miał przyjaciół i oparcia, zyskałeś jedynie miano wiedźmięgo syna!

Wpatrzony w gwiazdy Bruno wykrzywił usta, ale grymas po chwili zlagodniał.

Może to racja. Może w istocie było mi to pisane, myślał. Nie zmienia to jednak faktu, że nigdy dotąd nie byłem bezdomny. Nigdy dotąd nie włóczyłem się po drogach i bezdrożach w towarzystwie dwóch obdartusów, którym odbiło na tyle, by ucześcić się jakiejś mrzonki.

Ale też nigdy w życiu nie miałeś celu! – wypomniała mu kwaśno ta sama myśl. Swego własnego celu! Nigdy nie zaznałeś wolności na tyle, by owego celu szukać.

Wolność? – prychnął w myślach Bruno. Czy cokolwiek z tego, co ostatnio miało miejsce, było moim wyborem?

Mogłeś uciec z Malty, natrząsał się z niego wewnętrzny głos. Mogłeś też spróbować rozwikłać tę zagadkę. A jaki miałeś wybór jako zbrojny starego dziada de Homedesa?

Jakiś tam miałem. Na pewno jednak nie bazował na rozpaczy. Nie wiązał się z torturami, głodem i niedolą. Nie prowadził do pogoni za mrzonkami.

Marudzisz.

Bruno odetchnął ciężko. Może wewnętrzny głos miał rację. Może narzekał, co nie przystało mu zarówno jako rycerzowi, jak i mężczyźnie. Może powinien zacisnąć zęby i po prostu robić to, co należało. A w tej konkretnej sytuacji – za co mógł być wdzięczny losowi – mógł zrobić tylko jedno.

Czekać.

Znów spojrzął na gwiazdy, migotliwe i obojętne. Erhan znał nazwę każdego, najmniejszego nawet punkcika na nieboskłonie i czasami wskazywał je młodziutkiemu Brunonowi, nazywając w swej osobliwej,

ojczystej mowie. Ten próbował powtórzyć nazwy, co oczywiście się nie udawało, a wówczas Erhan uśmiechał się lekko, leciutko. Bruno wiedział, że to jego odpowiednik tubalnego śmiechu, i śmiał się wówczas jeszcze głośniej.

Nie masz pojęcia, jak mi cię brakuje, Erhanie, pomyślał, a oczy znów mu zdradziecko zwilgotniały. Zacisnął powieki mocno, najmocniej jak umiał, tym razem chyba skutecznie, bo świat rozmazał się na dobre i zawładnęła nim cisza.

Tę niespodziewanie przerwało nieodległe parsknięcie konia. Bruno z gwałtownie bijącym sercem otworzył szeroko oczy, a potem natychmiast zacisnął powieki, przypomniawszy sobie, co ma do zrobienia. Rozluźnił mięśnie i oddychał najpłycej jak mógł, jednocześnie próbując wychwycić odgłosy z otoczenia.

Chrzęst żwiru pod czyimiś ciężkimi butami. Stłumione maltańskie przekleństwo, szelest szaty ocierającej się o kamienie, kolejne przekleństwo.

– Tam leży, panie! – zagadał zdyszany Claude. – Zaraz, gdzie to było... O, tam! Tam!

Mimo zaciśniętych powiek Bruno wiedział, że pada na niego blask pochodni. Nieznajomy, którego sprowadził Claude, oddychał ciężko, chrapliwie.

– Tu leży! – sapnął Claude z satysfakcją. – Nada się, prawda? Trup jak malowany. Nada się, panie Mavru?

Bruno poczuł, jak ten trąca go stopą, i z najwyższym trudem powstrzymał się od grymasu.

– Taaa... – burknął nieznajomy nazwany Mavru. Plamy światła przesuwają się, jakby wodził pochodnią nad jego ciałem. – Chybaś ciut przesadził, chłopcze.

– Dlaczego? – Claude zdołał upchnąć w to jedno słowo morze zdumienia oraz urazy.

– Bo mnie już teraz interesuje tylko towar najwyższej klasy – rzekł Maltańczyk chrapliwym, ciężkim głosem, jakby co sylabę w jego krtani ścierały się grudy piaskowca. – Udało się opchnąć parę pokancerowanych, ale to już nie przejdzie. Morda obita, popalona, siniaki, warga rozkwaszona...

Plomienie załopotwały tuż nad twarzą Brunona, który z najwyższym trudem powstrzymał się od zaciśnięcia zębów.

– Coś mi to mówi – mruzczał Mavru. – Gadali w tawernie o jakimś zakonniku, co się z diabłem zwąchał i ponoć uciekł z lochu za pomocą wielkiej magii.

– To nie ten! – zapiszczał Claude z pierwszymi oznakami paniki. – To nie ten, panie Mavru!

– Może tak, może nie – stwierdził Maltańczyk i wyprostował się. Plomienie się oddaliły. – Widzisz, chłopcze, ja jestem poważnym człowiekiem interesu i bardzo mi zależy, by móc go dalej prowadzić, a więc muszę dbać o reputację.

– Ale... – zaczął Claude, ale miejscowy nie dał mu skończyć.

– Poza tym dobrze by było, bym nie zdurniał, bo to nieprofesjonalne i nieeleganckie. Nie dam sobie wcisnąć gównianego towaru. Ten tu, uważasz, jak na trupa jest stosunkowo żywy.

Znów zachrzącił żwir i Bruno zdecydował się otworzyć oczy. Nie pomylił się – człowiek sprowadzony przez Claude'a odwracał się już w stronę murku i czekającego po drugiej stronie konia. Bruno podniósł się płynnie, pomimo bólu tu i ówdzie, chwytając po drodze kamień. W tej samej chwili z mroku wynurzył się Hugo z mieczem w dłoni. W rękę Claude'a błysnął nóż.

– Poczekaj no jeszcze – warknął Bruno po maltańsku.

Mavru powoli, wręcz flegmatycznie odwrócił się ku niemu. Jeśli nagły zwrot akcji zrobił na nim jakiegokolwiek wrażenie, najprawdopodobniej je zignorował, a na Brunona spoglądał teraz z mieszaniną obojętności i pogardy. Był niskim, ale masywnie zbudowanym człowiekiem o niemalże kwadratowej twarzy, pobrużdżonym obliczu i oczach równie zimnych jak ulubione gwiazdy Erhana.

– Proszę – wychrypiał. – Dzida, sztylet i kamlot. Wygląda na to, że mam przerąbane.

Jego głos nawet nie zadrżał.

– Chcemy tylko porozmawiać – zaczął Bruno, na co Maltańczyk parsknął złym śmiechem.

– Chodzę po tym świecie niemalże trzykroć dłużej od ciebie, smarku, a takich jak ty żuję i wypluвам – stwierdził, odwracając się. – Chcesz

porozmawiać, to przyjdź do mnie i zaczekaj, aż cię wezwę.

Bruno nie odezwał się. Stuknął kamieniem o pień drzewa, a potem położył go sobie płasko na dłoni i pokazał go Hugonowi, który spojrział na Mavru zmrużonymi oczyma. Maltańczyk uniósł brwi, jakby zaczynał się temu wszystkiemu dziwić, ale wtedy Hugo przeniósł wzrok na kamień, a ten rozpadł się w pył.

– Ludzką głowę o wiele łatwiej rozbić niż kamień – wycedził Bruno okrutnym głosem.

Maltańczyk wytarł dłonie o koszulę. Gdy spojrział na Brunona, twarz miał błyszczącą od potu.

– Chcesz pogadać, tak?

Bruno mierzył go pustym spojrzeniem.

– Właściwie to już nie – ocenił. – Teraz to już chcę tylko zadać jedno pytanie.

– Rozumiem. – Maltańczyk pokiwał głową. – I co będę miał z tego, jeśli na nie odpowiem?

– Święty spokój. I moje zadowolenie. To całkiem sporo, zważywszy na to, że się nie pomyliłeś. To ja jestem owym zakonnikiem, który zwąchał się z diabłem.

Dłoń Maltańczyka skoczyła w górę, nie po broń, ale by się przeżegnać. Z trudem opanował odruch, a potem zmiażdżył spojrzeniem Claude'a, który dreptał w miejscu, zacierał dłonie i chichotał nerwowo. Ten umilkł posłusznie.

– Jak brzmi owo pytanie?

– Chcę wiedzieć, komu sprzedajesz trupy – powiedział Bruno.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Brat Alejandro mieszkał daleko od Birgu i fortu Świętego Anioła, gdzie kwaterowali rycerze zakonni. Już sam ten fakt mógł budzić podejrzenia. A to, że pomieszkiwał w okolicy tak osobiwej, utwierdziło zaniepokojonego Brunona w przeświadczeniu, że znalazł się na progu ponurej tajemnicy.

Bo kto chciałby mieszkać w takiej okolicy? – zadał sobie pytanie w myślach, siląc się na beztróskę.

Tymczasem nie czuł jej wcale. Zdawać by się mogło, że po tym, przez co przeszedł przez ostatnie dni, mało co będzie potrafiło zdziwić go jeszcze bardziej, ale kierunek wskazany im przez maltańskiego handlarza jeżył włos na karku. Bruno wiedział, że na południowy wschód od Birgu ciągną się niewysokie, poszarpane wzgórza, i niejednokrotnie słyszał ostrzeżenia, by broń Boże nie wybierać się tam konno, na tyle skuteczne, że nigdy tego nie uczynił. Nikt jednakże nie zdradził mu, że wzgórza, zapewne groźne za dnia, w nocy przeistaczają się w scenerię z koszmarnego snu.

Dwukrotnie wpadłby do rozpadliny czarnej jak grzech pierworodny – za pierwszym razem ostrzegł go bijący ze środka odór, za drugim zaś pochwycił go czujny Claude – innym razem potknął się o kamień i wyrznął czołem o skałę. Hugo ścisnął skaleczone ucho, którym zahaczył o ostrą krawędź, a Claude rozcierał podrapany cierniami policzek. Było duszno, okropnie duszno, nawet jak na letnią noc. Nieliczne krzewy, wczepione w szczeliny między głazami, drgały niczym w konwulsjach,

trącane oszczędnymi, suchymi powiewami wiatru. Coś chichotało wśród żółtych traw. Coś co rusz zrywało się do lotu z dzikim wrzaskiem.

Ptaki, powtarzał sobie Bruno, zlany potem. Pieprzone, ohydne ptaki...

Zaklął, gdy niezauważony cierń przejechał po jego skórze dokładnie w miejscu, gdzie miał podarty rękaw. Ciemne skały, pokraczne i wynaturzone, pochylały się nad nim niczym olbrzymi kanibale. Skądś niósł się metaliczny smród. Gdzieś coś zawyło.

– A może ten cały Mavru nas odrwił? – sapał Claude. – Co, Bruno? Myślisz, że nas oszukał?

– Jeśli nas oszukał – Hugo ledwie dyszał – to rozbiję mu tę makówkę, zanim...

Nie dokończył groźby, bo nagle zachwiał się i runąłby w dół ze skalnej ścieżki, gdyby Claude w ostatniej chwili nie złapał go za nadgarstek. Francuz oparł się o najbliższy głaz, przetarł obficie zroszone czoło i wypuścił serię soczystych przekleństw, którą przerwała dopiero konieczność nabrania tchu.

– Ja bym tu nie groził. – Claude rozglądał się z przestrachem. W mroku migwały białka jego oczu. – To złe miejsce, podłe... Ostrzega cię, byś konkurencji nie robił.

– Czarodziejem w życiu też byłeś? – warknął Hugo. Głos miał nazbyt piskliwy, by ironia zabrzmiała realnie, ale Claude tak czy owak spojrział nań z urazą.

– Ja podejmuję się tylko szanowanych profesji – prychnął.

– Muzykantem byłeś – mruknął Hugo, ale tego Claude już nie słyszał, wpatrzony w Brunona, który oddychał ciężko i obserwował ścieżkę wiodącą w górę.

– Po mojemu to nas odrwił, Bruno! – oznajmił z przekonaniem. – Posłał w te wzgórza, byśmy sobie giczoły połamali i dali się zeżreć krukowi, mówię wam! Jutro wyśle tu pachółków i sprzeda nasze trupy temu Alejandrowi. A ja nadobny młodzieniaszek jestem, weźmie za mnie niemały trzosik, zobaczycie! Co za wstyd, co za...

– Cicho już bądź – sapnął Bruno.

– Dobrze ci mówić! Sam masz gębę obitą, nic się kanalii nie przydasz, ale ja? Mówię wam, posłał nas na śmierć, a my jak te owce – spojrzął na Hugona – lub barany prosto...

- Nie pobłądziliśmy - warknął Bruno.

- Tak? - Claude oparł pięści na biodrach niczym podczas popołudniowej awantury pod tawerną. - A skąd niby wiesz? Ciemno jak u Maura w...

- Tam patrz. - Bruno uniósł rękę.

Daleko przed nimi, na czarnym jak noc wzgórzu, pięła się konstrukcja nazbyt regularna jak na dzieło sił przyrody.

- To wieża sygnałowa mistrza de Homedesa - wyjaśnił Bruno. - Jedna z dziesiątek, które miały obwieść brzegi Malty i Gozo, by ostrzegać przed piratami. Jak dotąd, co dla niego typowe, wielki mistrz zbudował ich tylko kilka, i to chyba nie do końca. Mavru zaś parokrotnie powtarzał, że mamy się kierować właśnie na nią.

- Chce, żebyśmy się tu pozabijali! - uparł się Claude. - Stary łajdak, dobrze wiedział, co robi. Honorowi ci Maltańczycy, nie pozwolą, by ich byle kto obrażał. Głupi my, głupi...

- Mów za siebie. - Hugo wstał, wsparty na włóczni. - Ja jestem całkiem mądry, jak na Francuza przystało zresztą, i powiem tak: okolica paskudna jak poranki mojej matuli, ale trudno sobie wyobrazić lepsze miejsce do ukrycia skarbu. Gdyby okazało się, że jest prawdziwy, rzecz jasna.

Bruno, który już ruszył naprzód, poczuł na swoich plecach ciężki wzrok towarzysza. Już miał się odwrócić i zdobyć na jakąś ostrzejszą ripostę, gdy jego uwagę przykuła kolejna regularność, rzecz nietypowa i wręcz zaskakująca w tym ponurym królestwie chaosu.

- Chata - mruknął. - Zamknijcie gęby. Chyba jesteście na miejscu.

Po kilku krokach wyłonił się z labiryntu piaskowca i w pełni zrozumiał, na co patrzy. Niewielka niecka, otoczona zewsząd skałami, była idealnym schronieniem dla każdego, kto szukał samotności, a nie przeszkadzały mu piekielne upały za dnia. Ktoś, kto doceniał to miejsce bardziej od innych, wzniósł nawet kamienną chatę, krytą wypłowiałą strzechą, a potem dobudował szopę, najpewniej posługując się materiałami wyrzuconymi przez morze.

A więc to tu się kryjesz, Alejandro, pomyślał Bruno. Imponującą bym tej kryjówki nie nazwał, ale przecież tobie zależy na odosobnieniu, prawda? Tak się najlepiej knuje.

Determinacja nakazała mu zrobić jeszcze jeden krok naprzód. Jak do tej pory spotkał wojowników ożywieńców trzykrotnie: najpierw dwaj z ich grona zastąpili mu drogę na trakcie do Mgarr, na który ruszył za wiedzą brata Alejandro, potem któryś z nich czekał na niego w Mdinie, tam gdzie Hiszpan miał nocować, a potem rozpoznał ożywieńca w biskupich lochach. Trudno było o lepszy dowód na współpracę między Alejandrem i Bonifacym, a dzięki niewielkiej intrydze z gaju pod Bormlą wiedział już, kto skupuje świeże trupy i dokąd każe je przywozić.

Był już gotów zrobić następny krok i wejść do kotliny, gdy uświadomił sobie kolejną rzecz.

Idealne odosobnienie, pomyślał, wiodąc wzrokiem po czarnych skałach. I równie doskonała pułapka.

Po plecach przeszedł mu dreszcz.

W Mdinie poszczuli mnie jakimś piekielnym ogarem, przypomniał sobie. Mają na swe usługi cholernych ożywieńców, a ta burza pod Mgarr również nie wydawała się naturalna. Czy ja oby nie wpycham gęby w gniazdo szerszeni?

Na rezygnację z planu było już za późno. Bruno wzruszył ramionami, przypomniawszy sobie, że ów paskudny głos w jego głowie nazywał to wolnością, po czym wkroczył do dolinki. Za sobą słyszał posapywanie Hugona i szybki oddech Claude'a.

Po kilku krokach poczuł, że wiatr ucichł, jakby on również odczuwał respekt przed tajemniczą kotlinką. Śmigał jedynie gorącymi podmuchami nad głową rycerza, by wśród skał rozpaść się na jękliwe echo. Trącał przy tym gąszcz rosnących wyżej opuncji, które kołysały się konwulsyjnie niczym grupka wtulonych w siebie, przerażonych swą dolą ludzi. Skądś dobiegło przeciągłe, niemalże płaczliwe rzenie konia, któremu zawtórowało chrząkanie wieprzy. Pod stopami Brunona chrzęszczał żwir.

Chatka była coraz bliżej, mała, niepozorna. Pomimo mroku widział zaskakująco dużo szczegółów. Kamienna kadź, z której rozrastał się dziki, zachłanny krzak róży. Koryto, z którego pojono konie, skryte w cieniu skleconego z byle czego daszku. Zagroda z niewielką szopą, z której niemiłosiernie cuchnęło.

I światło w okienku.

Światło, które nagle przygasło i znów zapłonęło, jakby ktoś przeszedł obok niego.

Bruno przystanął, dopiero teraz uświadamiając sobie, że powinien był gruntownie przemyśleć, jak spotkanie z rycerzem Alejandrem powinno się odbyć. Niepotrzebnym, zbędnym wręcz ruchem zacisnął dłoń na rękojeści sztyletu, który odebrał Mavru.

Wiatr ucichł zupełnie. Zrobiło się tak cicho, że bez trudu wychwycił skrzypnięcie zardzewiałych zawiasów drzwi chatki.

Alejandro de Heredia powoli przestąpił przez wysoki próg. Miał na sobie skórzane spodnie i białą, rozwiązaną koszulę z szerokimi rękawami. W dłoni trzymał nagi miecz, którego ostrze z cichym chrzęstem wraził w źwirowate podłoże. Milczeli.

– Witaj, Alejandro – powiedział Bruno. – Pora dokończyć naszą rozmowę.

– Sęk w tym – powiedział powoli Hiszpan suchym, wytężonym głosem – że ona już dobiegła końca. Nie mam ci nic więcej do dodania.

– Nic? – zdziwił się Bruno. – Mógłbyś choć wyjawić, dlaczego tak uparcie pragnąłeś mojej śmierci.

– Śmierci? – prychnął Hiszpan i zrobił krok ku niemu, wlekąc za sobą miecz. – Nikt nie chciał cię zabić, durniu. Na tak niewielkiej wyspie niełatwo jest zabić rycerza Świętego Jana tak, by nie wzbudzić niczyjego zainteresowania lub nie rozpętać wielkiego śledztwa. O wiele łatwiej było cię zdyskredytować, w czym twa reputacja mogła jedynie pomóc. Chcieliśmy, byś znikł, uciekł, zaszył się gdzieś, obojętne, byleby zakon umył od ciebie ręce. Byś ty sam przestał węszyć.

– Nie wyszło. – Bruno się skrzywił.

– Należało się tego spodziewać – westchnął Alejandro. Koniec miecza podskakiwał na nierównościach terenu. – Bo twój ojciec był równie uparty i nieużyty. O matce nawet nie wspomnę.

Serce Brunona zabiło żywiej.

– O tym chętnie posłucham – rzekł i wyciągnął sztylet zza pasa. – O skarbie też.

– Rozumiem, że chcesz mnie do tego przekonać tym kozikiem. – Alejandro nawet nie zwolnił. Nieoczekiwanie zza chmury wyłonił się księżyc w trzeciej kwarcie, który zalał mu cieniem bruzdy na twarzy

i podkreślił żółć cery. Oczy jednakże pozostały matowe i puste, jakby nie było już w stanie ich rozpaścić, ani moc ciał niebieskich, ani żadna z emocji.

– Nie jestem sam – prychnął Bruno.

Alejandro zerknął ponad jego ramieniem.

– Doskonale się kryją, trzeba im oddać.

Zerwał się niespodziewanie niczym gepard, który czołga się wśród zarośli ku zdobyczy, lecz nagle traci już cierpliwość. Jego miecz poderwał się ku czarnemu niebu, przechwycił blask księżycy i z oszałamiającą prędkością runął z ukosa ku szyi Brunona. Ten uskoczył w ostatniej chwili, zaskoczony nieco impetem natarcia. Pchnął sztyletem, ale bez przekonania, niecelnie. Alejandro bez trudu umknął przed jego atakiem, zdołał wykorzystać siłę włożoną we własny i przekuł ją w kolejne cięcie. I następne. I jeszcze jedno.

Ciemna, zapomniana kotlinka, do której drogę znała jedynie garstka maltańskich łotrów spod ciemnej gwiazdy, przerodziła się w scenę morderczego baletu. Brat Alejandro nacierał bez wytchnienia. Jego długi miecz, zdający się teraz przedłużeniem ramienia, zakreślał mordercze kręgi i ścigał umykającego Brunona, a uderzał tak celnie i szybko, że ten zarzucił jakiegokolwiek próby kontrataku. Uskakiwał, nachylał się, cofał, a Alejandro, z twarzą zlaną potem, nie ustawał ani na chwilę.

Gdzie ten przeklęty Francuz? – jęknął w myślach, z trudem odzyskując równowagę po potknięciu się o jakiś kamień. Gdzie Claude? Co się z nimi dzieje?

Klinga hiszpańskiego rycerza wyszarpnęła mu sztylet z ręki, drugie uderzenie, przed którym próbował uskoczyć, pozostawiło mu krwawą pręgę na przedramieniu.

Piekło i szatani, nie wyjdę mu żywy spod miecza...

Bruno uskoczył nad ciosem mierzącym w jego kostki, potknął się, przetoczył i zerwał. Ostrze rąbnęło w ziemię w miejscu, gdzie jeszcze przed momentem znajdowała się jego głowa. Scozzi chciał doskoczyć, złapać Alejandra za koszulę, pchnąć go na ziemię, ale ten dostrzegł desperację w oczach młodzieńca i pokrzyżował wszystkie jego plany potężnym ciosem w szczękę. Bruno zatoczył się, zamroczony, i uskoczył w bok.

Na szczęście ten właściwy. Miecz Hiszpana znów przeciął powietrze.

Nie miał pojęcia, któremu z diabłów winien był teraz wdzięczność, ale tylko łut szczęścia uratował go przed śmiertelną raną.

Ciężko oddychał, a łokieć piekł go wściekłym bólem po uderzeniu, którego nawet nie zarejestrował. Szczypały oczy, zalewane potem z czoła.

Gdzie jest Hugo? Gdzie Claude? I czemu...

Kolejny wściekły atak, kolejny desperacki uskok.

...i czemu nie działa mój przeklęty dar? Dokładnie wtedy, gdy go naprawdę...

Urwał, bo jego wzrok padł na wytracony mu sztylet, leżący dosłownie kilka kroków dalej. Skoczył ku niemu, ale Alejandro, który dostrzegł to samo, przypadł i ciał krótko, o mały włos nie odrąbując mu nosa. Bruno zatoczył się i natrafił plecami na słup podtrzymujący daszek nad poidłem z wodą.

Alejandro stał i ciężko dyszał. Nie spuszczać wzroku z Brunona, uniósł ramię i przetarł czoło, a potem splunął soczyście. Scozzi skrzywił się szyderczo.

– Zmachaleś się, co? – wychrypiał. – Niełatwo się uganiać za kimś, kto liczy sobie połowę twoich lat, prawda?

Alejandro uniósł jedną brew i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Dieudonné – odezwał się. – Złap go.

W tej samej chwili woda w korycie eksplodowała, rozerwana gwałtownym ruchem od środka. Bruno kątem oka ujrzał podnoszącą się postać, a potem nadludzko silne, mokre i cuchnące ramię oplotło jego gardło i przyciągnęło go do słupa. Śmierdziało zgnilizną i psującą się wodą.

– Wybacz – szepnął ktoś ledwie słyszalnie obok jego ucha, ale wystarczyło, by Bruno poznał zarówno głos, jak i akcent. Był to francuski, ale osobliwy, taki, jakim się nie mówi od dawna.

– Za dnia, jak nie są potrzebni, trzymamy ich w wodzie – wyjaśnił wciąż zdyszany Alejandro, podchodząc bliżej.

Bruno szarpał się i miotał, aż daszek dygotał nad jego głową, ale trzymający go ożywieńiec ani drgnął. Przed jego oczami tańczyły coraz większe mroczki i kolejne słowa Hiszpana dotarły doń już z oddali.

– Nie rozkładają się tak szybko w tym upale. Przykro mi, że to ostatnia rzecz, której się nauczysz na tym padole.

Bruno, unieruchomiony i duszony, zdołał rozchylić powieki i z przerażeniem spojrzeć na unoszący się miecz.

W tej samej chwili z chatki dobiegł jakiś rumor, a po nim rozległy się głosy. Jeden z nich był kobiecy.

Alejandro opuścił miecz i spojrział zaniepokojony w stronę budynku. Zrobił krok w tamtym kierunku.

Powiada się, że czasem wystarczy jeden czyn, jeden gest czy nawet jeden odruch, by całkowicie skomplikować ścieżki przeznaczenia, by to, co proste i oczywiste, zamienić w groźne i szaleńczo nieprzewidywalne. Dla Hugona Onfroi de Dahlia-Connosa ową jakże brzemienną decyzją było to, że postanowił wspomóc swój atak przerażającym rykiem.

Straszliwy ów ryk z całkowitą pewnością spłoszyłby nawet i regiment chłopskich poborowych, ale w przypadku Alejandra okazał się jedynie ostrzeżeniem. Hiszpan obrócił się jak fryga, jednocześnie wyprowadzając cios od dołu. Klinga ze świstem przecięła powietrze i uderzyła tuż pod grot trzymanej przez Hugona włóczni. Cios okazał się tak potężny, że Francuz zawirował i wypuścił broń z ręki.

Włócznia, stukając o kamienie, przetoczyła się jeszcze kawałek i znieruchomiła.

Przez twarz Hiszpana przemknęło zaskoczenie, zastąpione natychmiast spazmem wściekłości.

– A więc to ty ją miałeś? – wycodził.

Szedł w stronę oszołomionego Hugona, którego impet posłał na kolana. Zakręcił mieczem młynka.

– Ty prostaku – charczał. – Ty tępa świnió...

Dodał kilka przekleństw w rodzimej mowie, przypadł do Hugona i wznosił miecz. Lico obojętnego księżycy znów prześlizgnęło się po klindze.

– Kazał mi cię złapać – szepnął głos obok ucha Brunona. – A nie trzymać...

Duszący napór na gardło nagle znikł, a wraz z nim smród. Bruno zaczerpnął głęboko tchu, zatoczył się, wsparł o kolumnę, osunął na kolana. Oparł dłoń tuż przy leżącej obok desce. Przerażenie i furia

odnalazły w jego ciele resztkę sił i przekuły ją w desperacki atak. Zerwał się i rąbnął Alejandra deską w bok.

Zardzewiały gwóźdź, którego wcześniej nie zauważył, wyszarpnął z ciała Hiszpana strugę krwi. Alejandro zatoczył się, wypuścił miecz, runął na kolano i...

I złapał włócznię.

Odwrócił się ku nim z twarzą wykrzywioną bólem i wściekłością.

– Prostaki – wycedził, obrócił bronią, aż powietrze zahuczało, i wbił grot w ziemię.

Kilka rzeczy wydarzyło się wówczas niemalże jednocześnie. Bruno skoczył w stronę miecza upuszczonego przez Hiszpana. Drzwi chatki otworzyły się i wypadła z nich wynędzniała dziewczyna w burym habicie, trzymana pod łokieć przez zaaferowanego Claude'a. Zaskoczony Bruno zwolnił, odwrócił głowę, lecz w Alejandra, który jedną ręką wspierał się na włóczni, a drugą tamował krew z rany, jakby diabeł nagle wstąpił. Wyprostował się i wykrzyknął ciąg słów w języku, którego Bruno nigdy dotąd nie słyszał.

Wichry letniej nocy, które nieufnie krążyły wokół doliny, najwyraźniej jednak знаły każde słowo i wiedziały, jak na nie reagować, gdyż runęły w dół z niepohamowaną furią i uderzyły w zabudowania z mocą kowalskiego młota, wzbijając tumany pyłu. Wstrząśnięty Bruno, który stał tuż przy daszku nad wodopojem, widział, jak drą się liny, a jeden ze słupów przechyla się, po czym cała konstrukcja z niemiłosiernym trzaskiem i jękiem wali się prosto na Hugona.

Wiatry siekły po twarzy rojem ziaren piasku, wgrzyzały się w oczy i właczały w usta, ale Bruno, wiedziony nieustępliwym uporem, przypadł do daszku i poderwał go ze wszystkich sił. Zabolały nadwerężone mięśnie, ale natychmiast też poczuł, jak coś napiera na daszek od dołu, wspomagając jego wysiłki. Zaciskał zęby i robił wszystko, by go nie wypuścić z rąk.

– Wyłaż! – ryczał, próbując przekrzyczeć huragan. – Wyłaż, tłuściochu, bo...

Konstrukcja zadygotała, jakby ktoś od dołu próbował ją odrzucić. Bruno dobył ostatnich sił i do spółki z usiłującym powstać Hugonem odrzucił daszek do tyłu.

- Czy ty - wychrypiał Francuz - na świecy Świętej Łucji, właśnie nazwałś mnie...

Bruno nie słuchał. Przeskoczył nad ciałem zmasakrowanego ożywienca i rzucił się ku chacie, skąd, jak mu się wydawało, właśnie dobiegł przeraźliwy, dziewczęcy wrzask. W tej samej chwili któryś z podmuchów zawrócił i rozrzucając gliniane dachówki, runął prosto na niego. Trafiony w pierś rycerz przeleciał kilka kroków w powietrzu i grzmotnął plecami o ziemię, co pozbaawiło go na moment tchu. Wiedziony instynktem, podniósł się na łokciu, ale kolejny podmuch przetoczył go bezlitośnie, niczym szmacianą zabawkę, jeszcze dalej od chaty. Oślepiiony pyłem, ogłuszony dzikim rykiem, bardziej wyczuł, niż usłyszał tętent oddalających się kopyt.

Echo wrzasku kobiety, w którym wykrył przerażenie, ale przede wszystkim rozpacz, towarzyszyło mu jeszcze długo.

Burza wytraciła impet jakiś kwadrans później, gdy przyciśnięty jej furią do ziemi Bruno zaczynał się zastanawiać, czy się nie poddać i - zupełnie nie po rycersku - nie zemdleć. Przez chwilę leżał nieruchomo, święcie przekonany, że nawałnica czai się gdzieś w ciemnościach ponad doliną i zaatakuje złośliwie, gdy on wreszcie zdoła się podnieść.

Furia burzy wygasła jednak na dobre. Cisza aż kłuła w uszy. Bruno odkleił twarz od ziemi i rozejrzał się nieufnie.

- Hugo? - wykrztusił. - Claude?

- Kiedy już mi się wydaje, że widziałem, kurwa, wszystko - wychrypiał francuski rycerz, który z trudem wypełzał spod przewróconego koryta - pojawia się coś, co na powrót uczy mnie pokory. Niech mnie trąd poćwiartuje, nigdy czegoś takiego nie widział, a przecież moja matula, gdy ją księżyc nawiedził, potrafiła...

- Claude? - zawołał czym prędzej Bruno, który nie miał najmniejszej ochoty wysłuchiwać wspomnień Hugona.

- Tu jestem! - odparł tamten słabym głosem.

Bruno otarł kąciki oczu, zamrugał parokrotnie i z niemałym trudem dojrzał, jak towarzysz, posykując, próbuje się uwolnić spod gałązek dzikiej róży.

- Co to, kurwistości, było?

Scozzi zdołał się już podnieść i kusztykając, podszedł do przekrzywionej nieco włóczni, wbitej w skalisty grunt przez Alejandra. Wyrwał ją i przyjrzał się jej uważnie. Wzdłuż drzewca, uformowanego z nierównego, acz bardzo twardego, poczerniałego miejscami drewna, ciągnęły się rzędy znaków, których Bruno nigdy dotąd nie widział. Spojrzał pytająco na Hugona.

– Skąd to masz?

Jego towarzysz zdołał już się podnieść i właśnie dłubał sobie w uchu, przez co gest wzruszenia ramionami wypadł dość komicznie.

– Znalazłem – odparł krótko. – Niedaleko tego całego Mgarr, gdy szedłem ci na pomoc w stronę tego kromlechu. Patrzę, a tu włócznia sterczy z ziemi. Pomyślałem sobie, że może to dobry znak, a poza tym dobre ostrze nigdy nie zawadzi, a więc wziąłem. Co mi tam.

Bruno przez moment trawił usłyszaną informację.

– Czyli ta burza jednak miała nienaturalny charakter – mruknął.

– Że co? – Hugo zamrugał z pośpieszeniem.

– To magiczny przedmiot. – Bruno zważył broń w dłoni. – Wygląda na to, że trzeba wbić go w ziemię i wykrzyknąć jakąś inkantację, by przywołać wicher. Ciekawe, skąd coś takiego u joannity, prawda?

– Jego przyjaźń z tymi przeklętymi truposzami też mnie intryguje – mruknął Hugo.

Bruno odruchowo spojrział na kamienne koryto, z którego wystrzeliło gnijące ramię. Tafla wody była nieruchoma.

Złapał mnie, lecz wypuścił, pomyślał. Kolejna zagadka.

Korciło go, by podejść i spojrzeć na trupa, ale się rozmyślił. Wzruszył ramionami i wbił włócznię w ziemię, po czym zwrócił się w stronę Claude'a, który zdołał już uwolnić jedno ramię z objęć krzaka róży. Podniósł przysypany pyłem sztylet, otarł go o nogawkę i podszedł do towarzysza. Szybкими ruchami zaczął przecinać kolczaste gałązki.

– Widział ktoś, co się stało z Alejandrem? – spytał.

– Uciekł – bąknął Claude. – Miał konia. Złapał tę dziewczynę i tyle żeśmy go widzieli. Dobrze, żeś go dziabnął. W przeciwnym razie byłoby już po nas.

– W istocie, dobrze, żeś go dziabnął – wycedził Bruno przez zaciśnięte zęby. – Oj, dobrze. Wszak trzeba sobie jakoś radzić, gdy kompani zawiodą.

- Bruno, ja chciałem strategicznie go podejść! - odezwał się Hugo, choć nawet nie próbował ukryć winy w swym głosie. - Posłałem Claude'a na tyły, a sam się do szarży z flanki przysposobiłem...

- I dobrze się stało! - zapiszczał Claude, widząc morderczy blask w oczach Brunona. - Tak przynajmniej dowiedzieliśmy się o Soave.

- O kim? - Bruno przestał piłować.

- O tej dziewczynie! - Claude odprężył się lekko. - Uwierzysz, że to klaryska? Zakonnicę, padalec, więził! Franciszkanke!

- Po co?

- Tego - zmartwił się Claude - wyciągnąć już nie zdążyłem. Odciałem jej więzy i wyprowadziłem na zewnątrz, ale nim zdążyłem dowiedzieć się czegokolwiek, rozpoczęła się rozpierducha, a ja trafiłem tu. - Ze zrezygnowaniem wskazał krzak róży. - Pech - jęknął. - Okropny pech. Chętnie bym kogoś o to opieprzył, ale niestety, Bruno, nie mam tej łatwości co ty...

- Cicho już bądź - warknął Scozzi. - I sam sobie piłuj. - Wcisnął mu sztylet w wolną rękę. - Ja muszę sobie teraz kilka spraw przemyśleć.

Claude przystąpił do pracy z zapalem, który wprawił cały krzak w drzenie, a Bruno, pochyliwszy się, przystąpił przez wysoki, kamienny próg chaty.

Nie licząc kilku nadłamanych desek dachu, magiczny żywioł oszczędził kryjówkę hiszpańskiego rycerza. Nawet lampka oliwna nadal się tliła na rozklekotanym stoliku przy oknie, jakby wichur nie miał odwagi jej tknąć. W jej nikłym świetle Bruno uważnie rozejrzał się po wnętrzu.

Prymitywne łóżko, gliniany nocnik, wiadro. Prosty kufer pod ścianą. Półka z rzędem skrzyneczek. Kłapa w podłodze. Drugie drzwi, lekko uchylone, zapewne te, którymi wślizgnął się Claude.

Bruno zrobił dwa kroki po skrzypiącej drewnianej podłodze. Zamarł, gdy przez dziurę w ścianie ujrzał jakiś ruch, ale uspokoiło go swojskie chrząknięcie wieprza. Wypuścił powietrze z płuc i podszedł do kufra, który okazał się niezamknięty. W środku leżały starannie złożone ciemne szaty z kapturem, buty, bielizna oraz pasy z prostymi mieczami.

Pokręcił głową i zbliżył się do półki. Otworzył jedno ze stojących na niej pudełek i wydobyl ze środka fiolkę z grubego szkła. W środku przelewał się gęsty, czerwony płyn, a szkło wydawało się dziwnie ciepłe, jakby

rozgrzane przez osobliwą substancję. Na pudełku widniały wydrapane nożem litery: DDG.

Podłoga skrzypnęła mocniej, niemalże ze skargą, gdy do środka wkroczył Hugo.

– Mocna podłoga, porządna – ucieszył się demonstracyjnie. – Utrzyma nawet tłuszczochę, jak widać.

Bruno, nie zwróciwszy uwagi na zaczepkę, wsunął fiolkę do pudełka i zamknął je z trzaskiem, po czym zważył je w dłoni.

– Co to za miejsce? – szepnął, zamyślony.

– Miejsce ukrycia skarbu – przypomniał mu Hugo. – No nie?

– Nie wiem, Hugo, co ty ze sobą poczniesz – Bruno odwrócił się ku niemu – gdy się okaże, że to tylko brednie. Że nie ma żadnego skarbu i...

– Zaraza! – Francuz sapnął ciężko. – Ja widzę inny problem, o wiele poważniejszy! Co ty zrobisz, Bruno, gdy się okaże, że skarb jednak istnieje?

Z tymi słowami nachylił się, złapał za pierścień klapy w podłodze i szarpnął nim z całej siły. Okazała się cięższa, niż Hugo sądził, i czoło Francuza pokryło się perlistym potem, nim zdołał ją przechylić. Następnie, chichocząc dziko, porwał latarenkę z chyboczącego się stolika i zajrzał w dół.

– Jakbym ja miał gdzieś ukryć skarb – zaczął, ale wtem zaklął, najpierw niepewnie, a potem z wściekłością.

Bruno podszedł bliżej i się nachylił. Ze środka buchał zaduch i ostry zapach nieczystości oraz niemytego ciała. Nikły blask latarenki wyodrębnił z mroku niewielką celę, jeszcze prymitywniej urządzoną niż izdebka w chacie. Na prostej pryczy, wśród skłębionych łachmanów, siedziała skulona dziewczynka, na pierwszy rzut oka pięcio-, sześćioletnia, i wpatrywała się w rycerzy ze skrajnym przerażeniem.

– Co to ma znaczyć, na psa urok i kocią mordę? – sapnął Hugo i spojrzał pytająco na Brunona. – Coraz mniej z tego kapuję.

Bruno bez słowa wziął od niego latarenkę i szedł na dół po drabince. Dziecko, drżąc na całym ciele, wtuliło się w kąt celi. Było niewyobrażalnie brudne, a strąki tłustych, pozlepianych włosów przesłaniały dziewczynce twarz i błyszczące lękiem oczy. Bruno zauważył jednakże coś, co go zaintrygowało, i niepewnie podszedł o krok.

- Nie bój się - szepnął po włosku, co powtórzył po francusku i maltańsku. - Nic się nie bój! Nic ci nie grozi, dziecko. Zupełnie nic. Tylko... Tylko spójrz na mnie.

Posłuchała. Spomiędzy strąków jej włosów wyjrzał długi, niemalże szpiczasty nosek.

Dziewczynę w burym habicie, wyciągniętą z chaty przez Claude'a, Bruno widział tylko przez ułamek sekundy, ale mimo to miał pewność, iż miała identyczny nos jak dziecko w łachmanach.

Matka z córką, przeszło mu przez głowę, gdy przypomniał sobie rozpacz wibrującą w krzyku kobiety. Albo siostry...

- Nic się nie bój - powtórzył, wpatrując się w dziecko. - Nic ci nie grozi. Ukucnął i wyciągnął ku niej ręce.

- No, chodźże. Zabiorę cię stąd.

Dziewczynka mierzyła go nieufnym spojrzeniem przestraszonego do granic zwierzątka. Bruno niemalże słyszał, jak bije jej serce, a potem niemal podskoczył, gdy ta gwałtownie zerwała się z barłogu. Ścisnęła kurczowo w rękę kilka gałąnek, które splotła tak, by z grubsza przypominały lalkę.

Widok ten niespodziewanie, z niezrozumiałych powodów wycisnął łzy z oczu Brunona.

- Chodź - wykrztusił.

Hugo przyglądał się scenie w milczeniu, w którym dudniły silne, niesprecyzowane emocje.

- Cała jest? - spytał chrapliwym głosem, widząc, jak Italczyk unosi dziecko i odwraca się ku drabinie.

- Tak. - Bruno podał mu dziewczynkę, która nadal drżała na całym ciele, a na widok twarzy Hugona zasłoniła oczy. - Chyba tak. Nie upuść jej - mówił z trudem, jakby w gardle miał włochatą kluchę. - Bo... bo bez niej nie odnajdziemy skarbu.

- Głupszego powodu - burknął Hugo, podejmując małą - nie wymyśliłbyś, na Mękę Pańską, nawet po tygodniowych naradach z konsylium największych idiotów wyspy.

- Nienawidzę cię - oznajmił Bruno, rad, że może skupić się na czymś innym i w ten sposób odegnąć emocje. - Hej, Claude! Wygrzebałeś się z tego krzaka? Chodź tu. Wracamy do Bormli!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zdaniem Hugona powrót do Bormli był jak do tej pory najgłupszym pomysłem Brunona, durniejszym od wszystkiego, co on osobiście do tej pory widział, a trochę tego było.

– Nie znam się na Maltańczykach i ich zwyczajach – oznajmił z obrażoną miną. – Ale wyglądają mi na charakternych. Honornych. Takich, co to urazę długo chowają, naprawdę długo. Myśmy zaś tego Mavru naprawdę przeciągnęli po błocie. Rok musiałby minąć, by o nas zapomniał, i przynajmniej trzy, by wybaczył, a tu już chcesz do niego pędzić? I jak będziesz z nim rozmawiał? Czym go do siebie zjednasz? Pean jakiś w miejscowej mowie sklecisz? Posąg w piaskowcu wyryjesz?

Bruno na te pytania nie odpowiedział, głównie dlatego, że nie miał pojęcia, co rzec. Uparcie ufał jednak swojej szczęśliwej gwiazdzie, na którą od czasu wyrzucenia tuniki zakonnej zwracał uwagę coraz częściej, i udawał, że zastrzeżenia Hugona ma za nic. Głos rozsądku, otwarcie krytykujący nadmierną wiarę w ową szczęśliwą gwiazdę, usiłował zignorować równie usilnie jak słowa Francuza.

Nastał świt. Z obejścia Alejandra zabrali wszystko, co się zabrać dało – jedzenie, picie, jakiś koc, linę, zapomniany kapeluszczyk chroniący kark przed słońcem. Dobrali sobie miecze znalezione w kufrze, a Hugo wyrwał z ziemi włócznię i zważył w dłoni z dziwnym uśmiechem. Bruno tymczasem zebrał się na odwagę, podszedł do małej, która kulila się na ławce przed chatą i mrużyła oczy przed blaskiem słonecznym, ewidentnie dawno niewidzianym. Ujął ją za rączkę i ukucnął.

– Masz jakieś imię? – spytał. Wzruszenie już go odeszło, a jego głos stał się na powrót chrapliwy i surowy.

– Florese – bąknęła mała i drgnęła, jakby chciała się skulić.

– Świetnie, Florese. Czy mogłabyś mi opowie...

– A to królowa Ginevera – przerwała mu dziewczynka nieco bardziej piskliwym, prawie płaczącym tonem i uniosła bezkształtną szmaciankę. – Powinieneś się uklonić. I to nisko. Wszyscy rycerze tak robią.

– Co? Że co mam zrobić? Słuchaj, pobawimy się kiedyś, na pewno, ale najpierw... – zaczął z niedowierzaniem Bruno, ale przeszkodził mu nieoczekiwane Claude.

– Wybacz szlachetnemu panu! – zawołał, przejmując jej rączkę. – Dobry to rycerz i prawy, ale ma nazbyt wiele spraw na głowie, biedaczysko! Turków, inkwizycję, kapitułę zakonną... Inny już by dawno zwariował, a ten trzyma się twardo i broni tej swej poczytalności jak Turczyn Jerozolimy. Ja bym już sobie odpuścił, bo fajnie jest być wariatem, ale nie nasz Bruno!

– Ja wcale nie... – zaczął oburzony Bruno, ale przerwał mu Hugo, który rymnął na kolana z impetem, wzbijając kłęby kurzu.

– Jam Hugo Onfroi de Dahlia-Connos z odległej ziemi Galów! – wykrzyknął z emfazą. – Oddaję ci mój miecz, wasza królewska mość! – Uklonił się szmaciance nisko, a potem spojrział na Florese. – A tobie, pani, mą włócznię, i strzec was ślubuję! Ze wszystkich sił! Za mego przyjaciela Brunona zaś przepraszam. – Trzepnął go przy tych słowach w potylicę, aż się poniosło. – Przeszkolimy go w rycerskiej etykietce, bo troszkę zdziczał.

Niewiele brakowało, by Bruno odwrócił głowę, zerwał się i warknął wściekle na towarzysza, ale w porę zauważył, że przez usta dziewczynki przemknął uśmiech, zwykły, codzienny, jak u rozbawionego dziecka. Jej oczy zaś rozbłyły, jakby jej umysł – nie tylko ciało – również wyzwolił się z uwięzienia w ciemnej, cuchnącej piwnicy w chacie na odludziu. Rycerz błyskawicznie się opamiętał i pochylił głowę, karbując sobie w pamięci, by w najbliższym czasie skrupulatnie się na Hugonie zemścić.

– No, rzeczywiście trochę zdziczałem, o wielka pani – wycedził ze sztucznym uśmiechem. – Tak mnie pochłonęła walka z twoimi wrogami,

że zapomniałem o tym i owym. Szczęściem mogę liczyć na mojego wspaniałego druha!

Klepnął Hugona po łopatce, aż ten kaszlnął, i pochylił głowę. Spojrzał przy tym na dziewczynkę, lecz na jej twarzy znów się pojawił zaszczuty, niepewny wyraz. Rubaszność Brunona nie dość, że jej nie rozbawiła, to jeszcze najwyraźniej ją przestraszyła.

– Pora, byśmy się stąd wynieśli! – rzekł Claude, który wstał i podał dziewczynce dłoń.

– I nie lękaj się niczego, pani – dodał Hugo z dumną miną i wsparł się na włóczni. – Jesteśmy gotowi stawić czoła wszystkim twoim wrogom.

– Będziemy walczyć jak lwy! – dodał Bruno, ale Florese zerknęła tylko na niego spłoszona i zbliżyła się do Claude'a, który położył jej dłoń na ramieniu i ledwie dostrzegalnie pokręcił głową, spoglądając przy tym na Brunona.

Ten przygryzł wargę.

– Nie miałaś chyba w życiu często kontaktu z dzieciakami, co? – burknął mu Hugo do ucha, gdy Claude i Florese ruszyli przodem.

– Wyżywasz się na mnie za to, że wbrew twojej woli chcę wrócić do Bormli? – spytał ostro Bruno.

– Nie wyżywam się – cicho odparł Francuz. – Tylko daję ci do zrozumienia, byś odpuścił. Daj tej małej spokój. Nie pytaj jej o nic. Cholera wie, jak długo siedziała w tej dziurze. Cholera wie, co widziała i co stało się jej udziałem. Będzie chciała, to sama nam coś opowie. Nie będzie chciała, to się gównem dowiemy.

Bruno wiedział, że Hugo ma rację, i poczuł złość na siebie za to, że w ogóle przyszło mu do głowy, by zadać dziewczynce jakiegokolwiek pytanie, ale wrodzona złośliwość nakazała mu się skrzywić i rzucić półgębkiem:

– Myślałem, że ci zależy na skarbie.

– Zależy. – Oblicze Hugona nieco złagodniało. – I to bardzo. Bo jak dotąd całe moje życie nie jest warte więcej od rozdeptanej psiej kupy i naprawdę chciałbym to zmienić. Ale – spojrzął na Florese – ale... Obym pękł, Bruno. Widziałeś tę dziurę, gdzie on ją trzymał?

– Widziałem – odparł głucho Bruno. – I żałuję.

Hugo odwrócił głowę i parokrotnie otworzył i zamknął usta, choć nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Wystarczyło, by Bruno zrozumiał, że jego towarzysz skrywa historię, której będzie strzegł jak największej świętości, historię z dawnych lat, smutną, a może nawet tragiczną. Unikając wzroku Hugona, zerknął raz jeszcze na chatę.

– Długo, myślisz, ją tam trzymał? – spytał głucho.

– Miesiącami – wykrztusił Francuz i się wzdrygnął. – Widziałeś, jaka jest blada.

– Proponuję więc do naszych planów odnalezienia skarbu... – ciągnął Bruno.

– O ile istnieje – przypomniał mu cierpko Hugo.

– ...dorzucić postanowienie, by dopaść owego Alejandra. I raz jeszcze otłuc go dechą. Tak solidnie. Zupełnie nie po rycersku.

– Wreszcie gadasz po ludzku – skrzywił się Hugo, a w jego oczach pojawiło się coś zimnego. – Wracajmy do tej Bormli. Mam nadzieję, że Claude wie, gdzie odnaleźć tego Mavru.

– Nie masz już nic przeciwko? – zdziwił się Bruno.

– Nie. Bo tylko tam znajdziemy dla małej coś do jedzenia i jakiś przyodziewek, a może wyprosimy dla niej bezpieczny kąć – rzekł Hugo, ruszając w ślad za Claude'em i Florese. – Bo nie będziemy chyba dziecka zabierać na naszą nierycerską misję, co?

Bezlitosny upał znów rozciągał swą władzę nad suchą, skalistą Malta. Czwórka wędrowców, klucząc wśród piaskowców, skierowała się na północny zachód, ku Bormli i chwili wytchnienia.

Jakiś cichy głos w głębi serca szeptał Brunonowi, że Mavru – mimo wszystko – nie będzie się boczył. Że nie poczęstuje ich zimnym żelazem w zemście za upokorzenie, jakiego doznał. Że nie postanowi pospiesznie rozprawić się z zagrożeniem, jakie zapewne widział w niezwykłych umiejętnościach Hugona. Że jego sercem poruszy widok ocalonej z niewoli dziewczynki – że wpuści ich do siebie, ugości, zajmie się Florese.

Podarujemy mu te wieprze, pomyślał Bruno z nagłą nadzieją. Przecież tam jakieś świny były, przy tej chacie. Muszą być coś warte.

Dodało mu to otuchy, ale niewiele. Wszak samo podejście do domostwa Mavru stanowiło dla nich ryzyko. Kamienne domy Maltańczyków, choć

z zewnątrz pozornie niewielkie, w środku stanowiły istny labirynt komór, komnat, korytarzy i piwnic. Idealne wprost miejsce na rozmieszczenie drużyny dobrze zmotywowanych nożowników, którymi Mavru musiał dysponować. Wszak w innym przypadku nie utrzymałby się długo w interesie, którym, jak domniemywał Bruno, rządzi o wiele więcej oprócz zasad handlu.

Rzut oka na ponurą twarz Hugona utwierdził go w przekonaniu, że Francuz, mimo gotowości zatroszczenia się o Florese, myśli mniej więcej o tym samym.

– Dużo tych twoich w Bormli? – mruknął, gdy wchodzili między pierwsze zabudowania. – Tych zakutych łbów, znaczy się.

– Moich? – Bruno uniósł brew. – Już nie jestem zakonnikiem, Hugo. Rycerze nam nie pomogą.

Francuz przetarł spoconą twarz.

– Wiem – prychnął. – Chodzi mi o to, by nie wpaść na nich, gdy będziemy uciekać przed Maltańczykami.

Słońce zbliżało się do zenitu, co skutecznie przetrzebiło tłum na ulicach, ale w zalanych cieniami alejkach, pod markizami i w głębi tawern i sklepów nadal toczyło się intensywne życie. Pojawienie się trzech nikomu nieznanym, zdzroszonych zbrojnych, którzy najprawdopodobniej dopiero co stoczyli zacieklą walkę i prowadzili wystraszone, wynędzniałe dziecko, przerywało niejedną rozmowę i przyciągało dziesiątki długich, zaciekawionych spojrzeń. Bruno przeklinał każdy krok i liczył w głębi serca, że przynajmniej część ciekawskich postanowi o nich zapomnieć, gdy rozejdzie się wieść, do czyich drzwi zapukali.

O ile są to drzwi, przez które przyjdzie nam jeszcze przejść, pomyślał.

– Claude – szepnął cicho. – Wiesz, dokąd idziemy?

– Tak, tak – przytaknął tamten pospiesznie i omiół okolicę rozbieranym spojrzeniem.

Bruno nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jego towarzysz nigdy wcześniej tu nie był, co bynajmniej nie poprawiło mu samopoczucia.

– Jak ty w ogóle znalazłeś tego Mavru? – spytał.

– Udawałem hienę cmentarną – odparł tamten. – Wiesz, takiego zboczeńca, co to zwłoki wykrada, by z nimi... No, wiesz...

- Nie wiem - odparł sucho Bruno. - I nie chcę wiedzieć. Chcę natomiast mieć pewność, że ty wiesz, dokąd idziemy. Nie wiem, czy wejście do Bormli było dobrym pomysłem, Claude, i jeśli nie wiesz, dokąd mamy iść...

- Wiem! - odparł tamten piskliwie. - Doskonale wiem! Pamiętam drogę! Stał tam taki wóz i...

- Stał tam wóz? - wtrącił z niedowierzaniem Hugo, spocony tak bardzo, że nie miał nawet ochoty ocierać twarzy. - I to, twoim zdaniem, jest wystarczającym...

Przerwał mu wynędzniały kundel, który wypadł z pobliskiego zaułka, by skrupulatnie obszczekać ich łydki. Potem wyminęli rozklekotaną dwukółkę z arbuzami, która zatarasowała drogę, przeszli obok trzech miejscowych, tak bardzo pochłoniętych kłótnią z woźnicą, że nie dostrzegli ich obecności, przestąpili nad mamrocącym, pijanym żebrakiem i...

- To tam! - stęknął Claude z nazbyt wyraźną ulgą, potwierdzającą wątpliwości Brunona. - To ten dom!

- Pewien jesteś? - prychnął Hugo. - Bo wozu nie widzę!

- To ten dom - mruknął Bruno, wpatrując się w masywną budowlę, obwiedzioną wysokim kamiennym murem, zza którego wylewała się roślinność.

Jego wcześniejsze obawy nagle wydały mu się niewspółmierne do sytuacji - sadyba Mavru mogła kryć nie drużynę, ale cały pułk nożowników. Rozejrzał się - pijany żebrak podniósł się i chwiejnie człapał za ich czwórka, celując w nich wyciągniętą dłonią i mamrocząc coś o datku, ale gdy uświadomił sobie, dokąd zmierzają, zamilkł, odwrócił się i znikł w cieniu.

Powiniennem odebrać to jako ostrzeżenie, pomyślał Bruno, spiesząc za Claude'em. Ale przecież w zasadzie nie mamy wyjścia. Trzeba liczyć na to, że będzie chciał nas przyjąć.

Wrosłe w kamienny mur drzwi były masywne, wzmocnione żelaznymi ćwiekami, a zawiasy miały grubość przedramienia dorosłego mężczyzny. Claude walnął raz i drugi kołatką, aż się poniosło echo.

Potem zapadła cisza.

- W razie czego - mruknął Bruno do Hugona - no wiesz, gdyby trza było ucieczką się salwować... Ile czasu byś potrzebował, by rozpieprzyć taki mur?

- Do jutra rana dałbym radę - odparł Francuz.

- Umiesz pocieszyć w potrzebie.

- Prawdziwe życie.

Obaj, jak na dany znak, spojrzeli na Florese. Nieśli ją przez większość drogi, ale mimo to mała miała oczy szkliste ze zmęczenia.

- Potrzebujemy znaleźć dla niej bezpieczny kąt. - Hugo z uporem zaklinał rzeczywistość. - Musimy...

Niewielkie zakratowane okienko w samym środku drzwi odsunęło się z głuchym trzaskiem. Najpierw ujrzeni ciemne oczy, a potem twarz, surową i kanciastą, co sugerowało silne pokrewieństwo z Mavru, ale nadal wolną od bruzd i zmarszczek.

- Jesteśmy... - zaczął Bruno, ale młody człowiek po drugiej stronie drzwi przerwał mu cichym parsknięciem.

- Och, doskonale wiemy, kim jesteście. Ojciec nie przestaje o was mówić. Zaiste, nie wiedziałem, że zna aż tyle przekleństw. Wejdźcie, wejdźcie - dodał i ze szczykiem odsunął zasuwę. - Sprawicie mu naprawdę wielką niespodziankę.

Jednym z talentów, które Bruno szczerze u miejscowych podziwiał i miał niemalże za magiczny, była umiejętność hodowania ogrodów. Zza niejednego muru wzbijał się bowiem zielony gąszcz, rzucający cień na pylistą, suchą ulicę, a błogie, świeże zapachy budziły tęsknotę za innym, bardziej przyjaznym światem. Ogród Mavru, choć niewielki, oszalał wprost intensywną zielenią. Po kamiennych ścianach piał się bluszcz, róże spletały się z bugenwillą, z kamiennych donic wyrastały drzewa karobowe oraz bujne storczyki, a nad nimi wznosiły się figowce oraz cytrusy. Przy północnym murze zaś pięły się majestatyczne trzy palmy. Liście i gałęzie spletały się w baldachim, dzięki któremu na niewielkie patio, ułożone ze starannie dopasowanych płyt, nie padał ani jeden promień słońca, a gorąco łagodził plusk wody z małej fontanny.

Mimo to Bruno, Claude i Hugo siedzieli z niewyraźnymi minami.

Tuż po przekroczeniu progu drogę w ciemnym korytarzu zastąpiła im niewysoka, ale barczysta, korpulentna matrona o gęstych, niemalże zrosniętych brwiach i prawie czarnych oczach. Otaczała ją aura autorytetu tak wyczuwalna i niepokonana, że gdy bez słowa przygarnęła do siebie Florese i odprowadziła ją do innego pomieszczenia, Bruno zdobył się jedynie na cichy jęk protestu. Na więcej nie starczyło już czasu, bo młodzieniec, który otworzył im drzwi, niemalże wypchnął ich na patio.

A potem kazał im czekać, co było najgorsze ze wszystkiego.

Woda pluskała cicho, cętki światła słonecznego powoli wędrowały po ścianach, tu i ówdzie śmigwały drobne jaszczurki. Z głębi domu dobiegały jakieś pokrzykiwania, czasem śmiechy. Plamy cienia w ogrodzie wydawały się spoglądać na nich dobitnie, podobnie jak niewielkie otwory w murze.

Czekali. Bruno bił się z coraz gorszymi myślami. Hugo parokrotnie zaczął mówić, ale urywał w połowie zdania. Claude przymknął oczy i drzemał.

Minęła, zdawałoby się, wieczność, kiedy z bocznych drzwi wyłonił się sam Mavru. Kupiec miał na sobie błękitną szatę przewiązaną szarfą, a na nogach sandały. Na piersi kołysał mu się złoty krzyż, który zdawał się jego jedyną bronią. Wyglądał na wypoczętego i odprężonego, a szeroki uśmiech, jakim ich powitał, przypominał bardziej szyld rzemieślniczy niż przejaw wesołości czy życzliwości.

– Coś mi mówiło, że się jeszcze zobaczymy – oznajmił niskim, chrapliwym głosem, siadając na krześle z szelestem szat. – Nic mi jednak nie zdradzało, że nastąpi to tak szybko. Ani też, że ujrzę was w moim ogrodzie.

– Wybaczcie, zacny Mavru, ale chodzi o tę dziewczynkę. – Bruno się poruszył. – Znaleźliśmy ją w chacie Alejandra i nie wiedzieliśmy, co z nią począć. Więził ją. Jeśli...

– Zaraz. – Hugo uniósł rękę. – Nie wiem, jak Claude – wskazał towarzysza, który najwyraźniej nadal drzemał z głową opuszczoną na pierś – ale ja chciałbym jednak coś zrozumieć. Możecie gadać po ludzku?

– Możemy – odezwał się Mavru w chropowatej, ciężkiej francuszczyźnie, a w jego oczach zamigotało coś, co mogło być

rozbawieniem, ale równie dobrze irytacją. To zaś przynagliło Brunona, żeby mówić dalej.

– Zaczny Mavru, nasza znajomość nie zaczęła się idealnie i wiemy, że możesz czuć do nas urazę. Chcieliśmy jednak prosić o zrozumienie, bo...

– Urazę? – Mavru powoli, wręcz majestatycznie zamknął i rozchylił powieki. – Ja, drogi panie, jestem człowiekiem interesu, a w nim nie ma miejsca na urazę. Jest natomiast miejsce na przeróżne tarcia, dzięki którym obie strony transakcji demonstrują swą siłę.

Jego słowa nieco uspokoiły Brunona, natomiast zaniepokoiły Hugona.

– Transakcji? – Francuz zmarszczył brwi. – Wybacz, Mavru, ale my chyba jednak nie w tej sprawie. Chcieliśmy prosić o odrobinę zrozumienia dla małego dziecka, ale jeśli to za wiele...

Urwał teatralnie, na co Mavru uśmiechnął się równie szeroko i sztucznie jak przed chwilą.

– Transakcja to wydarzenie ponadczasowe – rzekł. – Niezauważona, trwa czasem lata, nim obie strony uznają, że osiągnęły satysfakcję.

– My niczym nie handlujemy! – warknął Hugo.

– Och, ja odnoszę inne wrażenie. – Mavru, choć zdawało się to niemożliwe, rozciągnął uśmiech jeszcze szerzej. – Mój instynkt kupiecki się w tych sprawach nie myli. Tuszę, iż rycerz Alejandro de Heredia, który w swej łaskawości skupował ode mnie ludzkie zwłoki, nie będzie już tego przez jakiś czas czynił, co naraża mnie na straty. Dodatkowo wielu ludzi widziało was, jak zmierzacie do mego domostwa, a spośród nich niejeden może was powiązać z tajemniczymi wydarzeniami na wyspie. To zaś może pogрузić moją reputację, co byłoby stratą jeszcze większą, iście niepowetowaną. Gdybym był człowiekiem prostolinijnym, rzekłbym, że czując żal i wyrzuty sumienia, oddaliście mi dziewczynkę w ramach rekompensaty.

Również tym razem Bruno i Hugo usłyszeli w jego słowach dwie różne prawdy.

– Nie ośmielisz się chyba... – zaczął Francuz złowrogo, unosząc się z krzesła.

– Zaraz! – zawołał Bruno. – Skąd wiesz, że Alejandro eee... wypadł z interesu?

– Powoli. – W głosie Mavru zgrzytnęły kamienie. – Mam wrażenie, że wyczuwam tu jakieś emocje, a mało co szkodzi interesom tak bardzo jak brak opanowania.

– Krótką masz pamięć, kupcze! – Hugo wyprostował się na całą swoją wysokość, całkowicie ignorując dłoń Brunona, który usiłował go posadzić. – Jeśli przyszło ci do głowy, by skrzywdzić...

– Pamięć mam dobrą, a zmysł obserwacji jeszcze lepszy. – Mavru skrzywił się nieładnie. Bardzo nieładnie. – I zapamiętałem, że aby sięgnąć po swój diabelski dar, musisz skupić myśli. Choć na chwilę. Przykazałem tedy moim synkom, by wpakowali w ciebie bełt, gdy tylko przyjdzie im do głowy, że zaczynasz się koncentrować. Rozchmurz się, przyjacielu. Wyglądź czoło, usiądź, rozgoń myśli, bo tak będzie dla ciebie najlepiej. A jeśli już musisz nad czymś myśleć, to może zadaj sobie pytanie, które z otworów w murze kryją w sobie kusze.

Machnął przy tym upierścienioną dłonią w stronę bluszczu pnącego się po kamieniach i odwrócił spojrzenie od czerwonego ze złości Hugona. Zerknął na Claude'a i rozciągnął usta w uśmiechu, który przypominał pęknięcie na płycie piaskowca.

– Naprawdę myślałeś, że w pojedynkę udam się w ślad za nieznanym mi człowiekiem o dość rozbieganym, niewyraźnym spojrzeniu, tylko dlatego, że chce mi opchnąć trupa? – prychnął. – Towarzyszyło mi dwóch ukrytych ludzi, którzy mieli co prawda wielką ochotę pomścić upokorzenie swego pracodawcy, ale na szczęście znają moją definicję transakcji i wyzbyli się tych myśli. Udali się natomiast w ślad za wami i z oddali przyglądali się waszej walce z Alejandrem i jego... cóż... podwładnym.

– I... – Bruno zastanowił się dobrze nad słowami. – I jakie wnioski wyciągnąłeś z ich relacji?

– Rozmaite. Złożone. Nierzadko sprzeczne ze sobą. – Mavru znów przymknął oczy. – Z tego powodu pomyślałem sobie, że gdy nadarzy się sposobność, chętnie jeszcze z wami pogawędzę.

– Mam nadzieję – wycedził Bruno – że nie o rekompensacie.

– Jak najbardziej o rekompensacie. – Mavru ponownie się skrzywił, przyglądając się młodemu rycerzowi wzrokiem przeznaczonym dla półgłówków. – Wszak dobry interes to taki, na którym zarabiają obie strony. Niemniej – uniósł brew, zerkając na Hugona – waszej dziewczynki

za takową nie uznaję. Fakt, że wystarczyłoby domyć, uczesać i nieco podkarmić, a przyjąłby ją każdy zamtuż w Mesynie, ale ja już od dawna nie obracam żywym towarem.

Westchnął pokazowo i spojrzał na okoloną liśćmi bluszczu bizantyjską mozaikę przedstawiającą Matkę Boską.

– Grzech to? – odgadł Bruno, próbując ukryć złośliwość w głosie.

– Grzech, jak najbardziej – zgodził się Mavru. – Z tym jednak jakoś bym sobie poradził. Sakrament spowiedzi wszak zawsze niesie pociechę dla zbłąkanych. Sęk w tym, że handel niewolnikami został już zmonopolizowany przez wasz zakon, a z nim na próżno mi się ścierać. Towar martwy, jak pomnicie, okazał się nieco lepszym interesem, ale Alejandro za waszą sprawą przypuszczalnie właśnie z niego wypadł. Przywodzi nas to do kwestii rekompensaty.

– Słuchamy. – Bruno nie był pewien, czy podoba mu się kierunek, w jakim zmierza rozmowa.

– Pomyślmy. – Mavru udał zadumę. – Pozbawiliście mnie jednego ze źródeł dochodu, wystawiliście na szwank moją reputację i daliście mi w łeb, a za moment zapewne będziecie jeszcze chcieli wiedzieć, co się stało z Alejandro i coś takiego w międzyczasie moja żona dowiedziała się od Florese. Ba, może nawet będziecie chcieli coś zjeść i poprosicie o kąpiel, by odespać noc.

Mina Hugona sugerowała, że gdyby nie wściekłość na droczącego się kupca, nie myślałby o niczym innym.

– Jakkolwiek by na to spojrzeć, na razie jestem stratny! – Kupiec rozłożył dłonie w geście całkowitej, upokarzającej bezradności. – I to bardzo! Na każdym polu! Cóż mi zaproponujecie, by interesy z wami dobrze się dla mnie zakończyły?

Bruno milczał, Hugo również. Woda pluskała. Gdzieś za murami wyzywano się od kurwich synów i tureckich bękartów. Rozbudzony Claude, od dłuższej już chwili przysłuchujący się rozmowie, odchrząknął.

– Mamy trzy świny. Znaczą się, nie mamy, ale wiemy, gdzie są. I możemy je przyprowadzić. Zaczne kabany, tłusciutki.

– Chodzi o te, które trzymał Alejandro? – Mavru uniósł brew. – Które żarły trupy zdaniem Alejandra nienadające się do niczego? Sprzedałem je, zanim weszliście do Bormli.

Bruno poczuł w głowie bolesną wręcz pustkę.

– Nie mamy niczego, co możemy ci zaoferować – rzekł głucho. – Przynajmniej na razie.

– Och, to nic! – Mavru machnął dłonią. – Transakcje, jak już mówiłem, czasem trwają latami. A wy znajdziecie sposób, by spłacić dług, wiem to. Tym bardziej, że zaraz usłyszycie od mnie jeszcze kilka ciekawostek odnośnie do tego Alejandra.

Wnet trzech towarzysze przekonali się, że reputacja dla Mavru to rzecz święta i że gotów jest on zrobić wiele, by ją ochronić. Z tego właśnie powodu, zamiast z godnością opuścić jego domostwo, zostali z niego widowiskowo wyrzuceni, by cała okolica dobrze sobie zapamiętała, iż byli gośćmi nieproszonymi. Zajęła się tym, o zgrozo, Pompea, żona Mavru, czarnooka matrona, która odebrała od nich Florese na początku wizyty.

Bruno nie znał się na kobietach, ale natychmiast wyczuł, że Pompea należy do tych, które wcale nie muszą się odzywać, by wzbudzić szacunek, a nawet lęk. Jej wrzask więc błyskawicznie osiągnął moc trąby powietrznej, a czarne oczy błyszczały furją tak ogromną, iż rycerz zapytał się w myślach, czy aby nie wzięła zasugerowanego przez Mavru przedstawienia nazbyt mocno do serca. Na dłuższe przemyślenia w tym temacie zabrakło oczywiście czasu, bo matrona wywaliała ich na ulicę z gwałtownością i zdecydowaniem sugerującym długie doświadczenie.

– Won, parszywcy! – darła się, a wzdłuż ulicy otwierały się okna i drzwi. – Hieny obmierzłe! Marabuty w łajnie kroczące! Szakale o nadgniłych jajcach! W owcze dupy wam gęby wpychać, a moje posadzki czołami zamiatać! Oczajdusze! Won, gzić się z kozami po krzakach, a nie do mojej córeczki, mojej Marii ukochanej, zalotnie mrugać!

Hugo, którego cierpliwość została już któryś raz wystawiona na ciężką próbę, szedł wyprostowany z policzkami tak czerwonymi, że mało krew z nich nie trysnęła. Bruno podążał za nim z głową pochyloną nisko, głównie po to, by nie parsknąć histerycznym śmiechem. Zaskoczył ich natomiast Claude, któremu oczy rozbłysły i błyskawicznie wcielił się w rolę przeganianego amanta. Klękał w pyle, składał dłonie jak do modlitwy, kłaniał się, oczami przewracał, nie przestając zasypywać rozjuszonej Maltanki prośbami i przeprosinami, co ta, najwyraźniej

skonsternowana jego zachowaniem, usiłowała zagłuszyć jeszcze głośniejszym wrzaskiem. Bliżsi i dalsi sąsiedzi Mavru bawili się doskonale, równie dobrze jak Claude, który wydawał się głęboko nieszczęśliwy, gdy Bruno zawrócił i mocnym szarpnięciem za ramię wyrwał go z roli.

We trzech pognali za miasto, już wystrzegając się zwracania na siebie uwagi, a tam, w cieniu kamienistych wzgórz, Bruno odnalazł chatę, którą wskazał mu na odchodnym Mavru. Choć wydawała się zwykłą, pasterską sadybą, niedużą i na pewno niewyposażoną w żadne luksusy, miała drzwi zaopatrzone w mocny zamek. Bruno wymacał w kieszeni klucz i wszedł do dusznego środka.

Na niewielkim stoliku piętrzyły się stopy bułek, kielbas i owoców, obok zaś stał gąsior wina, świeżo co wyciągnięty z piwniczki, bo zroszony.

Hugo podszedł doń bez słowa, wyciągnął zębami korek, nalał sobie do kubka i wypił duszkiem. Beknął i otarł usta.

– Ja pierdole – podsumował bezsilnie cały dzień i nalał drugi kubek. – Masz, Claude, pij. Wszak masz powód. Właśnie, jak sądzi cała Bormla, pokrzyżowano ci plany mezaliansu.

Claude minął go bez słowa, po czym padł na jedyną pryczę w izbie i westchnął żałośnie, jakby naprawdę w to wierzył.

– Ja to wezmę – burknął Bruno. Chwyił kubek, pociągnął tęgi łyk i urwał sobie kawał kielbasy, a potem kiść winogron. – Pójdę na zewnątrz. Myśleć się tu nie da.

Na zewnątrz wcale nie było lepiej, bo upał trwał niemożebny, a ławeczka obok drzwi, choć stojąca w cieniu, aż parzyła. Bruno był jednakże tak głodny i znużony, że kilka łyków wina całkiem go znieczuliło na wszelkie niewygody. Odstawił pusty już kubek, wgryzł się w kielbasę, a gdy ta się skończyła, zaczął zajadać winogrona. Wzrok jego, coraz bardziej zamazany, wędrował po okolicy.

Odległa Bormla, niewyraźna w rozedrganym powietrzu. Niewielki kościółek, przed którym drzemał miejscowy ksiądz. Kilka chat, rozsypujący się murek, nieco zapuszczony sad oliwny. Kępa akacji i sparszywiła koza, próbująca coś wydostać spomiędzy pni.

Przez chwilę wpatrywał się w zwierzę i w myślach zaczął je nawet dopinguować. Ledwie zarejestrował, że drzwi chaty uchyliły się ze

skrzypnięciem, a ze środka wyszedł przeklinający Hugo. Usiadł obok Brunona, aż ławka skrzypnęła, i spojrzał na niego badawczo.

- I co? - spytał. - Wymyśliłeś coś? Nie, zaraz, ty się schlałeś.

Bruno uniósł rękę i otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, ale zrezygnował. Prychnął śmiechem i pochylił się, by oprzeć łokcie o kolana.

- Nie wiem, kiedy ostatni raz jadłem czy spałem - wybełkotał. - Wystarczyło kilka łyków...

- Jeszcze mi się tu biczować zaczniesz z rozpaczą nad ułomnością ducha! - westchnął Hugo. - Podpity wydajesz mi się bardziej ludzki.

- Osobliwie postrzegasz ludzki ród - westchnął Bruno.

- Prosta filozofia, prymitywna, rzekłbym, ale raczej niezawodna. Martwię się, Bruno - ostygł Hugo.

- Tą małą się nie przejmuj. - Bruno znów machnął dłonią. - Tu na południu dzieci są świętością. Trzeba prawdzi... prawdziwego zwyrodnialca, by spróbować krzywdę zrobić dziecku. A Pompea... Zaraza, sam widziałeś. Nie pozwoli, by małą ktoś tknął. Bezpiecz... bezpieczniejsza już nie będzie.

- Nie martwię się o małą, ale o nas - przyznał Hugo.

Bruno czknął głośno, niespodziewanie nawet dla siebie, na co Francuz, jakby nagle pozazdrościł mu błogostanu, wrócił do izby i przyniósł dwa kubki wina. Swój wychylił niemalże jednym haustem i mlasnął głośno.

- O nas się boję - powtórzył głośniej. - Bo zaraz, z kim to my już mamy na pieńku? Ze Świętym Oficjum, z zakonem joannitów i pewnie też z tureckimi korsarzami. Nie potrzeba nam jeszcze wroga w postaci króla miejscowych przemytników!

- Mavru nasss nie ssskrzydź! - parsknął Bruno, kręcąc gwałtownie głową.

- Powiedział nam wszystko, co Pompei udało się wyciągnąć od Florese. Przekazał, co się aktualnie dzieje z Alejandrem - mówił szybko Hugo. - Po co to? Czego on od nas chce? I co będzie chciał w zamian?

- A wiesz... - Bruno wyprostował się nieco zbyt gwałtownie, bo uderzył potylicą w ścianę. - A wiesz, że myślałem o tym? I chyba wiem!

- No to mnie oświeć - burknął Hugo i wychylił kubek, który przyniósł dla towarzysza.

- Maleficjum. - Bruno podniósł palec i zachwiał się nieco. - Czarna magia. Jego ludzie widzieli coś, czego jesz... jeszcze nie widział nikt. Ożywieńcy. Włócznia przywołująca ży... żywoły. Ta twoja sztuczka. Mavru ma nas za cza... czarodziejów. I chce w jakiś sposób położyć łapę na... na naszych talentach. I niewykluczone, że układ z Alejandrem zaczynał mu już doskwie... doskwierać.

Hugo przez moment wpatrywał się w słońce, aż przymknął oczy.

- Dobrze - szepnął.

- Co w tym dobrego?

- Nic. Tylko winko mnie siekło, błogosławiona poezja Bachusa - ciągnął Hugo z zamkniętymi oczami. - I to chyba jedyna dobra rzecz w tym bajzlu. Bo my nie czarownicy. Tyle we mnie maleficjum, ile gałki muszkatołowej. I ciekaw jestem, jak Mavru zareaguje, gdy się tego dowie. Zdradziłeś mu to może?

- Nie. Bo dopóki w to wierzy, dopóty jest nam gotów pomóc. Albo przynajmniej nie przeszkodzić.

- Aha. Tylko że - Hugo spojrzął do pustego kubka - popraw mnie, jeśli się mylę, ale jakoś szczególnie to nam do tej pory nie pomógł. Bo czego niby dowiedział się od malej?

Bruno zacisnął powieki, próbując sobie przypomnieć słowa kupca.

- Że ów Alejandro trzymał ją w niewoli długie miesiące - rzekł. - Cholera wie, jak długo, bo dziecku wszystko się pozlewało. Najpierw... - czknął - najpierw trzymał ją we Florencji, potem w Mesynie, a na końcu tu. I że odebrał ją tej klarysce, rodzonej siostrze. Soave jej było. A ona, ta Soave, księgi dla Alejandra pisała. Pisała czy przepisywała, tego mała powiedzieć nie umiała, ale raczej to drugie, bo mówiła też, że jej *sorella* miała świetną pa... pamięć. Nic jej nie umknęło.

- O, to tak jak u mojej starej - ucieszył się Hugo. - Też wszystko pamiętała. Nigdy nie zapomniła, kto co na nią rzekł, kto ile jest jej winien i jaki procent trza takiemu synowi dowalić.

Zamyślony Bruno wpatrywał się w mrówki maszerujące wśród grudek ziemi.

- Słyszałem o... o takich ludziach - bąknął.

- Jak moja stara? Nic dziwnego, w co drugiej pieśni rycerskiej masz ci monstrum, które...

- O takich, którzy wszystko zapamiętują - przerwał mu Bruno. - O ludziach z genialną pamięcią. Raz spojrzysz na zaw... zawsze pamięta. A co, jeśli ów Alejandro zwiedził się o talencie siostry Soave, porwał małą, by móc ją szantażować, a potem kazał sobie przepisywać księgi?

- Druk wynaleziono, jeśli dobrze pamięć, jakoś tak... - zaczął drwiąco Hugo, ale Bruno zamachał dłonią.

- A co, jeśli to były księgi, których nikt drukiem nie wyda? - zapytał, prostując się. - Jak choćby takie, które kryją receptury na ożywianie zmarłych i inne abominacje?

Hugo milczał. Długo i wymownie. W końcu sapnął, wstał chwiejnie, wrócił do izby i po chwili wyszedł na spiekotę z - czego się Bruno domyślał - resztą wina w gašiorze. Nalał sobie i towarzyszowi.

- Wiesz, co w tym wszystkim najgorsze? - spytał chrapliwie.

- Źe to ma sens? - odgadł Bruno.

- Po części - zgodził się Hugo. - Wszak mówią, że najciemniej pod latarnią. Czy istnieje więc lepsze miejsce, by uprawiać maleficjum, niż cień wielkich fortec zakonu zakutych łbów, tak zawziętych na saraceńskich korsarzy, że zgoła nie patrzą wokół siebie? Tym bardziej, jeśli praktyki owe miałyby zasłonić aura Świętego Oficjum, równie zniechęcona, co nietykalna? Kto o zdrowych zmysłach zarzuci inkwizytorowi, że źle czyni? Na leziesz Świętej Kunegundy, ależ mocne to wino.

Przymknął oczy.

- Ale wciąż nie to w tym najgorsze - dorzucił po chwili.

- A więc zapewne to, że siedzimy w tym po uszy i nie wiemy, co począć? - odgadł Bruno. - Bo Alejandro, wedle słów Mavru, kuruje się w szpitalu w Birgu, a więc jest poza naszym zasięgiem, Florese nie powie nam nic więcej, a Soave znikła bez śladu.

- Też - czknął Hugo. - Ale jest coś, co martwi mnie nawet bardziej.

- Aaa, już wiem. - Bruno, mimo powagi sytuacji, pozwolił sobie na głupkowaty uśmiech, głównie dlatego, że głowa co rusz przechylała mu się na boki. - Już wiem. Przejmujesz się tym, że brniemy przez... przez to łąjno coraz głębiej, a skarbu nadal ani widu, ani słyhu.

- Ooo, właśnie. - Hugo się rozpromienił. - Właśnie.

Przez myśli Brunona przemknęło wspomnienie dziwnych pytań Turguta. Zwodniczych zachowań Alejandra. Wściekłych oskarżeń Malatesty. Cynizmu ojca Bonifacego.

– I tu, przyjacielu, chyba się mylisz – wymamrotał. – Bo mi coś uparcie szepcze, że obie te sprawy są ze sobą niero... nierozzerwal...

I zachrapał.

Obudził go ochryply, nieludzki wrzask.

Zerwał się i przez moment siedział nieruchomo, próbując uspokoić bijące mocno serce i jednocześnie odzyskać ostrość widzenia. Nadchodził już wieczór – po ciemniejącym niebie rozlewały się krwistoczerwone refleksy, jakby ktoś topił wiadra krwi w lazurze wody – a powietrze zauważalnie stygło. Nad nielicznymi osobliwymi zabudowaniami krzępła nieprzyjemna, martwa cisza.

Nie było widać żywego ducha.

Nie, uświadomił sobie po chwili Bruno i splunął nieprzyjemną żółcią. Tam ktoś jest.

Daleko na trakcie, za kościołem, ciemniała sylwetka samotnego jeźdźca na koniu. Bruno, wciąż oszołomiony, zignorował alarmujący szept zdrowego rozsądku i podniósł się, by lepiej widzieć.

I aż się zatoczył.

– Hugo! – Szarpnął Francuza, który, zmożony przez wino, osunął się z ławki, gdzie nadal pochrapywał nieświadomie. – Hugo, wstawaj!

Nie pomogły gorące błagania, seria siarczystych policzków, gwałtowne, acz pozbawione sensu próby podźwignięcia go z ziemi, a nawet kopniak w zadek. Hugo wniknął w królestwo Morfeusza i ani myślał stamtąd wracać.

Owładnięty paniką Bruno wpadł do izby, gdzie przez moment szarpał równie mocno śpiącego Claude'a. Ten jedynie chrapnął cicho i wypuścił kubek, który z głuchym stuknięciem spadł na podłogę.

Nie dobudzę ich, uświadomił sobie Bruno z nagłą jasnością. Nie uciekniemy. Muszę wyjść. Muszę ich bronić.

Splunął, ujął mocniej miecz i niespiesznie wyszedł na zewnątrz, pochylając się pod niską framugą. Jego serce uspokoiło się już i biło równo mocnym, stalowym rytmem.

Jestem rycerzem, pomyślał. I nic tego nie zmieni, choćby i to, że bracia mają mnie za zdrajcę i czciciela diabła.

Ani drgnął, gdy od dachu oderwała się tajemnicza istota, chuda, czarna, z szarymi, niemalże przejrzystymi błoniastymi skrzydłami. Wrzasnęła raz jeszcze, głośno i przeciągle, a potem, łopocząc bezszelestnie, poleciała w kierunku samotnego jeźdźca. Ten wysunął ramię niczym łowczy polujący z sokołem. Szaroskrzydła istota opadła i przez krótką chwilę Bruno miał wrażenie, że rozmawiają.

Potem jeździec gwałtownym ruchem wyrzucił ją w niebo i ruszył powoli na spotkanie Brunona. Okolica – domy, ogródki, nieodległy kościół – wydawała się całkiem nieruchoma, wręcz wymarła, jakby wrzask szaroskrzydłej bestii przepędził stąd całe życie. Znikła nawet koza, szarpiąca się z kolczastym krzakiem. Na ciemniejącym niebie ciągnęły się purpurowe, rozmazane smugi. Twarz Brunona pokryła warstewka potu.

Jeździec zbliżał się. Bruno uśmiechnął się krzywo, wytarł dłoni w ubranie i na nowo ujął miecz, mocniej, pewniej. Dobrze wiedział, z kim przyszło mu się spotkać.

Nieznajomy zatrzymał się i odchylił zasłonę hełmu, choć twarz nadal nikła mu w półmroku.

Bruno wszedł na drogę, ciągnąc za sobą miecz, którego ostrze podskakiwało na kamieniach.

– Oszczędzę sobie ironii, stryju – wycedził. – Wcale się nie cieszę, że cię widzę.

Malatesta Scozzi splunął siarczyście i otarł wąsiska, a potem założył ramiona na starym, potłuczonym kirysie.

– Ja natomiast – wychrypiał – cieszę się, i to bardzo. Bóg mnie do ciebie doprowadził, co najlepiej mówi, jak bardzo jesteś mu niemiły.

– Bóg? – Bruno uniósł brew. – Przed chwilą widziałem tu jakieś szaroskrzydłe paskudztwo. Przyznam, że jakoś inaczej wyobrażałem sobie anioły.

Malatesta skrzywił się z bezbrzeżną, miażdżącą ironią.

– Przybyłem tu, na Malte, by wypalić resztkę diabelstwa, które jątrzy się w tym przeklętym rodzie. By położyć kres złu zasianemu przez twego ojca. Wielkiemu, diabelskiemu złu, Bruno. Powinienem być cię ubić! Jak psa wściekłego zaćwiczyć. Jesteś wszak *anima vilis*¹. Ja jednakże,

posłuszny Bożym przykazaniom miłości i szacunku wobec bliźniego, oddałem cię Sanctum Officium, chłopcze. Liczyłem bowiem na to, że zrozumiesz swój błąd, wyprzesz się zła, zgodzisz na pokutę...

Pokręcił głową, jakby nie starczyło mu słów. Bruno, który wbił miecz w drogę, słuchał go z grymasem na twarzy.

– Okazało się, że jest gorzej, niż myślałem. – Malatesta skrzywił wychudłe oblicze, paskudne teraz niczym gęba ghula znad pożeranego trupa. – Nie dość, że odrzuciłeś łaskę odkupienia win, to jeszcze, widno z diabelską pomocą, z lochu się wyrwałeś. Nie, chłopcze. Nie ma takiego grzechu, którego Bóg by mi nie wybaczył, jeśli w końcu odbiorę ci życie. Wszak istota, którą właśnie widziałeś – machnął ręką w kierunku, dokąd odleciało wrzeszczące stworzenie – doprowadziła mnie do ciebie, chłopcze, a więc wykonała dzieło Boże.

– Interesujące – stwierdził Bruno. – Tak to pokrętne, stryju, że aż ciekawe. A skoro już toczymy tę rozmowę...

– To nie rozmowa – warknął Malatesta. – Chcę ci wyjaśnić, chłopcze, dlaczego za moment zginiesz.

– ...to wyjaśnij mi – ciągnął Bruno – jak ważny dla ciebie jest ów skarb, co? To mój ojciec go zebrał, prawda? Twój brat rodzony? Może uznałeś go po prostu za swoje dziedzictwo i przetłumaczyłeś sobie cały świat tak, by mieć prawo po niego sięgnąć?

Oblicze Malatesty Scozziego poczerwieniało tak bardzo, że mało brakowało, by bruzdami na jego twarzy spłynęła krew.

– Skarb twego ojca to esencja abominacji! – wykrzyknął, trzęsąc się z furii. – To uosobienie diabelstwa! Czarny wrzód, obelga wobec wszelkiej świętości!

– Aż strach pomyśleć – wtrącił Bruno z bezczelnym uśmiechem – ileż to Bogu miłych czynów mógłbyś dokonać, gdybyś wreszcie dorwał go w swoje łapy, prawda?

Malatesta wyprostował się i milczał przez moment. Koń zarzucił łbem i prychnął z niechęcią.

– Nie wiem, czy skarb Gilberta nadal istnieje – oznajmił kondotier. – Jeśli Bogu będzie to miłe, kiedyś go znajdę. Na razie wystarczy mi, że ty nigdy go nie odnajdziesz. Dość już zła kala ten świat, Bruno. Dość. Pora na *iudicium Dei*².

Dłoń w skórzanej rękawicy zacisnęła się na rękojeści długiego miecza bastardowego, a druga uniosła się, by dopiąć zasłonę hełmu, i pochwyciła za wodze. Koń prychnął i zatupał kopytami, jakby wiedział, że za moment czeka go bój.

– Ano zgadza się – wycedził Bruno. – Pora.

Wiedział, że w walce ze stryjem nie ma większych szans. Malatesta miał dłuższy miecz, dziesiątki bitew za sobą, a do tego przewagę końskiego grzbietu. Co więcej, kryły go kirysy, nagolenniki oraz hełm z zasłoną, słynny italski armet, w przeciwieństwie do reszty zbroi wyglądający na całkiem nowy. On zaś stał na trakcie w podartej, brudnej koszuli, z byle jakim mieczem, za całą zbroję mając własną determinację.

Rumak stryja zadrobił w miejscu, zbierając energię do natarcia, a Bruno nagle uświadomił sobie, że to nie wszystko, na co może liczyć. Powietrze wokół niego zgęstniało, a on odniósł wrażenie, że otoczyły go dzikie, rozszalałe ognie. Między nimi dostrzegł twarz kobiety, tę, co wcześniej. Cierpiała, co do tego nie miał wątpliwości. Włosy kleiły się do spotniałej twarzy, a oczy lśniły wściekłym bólem, ale mimo to zdołała się do niego uśmiechnąć. I wyszeptwała jakieś słowa, których ani nie dosłyszał, ani nie zrozumiał, ale skądś wiedział, że są przeznaczone dla niego.

I że mają mu przynieść otuchę.

Twarz oraz płomienie niespodziewanie znikły, rozcięte klingą bastarda Malatesty. Bruno zasłonił się odruchowo, czego natychmiast pożałował, bo tak potężnego cięcia parować się nie powinno. Ręka zdrętwiała mu aż po ramię, a przed oczami eksplodował blask bólu.

Stryj, choć rozpędzony, zdołał ciąć raz jeszcze, tym razem bardziej niedbale. Bruno uskoczył mu spod ostrza i odwrócił się, by chlasnąć jego rumaka po zadzie, ale spóźnił się i klinga przecięła powietrze.

Stał i ciężko dyszał, spoglądając w ślad za Malatestą, który z gracją ciasno zawrócił rumaka i ruszył do ponownego natarcia. Wiedział już, że przewaga stryja jest znacznie większa, niż z początku sądził. Miał przeciwko sobie twardego, żyłastego weterana niejednego szlaku bojowego, silnego i zdeterminowanego. Sam uchodził za niezłego szermierza, co nieraz udowodnił w pojedynku, ale lochy Świętego Oficjum i mordercza włóczęga po drogach i bezdrożach Malty wyczerpały jego siły.

Nie miałby z Malatestą szans, nawet gdyby ten nie jechał konno, ale stał naprzeciwko niego.

Poprawka, pomyślał, zgrzytając zębami. Nie miałbym szans, gdybyśmy byli sobie obcy, stryju.

Malatesta już nadciągał i wznosił miecz do kolejnego cięcia, ani chybi oszczędnego i morderczego. Ziemia dygotała pod końskimi kopytami, wznoszącymi tumany kurzu.

Ale ja cię znam, dodał w myślach Bruno. I zrobiłeś wszystko, bym zaczął cię nienawidzić.

Owionął go pęd powietrza, potem z nieba, niczym błyskawica, runęła klinga. Bruno nie parował już, uskoczył, potknął się o jakiś kamień, runął na ziemię, upuścił miecz. Upadek, o dziwo, wyzwolił w nim dziką furję.

Winy moje chciałeś odkupić? – warknął do siebie. Świat ode mnie uwolnić?

Zerwał się, lewą ręką pochwycił miecz, prawą złapał jakiś kamień. Rumak stryja zatańczył, gdy ten odwracał się ku niemu. I znów runął do ataku, nieruchomy, zimny, obojętny za zasłoną hełmu.

Inkwizycji mnie oddałeś! Pieprzonej Inkwizycji!

Wymierzył właśnie w hełm, ów nietknięty, drogi hełm, zasłaniający zaciekłość i wzgardę, nieliczne z emocji, które pozostały Malateście Scozziemu. Wzbierający gniew spotęgował jego siły. Kamień rąbnął w hełm z głuchym brzękiem.

Kondotier zachwiał się, zamroczony na moment. Bruno wiedział, że drugiej szansy już nie dostanie. Rozpędził się, przypadł doń i rąbnął w nagolennik, aż się poniosło, a potem, obojętny na ból odrętwiałego ramienia, przyłożył w kirys. Malatesta znów zakołysał się w siodle.

– Diabelskie nasienie! – wycharczał stłumionym głosem.

Bruno rąbnął ponownie, tym razem w naplecznik. Czwartego ciosu zadać już nie zdołał, bo rumak Malatesty, najwyraźniej towarzysząc niejednego boju, zrozumiał zagrożenie i wierzgnął dziko. Podkute kopyto przemknęło tuż obok twarzy młodego rycerza. Odskoczył, a nim się zorientował, Malatesta już zawracał. Nic w jego postawie czy zachowaniu nie wskazywało, by wściekłe natarcie Brunona wywarło na nim jakiegokolwiek wrażenie.

Bruno westchnął, ujął mocniej miecz i się skupił.

Nie, poprawił się w myślach. Jednak zrobiłem na nim wrażenie.

Malatesta Scozzi, który chwilę temu wydawał się zimny i nieporuszony niczym kat, teraz atakował z wściekłością jesiennej burzy. Unik Brunona okazał się ryzykownym i niebezpiecznym manewrem, a cios, którym usiłował się odplacić stryjowi, parodią sztuk szermierczych. Podobnie było podczas drugiej szarży, która nastąpiła szybko, o wiele za szybko. Zdyszany, spocony Bruno odwrócił się, skupił, przygotował na trzecią. Na policzku czuł rozlewające się ciepło, zapewne krew.

No chodź tu, wydyszał w myślach. Zmierz się z abominacją.

Kopyta rumaka śmigają, budząc pylistą burzę. Miecz niczym wąż uniósł się ku niebu, obojętna twarz, zasłonięta wygiętą zasłoną, obróciła się ku niemu.

Powietrze zgęstniało, czas nagle zaczął płynąć wolniej. Bruno piruetem zszedł z linii cięcia, odplacił się chłaśnięciem na odlew, coś trafił, ale zabrakło czasu, by się przyjrzeć, bo musiał uskakiwać przed morderczym pchnięciem. Odwrócił się gwałtownie, bo stryj już zawracał rumaka, jeszcze ciaśniej niż przed momentem, już wznosił miecz, już tłukł końskie boki piętami.

I wtedy runął na ziemię. Razem z siodłem.

Oszołomiony Bruno uświadomił sobie, że jego desperacki cios rozrząbał popręg. Z krzywym uśmiechem skoczył naprzód. Odepchnął pysk zaskoczzonego rumaka, wznosił miecz i zawahał się, zaskoczony, gdy przed nim wyrósł Malatesta.

Stary kondotier najwidoczniej nie w takich opałach już bywał. Zapewne nieraz spadał na ziemię w bitewnym zgiełku i wiedział, że na poderwanie się ma ułamki sekund. Nie tracił więc czasu i nim Bruno sobie to uświadomił, klinga bastarda znów zmierzała ku jego głowie.

Umknął rozpaczliwym zwodem, wskoczył na przydrożny murek, znów uskoczył, gdy klinga stryjowego miecza uderzyła prosto w jego łydki. Odwrócił się ku przeciwnikowi, zdyszany i wyczerpany.

– Wijesz się, zaiste, jak diabeł – wychrypiął metalicznie Malatesta – pochwycony w moc egzorcyzmów.

Bruno nie odpowiedział. Skupił się. Wiedział, że najgorsze ma jeszcze przed sobą.

I nie pomylił się.

Malatesta nadal górował nad nim wzrostem, uzbrojeniem i doświadczeniem, a do tego, walcząc jak dotąd z końskiego grzbietu, nie zdołał się nawet zasapać. Oczy Brunona zaś szczypał już pot, ręka trzymająca miecz drżała, a płuca bolały od pospiesznego oddechu.

Zmógłbyś mnie, pomyślał, wpatrując się w rysę na hełmie stryja. Gdybyśmy byli sobie obcy. Ale nie jesteśmy. I tu nie chodzi nawet o to, bym przeżył tę walkę. Chodzi o to, byś ty jej nie przeżył.

I skoczył do ataku.

Trochę tym stryja zaskoczył, do tego stopnia, że udało mu się nawet przeciągnąć ostrzem miecza po jego zakurzonym kirysie. I zaraz pożałował swej brawury, gdy bastard Malatesty opadł z nieba. Zabrakło niewiele, bardzo niewiele, by przeorał albo nawet odraubał mu ramię. Bruno uskoczył instynktownie, bez gracji, ale skutecznie.

Natychmiast odplacił się pięknym za nadobne. Koniec jego ostrza przemknął na wysokości gardła stryja. Niczym dwa tajfuny przetaczali się po okolicy, zwarci w śmiertelnym pojedynku, obojętni na ból i zmęczenie. Pękła przerażana gałąź i z trzaskiem spadła na ziemię, pękła inna, zgnieciona przez naplecznik odtrąconego gwałtownym kontratakiem Malatesty. Posypały się kamienie z przydrożnego murku, na który zatoczył się Bruno, pękł głaz, rozrąbany przez celującego w jego głowę kondotiera. Świstało cięte powietrze, zgrzytał żwir pod butami walczących. Zbryzgały ziemię krople krwi ze skaleczenia na barku Brunona. Dołączyły do nich inne, które wyciekły spod puklerza kondotiera, pamiątka po szczęśliwym pchnięciu w bok.

Znieruchomieli, zdyszani, wpatrzeni w siebie z nienawiścią.

– Nie pojałeś jeszcze – wychrypiał Malatesta – że nie ze mną walczysz? Że ja reprezentuję wolę boską? Że opierając się mnie, przeciwstawiasz się Jemu? Tego chcesz?

– Chcę... – wysapał Bruno i splunął na ziemię. – Chcę cię zabić. Choćby i po to, by temu światu ubyło jeszcze jednego szaleńca.

Malatesta zgrzytnęła zębami, skoczył do ataku. Wnet okazało się, że wiek kondotiera zaczyna mieć znaczenie. W pojedynku z młodszym, zdeterminowanym i ruchliwszym przeciwnikiem, walcząc do tego cięższym mieczem, tracił swą przewagę. Poza tym miecz Brunona, znacznie lichszy i lżejszy, pozwalał młodzieńcowi na częstsze i coraz

bardziej zdecydowane ataki. Malatesta wciąż jednak górował nad przeciwnikiem wyszkoleniem i doświadczeniem, a Bruno, zdając sobie z tego sprawę, hamował nieco emocje. Wiedział, że stary nie przeoczy żadnej, najmniejszej nawet okazji, by zadać śmiertelny cios, dlatego obchodził go ostrożnie. Atakował teraz rzadziej i tylko w chwilach, gdy był pewien, że zdoła się wycofać.

Niebo ciemniało. Miecze zderzały się wśród kaskad iskier. Po twarzach walczących płynął pot.

Znów od siebie odskoczyli.

– Pokonywałem młodszych od ciebie – wyrzeźbił Malatesta.

– Nie dziwię się – odwarknął Bruno. – Wyglądasz na takiego, kto z radością morduje miejskich uliczników.

– Młodszych i szybszych! – parsknął kondotier.

– Gdy spali? – zaśmiał się chrapliwie młody rycerz.

Walka przeniosła ich w pobliże kościoła, gdzie szczęk oręża wywabił na dwór starego księdza z pochodnią w dłoni.

– *Pax!*³ – krzyczał piskliwym głosem. Widno, że długo zbierał odwagę, by wybiec ku walczącym. – *Pax!* Nie ważcie się przelewać krwi w Domu Bożym!

Zignorowali go, ścięli się raz jeszcze. Bruno wymknął się zwinnym piruetem spod cięcia Malatesty, który pozostawił na ścianie kościoła głęboką, nierówną bruzdę.

– Jemu – zaśmiał się chrapliwie zdyszany młodzieniec – Bóg wszystko wybacza. Każdy grzech, łącznie z przywoływaniem demonów!

– Albowiem – wysyczał Malatesta – jam jest tym, który mści się w Jego imieniu!

Przypadł do zaskoczonego księdza i wyrwał mu pochodnię, po czym odwrócił się ku Brunonowi.

– A grzech, jak dobrze zapamiętałeś, wypala się ogniem. I żelazem! *Ferro et igni!*

Teraz trzymał półtorak w prawej dłoni, a pochodnię w lewej i z niespożytymi siłami nacierał, otaczając się dwoma kręgami: sinej stali i rozhukanego ognia. Bruno uskakiwał, unikał, z rzadka parował, desperacko próbował znaleźć pozycję do kontrataku, wiedząc, że jego dobra passa może się skończyć lada moment.

I urwała się w chwili, gdy o tym pomyślał.

Odbił cios, co teraz, gdy Malatesta walczył pieszo, przychodziło mi łatwiej, ale zawadził przy tym o coś nogą. W tym samym momencie przypadł do niego wciąż wrzeszczący ksiądz i złapał go za ramię. Bruno odwrócił się, by go odepchnąć, ale nie zdążył.

Płonąca pochodnia uderzyła go w twarz.

Instynkt zarejestrował ją na skrawek sekundy przed ciosem i nakazał mu rzucić całe ciało w tył, ale eksplozja bólu i tak okazała się nieznośna. Bruno zatoczył się, odurzony i oślepiiony, aż uderzył plecami o pień krępego drzewa oliwnego, rosnącego przed wejściem do kościoła.

Świat się rozmył, młody rycerz skulił się i zacisnął powieki. Skądś dobiegał chrapliwy oddech Malatesty i wrzaski księdza, które naraz przerwało mokre chrupnięcie, takie, które towarzyszy mocnemu uderzeniu w twarz. Nastąpiła cisza, a pośród niej rozległy się kroki.

Zbliżały się, powolne, złowieszcze.

Świat Brunona znów stanął w płomieniach, które nagle się rozsunęły. Widział teraz wysoki słup, sterczący nad głową stojącej wśród ognia kobiety, i odgadł, że ta jest do niego przywiązana. Znał ją, pamiętał jej zalaną potem twarz i błyszczące bólem oczy, pamiętał jej uśmiech, który dodał mu otuchy.

Teraz znów zaczęła krzyczeć, wpatrzona w niego. Nie rozumiał słów, nie słyszał ich, bo zagłuszał je żarłoczny trzask płomieni. Uniósł głowę pytająco, na co ta wyrwała z więzów okrwawioną dłoń i wskazała swój prawy bok. Kilkakrotnie.

Tu mnie uderzy, pomyślał Bruno.

Zebrał siły, wyrwał się piruetem, wznosił własny miecz do ciosu. Zdołał przy tym rozchylić piekące bólem powieki i ujrzał zamazaną postać Malatesty, który wyprowadzał pchnięcie. Dokładnie w to miejsce, które wskazała mu cierpiąca.

Ostrze półtoraka uwięzło w korze drzewa. Uderzenie serca później Bruno rąbnął przeciwnika idealnie w szczelinę między hełmem i kirysem.

Po wgniecionym pancerzu popłynęła strużka krwi. Malatesta wrzasnął chrapliwie i zatoczył się do tyłu, niemalże przewracając o ciało nieruchomego księdza. Cofał się i jednocześnie próbował zatamować

dłonią krew płynącą z rany, której dosięgnąć nie mógł. Bruno zaś szedł za nim.

Bolało jak diabli, ale widział już coraz lepiej. Patrzył, jak Malatesta odrzuca drzwi do kościoła, jak wnika w jego zbawczy półmrok. Bruno przestąpił nad progiem, stanął na zbroczonej krwią posadzce.

Stryj zatrzymał się przed ołtarzem. Chwiał się. Wciąż trzymał miecz, ale jego dłoń drżała.

– Jeśli myślałeś, że ulęknę się krzyża... – wycedził Bruno. – Przykro mi, że cię rozczarowuję.

– Przykro mi z innego powodu – mówił powoli, z trudem Malatesta. – Że opuszczam ten świat... i... i zostawiam go szatanowi.

– Nie jest aż tak źle. – Bruno się skrzywił. – Diabła nie ma tu z mego względu ani mniej, ani więcej, wbrew temu, co myślisz. Natomiast będzie nieco mniej szaleństwa, a to już coś. Przynajmniej dla mnie.

Postąpił krok i wycelował mieczem w puklerz na ramieniu ślaniającego się stryja. Włożył wszystkie siły w to, by ręka trzymająca oręż nie zadrżała.

– Nie przyszło nam się poznać, stryju – zauważył. – A żałuję. Boś zapewne niejedno mógł mi opowiedzieć.

Malatesta opadł na jedno kolano. Wbił miecz między kamienne płyty posadzki, aż poniósł się głuchy zgrzyt, przewiesił dłonie przez jelec, opuścił głowę. Ciszę wypełniły jedynie chrapliwe oddechy dwóch rycerzy.

– Bo, choć Bożym wojownikiem się mienisz, święty nie jesteś – mówił cicho, z trudem Bruno. – I nie mówię o grzechach zwykłych, ludzkich, ale o takich, które godzą w to, czego bronisz. Pamiętam słowa w nieznannej mowie, którymi odpędziłeś piekielnego ogara w Mdinie. I nigdy nie zapomnę owego latającego bydlaka, który mnie odnalazł. Kim jesteś?

– Kim jestem? – Malatesta oddychał chrapliwie. – Przytomniej byłoby zapytać, kim byłem. Bo jeszcze chwila, Brunonie, a usłyszę pienia anielskich chórów. Ty zaś...

Przerwał mu mokry, intensywny kaszel. Miecz, na którym wspierał się stary Scozzi, osunął się, krzesząc iskry, i przewrócił z brzęknięciem. Kondotier zaległ na posadzce w kałuży krwi.

– Ty zaś, mimo moich trudów, nadal będziesz żył w grzechu – wykrztusił. – Ten bowiem płynie w krwi twojej czarnej i...

– Jak tam sobie chcesz – mruknął Bruno, podszedł bliżej i wbił miecz między jego hełmem a kołnierzem kirysu, choć tym razem mocniej.

Malatesta rozwarł usta, jakby chciał gwałtownie nabrać tchu, a jego ciałem wstrząsnęły konwulsje. Krótkie, jak się okazało.

Młody rycerz wyszarpnął miecz, cofnął się i usiadł pod kolumną, jedną z dwóch wspierających dach przed ołtarzem. Odetchnął głęboko. W głowie miał istną pustkę.

Nie miał pojęcia, jak długo siedział, gdy nagle framugę opromienił blask pochodni i do środka wpadł zdyszany Hugo. Na widok nieżyjącego Malatesty i śmiertelnie zmęczonego Brunona zatrzymał się jak wryty.

– Cieszę się, że w końcu wpadłeś – wysapał Bruno.

– Co tu się... – wypalił Francuz. – Na Świętego Bonifacego, patrona kawalerów, co ty... co on...

– On – Bruno z wyraźnym trudem odwrócił głowę w kierunku trupa – słucha anielskich pieni. Choć może nie, sądząc po grymasie na gębie. Ja zaś... Cóż, ja zaś sobie siedzę.

– Jak on nas znalazł? – Hugo zbliżał się w stronę leżącego ciała. Światło pochodni pełgało po ścianach.

– Tego już się dowiedzieć nie zdążyłem. Choć nie ma wątpliwości, że i on sięgnął po maleficjum. Taki z niego święty, jak ze mnie piwowar – zakończył Bruno i splunął na posadzkę.

Na zewnątrz zatupały kolejne kroki i do środka wpadł Claude.

– Ksiądz żyje, choć zdrowo oberwał – powiedział z czymś na kształt żalu i niedowierzania. – Porządnie, mówię wam. Może mu się pacierze w głowie poprzestawiały? – W jego głosie pojawiła się nadzieja. – Może go zastąpię? Tak wiecie, na jakiś czas?

– Później o tym pogadamy, Claude – rzekł Hugo z pobłażaniem i przełożył pochodnię do lewej dłoni. – Pomóż mi, musimy postawić Brunona na nogi.

Claude stał jeszcze przez moment i mrugał pospiesznie, najwidoczniej nie mogąc się pogodzić z rezygnacją z kariery duchownego. Na trupa Malatesty Scozziego nawet nie spojrział. Bruno, który złapał prawicę Hugona i stawał z trudem na nogi, uśmiechnął się lekko.

– Wszystko mi opowiesz? – Hugo patrzył na niego.

– Wszystko – obiecał mu młody rycerz.

– A co z nim? – spytał Francuz i wskazał trupa. – Nie możemy go tak zostawić. Jeśli ten cały ojciec Bonifacy wie, po co Malatesta wyjechał z Birgu, będzie nas tu szukał. Cholera, mała ta wyspa się robi. Może pora już czmychnąć na Sycylię, co? Bruno, co mówisz?

Plama światła przesunęła się, gdy jego towarzysz znów odwrócił się ku ciału Malatesty, i Bruno niespodziewanie ujrzał płytę w ścianie, na której widniał rząd wygrawerowanych nazwisk. Pierwszym był Gerard Tonque, drugim Raymond du Puy, trzecim...

– Auger de Balben – wyszeptał Bruno. – I Arnaud de Comps. Wielcy mistrzowie...

Każdy joannita znał tę listę lepiej od litanii do wszystkich świętych. Wielcy mistrzowie zakonu, wywodzący się jeszcze z odległej Ziemi Świętej, jawili się niczym wszechpotężni bohaterowie z legend, których imiona niosły pocieszenie. Nic więc dziwnego, że tutejszy ksiądz postanowił wykuć je na ścianie swej świątyni, głęboko wierząc w ochronną moc ich nazwisk. Bruno jednakże, tknięty nowym przecuciem, wyjął z dłoni Hugona pochodnię i podszedł bliżej.

Odnalazł nazwisko dwudzieste siódme.

Dieudonné de Gozon, wielki mistrz z czasów, gdy zakon prowadził wojnę z Saracenami z brzegów wyspy Rodos.

– Dieudonné – powtórzył z niedowierzaniem Bruno. – No tak...

Niespodziewanie odwrócił się ku towarzyszom.

– Nie ruszajcie trupa – rzekł.

– Znaczy się... – Hugo przechylił lekko głowę. – Znaczy się, chcesz go poprosić, by sam wyszedł?

– W sumie – Bruno uśmiechnął się upiornie – to intrygujący pomysł.

1 *Anima vilis* (łac.) – nędzna dusza (przyp. red.).

2 *Iudicium Dei* (łac.) – sąd Boży (przyp. red.).

3 *Pax* (łac.) – pokój (przyp. red.).

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ognisko, rozpalone od pochodni trzymanej najpierw przez Malatestę, a później Hugona, wypełniło cały świat młodego rycerza. Siedział tak blisko, że czuł na twarzy żar płomieni. Zdawałoby się, że wystarczy się nachylić, by znaleźć się wśród nich i dać się pochłonąć ich nienasyconemu żarowi, ale Bruno trwał nieruchomo i wbijał w nie wzrok. Co rusz zaciskał powieki, ocierał kąciki oczu i znów je rozchyłał, by patrzeć w ogień.

Przybądź, szeptał w myślach. Przyjdź choć raz jeszcze. Podziękować ci muszę.

Płomienie buchnęły naraz mocniej, choć zdawałoby się – bezszelstnie. Zasłoniły kształty, które Bruno miał w pamięci: bryłę kościoła na tle nocy, poskręcane drzewo oliwne, które na moment uwięziło czubek miecza Malatesty, murek, przy którym siedział Hugo, leżącego księdza i czuwającego przy nim Claude'a. Zasłoniły resztę świata, nieistotnego teraz, zapomnianego.

I wtedy spośród nich wyłoniła się twarz.

Wciąż ta sama, cierpiąca, ale nadal piękna, zalana potem, lecz uśmiechnięta.

– Kim jesteś? – wyszeptał Bruno. – Widuję cię od chwili, gdy zaczęło się to wszystko... Odkąd... Kim jesteś?

Uśmiechnęła się. Z tęsknotą. Z żalem. Z ciepłem.

Bruno nigdy w życiu takiego uśmiechu nie doświadczył, ale zrozumiał jego wyjątkowość. Jego moc. Odwrócił lekko głowę i przełknął ślinę, by poskromić obce sobie wzruszenie.

– Mówią o mnie, że jestem wiedźmim synem – wykrztusił. – Czy to ty... Czy ty jesteś może wiedźmą?

Przytaknęła ledwie dostrzegalnym ruchem głowy. Jej oczy skrzyły się od łez. Od miłości.

Bruno zaś wpatrywał się w nią z oszołomieniem.

Skądś wiedziałem, pomyślał. Coś mi mówiło, że to ona...

– Czy ty... – wykrztusił. – Czy ja... Czy mogę ci pomóc? Zrobić coś dla ciebie?

Jego matka pokręciła lekko głową. Usta poruszyły się, jakby coś mówiła. Znow nie usłyszał jej słów, ale zrozumiał przekaz.

Za późno. O całe twoje życie za późno.

– A ojciec? – wyszeptał, dławiony zdradzieckimi łzami, tym razem niewywołanymi gorącem.

Matka ponownie pokręciła głową. Bruno zacisnął zęby.

– Czyli to prawda? – wykrztusił. – Zabito was? Oboje zginęliście?

Matka, ledwie widoczna wśród dymu i ognia, przytaknęła ze smutkiem. Jej twarz drżała, rozmywała się wśród gorąca. Bruno miał wrażenie, że obraz słabnie, oddala się.

– Nie odchódź! – wychrypiał. – Zaczekaj! Mam ci tyle do opowiedzenia!

Jej usta poruszyły się.

Wiem o wszystkim. I czuwam.

Płomienie otaczały ją coraz ciasniej. Któryś zawadził o jej włosy, wątle ogniki pomknęły ku czaszce. Na skórze wykwitwały czerwone plamy. Usta rozwarł rozpaczliwy, zbyt długo tłumiony krzyk bólu.

Bruno poderwał się, walcząc z irracjonalną ochotą, by wskoczyć w ogień, spróbować ją ocalić. Płonąca kobieta wyszarpnęła rękę, uniosła ją, zatrzymała go otwartą dłonią. Resztki jej rękawa natychmiast zajęły się ogniem.

Nie. Nie patrz, Bruno. Nie zapamiętuj mnie taką. Odejdź. Wróć do poszukiwań. I zapamiętaj: wystarczy jedna kropla. Jedna! A do tego...

Płomienie buchnęły żywiej, świat zakotłował się, zaryczał. Bruno padł na plecy, odrzucony żarem, i leżał przez moment, szlochając bezsilnie. Minęła dłuższa chwila, nim poczuł na poparzonej skórze chłód nocy. I jeszcze dłuższa, nim uświadomił sobie, że klęczą przy nim obaj towarzysze.

- Bruno! - dobiegł z oddali głos Hugona. - Żyjesz? Pacnąłbym cię w gębę, ale boję się, że ci tylko jeszcze większą krzywdę wyrządę! A właściwie, zaraza, co mi zależy...

- Nie. - Bruno z trudem rozchylił powieki. - Znaczy tak. Żyję.

- O, proszę - ucieszył się Francuz. - Czyli prawdą jest, że nie tylko ból, ale sama jego zapowiedź ma właściwości lecznicze! A poważniejąc - dodał, pomagając mu usiąść - pora, żebyś mi zaczął to wszystko wyjaśniać. Mógłbyś?

Wskazał mięsistą dłońią ognisko, rozczarowująco skromne i malutkie. Bruno wpatrywał się w nie przez moment z rozdzierającym serce żalem, a potem westchnął ciężko i ujął podany mu przez Claude'a bukłak. Pił łąpczywie.

- Nie - szepnął, otarłszy usta.

- Nie mógłbyś - zmartwił się pokazowo Hugo. - Nie ukrywam, przyjacielu, że żałuję. Bo dziwne rzeczy się z tobą dzieją. Ni z tego, ni z owego rozpalasz ogień, kołyszysz się nad nim, krzyczysz, krztusisz się... Przyznam, że gdy tak na to patrzyłem, twój dowcip o ożywianiu zwłok przestał mnie bawić. Jesteś pewien, że stryjek Malatesta nie grzmotnął cię aby za mocno?

- Nie.

- No, nie rozwija się nasz dyskurs, nie rozwija... To co? Wracamy może do chaty? Poszukamy jeszcze wina, co?

- Nie.

- Na chustę Świętej Weroniki! - parsknął Hugo. - Zaklinam się, Brunonie, że jeśli jeszcze raz usłyszę od ciebie „nie”, nie zdzierzę i...

- Dobra, zmieniłem zdanie. Muszę wrócić do chaty, ale nie po wino.

- Ależ wino to jedyna rzecz, po którą warto tam wracać... Ejże, zaraz. Ja rozpoznaję to spojrzenie. Co ci tym razem do łba strzeliło? - Francuz spowaźniał.

- Nic, co by mogło ci zaszkodzić. - Bruno zrobił krok w stronę chaty.

- A tobie?

- Nie martw się o mnie. I na wszelki wypadek mi nie przeszkadzaj.

- Nie? Mam ci nie przeszkadzać? - prychnął Hugo. - Otóż na to chyba za późno, Bruno! Dola nas połączyła i w sumie nie miałbym jej tego za złe, gdyby nie to, że odkąd cię poznałem, ciągle popadamy w coraz większe

tarapaty! Z wyłączeniem ucieczki z galery, w której to w istocie, przyznaję, wielce się przydałeś. Bruno, ja już mam dość twoich szaleństw! Widowskich wprowadzisz, ale zbędnych, bo inne rozwiązanie czeka na nas przez cały czas! Pal licha skarb! Mamy inną opcję tuż obok, na wyciągnięcie ręki!

– Sycylia, tak? – Bruno uśmiechnął się z trudem. – Ja cię, przyjacielu, nie zatrzymuję. Bo teraz... – Spojrzał ukradkiem na dogasające ognisko. – Bo ja nigdy dotąd nie znalazłem się bliżej prawdy. I nic mnie nie powstrzyma. Nic.

– Nawet zdrowy rozsądek?

– Nie wiem, czy w tym, co się wokół nas dzieje, zdrowy rozsądek ma jakiegokolwiek zastosowanie. I nie.

Bruno ruszył naprzód, pozostawiając za sobą wdychającego z żalem i złością Hugona.

Był wykończony po walce z Malatestą i wciąż oszołomiony tym, co ujrzał w ogniu, przez to droga do chaty, której użyczył im Mavru, zabrała mu sporo czasu. Zdążył sobie jednak przez ten czas wszystko przemyśleć i ponownie nabrać przekonania, że innego wyjścia nie ma. Odnalazł zabrane z chaty Alejandra drewniane pudełko, mieszczące w sobie fiolkę z gęstą, czerwoną cieczą, a po chwili namysłu złapał również zwitek bandaży. Następnie ruszył w stronę kościoła, odpalając po drodze pochodnię od ogniska.

– Hej! – Hugo poderwał się, bez wątpienia gotów zarzucić go dziesiątkami pytań, ale Bruno wyprzedził go jednym:

– Słyszałeś, jakim imieniem Alejandro zwrócił się do owego ożywieńca, który leżał w korycie?

– Didero chyba. – Hugo zmarszczył brwi. – Albo Dietrich. A co to ma, cholera, za znaczenie? – eksplodował.– Oprzytomniej, Bruno, albo rzeczywiście ci przywalę! Wynośmy się stąd, zanim ten ksiądz się ocknie i oskarży nas o...

– Są ważniejsze sprawy od nieprzytomnego księdza – przerwał mu Bruno i wszedł do kościoła.

Hugo westchnął bezsilnie i wbiegł za nim.

– A tak w ogóle to nie był Didero – oznajmił spokojnie Bruno. – Ani Dietrich. Nazwał go Dieudonné.

- A co to ma za znaczenie?! - Wrzask Hugona odbił się od stropu kościoła. - Jeden taki, co do mojej starej smałił cholewki, nazywał ją rybuchną! Rybuchną, taka jego mać! Nie pomogło mu to ani w amorach, ani w panicznej ucieczce!

- Twoja matka...

- To czas przeszły, podobnie jak te trupy! Jakie znaczenie ma to, jak na nie wołano?

- Ma, bo wcześniej, podczas naszego starcia w okolicach Mgarr, ożywieńec wspomniął coś o walce ze smokiem. - Bruno, nie zwracając uwagi na kipiącego złością towarzysza, uklęknął przy zwłokach Malatesty. - Jedynym człowiekiem, o którym słyszałem, że naprawdę pokonał smoka, był pewien joannicki rycerz Dieudonné de Gozon, późniejszy mistrz zakonu.

- Mam nadzieję, że Święta Małgorzata z Antiochii, Święty Teodor z Tyru i sam Święty Jerzy, że wspomnę tylko kilku, są obecnie zajęci czymś innym i nie słuchają twoich bluźnierstw! - sapnął Hugo. - Bo wszyscy mają po smoku na koncie! I, przyznam, nie zawadziłoby, gdyby któreś przywaliło ci piorunem. Zanim ja zrobię to pięścią.

- Nie umniejszam ich dokonań. Potrzymaj. - Bruno wcisnął Hugonowi pochodnię do ręki, a sam ujął wyżej fioletkę i patrzył, jak przelewa się w niej czerwony płyn. - Ale to tylko opowieści. Legendy. A łeb smoka ubitego przez Dieudonnégo, jak mówili, przez jakiś czas wisiał nad murami Rodos.

- I jak wyglądał?

- Podobno nieszczęśliwie. Ale ja nie o tym chciałem. Spójrz. - Italczyk obrócił fioletkę tak, by Hugo ujrział wygrawerowane litery. Blask ognia odbił się od szkła. - DDG. Dieudonné de Gozon.

- Im dłużej tłumaczysz, tym mniej kapuję - nadał się Francuz.

- Bo dotarliśmy do momentu, który mnie również frapuje. - Bruno się zamyślił. - Bo, piekło i szatani, naprawdę chciałbym wiedzieć, co w tej fioletce się znajduje. Coś mi mówi, że to nie krew. Że to coś więcej niżli tylko krew. I że zostało to drogą jakichś diabelskich rytuałów wyciągnięte z ciała mistrza Dieudonnégo, by... by przechować jego ducha. Osobowość. Cholera wie, co jeszcze.

Odłożył fiolkę do pudełka, po czym wyjął bandażę i zaczął skrupulatnie obwiązywać ranę Malatesty.

- Na wypadek gdybyś nie zauważył, stryjasek nie żyje - bąknął Hugo i nachylił się nad nim z pochodnią. - Bardzo nie żyje.

- Wiem.

Hugo uniósł dłoń, jakby chciał nią machnąć lekceważąco, ale zastygł, wstrzymał oddech, a potem szeroko otworzył oczy.

- Nie - wychrypiał. - O, nie, nie. Nie. Ty chyba... Chyba w to nie wierzysz, co?

- Tak. Raczej tak. Nawet mówił jakoś inaczej. Po starodawnemu.

- Nie rób tego! - szeptał blady Hugo, wpatrzony w fiolkę. - Wszystko, tylko nie to!

- Pozyskawszy zaś ową esencję, Alejandro albo Bonifacy, bądź też któryś z jego konfratrów - ciągnął Bruno, nieświadomy wstrząsu, jaki właśnie przechodził Francuz - odkrył sposób na to, by wlać jej cząstkę do trupiej gęby. I tak oto przydać ciału zwinności i doświadczenia rycerza smokobójcy.

Hugo zacisnął powieki.

- Jeśli się natychmiast nie zamkniesz - wycedził - osobiście cię zawlekę do Birgu, wybije dziurę w ścianie lochu inkwizycji, wrzucę cię tam i zapcham wyrwę własnym cielskiem, bacz, nie miałym.

Rozległy się kroki wchodzącego do środka Claude'a.

- Uciekaj stąd, chłopcze - warknął Hugo. - Chyba że marzy ci się kariera nekromanty, wtedy siadaj i patrz.

- To nie nekromancja - szepnął Bruno i zdecydowanym ruchem wyciągnął korek z fiolki. - To, cóż... Stryj czegoś mnie jednak nauczył. Wytknąłem mu, że święty wojownik nie powinien imać się nieczystych metod, na co on wytłumaczył mi dobitnie, że cel uświęca środki, a Bóg mu wszystko wybaczy.

- Ehm... - zaczął Claude, nieco zaaferowany. - Ja chciałem tylko...

- Może - ciągnął Bruno - mi też wybaczy?

Rozchylił lekko sztywniejące wargi starego kondotiera.

- Ptasiego łajna się nażarłeś? W mur czaszką przyrznąłeś? - Hugo się zerwał. - Oddawaj mi w tej chwili...

Zamarł, bo Bruno nagle przechylił fiolkę i pozwolił, by jedna kropla, wielka i gęsta niczym miód przemieszany z krwią, ściekła prosto do ust Scozziego.

– Jedna kropla wystarczy – oświadczył. – Z tego, co słyszałem.

Zapadła cisza tak głęboka, iż słychać było cichy łopot trzymanej przez Hugona pochodni.

– Na szczęście – odezwał się Hugo nienaturalnie wysokim głosem – większość magii, jeśli nie cała, to sterta dyrdymałów w mniejszym lub większym stopniu powiązana z opiatami, a więc szczęśliwie...

Wtedy Malatesta zakaszłał. Zwyczajnie, jak ktoś, kto zbyt łączywie napił się wody.

Hugo poderwał się i odskoczył pod ścianę kościoła, Claude podszedł bliżej, patrząc na tę scenę szeroko otwartymi oczami, a Bruno milczał, wpatrzony we wracającego do życia trupa. Zakorkował fiolkę i odłożył ją do pudełka, pozornie niedbałym gestem. Musiał czymś zająć ręce. Serce biło mu szybko, o wiele za szybko, a jakaś myśl, rozpaczliwie spóźniona, szeptała mu, że źle postąpił, nierozważnie. Że nie powinno się przekreślać zdrowego rozsądku, bo ten znajduje swoje zastosowanie.

Pokryte żyłkami powieki starego kondotiera zadrżały. Dłoń drgnęła. Powietrze stężało.

Claude zerknął za siebie i podniósł rękę, jakby chciał coś powiedzieć, ale Bruno nie patrzył na niego. Wstał bezszelestnie, złapał za miecz i nakierował ostrze na ranę, którą sam Malateście zadał.

– Mówże – odezwał się, ale głos mu się załamał. – Mówże – powtórzył. – Kim jesteś?

Malatesta drgnął, jakby chciał się podnieść, ale zarzucił wysiłki. Jednocześnie otworzył usta i ze świstem wciągnął powietrze.

– Dieudonné de Gozon – wychrypiał.

– Tak? – Teraz głos Brunona stał się równie wysoki jak Hugona przed chwilą. – A więc jaki był ów smok, któregoście ubili na Rodos?

– Nieszczęśliwy – jęknął Malatesta, nadal nie rozchylając powiek. Mówił po francusku, ale w dobrze już znany Brunonowi staroświecki sposób. – Może dlatego, że to był krokodyl. Spory, ale nadal krokodyl. Kilku starszych braci widziało takie w Egipcie, ale wielki mistrz de

Villeneuve nie chciał czegokolwiek precyzować. Ze względu na dobrą sławę zakonu i tak dalej. Czy ja... Z kim ja rozmawiam?

Otworzył naraz oczy i powoli, z wysiłkiem podniósł się na łokciu. Przez moment wpatrywał się w Brunona, a suche, spękane usta rozciągnął uśmiech.

– Proszę – wychrypiął. – Nie miałem pojęcia, że się jeszcze spotkamy.

Omiótł wzrokiem trzech otaczających go mężczyzn, na moment zawiesił spojrzenie na pudełku z fiołką i znów zerknął na Brunona. Potem, choć wydawało się to dość osobliwe, przeniósł wzrok na swe dłonie.

I znów spojrzał na Scozziego.

– A jednak – rzekł Bruno. – A jednak się spotykamy.

Ze stuknięciem oparł miecz o posadzkę.

– Rozpoznajesz mnie, prawda?

– Rozpoznaję – odparł Dieudonné ustami Malatesty. Jego głos był identyczny z tym, który jeszcze godzinę temu wyrzucał mu od abominacji, ale ton był inny, badawczy, niepewny. – Walczyliśmy. Najpierw w okolicach Mgarr, potem w Mdinie, na końcu wokół domostwa Alejandra. I patrzyłem, jak cię torturują w Birgu. Pamiętam cię.

– I co pamiętasz? – spytał cicho Bruno. – Kim jestem? Jakim mnie zapamiętałeś?

– Bruno, ja nie chcę... – odezwał się Claude.

– Cicho bądź – warknął Scozzi, wpatrzony w ożywione ciało. – Co we mnie zapamiętałeś?

Dieudonné zmrużył pomarszczone powieki.

– Zapamiętałem twą odwagę. Zdecydowanie. Prawość – odparł ostrożnie, powoli.

– Prawość – wyszeptał Scozzi. – To we mnie dostrzegłeś?

Dieudonné podniósł się sprężystym, tygrysim ruchem. Bruno całą siłą woli powstrzymał odruch cofnięcia się.

– Tak – odparł tamten i spojrzał po sobie. Zacisnął dłonie, przeciągnął się lekko, dotknął obandażowanej rany. – Tak, to w tobie ujrzałem, Brunonie Scozzi.

– Czy to wystarczy, byś zrobił coś dla mnie? – spytał młodzieniec.

- Tyle czasu minęło, a prawość wydaje się tu jeszcze rzadsza niż kiedyś. - W należących ongiś do Malatesty oczach pojawił się osobliwy blask. - Tak, pomogę ci. Choćby dlatego.

Rozległ się chaotyczny tupot i do kościoła wpadł ktoś nowy. Zaplątał się w habit, potknął, wsparł o ławę dla wiernych.

- Wy - wycharczał. - Bezbożnicy!

W blasku płomieni widać było, iż jest to ów młody ksiądz, któremu Malatesta wyrwał pochodnię, pobladły i zakrwawiony, wykrzywiony wściekłym grymasem. Na jego kości policzkowej rozlewał się ogromny siniak.

- No właśnie - bąknął Claude. - O tym właśnie chciałem wam powiedzieć...

- Jak śmiałeś! - wrzasnął duchowny, odepchnąwszy się od ławy. Szedł w stronę Brunona i to groził mu, to celował w niego drżącym palcem. - Jak śmiałeś gwałt zadawać na świętej ziemi! Przed ołtarzem Wszchemogącego! Zaatakowałeś mnie, sługę Bożego! Przeklinam cię! Prze...

Bruno uniósł dłoń, próbując coś powiedzieć, ale niespodziewanie tyradę oszalałego księdza przerwał sam Dieudonné.

- Chyba nieźle w łeb zebrałeś, ojczu, bo to nie on cię zdzielił - zagrzmiął, lekko drwiąco.

Ksiądz, który dopiero teraz dostrzegł mówiącego, zatrzymał się w pół kroku i rozdziawił usta.

- I na waszym miejscu awantury bym z tego nie robił - dodał Dieudonné. - Wszak Bóg doceni odwagę swego sługi, jakże walecznie broniącego Jego domu. Może nawet bliźna pozostanie jako świadectwo owego męstwa?

Duchowny poruszył kilkakrotnie ustami, jakby mamrotał niesłyszalne słowa, a Dieudonné uklonił mu się i wyszedł z kościoła. Za nim podążył Bruno, podniósłszy drewniane pudełko z posadzki.

- A poza tym nikt nikomu gwałtu nie zadawał - bąknął, mijając księdza. - Tylko się tak wydurnialiśmy po nocy.

Rozbawiony Claude wyszedł jako trzeci, a pochodź zamykał Hugo, którego twarz była jedną wielką maską wątpliwości i pytań.

W drodze do Birgu Bruno wtajemniczył Dieudonnégo w szczegóły tego, kim był Malatesta Scozzi i jaką rolę odgrywał. Miał wrażenie, że duch rycerza zmarłego przed dwustu laty nie do końca zrozumie, na czym polegają działania inkwizycji, ale ten od paru tygodni przebywał w różnych ciałach pod rozkazami Bonifacego i Alejandra i zdążył się już zaznajomić z sytuacją polityczną. Osobliwy błysk w jego oczach i energia, z jaką maszerował, prowadząc za sobą rumaka, zdradzały nadto, że ta nieszczególnie mu przeszkadza.

Jakkolwiek dziwnie by to zabrzmiało, pomyślał Bruno, cieszy się z życia. Chyba, o dziwo, bardziej od mego stryja.

Z tego, co udało mu się zapamiętać, Malatesta Scozzi poruszał się na lekko ugiętych nogach, sztywno, z wrodzonym, nieświadomym napięciem, jakby się zewsząd spodziewał ataku. Teraz, gdy jego ciałem zawładnęła Dieudonné, to zdawało się niemalże tańczyć.

– A czy jest coś, co sam mógłbyś nam powiedzieć o Bonifacym? – Bruno znów skupił się na sprawach bieżących.

– Niewiele ponad to, co sam wiesz, Brunonie – odparł Dieudonné. Zasłona hełmu rzucała cień na twarz kondotiera i młody rycerz nie był w stanie odczytać jej wyrazu.

– A wiemy niewiele – burknął ciągnący się na końcu Hugo, który podpierał się włócznią. – Nie zająknął się kiedy o jakimś skarbie, co?

– Nie – odparł uprzejmie rycerz.

Hugo prychnął, a jego wzrok jeszcze bardziej zmroczniał. Claude za to nieoczekiwanie zachichotał, jakby ktoś właśnie opowiedział świetny dowcip, ale umilkł, zganiony spojrzeniem Brunona.

Drogę do murów Birgu pokonali w milczeniu, a przy bramie, tradycyjnie zamykanej o zmroku i otwieranej nad ranem, Dieudonné-Malatesta dał pełen pokaz swoich możliwości. Przedstawił się gromko, a potem tonem nieznoszącym sprzeciwu zażądał wpuszczenia ich do miasta, gdy zaś usłyszał sprzeciw, z wprawą obrugał najpierw strzegących bramę żołnierzy, a potem brata zakonnego, który pojawił się zwabiony hałasem. Boczna furtka ostatecznie została uchylona, głównie dlatego, że Dieudonné zwięźczył wiązanke obelg i gróźb zwrotem „Święte Oficjum”.

Nieznany mu z imienia brat zapewne wiedział, że inkwizycja na wyspę w zasadzie nie dotarła, ale wołał na wszelki wypadek nie ryzykować

i wpuścił kondotiera wraz z trójką towarzyszy. Swą złość wyładował zaś na grupce miejscowych kupców, którzy nie zdążyli do Birgu przed zamknięciem bram i teraz chcieli załapać się na okazję. Szczęśliwie wykazał w tym takie zapamiętanie, że na żadnego z towarzyszy Dieudonnégo nawet nie spojrzął.

Ulga Brunona nie miała granic.

Za bramami Dieudonné zeskoczył z konia i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę biskupiego pałacu. Bruno, Claude i Hugo podążali za nim z malejącym entuzjazmem, aż zatrzymali się obok ławki przy drzewie pomarańczowym, tej samej, którą ongiś zaanektował Francuz. Patrzyli na wysoką postać Dieudonnégo, która niknie w mroku bezludnej ulicy, a potem łomocze do bram pałacu. W ogrodzie śpiewały świerszcze, a w chłodzie nocy zapach kwiatów był wprost upajający.

– Naprawili mur – mruknął Claude z lekkim rozczarowaniem. – Widzisz, Hugo? Tyle się natrudziłeś, a oni zamurowali i tyle. Na twoim miejscu rozpieprzyłbym go raz jeszcze!

– Wybacz, chłopcze, ale głowę mam zaprzątniętą czymś innym – warknął Hugo. – Na przykład głupotą naszego przyjaciela Brunona.

– Tak? – Bruno uprzejmie uniósł brew. – Zwróć twoją uwagę na fakt, że dostaliśmy się do Birgu, a zaraz się dowiemy, gdzie znajduje się brat Alejandro. To nas przybliży do Soave, Bonifacego oraz...

– Dobrze. – Hugo machnął potężną dłońią. – Wspaniale. A teraz wysil czerep i sięgnij myślą poza „tu i teraz”. Co planujesz zrobić z twoim przyjacielem sprzed wieków, gdy już się wszystkiego dowiesz? Podziękować uprzejmie i poprosić, by sobie już poszedł? Napomnieć, by nie gnił przy ludziach, bo tak nie wypada? A może oswoić, nadać imię i karmić magiczną zupką do chwili, gdy tej zabraknie?

Bruno zacisnął zęby.

– Problem z tobą, Hugo... – zaczął.

– ...polega na tym, że zawsze mam rację? – prychnął Francuz. – Jeśli chcesz, mogę mówić dalej! Co poczniesz, jeśli twój *vivus cadaver* właśnie przeanalizował sytuację i doszedł do wniosku, że gdzie jak gdzie, ale pod opiekuńczymi skrzydłami inkwizycji będzie mu najlepiej? I zaraz wylecą na nas pachołkowie Bonifacego? Wiesz, Bruno, ja się wydostanę z każdego pierdła, ale ty?

- Nie dojdzie do tego. - Bruno zacisnął zęby. - Dieudonné, jeszcze w poprzednich ciałach, parokrotnie okazał nam życzliwość! Pamiętasz, jak mi pomógł przy chacie Alejandra?

- Wybacz, przyjacielu! - Hugo wydał wargi. - W twoim towarzystwie uwierzyłem w wiele dziwnych rzeczy, ale w życzliwość i szlachetność powątpiewać będę do końca moich dni. Jedno z drugim jest równie rzadkie jak kupa po zjedzeniu zbyt wielu owoców i...

- Ciszej! - warknął Bruno, nieco wyższym tonem, niż zakładał, co oznaczało, że utrzymanie spokoju i opanowania zaczyna nastroczać mu trudności. - Obszczekujesz mnie jak kundel!

- Pamiętaj, że jak kundle zaczną szczekać, rzadko kiedy się mylą! - zachnął się urażony Hugo. - Moją starą, szlag by ją trafił, nieraz to uratowało.

- Chodziło mi o to, że za głośno jesteś!

- Gówno tam! Prawda cię w oczy szczypie i w dupsko się wwierca! - syknął złośliwie Hugo. - A jeśli wciąż szczypie za mało, to jeszcze ci coś podrzucę. Mógłbyś oszczędzić sobie sztuczek nekromanckich i spytać mnie, galijskiego kundla, gdzie moim zdaniem dochodzi do sił Alejandro. Podrapałbym się po łbie, udając, że to niezwykle trudna kwestia, po czym z równie udawanym wahaniem wskazałbym wasz przekłety szpital zakonny! Bez, kurwa, ożywiania trupa!

- Wiesz równie dobrze jak ja, że Alejandro i Bonifacy są w coś uwikłani! - syknął Bruno. - Naprawdę myślisz, że Alejandra umieścili w zwykłym szpitalu zakonnym? Wśród innych chorych?

- Tak! Tak właśnie myślę! Bo skoro najciemniej jest pod latarnią, tedy najjaśniej zapewne...

- Idzie! - przerwał im syknięciem Claude.

Dieudonné wyłonił się z mroku niczym ogromny nietoperz.

- Brat Alejandro złożony został w szpitalu zakonnym - oznajmił.

Hugo sapnął głośno i wymownie pokręcił głową. Bruno, udając, że tego nie widzi, rzekł:

- Dziękuję. Mam nadzieję, że uznasz nasze długi za wyrównane. Bywaj więc i...

- Jeśli nie masz nic przeciwko - powiedział Dieudonné, a jego nową twarz rozciągnął szeroki uśmiech - chętnie udam się pod szpital razem

z wami.

Tym razem Hugo nie wytrzymał i parsknął złym śmiechem.

Jeśli wierzyć opowieściom, dawne szpitale, budowane przez zakon w Jerozolimie, Akce i na Rodos, mogłyby zawstydzić ten stojący w Birgu, zwany Sacra Infermeria, w dosłownie każdej kategorii. Jego budowniczości, choć nie popisali się wizją ani rozmachem, skorzystali jednakże ze wszystkich doświadczeń poprzedników. Szpital stał więc na klifie po wschodniej stronie miasta, na tyle blisko przystani, by ułatwić transport rannych z galer wojennych oraz zapewnić dopływ świeżego, morskiego powietrza do wnętrza. Dysponował własnymi studniami i balkonami dla rekonwalescentów, a otaczał go zadbany ogród, w którym bujnie rosły zioła, pieczęłowicie pielęgnowane przez medyków zielarzy.

– Zaczekajcie tu na mnie – powiedział Bruno, gdy zatrzymali się w uliczce zamieszkałej przez miejscowych kupców. Panowała tam pełna wyczekiwania cisza, zakłócana jedynie przez dzikie miauczenie z klombu dzikich róż oraz chóralne, z grubsza przypominające śpiew wrzaski w porcie, dobitnie pokazujące, co nadmiar alkoholu może zrobić z piękną italską mową. – Niedługo wrócę.

– Poczekaj. – W głosie Hugona zabrzmiał niepokój. – Chcesz mnie zostawić...

Ugryzł się w język, ale w ciszy po jego słowach rozbrzmiało echo niewypowiedzianych słów: „z tym ożywieńcem?”.

Bruno odwrócił się ku niemu.

– Wybacz – rzekł krótko. – Odbywałem tam służbę. – Wskazał szpital kciukiem. – Każdy kąt tam znam, każdego medyka, każdego pielęgniarza. To zacni ludzie, skromni, skupieni na swej pracy. Być może nie wiedzą jeszcze o tym, co mnie spotkało. Że... – zawahał się – że nie jestem już kawalerem Świętego Jana. Ty zaś niechybnie przyciągnąbyś ich uwagę. Tam nie wolno się szwendać byle komu.

– Ale... – zaczął Hugo, lecz Scozzi przerwał mu ostro:

– Zaczekaj i tyle. Odnajdę Alejandra i zapytam go o wszystko...

– Wypytasz? – zdziwił się zjadliwie Hugo. – Fakt, przecież wystarczy, byś spojrzał mu w oczy, a z ochotą wyzna ci wszelką prawdę! Ba, rymami ją ozdobi!

– ...a potem tu wróć i się naradzimy – dokończył Bruno.

Omiótł spojrzeniem twarz nieporuszonego Dieudonného, a potem popatrzył raz jeszcze na Hugona. Wzrok Francuza kipiał złością.

Bruno wzruszył ramionami i udał się w stronę wejścia do szpitala.

Po prawdzie to zwyczajnie nie chciał, by ktokolwiek mu towarzyszył. Fakt, wciąż boczył się odrobinę na Hugona za jego cierpkie słowa oraz pytania, na które jakoś odpowiedzi znaleźć nie potrafił, a do tego pojawienie się obcego z pewnością mogło ściągnąć uwagę medyków, ale był jeszcze jeden powód, równie ważny jak pozostałe, choć trudny do zdefiniowania.

Otóż widok szpitala, skromnej budowli z ogrodem ziołowym, zewnętrznymi schodami i balkonami osłoniętymi parawanami z płótna żaglowego, obudził w nim nieoczekiwaną, zdradliwą tęsknotę za dawnymi czasami. Tymi, których – zdawałoby się! – nie cierpiał. Tymi spokojnymi, nudnymi wręcz, kiedy wszystko było poukładane i wytyczone przez regułę. Tymi, w których trenował z Erhanem i braćmi zakonnymi szermierkę, modlił się, pływał na galerach i raz w tygodniu pracował w szpitalu. Tymi, w których jadł i spał regularnie, a jego serca i duszy nie rozrywały dylematy.

Coś zamazało jego ostrość widzenia, gdy odpinał pas z mieczem i przechodził pod ośmiokończastym krzyżem nad wejściem, coś zapłakało mu w duszy, gdy wciągnął w płuca zapach octu, ziół i leków, coś zniekształciło jego słowa, gdy pozdrowił siwowłosego pielęgniarza imieniem Chrystusa. Ten spojrzał na niego i rozpoznał twarz, ale ze zdziwieniem otaksował wzrokiem jego niechlujny strój. Wymownie spojrzał na miednicę z wodą oraz mydło.

Bruno pochylił z pokorą głowę i umył dłonie, po raz pierwszy od wielu dni starannie i długo, próbując nacieszyć się chwilą. Wzruszony ciszą uspionego szpitala, nabrał tchu i ruszył przez kolejne sale ku alkowom, w których układano ważnych pacjentów.

I to właśnie wzruszenie, opanowane z trudem, wręcz brutalnie, dodało mu energii, gdy szedł między łózkami ku miejscu wskazanemu przez Dieudonného. Bez wahania nacisnął klamkę, pchnął drzwi i wszedł do środka.

W blasku pojedynczej świecy twarz Alejandra wydawała się wręcz trupio żółta, ale lufa wyszarpniętego spod kołdry pistoletu z drogim zamkiem kołowym zdradzała wysoki połysk. Mosiężny Jezus z drewnianego krzyżyka spoglądał na nich z trwogą i rozpaczą.

Bruno zamarł na progu, ale ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami. Starannie, cicho zamknął drzwi, a potem usiadł na ławeczce i spojrzał na Alejandra. Ramię hiszpańskiego rycerza drżało, ale lufa dalej mierzyła prosto w jego serce.

– Coś mi mówiło, że spróbujesz mnie odwiedzić – wychrypiał.

– Widzę. – Bruno znów wzruszył ramionami, tym razem wymowniej. – Cieszę się, że wreszcie zacząłeś mnie poważnie traktować.

Mimo nonszalanckiej pozy dłonie miał mokre od potu, a serce biło mu jak szalone. Głos rozsądku, którego tak rzadko ostatnio słuchał, mówił mu, że Hugo ma rację. Że Alejandro to doświadczony gracz, znakomity wojownik, a zapewne również pozbawiony skrupułów zabójca. W konfrontacji z kimś takim teoretycznie Bruno nie miał szans, a mimo to...

– Zdumiewa mnie twój tupet... – Alejandro wreszcie uznał, że pistolet jest zbyt ciężki, i oparł go o kolano. – Nie, nie tupet. Twoja głupota, młodzieńcze. Wystarczy, bym nacisnął spust... Ba, bym krzyknął!

W umyśle Brunona znów buchnęły płomienie, a z oddali dobiegł krzyk umierającej kobiety. Zacisnął mocno usta, zmrużył oczy i przełknął ślinę. Riposta, trzeźwa i logiczna, sama przysłała mu do głowy.

– Ręka tak ci drży, że zapewne w sufit nie zdołałbyś trafić. A co do krzyku... Cóż, gdybyś chciał, pewnie byś już wrzasnął. Mimo to milczysz. Czemu?

– Przez ciekawość, Scozzi. – Hiszpan rozciągnął blade wargi w parodii uśmiechu, który starannie ominął jego oczy. – Bo krzyknąć jeszcze zdążę, jak mi się nasza rozmowa sprzykrzy. Zdajesz sobie sprawę z zamieszania, które by wybuchło na wieść o tym, że Bruno Scozzi, słynny wiedźmi syn, zakradł się w nocy do szpitala zakonnego? Inkwizycja i kapituła zakonu wprost wyrzywałyby cię sobie z rąk!

– Pewnie tak. – Bruno rozparł się wygodniej. – Nie mam pojęcia, kto by tę rywalizację wygrał, ale z całkowitą pewnością opowiedziałbym zwycięzcy wszystko. Absolutnie wszystko. Zarówno o moich własnych

peregrynacjach, jak i o pewnym hiszpańskim rycerzu, który skupuje zwłoki. Który uczestniczy w rytuałach nekromanckich. Który więzi klaryskę oraz jej nieletnią siostrę. Który, miast mistrzowi, służy duchownemu o władniętym przez diabła!

Z każdym zdaniem, zimnym i wysyczanym, pochylał się coraz bardziej w kierunku leżącego Hiszpana, ale ten wpatrywał się w niego chłodno, uśmiechając się pogardliwie.

– Wielu może poświadczyć, że w twoje ciało wstąpił diabeł, jak mówi Ewangelia według Świętego Jana – rzekł. – Czy twoje oskarżenia będą brane pod rozwagę, skoro nie ulega wątpliwości, że mówi przez ciebie szatan? Czy ktoś w ogóle weźmie cię na poważnie, gdy będziesz oskarżać mnie czy ojca Bonifacego?

Bruno wydał wargi.

– Wielki mistrz naszego zakonu, oprócz sadzenia kwiatków i rozdawania jałmużny, zna się wyłącznie na gierkach politycznych – rzekł – a zwłaszcza takich, które mają obronić jego autorytet, a osłabić inkwizycję. Z pewnością zbada więc przewiny Bonifacego, a ja znajdę sposób, by powołał na świadka mego stryja Malatestę Scozziego.

– Czemu?

– Bo niedawno go zabiłem, a potem wlałem do niego kroplę owej esencji z twojej chaty. Esencji życiowej Dieudonnego de Gozona, jak mniemam?

Twarz Alejandra drgnęła, a on sam przymknął na moment powieki, najwyraźniej wstrząśnięty tym, co właśnie usłyszał. Młody rycerz milczał zaś, napawając się chwilą, wpatrzony w rannego Hiszpana.

– Nie cieszyłem się popularnością w zakonie, ale mimo wszystko byłem jednym z rycerzy – podjął. – Sądziłoby mnie dostojnicy, pod których rozkazami chodziłem na Turków i pływałem na *corso*. Sprawdziliby to, co mówię, choćby z ciekawości. Choćby po to, by dopieprzyć inkwizycji.

– Tę rozmowę – wycedził Alejandro – przerwać mogę jednym naciśnięciem spustu.

– Zgadza się, przerwać – przytaknął Bruno. – Ale nie zakończyć, bo po mojej śmierci podejmie ją za mnie ktoś inny. Ktoś, kto... No, pamiętasz, co się stało z murami pałacu? Tym, pod którymi znajdowały się lochy?

Prawy policzek rannego drgnął. Pamiętał. Doskonale pamiętał i nie przestawał zadawać sobie pytań.

– Łzesz – warknął.

– Mury jest łatwo naprawić. – Bruno wyszczerzył zęby. – Pęknięta czaszka zrasta się latami. Nie narażaj się mojemu przyjacielowi.

Alejandro milczał przez chwilę.

– Czego chcesz, Scozzi? – wycedził.

– Pogadajmy o skarbie.

– O czym? – prychnął Alejandro z udawanym rozbawieniem.

– O skarbie – powiedział powoli, cierpliwie Bruno. – O tym, który ma związek z moim ojcem. O klarysce Soave. O Bonifacym. O wszystkim mi opowiedz, Alejandro. Wszak mamy czas.

Przez moment panowało milczenie tak głębokie, że słyhać było jęki rannego leżącego w sąsiedniej sali, przypuszczalnie jednej z ofiar niedawnej tureckiej napaści na południe wyspy.

– Nie do wiary – odezwał się w końcu Hiszpan i pokazowo pokręcił głową. – Nadziwić się nie mogę. Nie wiem, czy tydzień minął, odkąd wyjechaliśmy z kawalerem de Villegagnonem z Birgu, by ten twój spisek badać. Jechałeś w pokorze przy nas i mało brakowało, byś gębę rozwarł z zachwytu, gdy wsłuchiwałeś się w moje z de Villegagnonem przekomarzania. Tego samego dnia, pod Mdiną, dałeś się uwieść moim słowom jak pijany żeglarz obietnicą dymania za darmochę. Kilka dni później posyłasz mnie do szpitala, a potem włączysz tu za mną i domagasz się opowieści. Cóż to się stało z tobą, Scozzi, co?

– Trudno to ująć w kilku zdaniach – odparł Bruno, wpatrzony w blask świecy. Mosiężny Jezus z drewnianego krzyżyka zdawał się pochylać ku niemu, zasłuchany. – I nie sądzę, by cię to naprawdę interesowało. Dość rzec, że odnalazłem swą matkę.

W ciszy, która wisiała w alkwie, pojawiła się zauważalna zmiana. Bruno oderwał wzrok od płomienia i przeniósł go na Hiszpana, który przyglądał mu się w skupieniu. W jego nieco szklistych oczach pojawiło się coś na kształt niepokoju.

– Matkę, tak? – Wydał pogardliwie sine wargi. – Ciekawe. Doprawdy ciekawe. Coś mi jednak mówi, że...

- To od niej dowiedziałem się, jak przenieść Dieudonnego w ciało Malatesty - przerwał mu Bruno. - I jeszcze paru rzeczy. Przyszedłem, by dowiedzieć się reszty.

- I myślisz, że złękę się twego posępnego wzroku i skwapliwie ci wszystko wyśpiewam? - Hiszpan wyszczerzył poźółtkłe zęby. - Won stąd, Scozzi. Won, gówniarzu! Zadarłeś z potęgą, przy której Święte Oficjum to zaledwie chór kościelny! Przy której...

- Ciii... - Bruno przyłożył palec do ust. Wyprostował się, założył kosmyk długich włosów za ucho. - To szpital. Tu są chorzy.

W tej samej chwili, jak na dany sygnał, w sąsiedniej sali ktoś zajęczał rozzwierająco. Alejandro, o dziwo, umilkł.

- To szpital - powtórzył Bruno i zerknął na Jezusa. - Zakonny szpital. I ty, sługa owej wielkiej potęgi, przygalopowałeś tu, by ci zaszyto ranę po zardzewiałym gwoździu. Prosto z chaty, w której mieszkałeś z więzioną mniszką, ciemieżonym dzieckiem i trupem w korycie. Koszmarny z ciebie hipokryta, de Heredia.

Urwał znacząco. Woskowa cera Hiszpana nabrzmiała niezdrowymi rumieńcami.

- Nie podoba mi się twój ton, młodzieńcze - wyszczał.

- Bo nie powinien. - Bruno wpatrywał się przez moment w rannego, po czym wstał i podszedł do drzwi, jakby chciał wyjść. - Bo właśnie obnażam wszystko to, o czym już wiesz. Z czego na pewno zdajesz sobie sprawę.

- Wyjdz.

- Spójrz na siebie, Alejandro. - Bruno wsparł się o framugę i odwrócił ku Hiszpanowi. - Pierwszą młodość masz już dawno za sobą, a na drugą próżno będziesz czekał, bo nie jest ci dana. Boś jest, coś mi mówi, nikim. Może znaczyłeś cokolwiek w swej komandorii w Hiszpanii. Może tam chłopci ci się w pas kłaniali, a rachmistrz pocił się na twój widok, ale tu jesteś tylko psem na posyłki Bonifacego. Starym, wyliniałym kundlem, który pilnuje jeńców, zwozi trupy i uganiania się za wrogami czcigodnego *padre*, choć pewnie w stawach już strzyka, a wieczorami wcześniej spać się chce.

Spojrzenie Hiszpana było czarne od nienawiści, ale drżało, jakby Bruno trafił z czymś w sedno. I chyba niekoniecznie ze stawami.

- Co ci *padre* Bonifacy zaproponował? - Bruno mówił coraz ciszej. Wpatrywał się w rannego, ale kątem oka widział płomień świecy, osobliwie wielki teraz, rozrastający się, kryjący w sobie cierpiącą twarz. - Służąc mu, rozstałeś się z resztkami honoru, uczciwości i czci rycerskiej. Stałeś się obelżywym sługusem, przy którym arabski nekromanta wydaje się uosobieniem cnót. Za co to wszystko? Co on ci dał, Alejandro? Za co poświęciłeś mu całe życie? Czego trzeba było, byś się zamienił w podłą hienę?

Umilkł na moment. Płomień świecy zadygotał, trącony odległym przewiewem. Mosiężny Jezus na drewnianym krzyżyku wyglądał, jakby kręcił głową z niedowierzaniem.

- Widzę trzy wyjaśnienia, Hiszpanie - podjął po chwili. - *Padre* Bonifacy odkrył nieprzyjemny sekret z twojej przeszłości i postanowił cię zaszantażować. Zagroził, że go ujawni, a ty ze strachu oddałeś mu swą duszę. Coś mi jednak mówi - dodał, widząc chłód w ciemnych oczach Hiszpana - że źle myślę. Wszak zakon nieraz już przyjmował na swe łono ludzi o nieczystych sumieniach. Złoczyńców. Pokutników. Szlachetnie urodzonych łajdaków. Ba, morderców! Jeśli rzeczywiście nosisz winy w sercu, wielki mistrz zapewne o nich wie.

Zawiesił głos, wpatrzony w oblicze Hiszpana, nieruchome, niczym z wosku ulane.

- Wyjdź stąd - wycedził ten i znów spróbował unieść pistolet.

- Drugie wyjaśnienie brzmi: służysz mu, bo to lubisz. Bo jesteś chorym degeneratem ze zgniłym grzybem w miejscu serca i to, co ci każe Bonifacy, po prostu cię podnieca. Trudno mi - ciągnął, wpatrzony w oblicze Hiszpana - to do końca wykluczyć, ale pozostaje jeszcze i trzecie wyjaśnienie, moim zdaniem najsensowniejsze. Otóż Bonifacy coś ci obiecał. Coś, co jest warte takiego upodlenia.

Oblicze rannego Hiszpana przeszył ledwie dostrzegalny grymas. Jego powieki drgnęły, a źrenice na moment uciekły ku górze, ku mosiężnemu Jezusowi. Ten jednak zachował obojętność. Serce Brunona zaś naraz zabiło szybciej.

Bo trafił.

- Coś - wycedził - co już dawno powinieneś był otrzymać.

Kolejny grymas, wyraźniejszy.

- *Padre* Bonifacy gra z tobą w kotka i myszkę, tak? Czekasz na swą nagrodę, ale doczekać się nie możesz? - Bruno prychnął. - Proszę, proszę... Aleś się wkopał. Chętnie bym cię wyśmiał, ale panuje cisza nocna. Chorzy muszą odpoczywać.

I zrobił krok w stronę wyjścia.

- *Padre* Bonifacy nie jest złym człowiekiem - odezwał się niespodziewanie Alejandro cichym, zrezygnowanym głosem. - A właściwie to nie był. Chyba nie był.

Bruno odsunął się od drzwi i powoli opadł na ławkę. Nie patrzył na Hiszpana, głównie dlatego, by nie zdradzić euforii, która mało go nie rozsadziła.

Rozgryzłem go! - wrzasnął w duchu. Zaszachowałem! Hugo zsinieje ze złości, gdy mu o tym opowiem...

- Gdy go poznałem, nosił miano ojca Malachiasza i habit benedyktyński. Byłem wówczas młodym człowiekiem - mówił Alejandro. - Młodym, ubogim i spragnionym rzeczy wielkich. Jego opowieści o dzielnych, zuchwałych czynach rycerzy Świętego Jana z Rodos trafiły na podatny grunt, tym bardziej że przyszłości nie miałem przed sobą żadnej. Mój ojciec, ubogi szlachcic z okolic Salamanki, miał wystarczająco dużo problemów, by uposażyć moich starszych braci, a jeśli chodziło o mnie, parokrotnie zająknął się o stanie duchownym. Niespodziewaną propozycję dołączenia do nowicjuszy kawalerów rodyjskich przyjął z wielką ulgą.

Urwał na moment, wpatrzony w płomień świecy.

- Na Rodos trafiłem kilka lat później, już jako rycerz zakonny, człek dumny i zahartowany w bojach z psami Mahometa. Ku mojej wielkiej uldze natknąłem się tam na ojca Malachiasza, który wzbudził we mnie jeszcze większy zachwyt niż wcześniej. Bez chwili wytchnienia posłował bowiem na dwory bejów, agów oraz samego sułtana, gdzie negocjował wykup jeńców chrześcijańskich. Zazwyczaj wynajmowały go bogate rody, a bywało, że z jego usług korzystał sam zakon. Wbrew regule benedyktyńskiej ojciec Malachiasz domagał się wysokich cen za swe usługi, ale ponoć nie zatrzymywał przy sobie ani miedziaka. Wydawał wszystkie pieniądze na wykup zwykłych, prostych ludzi, wziętych w niewolę i przykutych do wiosła. Na każdego jeńca z zacnego rodu

przywoził więc trzydziestu albo i więcej nisko urodzonych. Szanowali go dostojnicy z sultańskiego dywanu, wielki mistrz podejmował go obiadami, najzacniejsze rody ubiegały się o jego życzliwość, ale największą miłością darzyli go zwykli mieszkańcy Rodos: sklepikarze, rzemieślnicy, szkutnicy, kamieniarze. Niemal każdy bowiem znał kogoś, kogo ojciec Malachiasz przywiódł ze srogiej tureckiej niewoli. Popłynąłem z nim trzykrotnie: raz do Istambułu, a dwa razy do Algieru, i pokochałem go równie mocno jak inni.

Zamilkł na moment.

– I to chyba dlatego, gdy zapadł na malarię, udałem się pod ów przeklęty drogowskaz na rozstajach.

Długo milczał, niepomny zaskoczonego wzroku Brunona.

– Ojciec Malachiasz był już niemłodym człowiekiem – mówił, obojętny na narastające zdziwienie młodzieńca. – Medycy z rodyjskiego szpitala nie potrafili zbić jego gorączki, choć znali wszelkie sekrety sztuki uzdrawiania, zarówno arabskiej, jak i żydowskiej, a także naszej, chrześcijańskiej. Pod oknami szpitala zbierały się tłumy modlących, w kościołach błagano o jego uzdrowienie, ale on marniał w oczach. Nikt nie wyobrażał sobie jutra bez świętego ojca Malachiasza. Przemogłem się wtedy i poszedłem o północy na rozstaje dróg, a tam wypisałem węglem prośbę. Pod umówionym kamieniem zaś zostawiłem trzosik.

Przeniósł wzrok na Brunona i uśmiechnął się złośliwie.

– Nie wiesz, o czym mówię? Cóż, w owych czasach na Rodos wielu znało sekret owego drogowskazu, choć nieliczni wypisywali na nim swe prośby. Mało kogo było bowiem na to stać, a i spośród tych tylko niewielu znajdowało w sobie odwagę. Wszak zwrócenie się do ciemnych mocy o pomoc to grzech, prawda?

Alejandro spoglądał teraz na Brunona, a po grzbiecie młodzieńca spływał zimny dreszcz.

– Byli tacy, którzy mówili, że prośby wypisane na drogowskazie czyta sam diabeł. Gdyby tak było, należało przyznać, iż był to bardzo uczciwy diabeł, bo brał pieniądze jedynie za te usługi, których podjąć się potrafił. Jeśli pomoc nie umiał, sakiewki nie ruszał. Jeśli ta zniknęła, znaczyło, że zlecenia się podjął. Nie masz pojęcia, młodzieńcze, jak bardzo się cieszyłem, gdy mój trzosik zniknął. – Westchnął ciężko. – Następnego

dnia posłaniec, któremu nie zdążyłem się przyjrzeć, przyniósł mi niewielki, mosiężny pierścień z krótkim listem. Dowiedziałem się z niego, iż jest to starożytny artefakt, który zatrzymuje w człowieku życie z chwilą, gdy wsunie się go na palec. Potrafił zmóc każdą, śmiertelną nawet chorobę, a pokonać mógł ją już po tygodniu. Autor listu w uznaniu zasług ojca Malachiasza wspomniał mi ofiarował go nam na miesiąc, po czym miałem go odnieść pod drogowskaz. W przeciwnym razie miały nas spotkać surowe konsekwencje, z kłutwą włącznie. Miesiąc – powtórzył w zadumie. – Cztery tygodnie. Cóż, starczyło tego czasu na wszystko.

– Na wszystko? – spytał głucho Bruno.

Alejandro wydał usta, jakby chciał się roześmiać.

– Gdyby ojciec Malachiasz wydobrzył dzięki staraniom medyków, zapewne byłby nadal tym samym człowiekiem. Może pokorniejszym i życzliwszym, o ile to było w ogóle możliwe. A tymczasem bliskie spotkanie ze śmiercią i jeszcze bliższe z magicznym przedmiotem, który go od owej śmierci uchronił, całkowicie go odmieniło. Tak, starczyło czasu na wszystko. Na to, by ojciec Malachiasz doszedł do siebie. By zainteresował się pierścieniem oraz tym, skąd go wzięłem. By zapomniał o wszystkich dotychczasowych ideałach. By poruszył wszystkie dostępne sobie kontakty i dzięki nim poznał tożsamość samego diabła. By zainteresował nią biskupa Rodos oraz wielkiego mistrza. Wreszcie, by samego diabła pojąć.

Patrzył teraz na Brunona, nieledwie przewiercając go wzrokiem.

– Domyślasz się, kto był owym diabłem?

Chwilę ciężkiego milczenia znów przerwało jęczenie rannego za ścianą, głośnie, złowieszcze.

– Nazywał się Gilberto Scozzi. Był twoim ojcem.

Alejandro przez moment delektował się osłupieniem i zgrozą na twarzy młodzieńca, po czym skinął głową, jakby do siebie.

– Mówiono, że ród Scozzich zajmował się handlem magicznymi artefaktami od dawna, rzekomo od czasów krucjaty króla Ryszarda. Mówiono też, że pośród innych merkatorów, parających się podobnym fachem, słynęli jako ci, którzy nigdy nie sprzedawali rzeczy fałszywych. Mówiono wreszcie, że jeśli Scozzi nie chce, by go odnaleziono, to nie uda się to nikomu. Cóż, jeśli chodzi o tę ostatnią materię, pomyłono się, i to

srodze. Przywleczono go przed biskupie oblicze w zaledwie trzy dni. Ciebie oraz twą matkę, saraceńską niewiastę, której imienia nigdy nie poznałem, również.

Ból, który nagle odezwał się w sercu Brunona i zmusił go do opuszczenia głowy, był tak dotkliwy, iż ten nie usłyszał kilku kolejnych zdań Alejandra.

– Trybunał biskupi, w skład którego wchodziło kilku miejscowych inkwizytorów, nie posiadał się z radości. Wszak wreszcie ujęto prawdziwego heretyka, ani chybi natchnionego przez najczystsze zło! Na dodatek miał on za żonę Saracenkę, co stanowiło kolejny poważny dowód win. Zanosilo się na wielki, głośny proces, co było jak najbardziej po myśli wielkiego mistrza Philippe'a Villiersa. Wszak wedle wszystkich znaków na niebie i ziemi zanosilo się na rychły atak ze strony Osmanów i dobrze by było, gdyby ludzie mieli jakiś temat zastępczy.

– Skazano ich? – spytał głucho Bruno, unosząc głowę.

– Oczywiście, że tak. – Alejandro się skrzywił. – Jeszcze nie slyszalem o trybunale inkwizycyjnym, który pozwoliłby się wybronic człowiekowi oskarzonemu o praktykowanie czarnej magii, zwłaszcza jeśli przemawialy przeciwko niemu tak silne dowody.

– Żaden z sędziów nie zwrócił uwagi na to, że przeciez mój ojciec pomógł księdzu? – wychrypiał Bruno. – I to nie byle jakiemu?

– Zwrócono, a jakże, tyle że w typowy dla Kościoła sposób. Przybyły na okoliczność procesu kanonik delegowany z Rzymu polecil ojcu Malachiaszowi, by ten pospiesznie opuścił wyspę. Na wszelki wypadek. By oskarżony nie mógł go wskazać jako tego, któremu pomógł za sprawą swej nieczystej mocy. Ojciec Malachiasz zaś skwapliwie z rady skorzystał, bo w jego głowie narodził się już nowy plan.

Alejandro urwał na moment i wskazał dzban stojący w kącie pokoju. Bruno podniósł się ciężko, jakby nogi miał z ołowiu, po czym nalał wody do srebrnego kubka i podał go Hiszpanowi. Ranny pił łapczywie.

– Szatański iście plan – powiedział, oddawszy kubek młodemu rycerzowi. – Polecil mi zająć się skarbem. Tak, dobrze mnie uslyszales – wycedzil, patrząc w oczy zaskoczonego Brunona. – Skarbem. Wszystkim, co nalezalo do twoich rodziców, a co udalo nam się zająć podczas areztowania.

Milczał przez moment.

– Wiele tego nie było, ledwie kilka ksiąg, dwie skrzynie opatrzone nieznanymi glifami oraz wór z jakimiś drobiazgami. Dziwacznym zbiegiem okoliczności, choć nie byłbym zdziwiony, gdyby kryła się za tym jakaś intryga tego przekłętego benedyktyna, wszystko złożono w komnacie niedaleko wyjścia z pałacu biskupiego. Nie zostały otwarte, gdyż, jak się później dowiedziałem, zabezpieczono je w magiczny sposób. Ojciec Malachiasz pochwycił księgi, a worek zarzucił sobie na plecy. Ja zaś dźwignąłem skrzynie. Gdy taszczyliśmy wszystko do portu, nikt się nawet nie obejrzał. Widziałem tylko, że ojciec Malachiasz wyrzuca po drodze worek, ani chybi po to, by winą za kradzież obarczono tego, kto go odnajdzie. W porcie zaś – Hiszpan oddychał coraz szybciej, a na jego czole pojawił się pot, jakby wyznanie obudziło w nim gwałtowne emocje – kazał mi wywieźć skrzynie jak najdalej, ukryć je najlepiej jak umiem i czekać na sygnał od niego. W zamian za me trudy i poświęcenie miałem w przyszłości otrzymać ów pierścień. Ten sam, który ocalił Malachiasza przed śmiercią.

Skinął na Brunona. Znów pił, aż jego skóra załśniła od potu.

– Nie szukano nas – podjął. – Chyba. Dwa dni po naszym zniknięciu twoich rodziców spalono na stosie, Bruno. Siedem dni później na horyzoncie pojawiły się galery Sulejmana. Nikt nie miał głowy do szukania skarbu pary spalonych heretyków.

– Co się stało... – Młody Scozzi odkaslnął – ze skrzyniami? I z księgami?

– Skrzynie... – Alejandro skrzywił się nieprzyjemnie – zostały bezpiecznie ukryte. O księgi zaś, jeśli tak cię to ciekawi, zapytaj samego Malachiasza. Myślę, że zrobił z nich dobry użytek.

– To nie pora na zagadki czy drwiny! – warknął Bruno, z niemałym trudem odepchnąwszy ból, obudzony słowami o śmierci rodziców.

– A już tym bardziej na groźby! – parsknął w odpowiedzi Alejandro. – Stul pysk i słuchaj uważnie, bo przechodzę do sprawy najważniejszej. Ojciec Malachiasz, wbrew swoim obietnicom, znikł bez śladu. Zostały po nim opowieści, którymi rodyjskie matki koją dzieci do snu, a ich mężowie wyciskają sobie łzy przy winie. Nie wiem, gdzie przepadł, ale w świecie pełnym klasztorów o zamkniętej regule nie jest to ani trudne, ani właściwie ważne. Istotne jest to, że wyłonił się jako ojciec Bonifacy,

nieprzejednany współpracownik Sanctum Officium, pogromca heretyków i wyznawców diabła. Dawało mu to, rozumiesz, niemalże nieograniczony dostęp do konfiskowanych dzieł, z których miał nadzieję dowiedzieć się jak najwięcej o skarbach Scozziego. Nieśmiertelny dzięki pierścieniowi i niezniszczalny dzięki uprawnieniom inkwizytorskim, kontynuował badania w italskich bibliotekach i trybunałach sądowych, aż odkrył tyle, by móc napisać do mnie list, w którym przypomniał mi o naszych ustaleniach. Ja zaś – Alejandro wydał usta i pokręcił głową z mieszaniną niedowierzania i rozbawienia – zarządzałem komandorią niedaleko Salamanki, blisko rodzinnych stron. Od upadku Rodos minęło ponad dwadzieścia lat i już dawno żyłem w przeświadczeniu, że Malachiasz gnije gdzieś w ziemi wraz ze swymi ambicjami. Pierścień Scozziego nie chronił przecież przed ciosem pirackiego noża czy kijem heretyka. Bywały chwile, gdy sądziłem, że to wszystko było tylko złym snem. List od Malachiasza, zwanego już Bonifacym i tytułującego się inkwizytorem papieskim, który otrzymałem jakiś rok temu, był dla mnie jak grom z jasnego nieba. Dowiedziałem się, że kontynuował badania nad zapiskami Scozziego i odkrył, jak otworzyć skrzynie. *Padre* przypomniał mi o naszym układzie i nakazał mi przywieźć skrzynie na Malte, gdzie sam również chciał dotrzeć.

– Po czym udało mu się dostać do ich zawartości. – Bruno splótł palce i się skrzywił. Nie po raz pierwszy odkrył, że cynizmem i złośliwością można zamaskować każdy ból. – Co ściągnęło tu mego stryja fanatyka. Cóż, może kiedyś wam to wybaczę. Sygnał to jednak wyraźny, że błądziecie po omacku, co? Skarb mojego rodziciela to chyba zbyt wielkie wyzwanie dla upodlonego joannity i inkwizytora o czarnym sercu. Co znajdowało się w skrzyniach?

– Mnóstwo, doprawdy mnóstwo rzeczy – odparł niechętnie Alejandro, ewidentnie urażony słowami Brunona.

– Rozumiem. Czyli większości z nich nie rozgryźliście. Nie licząc owej włóczni, esencji życiowej rycerzy sprzed wieków oraz jakiegoś ustrojstwa, które przywołuje katalońskiego demona. Nawiasem mówiąc, po co nasłaliście na mnie to bydlę?

– Gdyby cię zabił, nikt nie miałby wątpliwości, że w istocie parałeś się czarną magią, co cię przerosło. – Alejandro wzruszył ramionami. – Udało

ci się uciec, ale widziało was wielu ludzi, dzięki czemu tym bardziej będziesz się z czarami kojarzył. A co najważniejsze, nie udało ci się poskarżyć de Villegagnonowi. To niebezpieczny, niezłomny człowiek. Mógłby pokrzyżować nam plany.

– Na razie mam wrażenie, że przenikanie tajemnic mego ojca nie idzie wam najlepiej.

– Chwila, gdy Bonifacy rozgryzie kolejne – podjął Alejandro, pokonując wewnętrzny opór – jest już bliska. A nawet bardzo bliska. Po dotarciu na Maltę zacząłem prowadzić w jego imieniu eksperymenty, w czym pomagała mi owa klaryska, Soave. Wiesz, jaki ma dar?

– Wiem.

– Kazał jej przeczytać wszystkie zakazane księgi, nad którymi sam ślęczał, a ona, choć trudno w to uwierzyć, pamięta dosłownie każde słowo. Nie chciała mu służyć, rzecz jasna, ale sukinsyn odnalazł jej siostrę, Florese, i zagroził, że w razie odmowy zrobi jej krzywdę.

– Florese została uwolniona.

– Ale Soave o tym nie wie – prychnął Alejandro. – Tak czy owak, teraz badania przejął sam *padre* Bonifacy, a że obowiązków wielu nie ma, odkryje zastosowanie kolejnych przedmiotów szybciej, niż sądzisz. Ma moje zapiski, ma klaryskę, ma bystry umysł. Lada moment jego wiedza wyraźnie się poszerzy. Czasu wiele nam nie zostało.

– Nam? – spytał z zadumą Bruno.

– Nie opowiedziałem ci tego wszystkiego z dobroci serca, Scozzi. – Ranny Hiszpan wpatrywał się w młodego rycerza przenikliwie. – Obaj rozstaliśmy się z ideałami rycerstwa i zdradziliśmy regułę przez ów przeklęty skarb. Połączmy więc siły, by go przejąć.

– Niech no pomyślę. – Bruno wywrócił oczami. – Masz już dość ojca Bonifacego ze względu na wszystkie te rzeczy, które ci wygarnąłem. Przez to, że uczynił cię swoim pacholkiem, a do oddania ci pierścienia wcale się nie kwapi. Przez to, że marnujesz resztkę swej młodości bez nadziei na to, że coś ci z tego przyjdzie.

– Tak.

– I chcesz, bym go zabił. I oddał ci pierścień, który ci się należy.

– Tak.

– A ty mi wskażesz miejsce ukrycia skarbu.

- Tak.

- Proszę. - Bruno się podniósł. - Jakie to łatwe było. Bywaj, Alejandro. Niedługo znów złożę ci wizytę. Niewykluczone, że przyniosę ci podarunek. Szkoda tylko - zatrzymał się przy drzwiach - że nie wiem, czy naprawdę mogę ci zaufać.

- A jakie zagrożenie stanowi dla ciebie ranny, który ledwie może podnieść pistolet? - Alejandro zmusił się do uśmiechu. - Słabeusz wykorzystany przez życie, dla którego jesteś jedyną nadzieją?

- No tak. - Bruno pokiwał głową i wyszedł.

Spojrzenie mosiężnego Jezusa na drewnianym krzyżu nie wyrażało zgoła nic.

Bruno Scozzi wyszedł z Sacra Infermeria równie cicho, jak do niego wszedł, niespostrzeżony przez nikogo, bezszelestny jak duchy, które zapewne snuły się po korytarzach niczym ławice ryb. Odebrał miecz, stanął na bruku ulicy i odetchnął ciepłym powietrzem nocy, roztrąconym nagłym podmuchem wiatru znad morza.

Udało mi się, pomyślał. Wbrew temu, co twierdziłeś, Hugo. Ha, ale się zdziwisz, chłopie!

Ruszył szybkim krokiem w stronę wąskiej uliczki z kupieckimi kamieniczkami i wielkim krzakiem róż, którym nadal wstrząsało wściekle miauczenie. Wydawało mu się, że dostrzega już obrys niemałego ciała Hugona, który usiadł pod murkiem, niechybnie znużony oczekiwaniem. Nigdzie nie widział Malatesty, co sprawiło mu chwilową ulgę, ani Claude'a, co nie zdziwiło go wcale.

Przyspieszył jeszcze bardziej.

- Hugo! - szepnął głośno. - Hej, Hugo!

Ogromna postać nawet nie drgnęła. W tej samej chwili do uszu Brunona dobiegł tupot szybkich, miękkich kroków.

- Kawalerze Scozzi! - Usłyszał.

Odwrócił się, zaniepokojony. Pędził ku niemu siwowłosa pielęgniarz, którego minął przy wejściu.

- Kawalerze! - wysapał, najwyraźniej nienawykły do wysiłku fizycznego. - Kawaler Alejandro mnie przysłał!

Mówił po francusku z chropowatym, greckim akcentem, co oznaczało, że należał do licznej grupy Rodyjczyków, którzy woleli opuścić wyspę z zakonem, niż żyć pod rządami Turków.

– Tak? – Bruno zmrużył oczy. – I czego chce?

– Zapytać... Zapytać o Dieudonnégo. Rzekomo będziecie wiedzieli, o kogo chodzi.

– Wiem, o kogo chodzi – powiedział Bruno, który nagle poczuł dreszcz niepokoju. – Co z nim?

– Wiedzieć chciał kawaler Alejandro – wykaszła pielęgniarka – czy o sigilu pamiętaliście. Na dłoni podobno.

– O czym? – zdziwił się Scozzi.

Przez twarz Rodyjczyka przemknął jakiś grymas, w ciemności trudny do zinterpretowania.

Lęk, uświadomił sobie Bruno, gdy Grek mimowolnie cofnął się o krok.

– Rzekł też, że jeśli pytanie was zaskoczy, lepiej się stąd wynoście – wyrzucił z siebie, po czym sam zawrócił do panicznej ucieczki w kierunku szpitala.

– Hej! – zawołał półgłosem Bruno. – O co chodzi? O jaki sigil?

Znow powiało od morza. Podmuch był wilgotny, ciepły, niemalże lepki niczym oddech morskiego lewiatana.

– Taki, który należało wyrysować na dłoni bądź szyi trupa – oznajmił Dieudonné, występując z mroku. W dłoni trzymał pistolet, którym celował prosto w głowę nieruchomego Hugona. Pałący się lont lekko syczał. – Taki sigil to ważna rzecz, młody rycerzu. Gwarantuje, iż *vivus cadaver* zachowa lojalność wobec tego, kto go wskrzesił.

Brunonowi zaschło w ustach. Przełknął z trudem ślinę, a potem ponownie, gdy uświadomił sobie, że ciemna plama, zakrywająca prawą część twarzy Hugona, to krzepnąca krew.

– Co to ma... – wychrypiał. – Co ty...

Na pobrużdżonej twarzy Dieudonnégo pojawił się nieprzyjemny uśmiech.

– Twój przyjaciel jest doprawdy niegłupi – powiedział cicho, odsłaniając poźółkłe zęby. – Czego już o tobie rzec nie mogę. W jaki sposób chciałeś sobie zapewnić moją przychylność? Naprawdę sądziłeś, że będę kierował się rycerskimi ideałami? Nakazami reguły? Ja już nie żyję od dwustu lat,

bracie Scozzi. Wszelkie ideały rozsypały się w proch wraz z moim ciałem, a teraz jestem już tylko ożywieńcem. I zrobię wszystko, dosłownie wszystko, byś oddał mi flaszkę z moją esencją. Zrobię wszystko – dodał, przystawiając łufę do czaszki Hugona – za kilka miesięcy życia.

– Nie mogę tego zrobić – wyszeptał Bruno, gdy zamarte myśli w jego głowie na powrót uruchomiły szaleńczą gonitwę. Hugo został ranny, nigdzie nie było Claude’a. – Jeśli ci ją oddam, zabijesz nas obu!

– Nie. Zabiję was, jeśli jej nie oddasz. Zacznę zaś od niego.

– Jeśli to zrobisz... – rzekł głucho Bruno.

– Nie składaj obietnic bez pokrycia, Scozzi. Esencja.

Bruno uniósł dłoń ku sakwie przy pasie, gdzie wsunął butelkę z ciężkiego szkła, ale się zawahał.

– Skąd mam pewność, że już go nie zabiłeś? – wycedził.

– Pewności ci trzeba? – Dieudonné uniósł pistolet, a nocny wiatr podsycił płomień żrący lont. – Proszę bardzo.

Gwałtownym ruchem przystawił pistolet do czaszki Hugona. W jego pustych oczach błysnęło zdecydowanie.

– Nie! – krzyknął Bruno. – Nie, zaczę...

Prawie widział palec, bielejący na spuście. Rzucił się do biegu, choć zdawał sobie sprawę z bezcelowości takiej decyzji.

Wyprzedziło go ostrze, które ze świstem przecięło mrok i z młaśnięciem wbiło się w pierś Dieudonnégo. Kondotier zachwiał się, zatoczył, zrobił krok, a wtedy drugie ostrze wgrzyzło się w jego gardziel. Z ust buchnęła krew, obryzgując nieruchomego Hugona.

Oszołomiony Bruno wyhamował, odwrócił się. I zamarł.

Z mroku wyłonił się Erhan.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wszystko się zgadzało.

Postura. Twarde, dzikie oblicze, przywodzące na myśl ledwie wygładzony piaskowiec. Ciemne, wiecznie zmrużone oczy. Mocno zaciśnięte usta, ginące pośród gęstej brody. Ogromne dłonie, poznaczone zygzakami białych teraz tatuaży.

Tylko...

– Erhan – szepnął Bruno z mieszaniną zgrozy i niedowierzania.

Wciąż wstrząśnięty, powoli podszedł bliżej i wyciągnął dłoń ku szyi ogromnego Turka, tam, gdzie – jak dobrze pamiętał – wgryzła się kula algierskiego korsarza. Palce młodego rycerza natrafiły na zgrubienie na skórze, przypominające pozostałość po poważnej ranie, choć...

Choć żadna rana nie zdołałaby się zasklepić i zagoić w tak krótkim czasie. Oszołomiony Bruno cofnął się o krok.

– Erhan – wyszeptał zdławionym głosem. – To ty, prawda? Na Boga, powiedz, że to ty!

– To ja – wyrzekł olbrzym.

– Ale co ty... Jak to możliwe... Erhan, ja wyraźnie widziałem...

– Nie teraz.

Głos przybocznego, jakże dobrze mu znany, niespodziewanie uwolnił stłoczone w sercu Brunona emocje. Świat zadrżał i rozplynął się, gdy oczy Italczyka wypełniły zdradliwe łzy. Ledwie zauważył, że Turek wyminął go, nachylił się nad dogorywającym, drgającym w konwulsjach Dieudonné i wyszarpnął oba kindżały, które następne wytarł w skórzane spodnie kondotiera i schował do pochew. Potem spojrzął na Hugona.

- Przyjaciel? – spytał głucho, burząc wzruszenie Brunona.

Tknięty palącym wstydem, Scozzi przypadł do Francuza. Ten oddychał, a jego serce nadal biło, ale powoli, niemrawo. Dieudonné rąbnął go czymś tępym w skroń, a w miejscu uderzenia rozlewał się już obrzydliwy, czarny siniec. Bruno przygryzł wargę i obmacał go w poszukiwaniu skruszonych kości. Niczego ku swej uldze nie znalazł, a z ust francuskiego rycerza wyrwało się głuche, nieprzytomne jęknięcie.

- Przyjaciel – rzucił Bruno i obrócił się za siebie.

Na schodach szpitala stały już dwie osoby i spoglądały ku nim, ani chybi próbując dociec przyczyn nocnego zamieszania. Ktoś nad ich głowami odrygłowywał właśnie okiennice. Bruno zrozumiał, że czasu wiele mu nie zostało.

W Sacra Infermeria byłoby mu najlepiej, ale tam go nie zaniosę, uświadomił sobie. A więc dokąd?

Odpowiedź pojawiła się błyskawicznie.

- Pomóż mi – szepnął do Erhana i ujął Hugona pod pachy.

Turek uśmiechnął się samymi tylko ustami, skrzywił się lekko, nachylił i bez większego trudu zarzucił sobie Francuza na ramię.

- Cóż – bąknął Bruno. - W sumie to też mi przyszło do głowy... Zanieśmy go do portu.

Nachylił się nad ciałem Dieudonnégo, przyglądał mu się przez moment, po czym ściągnął mu coś z palca i pospiesznie, oglądając się za siebie, pospieszył za Erhanem. Claude'a dalej nie było widać.

Wśród magazynów, tawern i zamtuzów Birgu widok leżącego w ciemnym zaułku ciała nie budził już niczyjego zdziwienia. Idący przodem Bruno ujrzał grupę sycylijskich żeglarzy, którzy tańczyli wokół rozpalonego przed tawerną ogniska i śpiewali ochryplymi głosami, a towarzyszące im panny w różnych stadiach rozchełstania skupiały się głównie na uciechach cielesnych oraz na zawartości coraz to chudszych sakiewek towarzyszy zabaw. Bruno i Erhan przemknęli za plecami ubawionych biesiadników i wniknęli w cuchnącą moczem ciemność niewielkiego podwórca za tawerną. Scozzi częściowo wysunął miecz z pochwy, co dla bytujących tam żebraków stanowiło sygnał przejęcia terytorium.

Gdy zrobiło się pusto, Turek uważnie, z delikatnością, o którą nikt by go nie posądzał, ułożył ciało Hugona na ziemi.

– Będą gadać – mruknął, spoglądając w ślad za uciekającymi pijaczkami.

– Niech gadają – szepnął Bruno i raz jeszcze obejrzał ranę przyjaciela. – Do świtu zostało parę godzin. Wtedy otwierają bramy, a ja zorganizuję pomoc. Piekło i szatani, ale mu przyłożył... Przewróćmy go na bok. Może doznał wstrząśnienia mózgu i zacznie wymiotować...

Turek pokiwał głową dwukrotnie, z powagą, tak jak zawsze reagował na wszystkie słowa Brunona, o ile miały sens. Wsunął ogromne dłonie pod ramię Hugona i dźwignął go na bok, a potem przytrzymał, by otyły rycerz nie przewrócił się na brzuch. W blasku ognia, odbijającym się od kamiennych ścian tawerny, widać było białe, przypominające żyły tatuaże, które rozbiegały się po dłoniach Erhana i wnikały w rękawy koszuli.

Zaskoczony Bruno uniósł głowę. Erhan znów przytaknął dwukrotnie.

– Tak – wychrypiał.

– Ale co? – szepnął młody rycerz. – Czemu potakujesz?

– Bo to powód.

– Co?

– To. – Turek podciągnął rękawy koszuli.

Nitki tatuaży, biegnące po włochatych ramionach, po raz pierwszy wydały się młodzieńcowi siatką, która oplata ciało, zaciska się na nim, więzi je niczym konopne sznurki wędzone mięso, tym bardziej, że po raz pierwszy wydawały się białe, a nie niebieskie.

– Wy tłumacz mi – powiedział Bruno głosem drżącym ze wzruszenia. – Wy tłumacz mi to wszystko.

Turek wzruszył ramionami.

– Twój ojciec – oznajmił. – To on. Jego dzieło. Dobry człowiek, twój ojciec.

– Mój ojciec? – wyjąkał Bruno. – Mój ojciec zrobił... To?

Nieśmiało dotknął palcem tatuażu. Wydał mu się bardzo zimny, chłodniejszy od skóry.

– On. – Erhan uśmiechnął się lekko. – On sam. Długo się znaliśmy. Od Koryntu.

- Koryntu? - Brunona przeszył dreszcz, jakby niespodziewanie stanął na progu wilgotnej krypty, kryjącej skarby sprzed wieków. Wpijał wzrok w cudem odzyskanego przyjaciela i zarazem pragnął, by ten nie przestawał mówić, jak i bał się tego, co zaraz usłyszy.

- Tam targ niewolników. - Erhan uśmiechnął się ponuro. - Wielki. Gilberto zapłacił. Za mnie. Pięć lat przed twoim narodzeniem.

Bruno milczał, zaskoczony słowami Erhana. Turkowi rzadko zdarzało się wyrzec tyle słów naraz, a do tego nigdy dotąd, mimo wielu prób młodego rycerza, nie powiedział niczego o jego rodzicach. Teraz Bruno nie spuszczał zeń oczu i modlił się, by ten nie przerywał. By powiedział mu jak najwięcej. Całą historię od początku do końca.

- Byłem mu przewodnik. Wielokroć. W Kapadocji. Na Cyprze. W Macedonii. W Nubii nawet. Szukaliśmy...

Erhan zawahał się.

- Wiem. - Bruno uśmiechnął się lekko. - Wiem, czego szukaliście.

- Po twoich narodzinach Gilberto został na Rodos. Nie chciał podróżować. Dość miał. A ja zostałem z nim. Z wami.

- Z nami. - Oczy Brunona niebezpiecznie się zaszklily.

- Miałeś dwa miesiące, gdy nadepnąłem na gniazdo szerszeniów. - Erhan się skrzywił. - Dużych. Pokąsały. Co tam szerszeń, powiesz. - Machnął wielką dłonią. - Włócznia groźna. Miecz. Kula. Ogień. Ale szerszeń? To wielka osa, nic złego. Ukąsiły mnie w szyję. I tu. - Wskazał palcem twarz. - Mam złą krew. Nie znosi jadu szerszeniów. Zacząłem puchnąć. Nie mogłem oddychać. Chyba umarłem.

Milczał przez moment. Bruno bał się odetchnąć.

- Szerszenie - prychnął pogardliwie Erhan. - Obudziłem się trzy dni później. Trzy dni. Żyłem. I zobaczyłem to.

Palcem z brudnym paznokciem dotknął białej linii na skórze.

- Wszędzie. Na całym ciele. To dzieło Gilberta - objaśnił, po czym się zawahał. - I Abigail.

Abigail, powtórzył w myślach Bruno, walcząc z oszołomieniem. Matka miała na imię Abigail.

- Nie wiem, co to za czary - ciągnął Erhan, który rozgadywał się coraz bardziej. - Nie wiem. Nie znam się. Ale wiem, że dodali twojej krwi.

Zaskoczony Bruno rozchylił usta.

– Po co? – wykrztusił.

– Tego ponoć wymagał czar. – Erhan wzruszył ramionami. – Owe linie więź. Więź życie w ciele. Nie oddają go śmierci – dodał, przesuając palce po którejs z nich. – Pod warunkiem, że żyje się dla kogoś.

– Dla mnie? – Bruno pokręcił głową.

– Abigail widziała – szepnął Erhan, nie patrząc na młodego rycerza. – Widziała, co ma nadejść. Bała się. Bała się o ciebie. Chyba obmyśliła ów czar. – Uniósł głowę. Spojrzał młodzieńcowi w oczy. – Związała mnie z tobą – oświadczył.

– Stałeś się moim... – Bruno kręcił głową coraz gwałtowniej. – Moim... Uczyniła cię...

– Niewolnikiem? – Turek się skrzywił. – Nie. Ja zgodziłem się. Na taką niewolę. Z ochotą.

Wyciągnął dłoń i dotknął brudnego, zarosniętego policzka Brunona.

– Nie obronię cię. Nie ustraszę śmierci. Nie umiem. Ale póki żyjesz, będę wracał. Do życia. By chronić

– T-tak – odkaszlnął Bruno. – Ja... Wybacz, Erhan... Ja... Ja muszę sobie to dobrze poukładać we łbie. Daj mi chwilę.

Wstał, zrobił kilka chwiejnych kroków, rozejrzał się i usiadł w innym kącie, po czym schował twarz w dłoniach i – zupełnie nie po męsku i nie po rycersku – się wyryczał.

Na długo nim niebo na wschodzie zaczęło jaśnieć, Bruno obmyślił coś, co w zasadzie mogłoby się nazywać planem, gdyby nie było niekończącą się listą niejasności. Pewników wielu nie odnalazł, ale postanowił się ich uchwycić z desperacją wciąganego przez bagno człowieka, który łapie za pierwszy lepszy sznur, nie wiedząc, czy ten w ogóle jest do czegokolwiek przywiązany.

– Pilnuj Hugona – przykazał Erhanowi, który w odpowiedzi skinął dwukrotnie głową.

Francuz jak dotąd nie odzyskał przytomności, a jego serce uderzało leniwie, niemalże niezauważalnie i Bruno zaczynał odczuwać narastający niepokój. Pospiesznie dotarł do otwieranych właśnie bram miejskich, ale wątpliwości, czy zdoła wymknąć się niespostrzeżeniu, rozwiła grupa czekających pod murami kupców, która obskoczyła straż miejską i jęła

wywrzaskiwać swoje pretensje. Nie było w znanym świecie bramy, pod którą każdej nocy nie koczowałiby spóźnieni wędrowcy – zwłaszcza zaś wszędobylscy kupcy – niemniej ta grupa dobrze sobie zapamiętała, że choć bramę raz w nocy otwarto, ich akurat przepędzono grubymi słowami, co nie omieszkała przekazać innym kupcom, już nie tak spóźnionym.

– Wielkiemu mistrzowi się poskarżymy! – darli się zacni merkatorzy. – I jego wielebności biskupowi! Nie można tak, by nas, ludzi pocziwych, po nocy trzymać, a jakichś obwiesiów do miasta wpuszczać! Zaliby my nie zacni obywatele? Podatków nie płacimy? O porządek nie dbamy?

Bruno, narzuciwszy sobie kaptur na twarz, przemknął za plecami wściekłych handlarzy, w chwili gdy zaczęła ich zawodzić retoryka, głównie na skutek arogancji straży miejskiej. Pospieszył traktem i dotarł do Bormli jeszcze przed pierwszymi upałami. Tam szybko odnalazł przypominający fortecę dom z ukrytym ogrodem i załomotał do drzwi.

Po chwili te uchyliły się, a na progu stanął młodzieniec. Chłopak miał spojrzenie tak zacięte i nieruchome, jak przystało na potomka samego gospodarza.

– Muszę się zobaczyć z Mavru – odezwał się Bruno po maltańsku. – Rzeknijcie mu, że ja w sprawie transakcji.

Mavru przyjął go niemalże natychmiast, co oznaczało, że mężczyzna jest szczerze zainteresowany tym, co Bruno miał do powiedzenia. Niestety, wszystko zepsuł jego paskudny wprost humor. Znikł gdzieś jowialny, zdystansowany rozmówca z poprzedniego dnia. W jego miejsce zaś pojawił się blady z niewyspania, z trudem panujący nad sobą furia, mierzący Brunona spojrzeniem tak wściekłym, że rycerz natychmiast stracił resztki rezonu.

Gniewne, stłumione wrzaski dobiegające z wnętrza domu sugerowały, iż toczą się tam rozmowy w sprawie innej transakcji. Mavru zaciskał z chrzęstem pięści i co rusz uciekał w tamtym kierunku wzrokiem, ale wysłuchiwał do końca jękającego się Brunona. A potem skinął głową, warknął coś na ponurego młodziana, który chwilę wcześniej otworzył przed Brunonem drzwi, i nie oglądając się za siebie, wrócił do wściekłej narady, akcentując swój powrót brzękiem tłuczonego szkła.

– Nie wiem, ile usłyszałeś z naszej rozmowy, ale... – Bruno zwrócił się do młodego człowieka o twardym spojrzeniu, ale ten zmiażdżył go wzrokiem i odszedł.

Bruno Scozzi stał przez moment całkiem zdezorientowany pośród niewielkiego, oślepiającego blaskiem rosy ogrodu i nie miał pojęcia, co ma ze sobą zrobić. Maltańczycy, choć wysłuchali jego rewelacji i sprawiali wrażenie, jakoby byli skłonni podjąć współpracę, jednocześnie przestali go dostrzegać. Najsensowniejszym – a właściwie jedynym – rozwiązaniem było więc czekać.

– Żałuję, że nie mam twojej cierpliwości – szepnął do Matki Boskiej, przedstawionej na bizantyjskiej mozaice.

Powoli, starannie wykonał znak krzyża. Ukłękął przed mozaiką, pochylił głowę i przez dłuższą chwilę usiłował się modlić, ale myśli szalały mu w głowie niczym rój wściekłych os i słowa modlitwy rwały się co rusz. Na szczęście nim się poddał, w ogrodzie pojawiła się Pompea, niosąc tacę ze śniadaniem. Matrona prawdopodobnie chciała podtrzymać rodzinną tradycję i zmiażdżyć Brunona wzrokiem, ale widok modlącego się rycerza ujął ją na tyle, że postawiła tacę na stole i burknęła:

– Pojechali po nich.

W istocie, nim Bruno dokończył śniadanie, przed domem Mavru zatrzymała się dwukółka, na której leżał wciąż nieprzytomny Hugo. Rannym zajęła się osobiście Pompea w asyście równie ciemnookiej córki Marii, która urodą, postawą i spojrzeniem dowodziła, jak Pompea wyglądała za młodu. Dowodziła tego tak sugestywnie, że młody rycerz, obeznany ze sztuką leczenia i gotów pomóc obu kobietom, postanowił, że najlepiej będzie, jeśli zniknie im obu z oczu.

Na wszelki wypadek będą chyłkiem uciekał z każdego pomieszczenia, w którym obok Marii stanie któryś z jej braci, obiecał sobie w duchu, dogryzając oliwki. I nawet nie pomyśle o tym, że jestem pasowanym rycerzem, a to tylko banda zbirów.

Sytuację nieco poprawiło pojawienie się Erhana, który potrafił milczeć równie wymownie, ciężko i sugestywnie jak ponury młodzian, co temu ostatniemu zaczęło najwyraźniej przeszkadzać.

– Jestem Lawrent – burknął w poprawnym, choć ciężko akcentowanym włoskim. – Syn Mavru.

- Cieszę się, że mogę cię poznać – rzekł Bruno.

- A ja się nie cieszę – odwarknął młody Maltańczyk. – Bo wiem, z czym przychodzicie do ojca, i w ogóle mi się to nie podoba. Ojciec to szanowany kupiec i zajmuje się porządnymi, czystymi interesami!

Wskazał przy tych słowach kciukiem wewnątrz domu, gdzie wrzaski, o ile Bruno dobrze usłyszał, wzmocnił właśnie zgrzyt dobywanej stali.

- Jeśli przeszkadza ci... – zaczął Bruno.

- Stul pysk – warknął Lawrent. – Kiedyś przejmę interes po ojcu, a wówczas takich jak wy będę osobiście batożył. Za zawracanie dupy!

- Na razie jednak wciąż rządzi tu Mavru – uciał Bruno. – I...

- Nie będziesz mi o tym przypominał! – parsknął Lawrent i odszedł wściekłym krokiem.

Erhan spojrział na Brunona z powątpiewaniem, na co ten wzruszył ramionami i wskazał pozostałości śniadania.

- Posil się – mruknął. – Czeka nas trudny dzień.

Nonszalancją usiłował zamaskować wahanie. Żałował nieopatrznie wypowiedzianych słów – nie miał pojęcia, czy aby nie uraził syna Mavru, co znając temperament Maltańczyków, mogłoby się obrócić przeciwko nim. Wątpliwości rozwiął sam Lawrent, który chwilę później podszedł do drzwi rezydencji i rozmawiał z kimś przyciszonym głosem, a potem stanął przed Brunonem oraz Erhanem i rzekł z niepewnością:

- Znaleźliśmy go. Chyba. Handluje pszenicą na targu w Birgu.

Erhan raz jeszcze spojrział na Brunona, na co ten się wzdygnął.

- Jak go zobaczysz – mruknął – wszystko zrozumiesz.

Opuścili rezydencję Mavru chwilę później, tuż po tym, jak Bruno odniósł wrażenie, że wśród wrzawy krzyków dobiegających z wnętrza domu dobiega zgrzyt nakręcanego zamka kołowego.

Targowisko w Birgu, jak wszystkie inne bazyry, było miejscem, gdzie krzyżowały się setki głosów, pragnień i sprzecznych interesów, podlanych odpowiednią dawką nie zawsze szczerych uśmiechów, ale za to zawsze szczerych przekleństw. Bruno, kluczący między kupującymi, sprzedawcami i tymi, którzy przyszli się tylko pogapić, miał nadzieję, że w takim gąszczu nikt nie zwróci na niego uwagi.

Rycerze zakonni przecież nie zwykli się zapuszczać w takie miejsca, pocieszał się w myślach, wymijając skupiska glinianych amfor, otaczające stragan szczególnie wrzaskliwego handlarza. Za dawnych czasów nigdy bym się tu nie zapuścił. To przecież kompletnie nierycerskie.

Zatrzymał się, by przepuścić młodą dziewczynę, która prowadziła obuczzonego muła i pokrzykiwała wesoło do kogoś w tłumie.

Ale braci służebnych to już nie dotyczy, na pewno się tu szwendają, pomyślał, kiedy mijał ogromne stoisko z koszami ryb, homarów i krewetek. Handlarz, wesoły, pucułowaty mężczyzna w średnim wieku, podrzucał sporego, wciąż rozwierającego pyszczek morszczuka i próbował zainteresować nim przechodniów. Wycelował rybim pyskiem również ku Brunonowi, ale mina idącego za rycerzem Erhana skutecznie zniechęciła go do prób nagabnięcia.

I musieliby być ślepi, by nas nie dostrzec, myślał Bruno. Pasujemy tu jak dwa woły do stada owiec. Bonifacy też na pewno ma swoich szpiegów. Któżby się oparł pokusie zarobienia kilku groszy za wydanie wiedzmięgo syna i jego tureckiego pachółka?

Odruchowo skręcił w stronę nabrzeża, tam, gdzie nad markizami straganów wznosiły się maszty rybackich łodzi. Miał nadzieję, że zdoła się w ten sposób oddalić od gmachu kościoła pod wezwaniem Świętego Wawrzyńca, niedawno odbudowanego po pożarze, choć głos rozsądku mówił mu, że szpiedzy inkwizytora mogą czyhać wszędzie.

Może oni donoszą? – zastanowił się, spoglądając na dwóch spoconych starszaków, którzy toczyli jakąś beczkę i przystawali tylko po to, by łączyć się nawzajem. A może on? Przeniósł wzrok na kuternogę, który łątał rybacką sieć, obojętny na rozwrzeszczany świat wokół siebie. Albo ona? Zerknął na wychudłą kobietę o mocno zaciśniętych ustach, która zbierała ostatnie niesprzedane chleby, ignorując wygłodniałe spojrzenia kilku uliczników.

– Nerwowys – burknął Erhan, gdy w nozdrza uderzył ich ostry zapach koziej sierści, a w uszy wrzaski targujących się hodowców.

– Nie da się ukryć.

– Spróbuj. Nie mamy wielu przyjaciół.

Słowa Erhana, któremu przedstawił całą sytuację jeszcze w rezydencji Mavru, bynajmniej nie poprawiły mu samopoczucia.

- Nie mamy - wycedził. - I dlatego musimy znaleźć jednego z nielicznych, którzy mi zostali.

- Na pewno tu?

- Tak twierdzi Lawrent.

Słońce przebyło połowę drogi do zenitu i nawet pod daszkami, które rozpinali handlarze dla swoich klientów, robiło się nieznośnie gorąco. Napięcie, znużenie wywołane nieprzespaną nocą oraz otaczający go zgiełk sprawiały, że w głowie Brunona obudził się tępy, monotony ból, a przed oczami zatańczyły mu mroczki. Naraz zapragnął uciec z targowiska, bynajmniej nie ze względu na to, że przez cały czas mógł być obserwowany - po prostu gwałtownie zatęsknił za przestrzenią wokół siebie.

Jakiś mężczyzna tuż przed nim zarzucił sobie worek pszenicy na ramię i obrócił się gwałtownie, chcąc odejść. Worek grzmotnął Brunona w brzuch. Młodzieniec warknął wściekle i instynktownie porwał za miecz. Otworzył usta, chcąc wykrzyknąć za odchodzącym, gdy ku swemu zaskoczeniu zauważył, że tym, z którym mężczyzna właśnie dobił targu, był Claude.

- O, tu jesteś! - wychrypiał. - Gdzieś ty się, piekło i szatani, podziewał?

Claude spojrział półprzytomnie najpierw na niego, a potem na znikającego już w ciżbie człowieka z workiem.

- Nigdzie się nie podziewałem - bąknął. - Tu jestem... Od rana.

- Miałeś zostać z Hugonem i... - zaczął Bruno, ale urwał, gdy Claude spojrział prosto na niego i mgła w jego rozbieranym spojrzeniu stała się jeszcze bardziej ewidentna.

- Naprawdę? - zdziwił się. - Nie przypominam sobie, byś mi coś takiego mówił.

- Bo ty w ogóle mało co pamiętasz! - warknął wściekle Bruno, na co Claude, ku jego zaskoczeniu, pokiwał z pokorą głową.

- Chyba tak - westchnął. - Przypomnij mi, proszę. Jak było po maltańsku dwanaście?

- *Tnax*.

Claude zacisnęła powieki.

- Serio? A nie *erbatax*?

- Nie. To czternaście.

- Czternaście... - Claude wznosił oczy ku niebu. - Zaraza... Orznął mnie, suczy syn jeden. Teraz już wiem, czemu się tak głupkowato uśmiechał...

- Poczekaj! - Bruno z trudem panował nad bólem głowy. Uniósł rękę, by powstrzymać dalsze lamenty towarzysza. - Poczekaj, bo ja już niczego nie kapuję. Co ty tu właściwie robisz?

- Jestem handlarzem! - Claude wypiął dumnie pierś. - I to takim z prawdziwego zdarzenia! Z towarami i w ogóle! Przyznam, że zupełnie mnie to zaskoczyło - zaśmiał się z lekkim zażenowaniem. - Wiecie, znudziło mi się czekanie, a więc odłączyłem się od Hugona i tego... no, wiecie kogo, i poszedłem do portu, by poszukać sobie jakiegoś zajęcia, a tu naraz drogę zastępuje mi trzech zakapiorów z zakazanymi minami i szablami za pasem. Myślałem, że chcą mnie zakatrupić, na co kompletnie nie miałem ochoty, ale na szczęście źle ich oceniłem, bo szukali jedynie pośrednika handlowego. Wiecie, kogoś, kto będzie sprzedawał ich towary.

- I podjąłeś się tego? - Bruno wpatrywał się w Claude'a zmrużonymi oczami.

- Ba, zobaczyłem te ich wory i sam im to zaproponowałem - powiedział ten z dumą. - Bo... - zamyślił się nagle. - Bo może jednak planowali mnie obrabować? Sam nie wiem. No, innymi słowy, zostałem kupcem. Pozostało wyuczyć się miejscowych liczebników oraz paru zwrotów grzecznościowych i proszę!

Rozpromieniony Claude podrzucił w dłoni sakiewkę.

- Wystarczy? - Erhan przekrzywił lekko głowę.

- Oczywiście! - Claude bez najmniejszego problemu zaakceptował to, że do rozmowy wtrącił się wielki, czarnobrody Turek. - Większość negocjacji to i tak język ciała. Rozmawiasz mimiką, uśmiechami, ruchami, prezentujesz towar, kręcisz głową, udajesz znudzenie. I tak w kółko, aż coś od ciebie kupią. Łatwizna. Każdy to potrafi.

Mina Erhana, z jaką obrzucił podejrzenie chudą sakiewkę Claude'a, zdradzała, że woli zachować dystans do jego optymizmu.

- Jedną rzecz mi wyjaśnij. - Bruno położył towarzyszowi dłoń na ramieniu. - Sprzedajesz ziarno dla jakichś uzbrojonych po zęby bandziorów.

– Dlaczego nazywasz ich bandziorami? – Spojrzenie Claude’a lekko się ochłodziło. – Mam wrażenie, że już parokrotnie zdarzyło ci się krytykować moje wybory, ale...

– Jeśli kilku zakapiorów woli powierzyć worki z pszenicą obcemu, zamiast sprzedać je osobiście – powiedział powoli, dobitnie Bruno – przypuszczalnie oznacza to, że zboże jest kradzione. Jeśli zaś zostało doprowadzone z magazynów zakonnych, niebawem ktoś spostrzeże jego brak.

– Ci ludzie wydawali się uczciwi i na pewno nie... – Piskliwy głos Claude’a świadczył o sporej liczbie tłumionych emocji.

– Może nie – przerwał mu Bruno. – Ja nie krytykuję twoich wyborów. Tylko właśnie przyszło mi do głowy, że może byłoby lepiej, gdyby kradzione się okazało. Bo zważywszy na twoje problemy z liczebnikami, być może sprzedałeś je ciut za tanio. Czy twoi partnerzy w interesach sprawiali wrażenie wyrozumiałych?

Opalenizna Claude’a nieco poszarzała. Z zauważalną rozpaczą spojrział w tłum, gdzie przed chwilą znikł człowiek z workiem.

– Zróbmy tak. – Bruno pochwycił go za rękę. – Nie przejmuj się już tą pszenicą. Zostało, jak widzę, kilka worków. Pomożemy ci wraz z Erhanem przenieść je do najbliższego hospicjum, gdzie zakonnicy na pewno zrobią z niej dobry użytek. Jeśli twoi... cóż, partnerzy biznesowi będą domagać się zwrotu, spróbujemy z Erhanem wytłumaczyć im ów poryw serca.

Ponury Turek pokiwał dwukrotnie głową.

– Ale... – próbował protestować Claude. – Ale może lepiej je sprzedajmy i...

– Nie – przerwał mu Bruno. – Nie ma czasu.

Z zakątką, gdzie zbierali się handlarze ptactwa, dobiegł nagle wrzask kur, a po nim pełne wściekłości krzyki. Ludzie przerywali rozmowy oraz transakcje i zaciekawieni odwracali głowy ku kłócącym się. Pierwsi już zmierzali w ich kierunku, za nimi kolejni. Na uliczce między straganami zrobiło się luźniej, dzięki czemu Bruno ujrzał wrota kościoła Świętego Wawrzyńca, gdzie pojawiło się właśnie kilku joannitów.

Szli spokojnym krokiem, pograżeni w niespiesznej rozmowie, otoczeni aurą pewności siebie oraz niezniszczalności. Słońce padało na ich harde twarze, odbijało się od rękojeści mieczy.

W sercu Brunona odezwał się niewytłumaczalny ból. Zaciśnął zęby i odwrócił głowę.

– Nie ma czasu – powtórzył.

Rycerze szybko skręcili, nie zaszczycając uwagą targowiska, i znikli mu z oczu, mimo to Bruno był niemalże pewien, że dostrzegł wśród nich Philippe'a de l'Isle-Phelleta.

Bruno nie pozbył się przeświadczenia, że ktoś go obserwuje, choć tym razem postawiłby dziesięć lat życia, że śledzą go ludzie Mavru. Na pewno został choć jeden z tych, którzy przywiedli mu konia pożyczonego od maltańskiego zbira. Skalna dolinka, w jakiej się schronili po opuszczeniu Birgu, wydawała się wręcz do tego stworzona, a ciekawość samego Mavru, o ile już ochłonął po naradach, na pewno nie miała granic.

Tym razem Bruno nie miał nic przeciwko temu, że jest śledzony. Ba, nawet liczył na to, że tak jest.

O ile to, co sobie właśnie wymyśliłem, nie okaże się skrajną głupotą, pomyślał i podrzucił w dłoni pierścień odebrany Dieudonnému.

To już drugi magiczny pierścień, z którym się stykam, pomyślał.

– Tu naprawdę nie ma nic do oglądania – zwrócił się do Erhana, który siedział pod skalną ścianą, nieruchomy niczym brodaty głąz. – Idź do Claude'a, co? Chyba naprawdę przejął się handlowym fiaskiem.

– Jego sprawa. – Erhan wzruszył ramionami.

– Ale może udałoby ci się...

– Nie.

– No dobra – bąknął młody rycerz i z ulgą skonstatował, że towarzystwo ogromnego Turka przynosi mu pewne pokrzepienie. Bo też w tym, czego postanowił się podjąć, pociecha była bardzo przydatna.

– Jak tam sobie chcesz – dodał. – Tylko...

Miał zamiar powiedzieć, że zupełnie się na tym nie zna, ale to akurat było dla Erhana całkiem oczywiste.

– Jesteś pewien, że nigdy czegoś takiego nie widziałeś? U... u moich rodziców? – zawahał się przy tych słowach, wciąż obcych dla siebie. – Żadne z nich nie posługiwało się tym?

Pokazał Erhanowi pierścień z udawaną nonszalancją, ale ogromny Turek pokręcił jedynie głową.

- Kryli to - burknął. - I dobrze.

Bruno wzruszył ramionami z nonszalancją jeszcze bardziej udawaną niż przed chwilą.

- Ty też się zastanów - odezwał się niespodziewanie Erhan. - Dobrze się zastanów.

- Tu nie ma się nad czym zastanawiać - wycedził młody rycerz przez zaciśnięte zęby. - Tu trzeba działać.

- Ale to... - zawahał się Erhan. - To maleficjum.

- Mój przewrotny stryj sięgał po ten amulet w imię Boga. Twierdził, że trud, który podejmuje dla Niego, rozgrzesza go z wszystkiego, co mogłoby Go urazić. Jakoś nie dosięgła go błyskawica z jasnego nieba, a więc myślę, że i ja jestem bezpieczny, tym bardziej że nie obrażam Boga własną hipokryzją.

- Może - zaczął niepewnie Erhan, jak zwykle, gdy wypowiadał się w sprawie religii. - Może lepiej z Bogiem.

Bruno przypomniał sobie swą modlitwę w ogrodzie Mavru, chaotyczną, pustą, odmawianą rutynowo. Nie potrafił się na niej skupić i nie sądził, by udało mu się to teraz.

- Może - bąknął. - Ale... Nieważne. Dobra, miejmy to już za sobą.

Kątem oka zauważył, jak Turek wyciąga kindżały, co dodało mu odrobinę otuchy.

Ciekawe, czy stał poradzi coś na maleficjum... - pomyślał i spojrzał raz jeszcze na pierścień leżący na spoconej, brudnej dłoni.

Bał się, co nie zdarzało mu się często. Takiego lęku nie czuł ani przed swoją pierwszą *corso*, ani przed torturami, którymi potraktował go *padre* Bonifacy, ale strach równoważyła niezdrowa ciekawość, z każdą godziną przybierająca na sile. Rozniecona opowieścią Alejandra, a potem krótkim wyznaniem Erhana, nakazywała mu bez wahania łapać każdy strzępek dziedzictwa pozostawionego przez rodziców. Ów skarb, w który chyba nawet nie wierzył, niespodziewanie stał się dla niego czymś realnym, ważniejszym niż wszystko, czego do tej pory doświadczył. Był chwiejnym, ledwie widocznym pomostem, który łączył go z Gilbertem i Abigail, dwojgiem ludzi, którzy kochali go ponad wszelką wątpliwość, i to tak bardzo, że troszczyli się o jego bezpieczeństwo nawet teraz, wiele lat po swej śmierci.

Nic mi nie będzie, powtórzył w myślach.

Zacisnął zęby i wsunął pierścień na palec.

Przez moment nic się nie działo. Uniósł dłoń wyżej. Pierścień był szeroki, luźny, poznaczony licznymi rysami, a w jednym miejscu nawet szczerbą jak od uderzenia ostrą klingą. W nikłym świetle, docierającym do dolinki między skałami, widać było starożytne, nieznane mu symbole, wygrawerowane na jego krawędzi.

Może powinienem coś powiedzieć, westchnął w myślach. Jakąś inkantację czy coś... Skąd ja mam takie rzeczy wiedzieć, przecież jestem rycerzem, a rycerze... Ech, zaraza, do czego mi przyszło...

Zamachał upierścienioną dłonią w powietrzu, wykonał kilka chaotycznych gestów, a potem, tknięty nagłym impulsem, złączył obie dłonie. Gdy na powrót oddzielił je od siebie, spomiędzy palców wyfrunęło mu coś, co w pierwszej chwili przypominało niesioną wiatrem, gęstą pajęczynę. Z każdym kolejnym uderzeniem serca nabierało jednak wyrazistości i gęstości. Niektóre krawędzie rozciągały się i grubiały, inne łączyły się i stawały się obłe, aż nagle przed oczami oszołomionego rycerza zawisł trzepoczący skrzydłami demon.

Bruno z trudem opanował lęk i obrzydzenie, bo z bliska stworzenie wydawało się jeszcze bardziej ohydne niż z daleka. Czarny brzuch robił wrażenie wzdętego chorobą, a pysek przywodził na myśl oblicze katedralnego gargulca. Szare skrzydła, błoniaste, ozdobione siateczką pulsujących żyłek, poruszały się z nieprzyjemnym chrzęstem.

Oniemiały rycerz wpatrywał się w demona, wiszącego przed nim niczym monstrualny motyl. Kątem oka widział, jak Erhan zrywa się z nożami w dłoniach. Przytomności starczyło mu tylko na to, by powstrzymać go ruchem głowy.

Piekiło i szatani, co ja mam teraz zrobić? – myślał gorączkowo. – Kazać mu jej szukać? Obiecać nagrodę? Poczęstować czymś? Ja pier...

Demon naraz rozwarł pysk do niepojętych wprost rozmiarów.

Tylko nie wrzeszcz... Tylko nie wrzeszcz...

– Soave! – wykrztusił z trudem. – Soave! Ona nazywa się Soave! Jest mniszką! Klaryską, o ile to ma dla ciebie jakieś znaczenie! Więżą ją... nie wiem gdzie. Ja nie do końca wiem, jak z tobą rozmawiać, bo jestem rycerzem i... no... Ale przejdźmy do sedna... Czy... czy możesz jakoś...

Demon zawarł pysk i znów go rozchylił. Bruno zacisnął powieki.

Tylko nie...

Demon wrzasnął tak przeraźliwie, że młodzieniec aż się cofnął. Wzbił się ku niebu, zatoczył krąg na tle lazuru, wrzasnął raz jeszcze i skierował się na północ.

– Ma trop! – rzucił Bruno do nic nierozumiejącego Erhana. – Ma trop! Za nim!

– Jesteś pewien? – burknął niepewnie poblady nieco Turek.

– Nie, bo skąd?! Ale sprawdzić i tak muszę!

Chwilę później obaj siedzieli w siodłach i pędzili pylistym traktem na północ, śledząc demona-zwiadowcę.

Z planu zniknęło kilka niewiadomych.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Czworoboczna, dwupiętrowa wieża strażnicza, jedna z nielicznych, którą wzniesiono z inicjatywy mistrza de Homedesa, wyrastała z najwyższego punktu skalnego łańcucha, który ciągnął się wzdłuż klifowego wybrzeża. Roztaczał się z niej znakomity widok na całą okolicę i wiele mil morskiej tafli, dzięki czemu załoga wieży mogła w porę zauważyć każdego agresora i rozpalic ogień, by ostrzec rycerzy i ludność cywilną. To, że kilka lat po jej wzniesieniu strzeżony przez nią rejon spustoszył któryś z algierskich piratów, zakrawało na ponury żart historii.

Widok wyładowanego po brzegi wozu, który powoli piał się jedyną wodzącą do wieży drogą, jej załodze musiał wydać się żartem równie ponurym. Bruno był przekonany, że strzegący jej wojownicy dostrzegli ich już dawno i w głowę zachodzą, o co tu może chodzić.

Pod warunkiem że kogokolwiek z nich to poruszyło, dodał w myślach. W jakimkolwiek stopniu.

Koń prychał i znużony co rusz zwieszał łeb. Od pyska odpadały mu płaty piany, ale mimo zmęczenia nadal ciągnął wóz, kojony spokojnymi słowami siedzącego na koźle Claude'a. Upał był tradycyjnie nie do wytrzymania, ale ukryty w dusznym zakamarku między deskami i grubymi wiązkami chrustu Bruno, choć spocony, mało się tym przejmował. O wiele bardziej dokuczały mu kolana, zesztynniałe w niewygodnej pozycji, oraz własna niecierpliwość.

Szybciej, poganiał w myślach Claude'a. Piekło i szatani, szybciej... Przecież ta wieża nie może być aż tak daleko... Niech to wszystko wreszcie się zacznie!

Jak na złość, koń się zatrzymał i prychnął przeciągle.

– No, jedźże, jedź! – mówił do niego łagodnie Claude. – Tam na górze czeka na ciebie woda. Może trzeba będzie o nią poprosić, może komuś w łeb nawet dać, ale na pewno zajmę się tobą.

Koń posłuchał i ruszył. Głuche burknięcie z drugiej strony wozu, tam, gdzie do równie ciasnej klitki wepchnął się Erhan, zdradzało, że nie tylko Bruno ma już serdecznie dosyć oczekiwania.

Wóz podskakiwał na wybojach, sterty desek trzeszczały, przechylając się to w jedną, to w drugą stronę. Skądś dobiegał szum fal, rozbijający się o podnóża odległego klifu. Darty się ptaki. Claude pogwizdywał beztrzesko, jakby był nieświadom niebezpieczeństwa lub – co było bardziej prawdopodobne – znów pozwolił, by rola całkiem nim zawiadnęła.

Oszaleję. Oszaleję. Oszaleję, powtarzał w myślach Bruno.

Ostatnie słowo musiał wypowiedzieć na głos, bo zarobił kuksańca od kryjącego się za jego plecami Hugona.

– Zaraz będziemy na miejscu! – wycedził Francuz. – Wytrzymaj.

Hugo odzyskał przytomność niedługo po wyjeździe Brunona i natychmiast bardzo za nim zatęsknił, a gdy usłyszał o planowanej akcji, gwałtownie sprzeciwił się zamiarowi pozostawienia go w łóżku.

– Czerep nadal mam solidny, na ryzykanie się nie zbiera, a ciebie widzę wyraźniej, niż bym chciał – dowodził dramatycznym szeptem. – Córkę Pompei zaś widzę jeszcze wyraźniej, a ona... – Przełknął ślinę. – Bruno, zabierz mnie stąd. Krew się we mnie burzy na jej widok. Jej bracia... Jej bracia wytną mi serce! Zabierz mnie stąd!

Posłuszny nakazom wierności przyjaciółom, Bruno natychmiast przestał się sprzeciwiać i Hugo z głową owiniętą bandażami dołączył do czwórki śmiazków. Teraz jednakże młody Scozzi zaczynał tego żałować, bo nic go nie irytowało tak bardzo jak rady. Zwłaszcza te sensowne.

Zaraz będziemy na miejscu, tak? – pomyślał Bruno, zaciskając zęby. Otarł pot z czoła. Oszaleję tu. Na łeb dostanę! Nigdy w życiu czas nie włócił się tak bardzo jak teraz, a ten pieprzony mądrala... Jeśli będę musiał...

– Ejże tam! – zawołał nagle Claude. – Ejże! Słyszycie?

W szczeliny między deskami i wiązkami chrustu wdzierały się podmuchy rzeńskiego wiatru. Pot na twarzy Brunona stygł. Oddychanie stało się łatwiejsze.

- Ejże! Hej, wy tam! - wrzasnął Claude.

Koń zatrzymał się, a deski zaskrzypiały, co oznaczało, że woźnica się podniósł. Bruno widział oczami wyobraźni, jak zadziera głowę, jedną dłonią osłania oczy, a drugą, zaciśniętą w pięść, wspiera się o biodro.

W tej samej chwili wyobraził sobie, jak zza zębatych blanek wysuwają się lufy strzelb, i zrobiło mu się zimno.

Pamiętaj, cośmy ustalili! - błagał Claude'a w myślach. Pamiętaj, żeby...

- Ja z rozkazu mistrza de Homedesa przyjeżdżam! - zakrzyknął Claude ku bezbrzeżnej uldze Brunona. Układając plan, ustalili, że wspomnienie nazwiska wielkiego mistrza być może zniechęci załogę wieży do zbyt pochopnego naciśnięcia na spust. - Świeży chrust przywożę! I deski!

- Po cholere to wszystko? - odpowiedział jakiś głos dobiegający z góry.

- Bo to ponoć wieża sygnałowa! - odparł Claude. - Co roku trza wymienić chrust i drewno! Porządne dechy mam. Z wraku tureckiej galery, ale dobrze wysuszone. I nasmołowane, ha! Co się tak gapisz? Rozkazów mistrza nie znacie?

- Nie! Nigdy czegoś takiego nie słyszałem! - Jego rozmówca mówił po francusku płynnie i poprawnie, ale niewyraźnie, jak człowiek pijany bądź nierozbudzony.

Albo taki, któremu zeszytniały usta, pomyślał Bruno.

- Cóż, przyjacielu, w takim razie jesteś mi winien przysługę. - Piach zachręścił, gdy Claude zeskoczył na ziemię. - Nasz mistrz to wiekowy jegomość, ale wkurzyć się ponoć nadal nieźle potrafi. Zejdźże który na dół! Przecież sam tego, kurwa, taszczyć nie będę!

- Nic nie słyszeliśmy o żadnej dostawie drewna czy chrustu! - W odpowiadającym mu głosie, choć nadal beznamietnym, pojawiła się szorstkość. - Zawracaj i zabieraj się stąd!

- Jasne! - wrzasnął z wściekłością Claude. - Bo przecież o niczym tak bardzo nie marzę jak o porządnym wybatożeniu! Miałem przywieźć to pierdzielstwo, to przywiozłem i reszta mnie gównu obchodzi. Wypieprzę to tutaj i sami sobie to noście, obszarpańcy jebani.

Bruno, choć drżał od tłumionego napięcia, przymknął na moment oczy.

Claude, udając wściekłość, podszedł do burty wozu i wyszarpnął wiązkę chrustu, dokładnie tę, którą do tego celu przeznaczyci. Cisnął ją na ziemię,

a potem złapał za kolejną i zatrzymał się, jakby przyszło mu do głowy coś innego.

W szparze między stertami desek Bruno widział, jak towarzysz odwraca się i gmera w kieszeniach.

– Zaraz, zaraz – mruzczał do siebie. – Cholera, zgubiłem... Zgubiłem, jak nic. A, nie, jest.

Odwrócił się ku wieży.

– Jeden duchowny mnie dopadł, jeszcze w Birgu! – zawołał. – *Padre Bonifacy*, zda mi się. Jakieś pismo ma dla was, pilne podobno. Spieszyć mi się kazał, jakby, zaraza, nie widział tej chabety, co mi ją zakonni dali. Cud, że nie padła po drodze. A w ogóle to napić mi ją trza. Ceber jakiś dacie?

Przez moment trwała cisza, przerywana jedynie świstem wiatru i chrapaniem znużonego konia.

– A w dupę sobie wsadźcie ten liścik! – wrzasnął Claude. – Nie będę tu tak sterczał jak niemota jakiś. O, tu go wtykam, widzą szlachetni panowie? Jak minie wam lęk przed starym sługą i parchatym koniskiem, zejdziecie sobie na dół i znajdziecie, prawda?

Jasna cholera! – pomyślał Bruno z rozpaczą. Nie chwycili przynęty... Widać Bonifacy komunikuje się z nimi inną drogą... Ja pieprzę...

Mocniej ścisnął rękojęć pożyczonego od Mavru pistoletu – jak się okazało, ten miał ich sporą kolekcję – i nabrał tchu. Przewidzieli i tę możliwość. Opracowując plan ataku na wieżę, musieli bowiem przygotować się na to, że nawet talent aktorski Claude'a nie skłoni załogi do otwarcia wrót. Gdyby ten zawrócił wóz i ruszył w dół, obrońcy mogliby nabrać podejrzeń, co odebrałoby Brunonowi i jego towarzyszom przewagę zaskoczenia. Wyrzucić desek i pozostałych wiązek chrustu zaś, z oczywistych względów, nie mógł.

Musimy atakować, pomyślał Bruno. Może Erhan zdoła wyważyć drzwi, może Hugonowi uda się...

Claude pochwycił za kolejną wiązkę i szarpnął nią trzykrotnie. Był to ustalony sygnał do...

Zgrzytnęły zardzewiałe zawiasy. Zachrzęściły kroki na żwirze.

– Daj list – odezwał się inny głos, władczy i stanowczy, choć równie niewyraźny.

– A, przysłała koza do woza – burknął Claude. – A ceberek dla konia to sam se mam przynieść, tak? Dobra, dobra, już nie gap się tak na mnie. Zaraz, gdzie ja go...

Bruno nabrał tchu. Napiął mięśnie.

– O, tu jest. Masz.

I niespodziewanie rzucił się do ucieczki.

Naraz nie było już żadnych wątpliwości, a czas litościwie zwolnił. Bruno odepchnął się i wyskoczył z kryjówki, boleśnie ocierając się barkiem o nieoheblowaną deskę. Błyskawicznie odwrócił się ku rozmówcy Claude'a.

Ujrzał postawnego, brodatego mężczyznę, który właśnie cofał wyciągniętą w stronę Claude'a dłoń, by pochwycić za pistolet tkwiący za pasem opinającym znoszony wams. Drugi z obrońców, w podniszczonym kirysie, spod którego wylaniały się szerokie, bufiaste rękawy, łapał właśnie za rapier, cofając się ku drzwiom. Za te złapał zaś trzeci z mężczyzn, błąd rycerz w morionie i stroju joannity. Wszyscy trzej mieli puste, martwe twarze, a w ich ruchach, choć gibkich i płynnych, dało się zauważyć pewną sztywność.

W tym – oraz w efekcie zaskoczenia – Bruno pokładał wszystkie nadzieje.

Nie był dobrym strzelcem – znacznie wyżej cenił swe umiejętności szermiercze – ale z takiej odległości nie mógł nie trafić. Nacisnął spust, a jego kula wybiła krwawą jamę w czole ożywieńca z pistoletem. Drugi z obrońców wyszarpnął nielekki wszak rapier i doskoczył do Brunona, gotów przebić go jednym pchnięciem.

Młodzieniec uskoczył odruchowo, wrogie ostrze przemknęło obok niego. Na wpół martwą twarz ożywieńca wykrzywił nieprzyjemny grymas. Z niewiarygodną prędkością uniósł broń do kolejnego pchnięcia, ale w tej samej chwili rozległ się ogłuszający huk, a świat wypełniły kłęby dymu.

– Naprzód, na kości Świętego Wulframa! – ryknął Hugo. – Na co jeszcze czekacie?

I wypalił z drugiej broni, tym razem ku obrońcom na murze. Zawtórowali mu Lawrent, syn Mavru, oraz Claude, który schronił się za wozem tylko po to, by ze skrytki wyciągnąć arkebuz. Ich kule z gwizdem

wygryzały kawałki piaskowca. Obrońcy odpowiedzieli ogniem – jakiś pocisk rozszczepił deskę tuż obok barku Brunona, inny smagnął bok chabety, która zarżała przeraźliwie i skoczyła naprzód, odslaniając składającego się do strzału Lawrenta.

Wrota zaczęły się zamykać.

– Drzwi! – ryknął Bruno.

To znaczy chciał ryknąć, bo jego głos okazał się osobliwie piskliwy. Mało kto zresztą to usłyszał, bo w tej samej chwili rozległa się palba wystrzałów. Krenelaże zasnuł biały dym, a kule obramowały Lawrenta, odsłoniętego przez nagły ruch wozu. Młodzieńca spowił pył, wzniesiony przez uderzające w ziemię pociski. Biegnący ku drzwiom Bruno miał wrażenie, że Maltańczyk pada, ale przyjrzeć się mu nie zdołał, a o skoczeniu na pomoc również nie było mowy.

Cały jego świat skupił się bowiem na zamykających się wrotach, pchanych przez joannitę, któremu na pomoc skoczył śniadoskóry mężczyzna w turbanie i stroju algierskiego korsarza. Kilka długich susów, jakie Bruno miał do przebycia, wydawało się nieskończonością.

Nie damy rady, przemknęło mu przez myśl.

Koło jego ucha, jakby na potwierdzenie, świsnęła kula.

Tego, co się wydarzyło później, wytłumaczyć nie mógł inaczej jak tylko interwencją któregoś ze świętych, których tak ochoczo przywoływał Hugo.

Sam Francuz wyskoczył ze swej kryjówki, rycząc jak ranny żubr i unosząc dwa nowe pistolety. Tym trzymanym w prawej dłoni wycelował w dwóch ożywieńców zamykających drzwi, ale spust nacisnął w chwili, gdy przerażona do granic szkapą szarpnęła raz jeszcze. Kula, miast ugodzić któregoś z przeciwników, trafiła w kamień, który wbił się pod dolną krawędź drzwi i dokumentnie je zaklinował.

Korsarz ożywieniec, nie dbając o niebezpieczeństwo, wychylił się, by naprzeć na drzwi od zewnątrz. W tej samej chwili w jego plecy wbiły się dwa kindżały ciśnięte przez Erhana. Korsarz osunął się na ziemię, a Bruno krzyknął z entuzjazmem, przeskoczył nad jego ciałem i runął na joannitę.

Ten trafnie ocenił sytuację i cofnął się, dobywając jednocześnie miecza. Pierwszy atak Brunona sparował bez trudu, kolejny przyjął na tarczę, a przed trzecim sprawnie się uchylił. Bruno, nie chcąc tracić inicjatywy,

doskoczył raz jeszcze i rąbnął znad głowy. Jego przeciwnik z wprawą przyjął cios i odepchnął go z niezwykłą siłą. Bruno zatoczył się i zrobił kilka kroków w tył, zanim odzyskał równowagę.

Całkiem zapomniał, jak groźnymi przeciwnikami są ożywieni. Miał wrażenie, że ich ciała nie straciły nic z wyuczonych za życia umiejętności, a przywołujący je do ponownego niby-życia wywar dodawał im sił i odbierał lęk przed bólem. Co gorsza, owa sztywność, którą zauważył wcześniej, najwidoczniej zniknęła w trakcie starcia, wypalona emocjami bądź mocą wlewanego im w usta eliksiru.

– Muszę przejść – warknął Bruno.

W odpowiedzi joannita uniósł nieco wyżej tarczę i szerzej rozstawił nogi.

Palba ucichła, a z góry dobiegał tupot kroków. Oznaczało to, że obrońcy przypuszczalnie policzyli już napastników i wiedzieli, że mają nad nimi przewagę. Biegli teraz w dół, by wyprzeć wroga z wnętrza budynku, a izba, do której się wdarł, pozwoliłaby im osaczyć go ze wszystkich stron.

Bruno zaklął, potrząsnął głową i rzucił się do natarcia. Osaczenie to ostatnie, na co mógł sobie pozwolić.

Zwarli się we wściekłym tańcu mieczy. Świadomość, że zdołali dotrzeć tak daleko, a jego plan, z początku sprawiający wrażenie jedynie listy szalonych marzeń, zaczynał powoli mieć szanse powodzenia, zwielokrotniła siły Brunona. Nacierał z furią spotęgowaną dziką nadzieją, ale ożywiony joannita odbijał jego ciosy na zimno. Bruno sięgał po wszystkie znane sobie sztuczki szermiercze, lecz każdy fortel kończył się fiaskiem, a joannita trwał niewzruszenie w miejscu.

Nieprzyjemny, nieludzki uśmiech pojawił się na jego obliczu w chwili, gdy na drewnianych schodach przy ścianie mignęły buty pierwszego ze zbiegających na dół sojuszników. Wtedy Bruno zrozumiał, że *vivus cadaver* wiązał go walką do czasu przybycia posiłków, przypuszczalnie na rozkaz Bonifacego.

Pozostawało mu już tylko jedno.

Uderzył raz jeszcze, umyślnie niecelnie, niby z rozpaczą, po czym odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Szósty zmysł podpowiedział mu, że przeciwnik skoczył za nim, wznosząc miecz do ciosu.

Nie chce mnie wypuścić, przemknęło mu przez głowę. A więc mają co do mnie wytyczne...

Uskoczył w bok, rzucił się na podłogę, przetoczył. Miecz joannity rąbnął w polepę w miejscu, gdzie Bruno znajdował się ułamek sekundy wcześniej, i...

Uwiązł.

Joannita, nie przewidując problemu z wyszarpieniem miecza, nadal obracał się ku przeciwnikowi i w myślach szykował się do zadania ciosu. Uderzenie serca później potknął się o stawiający opór oręż. Stracił równowagę na moment, ułamek sekundy wręcz, ale Brunonowi to wystarczyło. Zrywał się już, pchany pędem własnego przewrotu, i od razu dostrzegł lukę w obronie joannity.

Rąbnął mocno, ukośnie, wręcz po rzeźniku.

Jego klinga wryła się w kolczugę rycerza, rozrąbała ogniwa, mięśnie, kości. Ten nawet nie krzyknął, ale cofnął się i parsknął z furją. Ramię trzymające tarczę zwisło.

W tej samej chwili w izbie zaroilo się od ludzi. Pierwszy ze zbiegających ożywieńców ciosem ogromnego topora rozrąbał balustradę schodów, odbił się i wylądował tuż przy Brunonie. Drugi zatrzymał się na stopniach i podrzucił do ramienia strzelbę z dymiącą lufą, a trzeci, uzbrojony w długą pikę, przemknął za jego plecami. Dla równowagi wpadający do środka blask przesłoniła ogromna postać Erhana, a po niej do środka wtoczył się niewiele mniejszy Hugo, kaszląc i złorzecząc.

Nagle zrobiło się ciasno, gęsto, ciemno i naprawdę nieprzyjemnie. Bruno zerwał się i skoczył ku rannemu joannicie, w odpowiedniej chwili, zdawałoby się, bo w tym samym momencie za jego plecami świsnął opadający topór. Zręcznym unikiem zszedł z linii jego ciosu i miał rąbnąć ożywieńca mieczem, wpadł na niego ramieniem. Pchnięty joannita zatoczył się na Erhana, który pochwycił go ogromnymi ramionami i brutalnie rzucił na ścianę.

Więcej Bruno już nie zobaczył, gdyż szósty zmysł przypomniał mu o obecności topornika za plecami. Uskoczył w ostatnim dosłownie momencie – ostrze topora opadło, wydzierając głęboką bruzdę w ścianie z piaskowca, i wgryzło się w podłogę.

Huknął wystrzał. Kula odłupała spory kawał kamienia tuż obok głowy zbiegającego na dół pikiniera.

- Na krew Świętej Justyny! - warknął wściekle Hugo i poprawił opasujący mu czaszkę bandaż, który zsunął się na oko.

Mężczyzna ze strzelbą w odpowiedzi przeniósł lufę na niego i nacisnął spust.

Huk wystrzału złął się z wściekłym rykiem Hugona, który runął na polepę, trzymając się za ramię. To zwrócony ku niemu Bruno widział dobrze, od początku do końca, tym bardziej że złośliwy czas na tę okoliczność nieco zwolnił. I dobrze się chyba stało, bo widok postrzelonego przyjaciela wyzwolił w Brunonie furję, jakiej do tej pory nie doświadczył. Ryknął znów, tym razem głośno, z wściekłością tak bezbrzeżną, że w ruchach topornika, wznoszącego broń do trzeciego uderzenia, pojawiło się wahanie. Bruno nie zawahał się ani na moment - zawirował, przemknął pod opadającym ostrzem, pchnął przeciwnika w pachwinę, a potem, gdy znalazł się za nim, ciął go bez litości po udzie.

Nie spojrzął nawet na osuwające się na ziemię ciało i natychmiast zwrócił się ku pikinierowi. Ten ujął mocno broń i rzucił się do szarży, ale Bruno ani myślał robić uniki. Przechylił tylko lekko głowę, niczym wilk taksujący rywala.

Biegający potknął się i stracił równowagę.

Bruno błyskawicznym ciosem odtrącił ostrze włóczni, z upiornym uśmiechem przypadł bliżej i wbił miecz w brzuch przeciwnika aż po jelec. Wyszarpnął go i naraz uświadomił sobie, że strzelec na schodach, odrzuciwszy strzelbę, mierzy do niego z pistoletu.

Czas, jakże złośliwie, znów zwolnił.

Nagle rozległ się nieprzyjemny, mokry chrzęst, jaki wydaje tępe narzędzie uderzające w ludzką kość. Dłoń ożywieńca zadrżała, a pistolet z trzaskiem spadł na stopień. Ciało osunęło się bezwładnie w ślad za nim, osobliwie miękkie, jakby popękały w nim wszystkie ważne kości.

- Okazuje się - wychrypiał Hugo - że potrafię się skupić szybciej niż normalnie. Tylko trzeba mnie, kurwa, postrzelić.

- Erhan! - wrzasnął Bruno, już biegnąc po trzeszczących, chwiejących się schodach. Z jego ostrza ściekała krew. - Zajmij się nim! Ja odnajdę Soave!

Co do tego, że mniszka znajduje się w wieży, wątpliwości nie miał żadnych. Demon przywiódł ich wszak wczoraj w to miejsce i dla pewności zatoczył nad nim kilka kręgów, po czym powrócił do Brunona, głuchym wrzaskiem potwierdził wykonanie zadania i przemocą wdarł się między jego dłonie, gdzie rozpląnął się i zamienił w dym. Sama wieża zaś do wielkich nie należała i jedynym miejscem, gdzie mogła być przetrzymywana klaryska, było piętro.

Półmrok izdebki na piętrze rozpraszało światło wnikające przez cztery wąskie strzelnice, dzięki czemu Bruno dostrzegł kilka pryczy, stół, przewrócone krzesło, a także drzwi zaopatrzone w mocny zamek. Serce zabiło mu mocniej. Przypadł do nich, szarpnął za klamkę.

– Soave! – wykrzyknął chrapliwym głosem. – Soave!

Drzwi były zamknięte, a ze środka nie dobiegł żaden odgłos. Tknięty złym przecuciem Bruno cofnął się i rozrąbał klamkę celnym uderzeniem miecza.

– Soave! – krzyknął i otworzył drzwi.

Najpierw uderzył w niego potworny zaduch oraz smród moczu i niemytego ciała, tak intensywny, że aż mu oczy zażawiały. Dopiero po chwili w mroku pomieszczenia dostrzegł jakiś ruch, gdy szarawa, niewyraźna plama usiłowała wtopić się w ciemność kąta.

– Soave? – zawołał. – Nazywasz się Soave, tak?

– Precz! – odpowiedział mu drżący, niewyraźny głos. – Precz! Zostaw mnie! Odejdź!

– Ja przyszedłem, by cię uwolnić...

– Zostaw mnie! – Głos Soave urósł do mocnego krzyku. – Idź stąd! Nie znasz tych ludzi! Nie wiesz, do czego są zdolni!

– Ale...

– Wyjdź! – Soave wyłoniła się z kąta. W strzępach szaty, z kosmykami tłustych włosów okalających wychudłą twarz i długim, lekko zadartym nosem przypominała bardziej zmore z koszmarów niż człowieka. – On... On jest potworem! Okrutnym krwiopijcą! Wcieleniem szatana na ziemi! On skrzywdzi...

– Kogo? – przerwał jej Bruno, nareszcie odzyskawszy rezon. – Kogo skrzywdzi, Soave? Masz na myśli siebie czy może Florese?

Klaryska zamarła. Stała nieruchomo i mrugała oczami, najwidoczniej nienawykła nawet do półmroku panującego w izbie mieszkalnej.

– Skąd... – wychrypiła po chwili. – Skąd znasz to imię?

– Od niej samej – odparł Bruno. – Florese jest bezpieczna.

Na przeraźliwie blade, wychudłe policzki Soave wypłynął ciemny rumieniec.

– Bezpieczna – powtórzyła. – Niech no zgodzę. I będzie bezpieczna jeszcze długo, prawda? O ile zgodzę się pracować dla ciebie?

– Nie! – Bruno pokręcił głową, zaskoczony podejrzliwością klaryski. – Nie, ja... My znaleźliśmy Florese w chacie Alejandra i zostawiliśmy ją u przyjaciół, by...

Soave przypadła do niego i z zaskakującą siłą zacisnęła dłonie na jego nadgarstkach.

– Jest bezpieczna? Naprawdę?

W jej oczach zapłonęło coś śmiertelnie niebezpiecznego.

– Tak! – zawołał szczerze wystraszony Bruno. – I królowa Ginevera również! – wypalił.

– Królowa Gi... A więc naprawdę ją poznaliście – wyjąkała Soave. Nadal go nie puszczała. – Gdzie ona jest? Gdzie jest moja mała siostra?

– Zaprowadzę cię do niej! Ja nie chcę... My nie chcemy... My tylko...

– Czyli... – Głos Soave zadrżał. – Czyli ja... Ty...

– Tak, jesteś wolna. Naprawdę! Nie mam żadnych złych zamysłów!

– Dlaczego? – Spojrzenie klaryski zmieniało się błyskawicznie i błysk wzruszenia zastąpiło już lśnienie stali. – Wybacz, nieznajomy wybawicielu, ale w dobroć serca nie wierzę już od dawna. Odkąd... – Jej głos zadrżał.

– Ja też zaczynam w nią wątpić. Chodźmy stąd. Proszę.

– Nie wyjdę stąd, dopóki nie wytłumaczysz mi...

– Słuchaj, rozumiem twą nieufność, naprawdę, ale to długa historia i...

Spojrzenie Soave, które więziło jego wzrok, uniosło się naraz ponad jego ramię. I błysnął w nim lęk.

Bruno zareagował odruchowo. Uskoczył w bok, zawirował i pchnął, ledwie ujrzał pooraną dziobami twarz z turbanem nachodzącym na brwi. Jego ostrze przebiło ciało napastnika na wysokości mostka i z chrzęstem

wyszło między łopatkami. Zakrzywiona szabla z brzękiem spadła na podłogę.

Trzeba było sprawdzić, czy nikt z nich nie został na górze, Bruno zganił się w myślach, uwalniając miecz.

Ożywieniec zrobił krok w tył, wpadł na stół, potracił go z rumorem. Przez cały czas nie spuszczał wzroku z Brunona.

– Tak, to długa historia – wysyczał ku jego zaskoczeniu. – Ale możesz zakończyć ją już dziś, Scozzi. *Padre* Bonifacy kryje się w podziemiach wieży.

– Bonifacy... – wychrypiał Bruno. Dłoń z mieczem opadła.

– Napędziliście mu niezłego stracha. – Z sinych ust ożywienca wyrwała się seria kaszlnięć przypominająca śmiech. – A jeszcze dziś przechwalał się tym, jak pozabijał ci rodziców... Ironia losu, no nie?

Świat Brunona pociemniał, odpłynęły z niego wszystkie kolory. Sercem zawładnęła czarna nienawiść, ciężka jak ołów i jak ołów trująca. Nim się zorientował, biegł już w dół po schodach. Stracił dłoń próbującego go zatrzymać Erhana, nawet nie spojrzał na wołającego go pobladłego Hugona, odtrącił Claude'a. Przypadł do kłapy w podłodze, rozrząbał kłódkę i runął po schodach na dół.

Było tam ciemno, naprawdę ciemno, ale z góry wpadało tyle światła, by mógł dojrzeć czyjąś postać, skuloną na końcu korytarza.

Ojciec Bonifacy odwracał głowę, jakby uparcie udawał, że zagrożenie nie istnieje, ale Bruno widział, że jego twarz, surową, pobrużdżoną, wręcz kamienną, zniekształcił bezbrzeżny lęk. Dłoń oplecioną różańcem wyciągnął przed siebie, jakby chciał mocą religijnego przedmiotu uchronić się przed niebezpieczeństwem.

– Zdrajco! – warknął głucho Bruno i rzucił się do natarcia.

To, że drewniany krzyż u dołu różańca powinien się właściwie kołysać i że postać duchownego była osobliwie nieruchoma, zrozumiał odrobinę za późno.

Uderzenie serca później już spadał w głąb nicości.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

To, co udało mu się zapamiętać, ułożyło się w koszmar. Spadał, w coś uderzył. Przykryły go jakieś płachty, przydusiły, wykrecono mu ręce do tyłu, parokrotnie uderzono. Wył, próbował walczyć, przerażony w tym samym stopniu, co zdezorientowany, ale znów go zdzielono, tym razem tak bardzo, że ledwie czuł, jak krępują mu nadgarstki.

Potem zapadła ciemność, wraz z którą nadeszła świadomość, że nie powinien się odprężyć. Nie powinien się napawać dumą.

Bo prawdziwy koszmar dopiero się zaczyna.

W istocie, wnet mrok rozegnał pojedynczy płomień, z początku zamglony, wyraźniejszy z każdym kolejnym mrugnięciem powiek. Bruno z trudem unióś głowę i ujrzał pochodnię, targaną odległym przewiewem. Jej roztańczony blask padał na surową twarz trzymającego ją duchownego, odbijał się w jego zimnych oczach, migotał na powierzchni pierścienia.

Padre Bonifacy, delegat stolicy apostolskiej na Maltę i zwierzchnik tutejszej inkwizycji, obdarzył go szerokim uśmiechem, który nie dotarł do oczu.

- Twój ojciec - zaczął - był bardzo przedsiębiorczym człowiekiem, przyznaję. W jego ręce zapewne wpadały tysiące artefaktów z dawnych dziejów, a on nie dość, że zawsze bezbłędnie potrafił odróżnić autentyk od falsyfikatu, to jeszcze nigdy niczego nie wyrzucał. Z początku nie do końca to doceniałem. Długo zachodziłem w głowę, do czego jeszcze może przydać się lustro, które zapamiętuje odbity w nim obraz, poza tym, by wędrowiec zabrał ze sobą nagie wdzięki swej ukochanej, rzecz, jak sam

rozumiesz, w mojej profesji nieprzydatna. Ale gdy Alejandro wypowiadał mi się ze swej nielojalności, pomysł sam wskoczył mi do głowy. Dałeś się nabrać, co?

Bruno wiedział już, że znajduje się w podziemnej komnacie, chłodnej i wilgotnej. Siedział na krześle z rękami związanymi z tyłu. Więzy, zarówno te na kostkach, jak i na nadgarstkach, wrzynały mu się w skórę. Ciało bolało od dziesiątków stłuczeń i skaleczeń, ale wszystko to było mu obojętne.

Znalazł się wszak w mocy człowieka, który doprowadził do śmierci jego rodziców. Zgroza w jego sercu walczyła o pierwszeństwo z nienawiścią i furją.

– Zastosowanie bliźniaczych kręgów z egipskimi hieroglifami odgadłem zaś od razu – ciągnął duchowny. – Sam moment teleportacji do najprzyjemniejszych nie należy, nie znoszę bowiem uczucia spadania, ale do wszystkiego można się przyzwycząić. Cóż, prawie do wszystkiego.

Swobodny, niemalże nonszalancki ton w połączeniu z zimnym spojrzeniem wywoływał ciarki na plecach rycerza. Wiedział, że Bonifacy postanowił się nim zabawić i wcale, ale to wcale mu się to nie podobało.

– Do bezczelności bowiem przyzwycząić się nie zdołam – wycedził inkwizytor.

Milczał przez moment, nim podjął:

– O ile dobrze pamiętam naszą pierwszą rozmowę, radziłem ci, byś porzucił poszukiwania rodzinnego dziedzictwa. Podobnie mówił ci Alejandro, zda mi się.

– Który zaraz potem pchnął mnie w zasadzkę mającą na celu podważenie mojej wiarygodności! – warknął rycerz i napał na więzy, aż krzesło zatrzeszczało i krew zahuczała mu w żyłach.

– Zważywszy na to, co stało się później, dziś wydaje się to niemalże aktem łaski. – Ojciec Bonifacy uśmiechnął się zimno. – Gościna w lochach pod rezydencją biskupią do najprzyjemniejszych, jak sądzę, nie należała?

Bruno odpowiedział wściekłym spojrzeniem.

– A nawet wtedy, zważ, byłem gotów potraktować cię pobłaźliwie, jak błądzącego grzesznika, którym przecież jesteś. Zamiast zamęczyć cię torturami, zaproponowałem ci układ, pamiętasz? Nie najgorszy układ. Pewnie na którymś etapie byśmy się jakoś dogadali. Porozumieli.

Ustanowili jakieś granice. Bóg mi świadkiem, że tego pragnąłem. A ty? Spójrz tylko na siebie!

– Ustanowili jakieś granice... – Bruno przymknął oczy. – Masz mnie za półgłówka? Fakt, oberwałem po czerepie, ale nie aż tak, by stracić kontakt z tym światem, przeklęty klecho! Ty nie wzdragasz się przed niczym! Zabiłeś moich rodziców, porwałeś Soave, uwięziłeś Florese, ożywiłeś hordę trupów i Bóg jeden wie, czego jeszcze się dopuściłeś! Mam uwierzyć w to, że zostawiłbyś mnie w spokoju?

– Mogłem cię zabić już dawno.

– Nie, nie mogłeś. Wszak Malta to mała wyspa. Moi kawalerowie rychło odgadliby, kto stoi za moim zabójstwem, a to zagroziłoby twojej pozycji. Ba, może musiałbyś uchodzić z wyspy?

– Nic takiego by się nie stało... – odezwał się Bonifacy z lodowatym uśmiechem, ale Bruno nie miał zamiaru pozwolić mu skończyć.

– To pokrzyżowałyby ci szyki, prawda? Nie możesz już liczyć na Alejandra, który odniósł ranę, a ponadto czuje się przez ciebie oszukany. Nie możesz liczyć na to, że Hiszpan wywiezie skarb moich rodziców z wyspy tam, gdzie mu wskażesz w liście. Straszny z niego skurwysyn, ale głupi nie jest i wie już, że nie masz najmniejszego zamiaru oddać mu pierścienia.

Spojrzał wymownie na dłoń trzymającą pochodnię. Inkwizytor parsknął krótkim śmiechem, pozbawionym jakiegokolwiek wesołości.

– Tu akurat muszę cię poprawić. Alejandro jest głupi, i to bardzo, o czym świadczy choćby fakt, że ci się zwierzył. Tobie. Zdesperowanemu łajdakowi, który wymarzył sobie, że stoczy zwycięską walkę z inkwizycją. Który uznał, że tajemnicze rozwalenie ściany lochu daje mu podstawy do snów o potędze. Który uwierzył w to, że kradzież eliksirów oraz ksiąg, a potem odbicie tej przeklętej klaryski ujdzie mu na sucho!

– Soave i Florese są poza twoim zasięgiem. Są bezpieczne. Przegrałeś.

– A mógłbyś ów zasięg zdefiniować, Scozzi? – Bonifacy zmarszczył brwi. – Gdzie on niby się kończy? Bo, wystaw sobie, codziennie setki, tysiące osób we wszystkich kościołach Malty i Gozo wyznaje swoje grzechy i nierzadko korzysta ze sposobności, by Kościołowi dopomóc. Co się stanie, gdy publicznie ogłoszę, iż po wyspie szwenda się heretyczka, która płwa na krzyż, co noc oddaje się diabłu i zaraża bydło samym swoim

dotykiem? Jak szybko zostanie odnaleziona przez pobożnych Maltańczyków?

– Skąd wiesz, że nie jest już w połowie drogi...

– Na Sycylię? – przerwał mu inkwizytor ze złośliwym uśmiechem. – Gdzie spowiednika współpracującego z Sanctum Officium znajdziesz dosłownie w każdym kościele? Czy może do Algierii, co dla młodej chrześcijanki stanowi dość wyrafinowaną formę samobójstwa?

– Ta rozmowa jest pozbawiona sensu – wycedził Bruno i raz jeszcze napał na więzy. – Wszelakiego. Jesteś tu sam, sam jeden, klecho. Rycerze patrzą ci na ręce. Stary, głupi Alejandro gotów jest sprzysiąc się z sułtanem, by doprowadzić do twego upadku. Straciłeś Soave i Florese, a więc nie możesz kontynuować swych badań nad magicznymi artefaktami, a te, jak na złość, doczekały się oficjalnego spadkobiercy. Kiepska sprawa.

– Zdumiewające, co rodzi ci się w głowie – oświadczył inkwizytor. – Gdybyś żył tyle lat co ja, wiedziałbyś, że nie ma problemu bez rozwiązania. Rycerzom można dać coś, co poprawi nasze układy. Soave i Florese można odnaleźć. Z Alejandrem zaś można odpowiednio porozmawiać. – Skrzywił się paskudnie przy ostatnim słowie. – Nie, nie można – doprecyzował. – Trzeba. I coś mi mówi, że nie spodoba mu się ta rozmowa, tym bardziej że w zależności od jej przebiegu być może okaże się jego ostatnią.

– W dupę sobie wepchnij te przechwałki – warknął Bruno. – A jeśli myślisz, że ja nadaję się na dar pojednania dla zakonu...

– Och, nie! – Duchowny uśmiechnął się perfidnie. – Ty zostaniesz tutaj. Niewykluczone, że jeszcze mi się do czegoś przydasz.

– Zbliź się do mnie! – wycedził półprzytomny z nienawiści Scozzi. – Podejdz tylko, a flaki ci przez gębę powywlekam!

– Po namyśle stwierdzam, że twoja kondycja fizyczna nie ma dla mnie wielkiego znaczenia – rzekł duchowny, udając zadumę. – Natomiast twoje wyzwiska bardzo mnie boją. Dlatego też zostawię cię tu w towarzystwie pewnej skończonej kanalii, którą niebawem czeka wielce zasłużony stryzynek, ale, jak każda kanalia, zasługuje na spełnienie ostatniego życzenia.

Z tymi słowami zatknął pochodnię w żelaznym uchwycie na ścianie i wyszedł.

Gdzieś szcęknęła krata, co odbiło się echem od kamiennych ścian. Bruno odwrócił głowę w stronę dźwięku i ujrzał zarys zbliżającej się postaci. Po kilku krokach znalazła się na tyle blisko, by padł na nią blask ognia. Bruno westchnął ciężko i zwiesił z rezygnacją głowę.

Nieznajomy prezentował się o wiele gorzej niż podczas ich pierwszego i jedyne go spotkania w Mdinie. Jego broda była w nieładzie, oblicze wychudło, pobladło, pod prawym okiem rozlewał się potworny siniak. Nie było też kaftana odcisniętego od zbroi, a jedynie lachmany, brudne i cuchnące. Wzrok jednakże, który kiedyś wydał się Brunonowi badawczy i przenikliwy, teraz ział nienawiścią.

– Mówią, że to ty – wycedził Tancredi di Viano. – Że to ty wpadłeś na to, że ktoś z załogi miasta dogadał się z Turkami.

– Tak, to ja – westchnął ciężko Bruno. – I wybacz, ale nie mam powodu, by cię za to przepraszać.

– Nie chcę przeprosin. – Najemnik wzruszył ramionami. – Do niczego mi się nie przydadzą. Ba, nie bierz mnie za naiwniaka. Od samego początku wiedziałem, że podejmuję się zdrady, i przeczuałem, że mogę spaść. Nie oznacza to jednak, że nie żałuję.

– Zdrady? – Bruno uniósł brew.

– Nie. Raczej tego, że wpadłem. – Tancredi di Viano zacisnął pięść.

– Pewnie się powtarzam, ale nie jest mi przykro.

– Niewykluczone, że jednak będzie. – Najemnik podszedł bliżej. – Bo *padre* Bonifacy w swej łaskawości dał mi z tobą aż godzinę. Nie masz pojęcia, gówniarzu, ile to czasu.

Za plecami di Viana stanął żołnierz w morionie i półpancerzu, wsparty na krótkiej włóczni, bez wątpienia parobek biskupi. Bruno otworzył usta, by coś powiedzieć, przypuszczalnie coś zuchowatego i bezczelnego, a więc kompletnie bezsensownego, gdy di Viano podszedł jeszcze bliżej i z całej siły rąbnął go w zęby.

A miał tej siły sporo, oj sporo. Bruno miał wrażenie, że pod jego czaszką nastąpiła eksplozja. Na moment świat pociemniał, a kolory powróciły wraz z lawiną bólu. Chciał coś wykrzyknąć, podnieść rękę, powstrzymać go, ale zbyt późno przypomniał sobie, że jest skrepowany, a jego usta już

zalewała krew. Zresztą di Viano się nie ociągał i rąbnął go po raz drugi. I trzeci. I kolejny.

Wszelkie odczucia zastąpiły zlewające się ze sobą wybuchy bólu. Bruno chwiał się na krześle, nie widząc i nie słysząc już niczego. Jego świat przeistoczył się w półmrok, w którym falowała jedna jedyna plama światła. Skądś wiedział, że to pochodnia.

Nie zdziwił się, gdy zaczęła gasnąć.

Bo wszystko gaśnie, uświadomił sobie. Bonifacy wygrał...

I wtedy, między jednym a drugim uderzeniem wściekłego najemnika, plama ognia naraz zaczęła rosnąć. Potężniała, rozrastała się, wnet otoczyła go ze wszystkich stron, ogłuszyła trzaskiem. Wiedział, że płomienie nie są prawdziwe, że wcale nie parzą, a on jedynie ulega majakom sennym, a mimo to trudno mu było oprzeć się odruchowi cofnięcia się lub choćby zaciśnięcia powiek.

I wtedy usłyszał głos, który powtarzał jego imię. Cichy, drżący od powstrzymanego bólu, pełen miłości i współczucia.

A po nim usłyszał coś jeszcze, zapewnienie, którego w pierwszej chwili nie zrozumiał. Pojął je chwilę później, gdy z ognia wyłoniła się twarz, ta sama co zawsze, piękna, mokra, nie wiadomo, od potu czy łez. I uśmiechnęła się do niego mimo cierpienia.

A Bruno, choć ogłuszony bólem, podjął decyzję.

Kolejny cios di Viana trafił go prosto w skroń. Świat zadygotał dosłownie i w przenośni, bo uderzenie okazało się na tyle potężne, że przewróciło Brunona wraz z krzesłem na zimną podłogę. Młodzieniec przytknął do niej opuchnięty, gorący policzek i oddychał ciężko, spijając chłód.

– Już czuję się lepiej – oznajmił chrapliwym głosem równie zdyszany Tancredi di Viano. – A nie masz pojęcia, ile czasu nam jeszcze zostało. Jak tak dalej pójdzie – kontynuował niemalże beztrąsko – na szafot pójde, podśpiewując.

– Nie musisz iść na żaden szafot – wymamrotał spuchniętymi wargami Bruno.

– Och, muszę. Za twoją to sprawą, chłystku!

– Nie, kurwa, nie musisz – wycedził Scozzi i odwrócił głowę w kierunku di Viana, choć ledwie go już widział. Zauważył natomiast plamę światła,

wyraźniejszą niż przed chwilą. – Wiem, jak się stąd wyrwać.

– Mamić mnie będziesz, kurwi synu? – Najemnik splunął.

– Zabij go – wyszeptał Bruno. – Rąbnij tego strażnika. Zabij albo ogłusz, twój wybór. A potem wołaj ojca Bonifacego. Że niby coś do powiedzenia mam.

– Już ja ci, kurwa, księdza zawołam... – warknął di Viano i kopnął go w brzuch.

Bruno zwinął się i zacharczał, ale mimo to wykrztusił:

– Rób, co ci mówię. Wyrwiemy się stąd w okamgnieniu, tylko... Tylko rozwłócz tego tam... Proszę cię, to ostatnia szansa... Innej nie będzie.

O tym, że jego słowa wreszcie dotarły, świadczyło to, że w kolejny kopniak najemnik włożył połowę tej siły co wcześniej.

– Chyba się nie boisz, co? – wycharczał Bruno. – Bo ponoć nie masz nic do stracenia!

Tancredi di Viano znieruchomiał. Potem bez litości pochwycił Brunona za gardło i nadrobił okrucieństwem chwilę zawahania.

– Do zabójstwa chcesz mnie namówić? – wycharczał, tryskając drobinkami śliny. – Bezczelny kurwi synu!

– Nie do zabójstwa, osłe – wysyczał z trudem Bruno. – Chcę ci szansę dać. Jesteś zdrajcą! Powieszę cię!

– A od kiedy to masz takie dobre serce, co?

– Nie mam! – Bruno szarpnął ze wszystkich sił. Napór silnych dłoni najemnika nieco osłabł. – I w dupie cię mam, di Viano – mówił szybciej. – Jesteś mi potrzebny, a ja mogę pomóc tobie.

– Milcz! Milcz! – Italczyk puścił jego gardło. Bruno dostrzegł, jak zwierza pięści do kolejnego uderzenia, i zacisnął powieki. – Zmasakruję ci tę kłamliwą gębę...

– Masakruj – szepnął Bruno. – Bij, ile wlezie. Bo to jedna z twoich dwóch opcji. Druga to wino. Ser i mięso. Ciepły chleb. Wiatr znad morza, słońce, cycki. Człowieku, nie oddałbyś wszystkiego, by raz jeszcze zakosztować tych cudów?

Cios nie spadał. Przez huk własnej krwi Bruno usłyszał kroki, a po nich niewyraźny głos strażnika.

– O czym gadacie? Co to za konszachty?

Bruno otworzył oczy, ale bardziej wyczuł, niż ujrzał, że di Viano się odwraca. Potem usłyszał kilka głuchych uderzeń, szamotaninę, wreszcie ohydny zgrzyt wbijanego ostrza i łoskot osuwającego się ciała. Morion stuknął o podłogę.

Zapadła cisza, którą po chwili przerwały powolne, niebezpieczne kroki najemnika.

– Zrobiłem, co chciałeś – powiedział z niechęcią. – Bo przyszło mi do głowy, że zawsze mogę powiedzieć, że rzuciłeś na mnie czar. Uwierzą.

– Uwierzą – zgodził się Bruno. – Przetnij mi więzy.

Di Viano uklęknął i kilkoma cięciami uwolnił Scozzię z więzów. Ten rozprostował zeszywniałe nadgarstki i kilkunastokrotnie zacisnął i rozprostował pięści, by przywrócić krążenie krwi.

– Teraz – wychrypiał – zawołaj klechę. I błagaj, by wszedł do środka.

Bruno zacisnął powieki najmocniej jak umiał, jakby chciał, by świat znów się od niego odsunął. I chyba się powiodło, bo wołanie di Viana w istocie zabrzmiało daleko, bardzo daleko, podobnie jak pospieszne, zbliżające się kroki, szcęk otwieranego zamka i bełkotliwe, niespójne wyjaśnienia najemnika. Skupił się, przegnał myśli, znów wyobraził sobie ową cierpiącą, jakże kochającą go twarz wśród płomieni.

Jestem gotów, pomyślał.

To dobrze, usłyszał odpowiedź matki. Pomogę ci.

Otworzył oczy w chwili, gdy *padre* Bonifacy przestąpił przez próg celi i rozglądał się z narastającym niepokojem. Duchowny odpędził niecierpliwym gestem najemnika, po czym spojrzał najpierw na wciąż leżącego na ziemi Brunona, a potem na rozrzucone bezwładnie ciało strażnika. Otworzył szeroko oczy, potem usta, zaczął się odwracać...

W tymże momencie pochodnia eksplodowała. Płomień buchnął na wszystkie strony, jakby ktoś chlusnął w niego naftą, rozlał się po suficie, żarłocznymi jezorami spłynął w dół i pochwycił habit inkwizytora, momentalnie zamieniając go w żywą pochodnię. W pomieszczeniu zrobiło się oślepiająco jasno. Bruno miał wrażenie, że na ułamek sekundy płomień ułożyły się w twarz cierpiącej kobiety, ale na dalsze obserwacje nie miał czasu. Zerwał się z podłogi, zatoczył, padł na kolana, poderwał się znów, rozkaszał, a potem, nie oglądając się na nic, rzucił się do panicznej ucieczki.

Pamiętał, że odbijał się od kamiennych ścian, wpadł na kratę, potknął się na schodach, a potem już biegł boczną nawą jakiegoś kościoła, ciemną i pachnącą kadzidlany dymem. Przewrócił kandelabr ze świecami, wzbudził okrzyk oburzenia nieznanego diakona, ale biegł, nie zatrzymując się, aż wypadł przez uchylone wrota na odurzająco rześkie powietrze nocy.

Tam zrobił kilka chwiejnych kroków i oparł się o ścianę, by zaczerpnąć tchu. Oddychał chciwie, łapczywie, aż w płucach mu rzęziło. Twarz, pobita i ani chybi poparzona, pulsowała bólem, podobnie jak rozbite kolano i poharatane łokcie, ale ulga była tak wielka, że nie miało to dla niego żadnego znaczenia.

Wyrwałem się, pomyślał. Wyrwałem się tej gnidzie... Jestem wolny...

Teraz dopiero oprzytomniał na tyle, by uzmysłwić sobie, że magiczna moc egipskiego teleportu przeniosła go do Mdiny. Wybiegł bocznym wyjściem z katedry Świętego Pawła i stał na jednej z bocznych uliczek, szczęśliwie opustoszałej, jakby mieszkańcy miasta chcieli w ten sposób okazać cześć swej największej świątyni. Na rogu widział jednak opromienione pochodnią wejście do tawerny, przy którym przekomarzało się chełpliwie kilku podpitych zbrojnych.

Mdina, przytomniał powoli Bruno. Wieża jest na północy, daleko stąd... Dzień drogi pieszo, przynajmniej...

Nie znał tu nikogo, do kogo mógłby chcieć się zwrócić. Pozostawało schronić się w jakimś ciemnym zaułku, skulić pod ścianą i...

Z wnętrza kościoła buchnęły dymy, a potem wrzaski, nie tylko strachu i zaskoczenia, ale i wściekłości. Na którejś z wież uderzono w dzwon, raz, i to niepewnie, jakby trzymający sznur diakon nagle zwątpił w sens swoich poczynań bądź został przegoniony.

Serce Brunona znów zabiło żywiej. Zgarbił się, pochylił głowę i ruszył przed siebie tuż przy ścianie. Miał nadzieję, że weselący się zbrojni wezmą go za żebraka i nie poświęcą mu większej uwagi.

Kilkanaście kroków później przekonał się, że przez ostatnie dni musiał wyczerpać resztki osobistego szczęścia.

– Hej! – gwar podpitych głosów przerwał inny, jasny i przenikliwy, doskonale Brunonowi znany. I mocno przez niego znienawidzony. – Hej! Przecież to nikt inny tylko sam Bruno Calazzo! Wiedźmi syn we własnej

osobie, przyjaciele! No nie wierzę własnym oczom! Bywaj tu, Calazzo! Bywaj! Jak miło cię ujrzeć, stary druhu! Mam nadzieję, że zdrowie dopisuje bardziej niż fortuna?

Philippe de l'Isle-Phellet, którego jeszcze dwa dni temu widział w Birgu, szedł ku niemu szybkim krokiem, rozkładając ramiona w parodii przyjaznego powitania. Jego głos ociekał sarkazmem, a towarzysze biesiady już podążali za nim, zaciekawieni sytuacją. Bruno zaklął bezsilnie pod nosem, odwrócił się i nadal się zataczając, ruszył w przeciwnym kierunku.

– Bruno, uciekasz? – wołał za nim Philippe. – Serce mi ranisz! Tyle razem przeszliśmy! Tyle nierozstrzygniętych pojedynków, tyle niedokończonych rozmów... Zaczekaj!

Bruno przyspieszył kroku. Nie unosząc głowy, zezował w kierunku ciemnego wejścia do świątyni, świadom, iż lada moment może stamtąd wychynąć rozwścieczony *padre* Bonifacy.

I dokładnie tak się stało.

Duchowny zatrzymał się na schodach. Jego habit, częściowo nadpalony, dymił mocno, co w połączeniu z poczerwieniałą, wykrzywioną we wściekłym grymasie twarzą nadało mu iście demoniczny wygląd. Na widok Brunona parsknęła z pogardą.

– Ty skończony durniu – wycedził i spojrzał w kierunku Philippe'a, który na widok duchownego w opłakanym stanie najpierw zwolnił, natychmiast zapominając o drwinach, a potem przyspieszył. – Szlachetny kawalerze, ten człowiek to zdrajca! Zdrajca i heretyk! Winien napaści na Bożego sługę! Zatrzymaj go, w imię Pana, zatrzymaj!

Philippe z drapiezną miną wyszarpnął miecz i rzucił się do biegu. Bruno patrzył bezradnie to na niego, to znów na tryumfującego Bonifacego i bezwiednie zacisnął pięści.

I wtedy wyczuł na palcu coś twardego.

Na to, by sobie ów pomysł porządnie przemyśleć, zabrakło już czasu. Pozostało go tylko tyle, by móc zareagować.

Był zwrócony plecami do nadbiegającego Philippe'a, w ulicze zaś panował półmrok, a więc jego rywal nie zauważył, gdy Bruno zebrał myśli, złączył dłonie i nagle je rozerwał. Z pierścienia odebranego Dieudonnému, a jakimś cudem przeoczonego przez pacholków

inkwizycji, wyrwała się szara, szybko gęstniejąca mgiełka, która przybrała postać latającej bestii.

Bonifacy otworzył szeroko oczy.

– Znajdź ojca Bonifacego! – wycedził Bruno złowieszczo.

Wrzask demona poniósł się echem po ciasnej uliczce, a on sam machnął szarymi, błoniastymi skrzydłami, w okamgnieniu znalazł się nad głową inkwizytora i jął zataczać ciasne kręgi. Nie przestawał przy tym wrzeszczeć, co skutecznie zatrzymało garstkę przerażonych mnichów na progu świątyni, aż najprzymtomniejszy z nich, wykonawszy drżącą dłonią znak krzyża, zatrzasnął drzwi. Zahamowało też Philippe'a, który wpatrzony w krążącego demona, całkiem zapomniał o kulącym się pod ścianą Brunonie.

– Weźcie to! – darł się Bonifacy. – Weźcie ode mnie to bydłę! Niech ktoś mi pomoże! Boże przenajswiętszy, co to jest? *Apage, Satanas!*¹

Demon krzyczał i tłukł skrzydłami, obracając co rusz łeb ku Brunonowi. Ojciec Bonifacy, nie mogąc go dogonić ani przepędzić, przypadł do drzwi katedry i załomotał w nie pięściami, błagając braci, by wpuścili go do środka. Jego nagły ruch sprawił, że Philippe de l'Isle-Phellet ocknął się, spojrzął za siebie i uzmysłowił sobie, że reszta jego biesiadnej kompanii już wyparowała.

Demon rozdarł się raz jeszcze. Joannita odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Ledwie przebrzmiały jego kroki, gdy Bruno poderwał się z cienia i rzucił ku bębniącemu we wrota katedry duchownemu, krzyczącemu już niemalże równie głośno jak uwijający się nad nim demon. Przypadł doń w kilku susach i złapał go w pasie.

– Pora dokończyć naszą rozmowę gdzieś indziej – wycedził przy jego uchu i przerwał jego dzikie krzyki ciosem pięści w bok.

Duchowny okazał się dziwnie lekki, niemalże wiotki. Słaniał się, bełkotał, usiłował wznosić dłonie, szukał na piersi krzyża, przypuszczalnie zgubionego podczas zamieszania, a Bruno, walcząc z własnym bólem, włókł go za sobą, aż odnalazł wejście do niewielkiego *palazzo*, szczęśliwie niezamkniętego krata. Wszedł do środka i pchnął duchownego na zwieńczoną trytonem, wyschniętą fontannę na środku brukowanego dziedzińca. Bonifacy stęknął głucho i osunął się na kolana, drżąc na całym ciele.

Bruno westchnął ciężko i złapał demona w rozłożone dłonie. Nad dziedzińcem zapadła cisza, przerywana jedynie jękami przerażonego inkwizytora. Z dziury, wyszarpanej przez morskie wiatry wśród chmur, wyłonił się księżyc, który zalał srebrem obleczone bluszczem ściany, kamienne donice z figami, kolumny z rzeźbionymi kapitelami oraz schody wiodące na wyższe piętra.

Ktoś biegł ulicą.

– A, tu jesteś – wysapał Tancredi di Viano, zatrzymując się obok młodego rycerza. – Nieźle się tam sprawiłeś. I dotrzymałeś słowa, niech mnie. Jesteśmy wolni.

Bruno patrzył na niego bez słowa.

– Cieszę się, że mnie znalazłeś – powiedział.

– Cóż, ja też. Bywaj, młodzieńcze. I niech cię prowadzi... co tam sobie zechcesz, by cię prowadziło.

– Poczekaj – zatrzymał go Scozzi.

– Po co? – Di Viano się odwrócił. Widać było teraz, że i on nie uniknął poparzeń: spalone włosy odsłaniały zaróżowioną skórę czaszki, a prawe oko niknęło wśród czerwieni ran. – Jesteśmy kwita.

– Pozwól, że zaciągnę dług. Pożycz mi nóż.

– Nóż – powtórzył najemnik i spojrzał na inkwizytora. – Rozumiem, że pragniesz zamknąć inny rachunek. Cóż, twoja sprawa.

Wyciągnął zza pasa nóż, bez wątpienia odebrany strażnikowi w lochach, i podał go Scozziemu.

– Wybacz, młodzieńcze, ale nie zostanę, by popatrzeć. Ten klecha to z pewnością straszna gnida, ale zawsze Boży sługa, a ja...

Bruno pokiwał głową i odwrócił się, jakby chciał podejść do duchownego, po czym nagle, z zaskoczenia, wbił całe ostrze w brzuch najemnika. Wyszarpnął je, uwalniając strugę krwi, po czym wbił mu je w gardło.

– Ja nie mam dla ciebie godziny – wyszeptał, patrząc w gasnące oczy di Viana, przepełnione bólem i zaskoczeniem. – Choć zasłużyłeś sobie na całe miesiące męki. Pomogłeś mi w ucieczce, ale nie zdejmuję to z ciebie piętna zdrajcy – dokończył, patrząc na trupa.

Potem odwrócił się w stronę duchownego.

Bonifacy zdołał się już podnieść. Oparł się drżącą dłonią o cembrowinę fontanny, a drugą, równie rozdygotaną, wycelował w Brunona.

- Wyklinam cię, synu diabła, ze społeczności Kościoła...

- Być może - szepnął Bruno, idąc w kierunku duchownego - na to już za późno. Być może zaś nawet nigdy nie było tego trzeba.

Brutalnie pochwycił księdza za wyciągniętą dłoń i zerwał mu z palca pierścień.

- A to - oznajmił - należało do mego ojca.

Bonifacy otworzył szeroko usta, by wykrzyknąć swój protest, ale nie zdążył.

Jego ciało zaczęło wiotczeć, kurczyć się, schnąć w oszłamiającym tempie, a gdy zaskoczony Bruno odskoczył do tyłu, padło na kamienny bruk i rozsypało się w pył.

1 *Apage, Satanas* (łac.) - Odejdź, szatanie (przyp. red.).

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Kawaler Alejandro de Heredia wyszedł ze szpitala Sacra Infermeria zaledwie dwa dni po tajemniczych wydarzeniach w Mdinie, w wyniku których śmierć poniósł oskarżony o zdradę italski kapitan najemników Tancredi di Viano, a ojciec Bonifacy, delegat stolicy apostolskiej na Malte i Gozo, znikł bez śladu. Niemały wpływ na jego ozdrowienie miał pierścień, podrzucony mu do szpitala przez nieznanego posłańca. Szedł teraz rześkim, niemalże pospiesznym krokiem, a fakt, że co rusz oglądał się za siebie, sugerował, że w każdej chwili był gotów swe tempo zwiększyć.

Niewątpliwie kierował się ku przystani, na co rozstawieni w kluczowych miejscach ludzie Mavru mieli reagować bez wahania. Zadanie wykonali z wprawą budzącą niepokój – idący, niemalże biegnący w stronę portu Hiszpan dosłownie znikł za plecami grupki ulicznych muzykantów i niezauważony przez nikogo, wnet dotarł, wbrew własnej woli, do pewnego niewielkiego magazynu portowego.

Ów magazyn, ciemny i zastawiony beczkami oraz skrzyniami, zapewne był miejscem niejednej interakcji towarzyszącej szeroko rozumianym interesom, o czym świadczyła swoboda, z jaką siepacze Mavru wkroczyli do środka. Bez problemu odnaleźli szmaty na knebel oraz sznury, którymi przywiązali szarpiącego się więźnia do jedyne go słu pa podtrzymującego dach, dla gości przygotowali krzesła oraz wino i owoce, a sami porozsiadali się na beczkach i ignorując szamotaninę oraz rozpaczliwe jęki Alejandra, zajęli się grą w kości.

Czasu mieli zaś sporo, bo goście przybyli do magazynu dopiero po zmroku. Jako pierwszy wszedł gospodarz w eleganckim dublecie z wąskimi rękawami i kapeluszu ze strusim piórem. Szyk godny zamożnego kupca nie maskował jednakże zimnego, nieprzyjemnego spojrzenia i zaciśniętych ust, znamionujących tamowane emocje. Idący za nim Bruno Scozzi zdjął własny kapelusz, prosty i pozbawiony pióra, po czym obdarzył jeńca pogardliwym uśmiechem. Hugo Onfroi de Dahlia-Connos z ręką na temblaku i głową obwiązaną bandażami obrzucił jeńca niedbałym spojrzeniem, po czym zaczął zaglądać do dzbanów z winem, które częściowo padły już ofiarą pragnienia strażników, a Claude z zaintrygowaną miną zaczął ostukiwać beczki i skrzynie. Milczący Erhan stanął pod ścianą i założył ramiona na piersi. Soave, ubrana w prostą, niczym niewyróżniającą się suknię, na widok jeńca zamarła, pobladła i odwróciła głowę.

Zauważywszy to, Bruno podsunął jej krzesło. Odwrócił się w kierunku Alejandra, ale pierwszym, który zabrał głos, okazał się Mavru. Przsadzisty kupiec stanął przed przywiązany do słupa jeńcem, wziął się pod boki i przyjrzał mu uważnie, po czym skrzywił się niedbale.

– Mielicie rację – zwrócił się do Brunona. – Stary już. Z gęby miękkiej, nieużyty. W miesiąc przeżre własną wartość na targu niewolnych. Nie chcę go.

Wzruszył ramionami i usiadł na krześle podsuniętym mu przez usłużnego strażnika.

Alejandro, który na widok przybyszów, a przede wszystkim Soave, znieruchomiał, zaczął się teraz szamotać i jęczeć. Ze wszystkich sił próbował wypluć knebel, a w jego oczach pobłyskiwało bezgraniczne przerażenie, zwłaszcza gdy stanął przed nim Bruno.

– Niech no zgodnę – powiedział zimno Scozzi. – Chcesz mi powiedzieć, że zamierzałeś uszanować nasz układ, a do portu pędziłeś z takim wigorem tylko dlatego, że tam twoim zdaniem należało zacząć nas szukać. Że ucieczka po tym, jak przejąłeś pierścień Bonifacego, nie przyszła ci nawet do głowy. Prawda?

Na czoło szamoczącego się Hiszpana wystąpił pot. Oczy mało nie wyszły mu z orbit.

- A ja pewnie bym ci uwierzył. - Bruno wzruszył ramionami. - Bo w sumie prostolinijny ze mnie człowiek, a my poprzysięgliśmy sobie uczciwość i szczerść, prawda?

Hugo, który wreszcie znalazł pełny dzban, zarechotał ucieszony i nalął sobie kielicha. W tejże chwili napotkał naburmuszony wzrok Mavru, wyrócił oczami i oddał naczynie Maltańczykowi.

- Problem pojawił się dopiero po tym, jak zamieniłem parę słów z Soave - ciągnął Bruno, zerknąwszy wymownie na pobladłą, nieruchomą klaryskę. - Wszystko przez te kobiety, co? Dowiedziałem się bowiem - przechylił lekko głowę - iż świętej pamięci *padre* Bonifacego również planowałeś wydymać. Nie byłoby w tym nic złego, bo łajdak nie zasługiwał na nic więcej, ale niestety zaszkodziłoby to mnie. Powiedz mi, Alejandro, kiedy chciałeś mi powiedzieć, że w tajemnicy przede mną i Bonifacym prowadziłeś badania nad pewnym amuletem, który wydatnie pomaga w zmyleniu każdego pościgu, wliczając w to magiczny? Dzięki inkantacjom, które zapamiętała Soave z pewnego grymuaru zakazanego przez Sanctum Officium, byłeś już w stanie go uruchomić i gdybyś w odpowiednim momencie nie zarobił dechę z gwoździami, pewnie nigdy byśmy cię nie znaleźli. Co, Alejandro? Chciałeś mi o tym powiedzieć, prawda?

Hiszpan miotał się i stękał. W wybałuszonych oczach połyskiwała rozpacz, na czole pulsowała nabrzmiąta żyła.

- Furda talizman - burknął Hugo, wpatrując się w więźnia złym spojrzeniem. - Pies trącał grymuary i inne maleficja. Tyś, kanalio trądem przeżarta, dziecko więził. Synu kozy w gównie wytarzanej, samo to wystarczy, bym ci krwi jak świni utoczył!

- Sama Soave - Bruno wskazał kurtuazyjnie śmiertelnie bladą klaryskę - zapewne również chętnie by dołączyła do twoich katów. Pozostaje nam żałować, że masz tylko jeden żywot, bo zainteresowanych, by ci go odebrać, można by w kolejkę ustawić.

Alejandro opadł z sił. Patrzył teraz na Brunona błagalnie, a z jego oczu płynęły łzy.

- Zrobimy więc tak - powiedział Bruno. - Ja daję ci słowo rycerskie, że ze strony mojej, Hugona, Claude'a czy Mavru nic ci nie grozi. Zaraz ktoś wyjmie ci knebel, byś mógł nam przekazać miejsce ukrycia skarbu, po

czym knebel zostanie ci wepchnięty na nowo. Nikt, widzisz, nie ma tu zamiaru cię słuchać dłużej, niż to absolutnie konieczne. Zostaniesz tu do chwili, gdy skarb odnajdziemy, a potem, uprzedzę twe pytanie, zadecydujemy o twoim losie. Jasne?

Alejandro de Heredia skwapliwie pokiwał głową.

– Dobrze. Wyciągnijcie mu knebel!

Zajął się tym sam Lawrent, syn Mavru. Był straszliwie błądy po postrzale w walce o wieżę i wciąż utykał, a na bandażu opasującym bok widniała świeża czerwona plamka, ale spoglądał z dumą i godnością, jakby rana odniesiona podczas walki czyniła z niego lepszego człowieka. Pozbawiony knebla Alejandro długo kaszlał, po czym uniósł wzrok i słabym głosem wyjawiał miejsce ukrycia skarbu.

Potem knebel wrócił na miejsce.

– Cóż – rzekł Mavru, podnosząc się. – Czyli kaźni nie będzie?

– Nie – odparł Bruno.

– Szkoda – westchnął stary Maltańczyk. – Choć w sumie nie ma czego żałować. Ten tu pękłby na sam widok rozżarzonego żelaza. Dobra, nie będę marnował czasu i udam się do siebie. Tylko – zmierzył Brunona kamiennym spojrzeniem – chciałem jeszcze nabrać pewności. Nasz układ obowiązuje?

– Obowiązuje – odparł Bruno.

– W tej formie, jaką uzgodniliśmy? – dopytywał się Mavru. – Trzecia część od każdej transakcji, zarówno najmu, jak i sprzedaży?

– Jeśli to wy odnajdziecie klienta – rzekł rycerz. – Co, przynajmniej na początku, będzie konieczne. Zniżki dla krewnych i przyjaciół.

– Hmm, no – burknął Mavru i machnął ręką, wskazując jednocześnie magazyn i swoją zgraję obwiesiów. – Bo mój wkład w inwestycję rośnie, rośnie i rosnać nie chce przestać. Przyznam, że nachodzi mnie ochota, by niektóre podpunkty jeszcze renegocjować, ale co mi tam... Niech stracę. Aha! – rzucił przez ramię. – Zostawiam z wami Lawrenta. Tak na wszelki wypadek.

– Będę zaszczycony. – Bruno skinął młodemu Maltańczykowi, który spojrzał na niego wyniośle i odpowiedział takim samym gestem.

– Zaszczycony – prychnął Mavru. – Już ty głupot nie wygaduj.

Trwała noc, dlatego Birgu opuścili łodzią rybacką. Kilku milczących Maltańczyków wchodzących w skład załogi pozdrowiło skinieniami głowy Lawrenta i bez chwili wahania postawiło żagiel. Rzeński wiatr spod gwiazd szybko przepchnął łódź po wodach zatoki i wnet jej dno zachrobotało o kamienie plaży półwyspu Sciberras. Niedaleko czekały już na nich konie, co z teatralną niechęcią zaproponował sam Mavru, dorzucając narzekania na rosnący wkład w inwestycję.

Choć trwała noc i wszyscy uczestnicy wyprawy marzyli już tylko o chwili wytchnienia, nikt nie narzekał. Bruno pomógł dosiąść konia Lawrentowi, który udał, że wcale tego nie dostrzega, a potem, gdy sam znalazł się w siodle, napotkał wzrok Erhana. Spojrzenie Turka, ciężkie i dobitne, było pełne troski.

Bruno doskonale wiedział, co Erhanowi leży na sercu, bo ten, mimo wrodzonej małomówności, zagadnął go już dwukrotnie, najpierw po zakończonej wyprawie pod wieżę sygnałową, a potem w drodze do magazynu, gdzie ludzie Mavru trzymali Alejandra.

Naprawdę tego chcesz? – pytały ciemne oczy Turka. Wiesz, co się stało twoim rodzicom, Bruno. To ryzykowny fach. Ciężkie brzemie. To mała wyspa. Pełno tu rycerzy, kościołów, księży. Zastanów się. Dobrze się zastanów.

Bruno uśmiechnął się lekko.

Mógłbym ci odpowiedzieć na wiele sposobów, przyjacielu, pomyślał. Mógłbym ci powiedzieć na przykład, że nie mam innego pomysłu na życie. Że umieram z ciekawości i chcę chociaż sprawdzić, co tak naprawdę rodzice mi zostawili. Że nie mogę zawieść Hugona ani tym bardziej Mavru. Ale tak naprawdę to ja chyba marzę o tym, by pójść w ślady moich rodziców. By stać się kolejnym Scozzim, który podjął się handlu magicznymi artefaktami i robił to tak, jak należy. Bo oni, przyjacielu, pozostawili mi dobre wzorce. Pokazali, że należy, oprócz zysku, kierować się zwykłym dobrem. Niewiele o nich wiem, ale to moje jedyne dziedzictwo i dla mnie będzie świętością.

Erhan najprawdopodobniej wiedział, co się kryje za uśmiechem młodego podopiecznego, bo jedynie – rzecz u niego rzadka – wywrócił oczami i popędził rumaka.

Pognali w noc po bezludnych traktach Malty. Kopyta końskie tłukły w rozgrzany za dnia, a stygnący teraz żwir, skaczące wśród akacji i tamaryszków króliki uciekały w popłochu, wiatr świstał na ostrych krawędziach zbroi i unosił płaszcze. Gdzieś zakrzyczał nocny ptak.

A Bruno, zatracony w pędzie, wreszcie ukojony wolnością, myślał. Wspominał. Analizował. Z niedowierzaniem układał fakty. Kręcił głową i znów rozmyślał, aż doszedł do wniosku, że pozostał mu już tylko jeden problem do rozwikłania.

Zerknął przez ramię.

Soave jechała tuż za nim. Dosiadała konia po męsku, a płaszcz, który narzuciła na ramiona dla ochrony przed chłodem, powiewał niczym wielkie skrzydła. Skądś wiedział, że ona również wpatruje się w niego.

Lawrent zapewniał, że miejsce wskazane przez Alejandra znajduje się na zboczach doliny w pobliżu wsi zwanej Birkirkara, strzeżonej przez masywną, choć podupadłą wieżę. W istocie, po chwili błędzenia wśród okolicznych gajów natrafili na zrujnowaną, starą chatę z zapadniętym dachem, ledwie widoczną wśród rozłożystych akacji. Jedno po drugim zeskakiwali z koni i troczyli je do gałęzi drzew.

– Gdzie tego szukać? – spytał Hugo głosem, który aż drżał od źle tłumionego entuzjazmu.

– Pod podłogą – przypomniał mu Bruno. – W północnym kącie znajduje się kłapa, a pod nią komin jaskini. Naprawdę wysoki. Będzie trzeba schodzić po linie.

– Dam radę – oświadczył Hugo i rącho pognął w stronę chaty.

Za nim popędzili rozchichotany Claude i Lawrent, który desperacko starał się zachować powagę. Erhan, który stanął na straży i sprawdził, czy kindżały dobrze wysuwają się z pochewek, znów wywrócił oczami, co oznaczało, że podniecenie mimo wszystko udzieliło się również jemu.

A Bruno...

Cóż, Bruno odwrócił się ku Soave.

– Jak dzieci – westchnął.

– Nie dziw się im – powiedziała klaryska cicho. – Wiele przeszli, by się tu znaleźć.

– Ty również – rzekł Bruno. – Ba! – poprawił się. – Żaden z nas nie przeszedł nawet połowy tego co ty. Nawet ja, choć przez kilka dni

gościłem u inkwizycji. A mimo to... Mimo to jesteś tu z nami.

– Jestem – rzekła mniszka jeszcze ciszej.

– Powinnaś odwrócić się od tego koszmaru – mówił Bruno coraz szybciej. – Powinnaś wziąć Florese i uciec stąd jak najdalej.

– Powinnam – przytaknęła klaryska. – Tylko po co? By próbować modlitwą zatuszować złe wspomnienia? By co wieczór prosić Boga, żeby nie powróciły one w snach? By codziennie zamartwiać się, czy Florese nie obudzi się z płaczem, bo znów przyśniła jej się ciemność?

– A czy... – Młody rycerz przełknął ślinę. – A czy istnieje inne rozwiązanie?

– Może istnieje. – Klaryska wpatrywała się w gwiazdy ponad czarnymi gałęziami drzew. – Nadal nie wiem, kim jesteś, Scozzi. Uratowałeś mnie i moją siostrę przed złym losem, co czyni cię dobrym człowiekiem, najlepszym, jakiego znam! Ale nadal nie wiem, co ci siedzi w głowie. Pokazałeś mi jednakże, że zamiast uciekać przed koszmarami bądź próbować o nich zapomnieć, należy iść naprzód. Walczyć. Działać.

Milczała przez chwilę.

– Niewykluczone, że z tej nauki skorzystam – dodała, a Bruno pomimo ciemności odkrył, że mniszka się uśmiecha.

– W jaki... – zawahał się. – W jaki sposób?

– Jeszcze nie wiem. Poza tym – podjęła nieco innym, mocniejszym głosem – nie sądzę, by Bóg znów przyjął mnie na swe łono.

– A co takiego niby zrobiłaś? – zdziwił się Bruno.

– Jeszcze nic. Ale zrobię.

Zaszeleściły rozgarniane krzaki, trzasnęły przydeptywane gałęzie. Z mroku wyłonił się rozpromieniony, zdyszany Hugo. Wsparł się dłonią o pień i sapał przez moment, ewidentnie nie mając pojęcia, czy zacząć zdanie od inwokacji do kolejnego świętego, czy też może od bardziej przasnego słowa, dobrze rozładowującego wszelkie emocje. Zdecydował się połączyć obie opcje.

– Na kocioł Świętego Wita! – wyrzęził. – Ja pieprzę! Ile tam różności, Bruno! Słoje, worki, ampuły jakieś, ksiąg od cholery, pergaminów, zwojów, różdżek, pierścieni, sztyletów... Kurwa, pieprzony dywan widziałem! Musi, że latający! Latający, nie?

- Nie wiem - odparł Bruno lekko drżącym głosem. - Ale dojdziemy do tego, przyjacielu.

- Może... - odezwała się cicho klaryska. - Może będzie wam jednak potrzebna jakaś pomoc?

Najlepszym miejscem, bez wątpienia, były okolice wieży, w której przetrzymywano Soave. Po pierwsze, stała ona na sporym odludziu, a więc istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że ktokolwiek będzie świadkiem zamysłu klaryski. Po drugie, nie trzeba było już tam zwozić drewna.

Hugo, Claude, Erhan i Bruno, pomni obietnicy, jaką złożył Scozzi w magazynie portowym, skupili się na grze w kości, choć wkrótce musieli sięgnąć po wino, by zobojętnieć na wrzaski przywiezionego z miasta Alejandra. Hiszpan wył, przeklinał, błagał o litość, modlił się, znów wył, ale nie robiło to szczególnego wrażenia ani na ludziach Lawrenta, ani na samej Soave, kierującej układaniem stosu. Praca dobiegła końca na dwie godziny przed zmierzchem.

Chwilę później wszyscy stali kręgiem i patrzyli na Soave, która odpala pochodnię, wpatrując się lodowato w zapłakane oczy Alejandra, a potem spluwa mu pod stopy i ciska ją na stos. Płomienie ochoczo, żwawo ogarnęły chrust, ku niebu buchnął cuchnący dym. Wrzask Alejandra przestawał mieć w sobie cokolwiek ludzkiego.

Każdy reagował na egzekucję na swój sposób. Erhan wpatrywał się w nią bez emocji, Claude z roztargnieniem, Hugo z szydliwym uśmiechem, Maltańczycy zaś, plując i wiwatując. Bruno po chwili wsłuchiwania się w zwierzęce krzyki wyciągnął pistolet, nakręcił zamek i wręczył broń bladej jak płótno Soave. Ta, choć zapewne nigdy wcześniej nie miała pistoletu w ręku, uniosła go i naciągnęła spust.

Wycie Alejandra ucichło, co szybko osłabiło zainteresowanie egzekucją. Zebrani rozchodzili się i szykowali do drogi powrotnej, ale Bruno stał i wpatrywał się jak urzeczony w płomienie, syte, tłuste, ogarniające czerniejący zewłok. I gdy przesłoniły go całkiem, znów zamajaczyła wśród nich uśmiechnięta tajemniczo kobieta. Młody rycerz poczuł ukłucie w sercu, pochylił głowę.

Przez złośliwy los i ludzką niegodziwość nigdy nie miałem okazji powiedzieć ci, że cię kocham, pomyślał. A zasługujesz na to bardziej niż którakolwiek matka na świecie. Bo czy któraś pokonała śmierć, by móc ocalić swego syna?

Po zarośniętym policzku popłynęła łza.

Dzisiaj los się dopełnił. Ten, który doprowadził do waszej śmierci, nie żyje, a płomienie pochłonęły tego, który mu pomagał. Odzyskałem wasze dziedzictwo i jestem gotów nim dysponować, tym bardziej że pojąłem najcenniejszą lekcję: o dobro trzeba walczyć, a przyjaźń chronić. Mam nadzieję, że to wystarczy, byś była ze mnie dumna. Bo nic więcej nie mam.

W ślad za pierwszą łzą popłynęła kolejna, równie gorąca jak pierwsza.

I jeśli możesz, przekaż ojcu, że... że wskreszę jego legendę. Dziękuję wam za wszystko. Dziękuję.

Przez moment widział piękną, cierpiącą twarz, która uśmiecha się do niego tak, jak tylko matka umie, ale może mu się tylko wydawało? Wszak świat rozmyły kolejne, zdradzieckie łzy. W każdym razie długo jeszcze stał i ocierał oczy dłonią, a reszta konsekwentnie udawała, że niczego nie widzi.

W końcu, gdy płomienie zaczęły przygasać i na nowo odsłoniły czarne ciało Alejandra, Bruno Scozzi odwrócił się, westchnął ciężko i rzekł:

– Wracamy do Birkirkary. Czeka nas mnóstwo roboty.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Później, gdy Bruno wspominał te dni, wydawały mu się one najszczęśliwszym okresem w życiu. Był wszak wolny zarówno od znanych wrogów, jak i oków posłuszeństwa, nakładanych przez regułę zakonną. Nie musiał już znosić uważnych, taksujących spojrzeń duchownych ani szyderczych uśmiezków innych braci, nie musiał klęczeć przed krzyżem obciążonym obojętnym, drewnianym Chrystusem.

W to miejsce miał grupkę przyjaciół, równie wolnych jak on sam, oraz niezmiernie bogactwo, jakie pozostawili mu rodzice.

Każdego dnia, ledwie tylko przełknął śniadanie, składające się z maczanego w oliwie chleba, koziego sera i owoców, łapał za linę i opuszczał się w głąb jaskini, gdzie zapalał kaganek i zagłębiał się w świat swego dziedzictwa. Wymuszał na sobie dyscyplinę – analizował znaleziska jedno po drugim, czytał opisy i skrupulatnie oddzielał to, co chciał sprzedać, od tego, czego przeznaczenia nie rozumiał, ale bywały chwile, gdy jego skupienie ulatywało. Bywało bowiem, że czuł za sobą czyjąś obecność, niemalże słyszał szelest kroków bądź ciche oddechy. Zaciskał wtedy powieki, pewien, że lada moment ktoś położy mu dłoń na ramieniu, powie coś, zawoła, roześmieje się, zgani może.

Po raz pierwszy w życiu czuł obecność rodziców, niekiedy tak wyraźną, że odwracał się odruchowo. Zawsze jednak widział ciemność, pustkę, cienie rozkołysane promykiem kaganka.

Cieszył się wówczas z tego, że mrok jaskini maskuje jego rozpacz. Pochylał się nad dobrami i zawzięcie porządkował je, analizował, aż zaczynał go boleć kręgosłup bądź kaganek wypalał się do cna.

A bogactwo, zgromadzone przez jego rodziców, wydawało się wręcz nieprzebrane.

W istocie umieszczono je w dwóch okutych żelazem skrzyniach, w których zostało wywiezione z Rodos. Na wiekach znajdowały się znaki, wypisane nieznanym młodzieńcowi alfabetem, które zapewne odpowiadały za magiczne zamknięcie oraz alarm, który zważył na Malte stryja Malatestę, w środku zaś panował chaos. Bruno przypuszczał, że rodzice utrzymywali w skrzyniach wzorowy porządek, ale podczas ewakuacji, podróży morskiej, transportu po bezdrożach Malty i wreszcie umieszczania ich w jaskini sporo zawartości uległo zniszczeniu. Co więcej, Bonifacy również pogłębił nieład – przede wszystkim zabrał większość ksiąg, w których ojciec z matką opisywali swe artefakty.

Właściwości wielu przedmiotów pozostawały więc dla Brunona zagadką. Oglądał sztylety, noże, lusterka i szkatułki, ale ich przeznaczenia musiał się jedynie domyślać. Nie wiedział, do czego służą częściowo wyschnięte ciecze i proszki w zakurzonych fiolkach, nie rozumiał przeznaczenia szczelnie zakręconych słoików, worków z piaskiem, pudeł z kośćmi oraz wszelakich pierścionków, bransolet, naszyjników i kolczyków. Z narastającym zniechęceniem odkładał je wszystkie do jednej ze skrzyń, której zawartość obiecał sobie sprawdzić w przyszłości.

Bonifacy pozostawił jedynie trzy księgi z inwentarzem, przypuszczalnie zniechęcony tym, że ich pierwsze strony zapisane były alfabetem arabskim. Bruno z zadumą wpatrywał się w śmiałe, odważne zawijasy, ani chybi nakreślone dłonią jego matki, i próbował wyczytać spośród nich, jaką kobietą była Abigail, choć bez powodzenia. Więcej konkretów przyniosły mu kolejne stronicie, zapisane po włosku bądź łacinie przez Gilberta. Dzięki nim pierwsze przedmioty wreszcie przestały być tajemnicą.

– Niesamowite – szepnął Bruno drugiego dnia badań. Uniósł głowę znad opromienionej blaskiem kaganka księgi i pokazał Hugonowi słoik z wieczkiem uszczelnionym smołą. – To wyciąg z mandragory. Ojciec pisze, że uncja warta jest dwa weneckie floreny, a tu mamy... – Zważył słoik w dłoni. – No, sporo! – ocenił.

Hugo zachichotał, zatarł dłonie i powrócił do myszkowania.

Tego samego dnia Bruno odnalazł jeszcze poznaną runami soczewkę, która wprawiona w lunetę przybliżała trzykrotnie lepiej od każdej innej, oraz mapę osobliwego ładu, noszącą nazwę Ys. Hugo zaś, który wolał eksperymenty na świeżym powietrzu od ślęczenia nad dokumentami, odkrył, że jeden z noży z kolekcji Scozzich wysysa życie z wszystkiego, w co zostanie wbity. Wieczorem tego dnia Lawrent przywiózł z Birgu sporo wina i upili się przy ognisku jak nigdy wcześniej.

Tak, to były szczęśliwe dni.

Stos artefaktów, których przeznaczenie odkryli dzięki zapiskom rodziców, doświadczeniom Hugona, a od czasu do czasu również pomocy Soave, rósł, a Bruno dowiadywał się coraz więcej o tym, co ludzie byli gotowi zrobić, by zaspokoić ciekawość, pragnienie zemsty lub żądze wszelkiego rodzaju.

– A na ile wycenisz to, Brunonie? – spytał Hugo, a w jego oczach zapląsały wesołe iskierki. W ręku trzymał dorodne męskie przyrodzenie. – Och, jesteś zaskoczony. Całkiem zapomniałem, że u was w zakonie takie cuda widywali tylko mocno zdesperowani. Może im by to sprzedać, co? Tu jest napisane – pochylił się nad księgą – że „zimową aurą ciepleje ledwie dłonią tknięty, a wprowadzony ruszać się zaczyna a wiercić, by...”

– Oszczędź mi.

Hugo zarechotał i włożył fallusa do skrzyni z rozszyfrowanymi artefaktami. Bruno, rad, że ciemności jaskini maskują jego rumieniec, zerknął przez ramię.

– Tylko przykryj czymś – rzucił. – Nie chcę, żeby Florese to zauważyła.

– A Soave? – Hugo wydawał się szczerze rozbawiony. – Co z nią, he? Wolałaby sprzedać czy zachować, ciekawym.

– Ja jestem ciekaw tego – stwierdził Bruno, po części chcąc zmienić temat, a po części w istocie zaintrygowany naczyniem, któremu się przyglądał. – Spójrz no tylko.

Fiolka była jedną z nielicznych, które przetrwały wszelkie perypetie nawet nie nadkruszone. Wydawała się zaskakująco ciężka, choć w środku na pierwszy rzut oka nie było nic. Dopiero patrząc pod światło, Bruno odniósł wrażenie, że we wnętrzu przelewa się coś na kształt rozmazanego refleksu świetlnego.

– Co to? – spytał Hugo.

– Cholera wie – mruknął Bruno i uważnie obejrzał drewnianą zatyczkę, uszczelnioną kruszącym się lakiem. Wydawało mu się, że dostrzega jakiś zatarty arabski znak. – Ale jakoś dziwnie mi się od tego robi.

– Mnie też – przyznał Hugo, odruchowo ściszywszy głos.

Fiolka w rękę Brunona wydawała się lekko drżeć. Była też cieplejsza, o wiele cieplejsza od zwykłego szkła trzymanego w zaciśniętej dłoni, więc młodzieniec bez wahania odłożył ją do skrzyni z przedmiotami, które czekały na rozszyfrowanie.

– Nie będziemy chyba tego sprzedawać, co? – zaniepokoił się Hugo.

– Nie – rzekł Bruno. – Najpierw trzeba się dowiedzieć, co to jest, choć mam jakieś złe przeczucia.

I wtedy podjął decyzję. Spojrzał na przyjaciela, zafrasowanego w blasku kaganka, i powiedział:

– Wiesz co? Bez względu na to, co odkryjemy, nie będziemy sprzedawać niczego, co może wyrządzić komuś krzywdę.

Hugo wyglądał na takiego, co ma ochotę się posprzeczać, ale wtedy odkrył drugiego fallusa, ewidentnie należącego do konia, i natychmiast zapomniał o sprawie. Do końca dnia natrafili jeszcze na kulę, która potrząśnięta wypełniała się jasnym blaskiem, na płaskie kamienie, które wedle opisu Gilberta „winny być kładzione na kobiecym łonie, coby ciężę utrzymać”, oraz zwykły szal, który Hugo narzucił sobie dla żartu na ramiona, po czym ziewnął i zasnął na podłodze.

Dni zlewały się ze sobą, a kompania z wolna się wykruszała. Lawrent chętnie odwiedzał Birkirkarę, ale miał na głowie sporo zadań zleczanych mu przez ojca, Claude zaś sprawiał wrażenie, jakby cała sprawa ze skarbem tak naprawdę nie miała dla niego żadnego znaczenia. Chętnie wracał z Lawrentem do Bormli, gdzie z całą pewnością szukał dla siebie nowych wyzwań.

Tam też udała się Soave niedługo po odnalezieniu skarbu. Była klaryska zamieszkała w domu Mavru, gdzie opiekowała się małą Florese i z wolna zaprzyjaźniała się z Pompeą. Raz na jakiś czas, wiedzona poczuciem obowiązku, przybywała do Birkirkary i niechętnie, zaciskając zęby, słuchała opowieści o tym, co Bruno i Hugo zdołali odkryć. W swej przepastnej, niezmierzonej pamięci przechowywała wiele tajemnic i czasem udawało jej się odkryć przeznaczenie kolejnego artefaktu. Bruno

miał wrażenie, że Soave wie znacznie więcej, niż chce wyjawić, ale nie naciskał. Widocznie to, czym się teraz zajmował, przypominało jej o mrocznych miesiącach w niewoli Alejandra. Wszelkie maleficja stanowiły dla niej nie tyle grzech, ile obrzydliwe wspomnienie, i oddałaby wiele, by już nigdy nie musieć się z nimi stykać.

Bruno, który sam miał dość przymusów, czuł, że trzeba się z tym pogodzić.

Hugo jednakże był innego zdania.

– Zbyt miękki jesteś – oznajmił któregoś dnia, gdy wyleźli z jaskini i odpoczywali w wieczornym słońcu, racząc się rozwodnionym winem.

– Że co? – zdziwił się Bruno i cisnął kamykiem w jaszczurkę, która smyrnęła po nagrzanym kamyku.

– Mam na myśli Soave – wyjaśnił Hugo. – Przecież ona wie więcej, niż nam zdradza, a im więcej będziemy wiedzieć, tym szybciej zaczniemy zarabiać. A przecież ocaliliśmy jej życie. Jej i Florese.

– Daj jej spokój – burknął Bruno.

– Ile jeszcze czasu mamy spędzić w tej dziurze? – zaperzył się Francuz.

– Tyle, ile trzeba. A Soave... Nie wiem – westchnął Bruno. – Ale coś mi mówi, że ona nie może patrzeć na te rzeczy, tak jak ty nie możesz patrzeć na wiosło po kilku dniach na galerze.

– To nie to samo! – zaperzył się Hugo.

– Cierpliwości. – Młody rycerz zmrużył oczy. – Jeszcze trochę i będziemy wiedzieć wszystko, przyjacielu. Mavru, załóż się, już rozkręca interes, a Soave...

– Przyjdzie – powiedział tubalnym głosem Erhan.

Turek, podobnie jak Claude, nigdy nie zszedł na dół do jaskini, choć Bruno mu to parokrotnie proponował. Nie dość, że słabo czytał, to jeszcze najwidoczniej miał podobne uprzedzenia co Soave, choć wynikające z innych powodów. Wiedział wszak, że wszelkie maleficja ściągnęły na Gilberta i Abigail straszliwy los, i wolał trzymać się od nich z daleka. Włóczył się więc, jak przypuszczał Bruno, po okolicznych wzgórzach i pełnił milczącą straż nad nim i nad Hugonem, a na swój sposób – tego młody rycerz był pewien – również cieszył się wolnością. Podczas kolacji przy ognisku nigdy nic nie mówił, co leżało w jego naturze, ale jego ciemne oczy błyszczały swobodą.

Erhan rzadko się odzywał, a zgoła nigdy nie mówił o innych członkach ich kompanii – milczenie w jego wydaniu oznaczało bowiem wystarczającą akceptację – stąd nieoczekiwana uwaga na temat Soave bardzo Brunona zaskoczyła. Rozchylił powieki i usiadł.

– Przyjdzie? – spytał. – A skąd ta pewność, co?

Turek jednakże wzruszył tylko ramionami.

– Mało prawdopodobne mi się to zdaje. – Bruno westchnął i ułożył się wygodnie wśród korzeni akacji, pod głowę podkładając sobie derkę. – Ona jest...

– Byłą mniszką – burknął Hugo. – Skrzywdzoną przez rycerza zakonnego, splugawioną przez maleficjum, zapomnianą przez Kościół, pogrążoną przez grzech. A do tego samotną, zmuszoną do opieki nad własną siostrą i, na odciski Świętego Jakuba, ładną. Jeśli nie zechce zostać służką Pompei albo kurwą w którymś przybytku Mavru, przyjdzie do nas. Prędzej czy później przyjdzie.

Turek pokiwał głową, jakby słowa francuskiego rycerza idealnie podsumowały jego myśli, po czym ponownie popadł w zadumę, a Bruno ucieszył się z niejasnych dla siebie względów.

Przyjdzie, pomyślał z ulgą.

– Tylko niech się, zaraza, pospieszy – dodał Hugo i pociągnął łyk wina. – Nie mogę się doczekać, aż ta szmata podniesie mnie pod niebiosa.

Poklepał przy tym niby-czarodziejski dywan, z którym nie rozstawał się ani na moment.

Tuż przed zapadnięciem zmroku z oddali dobiegło parskanie koni. Przybyli Lawrent i Claude, którzy przywieźli dwa króliki, parę flaszek wina i mnóstwo owoców. Niebawem ucztowali i śmiali się, jakby jutro nie miało nigdy nadejść. Zarumieniony Lawrent w mieszaniu włoskiego i francuskiego opowiadał o wybrance swego serca, mieszkającej w nieodległej wiosce na wybrzeżu, Claude z poważną miną mówił o planach zostania rybakiem, a Hugo biegał wokół ogniska z dywanem narzuconym na ramiona i pokazywał, jak polata pod francuskim niebem, gdy tylko dowie się, jak wyzwolić magiczne moce dywanu.

Bruno poszedł spać pijany jak bela, a ostatnią myślą, która kołatała mu w głowie, było:

Tylko niech się, zaraza, pospieszy.

Jego życzenie, co nie dzieje się często, spełniło się niemalże od razu.

Następny dzień powitał ich niewyobrażalną duchotą. Niebo zasnuła gruba, nierówna błona szarych chmur, które co prawda przesłoniły słońce, ale zatrzymały też wszelki wiatr, a powietrze przesączyły ciężką wilgocią. Bruno zetknął się już raz czy dwa z podobną pogodą i dobrze pamiętał, że przynosi głębokie przygnębienie oraz wściekłe burze.

Dopiero kilka dni później, gdy było już po wszystkim, przypomniał sobie, że podczas takich dni krzyżuje się przeznaczenie. Że wszystkie znamienne wydarzenia, które mają zadecydować o czyjejś przyszłości, dzieją się właśnie wtedy.

Na razie jednak niewiele na to wskazywało. Wczesnym rankiem ich kompania rozstała się niemalże bez słowa. Lawrent przyglądził włosy, wskoczył na konia i pożegnawszy się zdawkowym uniesieniem ręki, odjechał do wioski swej lubej. Erhan pozbierał broń i wniknął między akacje, a Claude, gadając coś o smołowaniu łodzi, odjechał czym prędzej do Birgu.

Bruno spojrzął na Hugona, a ten westchnął ciężko.

– Chodź do dziury – burknął. – Na pergaminy Świętego Joachima, chętnie bym ułożył jakiś świński dowcip, wiesz, dwóch chłopów i jedna dziura, ale przy tej pogodzie nic mi się nie chce.

Bruno pokiwał głową. Zabrali ze sobą coś do jedzenia i opuścili się na dół, gdzie na szczęście nadal panował miły chłód i duszna atmosfera wstępu jeszcze nie miała. Były rycerz miał jednakże świadomość, że przygnębienie, miast go opuścić, coraz wygodniej rozsiada się w jego duszy. Nie znosił tego uczucia.

– W moich stronach mówili, że gdy robi się tak parno, budzą się starzy bogowie – odezwał się z wymuszoną wesołością Hugo. – Wiesz, z czasów Rzymian albo jeszcze wcześniej. Niedaleko naszej sadyby rodowej był w lasach taki krąg kamienny, w którym nie wolno się było bawić. Nasz księżulo co roku urządzał tam modły, by złe przegonić, ale gówno to dawało, chyba przez to, że zawsze towarzyszyła mu moja stara. Kiedy gębę rozdziawiła i zaczynała śpiewać, wszelkie paskudztwa zlatywały się, by posłuchać, mówię ci!

Bruno, który w świetle kaganka oglądał okurzoną butelkę z grubego szkła, szukając na niej jakichś znaków, odpowiedział sztucznym uśmiechem.

– Czegoś o jakichś flaszkach nie znalazłeś? – spytał.

– Nie. – Francuz pokręcił głową. – Mam wrażenie, że każdą z tych ksiąg przewertowałem już po dziesięć razy. Nic o żadnych butelkach nie ma.

– Pewnie to w arabskiej części – burknął Bruno. – Albo w tych księgach, które zabrał Bonifacy.

Hugo zgrzytnął zębami.

– Posłuchaj, Bruno, nie chcę jeszcze bardziej zadzierać z Kościołem, ale korci mnie, by przeszukać majątek Bonifacego.

– Hmm – burknął niezobowiązująco Bruno. – A co z tą księgą? – Wskazał niewielki tom leżący na podłodze.

Hugo nachylił się i podniósł ją.

– „Artefakta sprzedane” – odczytał. – Nie wiem, w czym to miałyby nam pomóc. Chyba nadeszła pora, by przycisnąć Soave. Albo się arabskiego, zaraza, nauczyć, choć aż mnie ciarki biorą, kiedy tę psią mowę słyszę. Moja stara spotkała kiedyś Maura na targu, mówiłem ci?

– Nie – rzekł Bruno i usiadł na zimnej podłodze, po czym z chrobotem przysunął do siebie kaganek. – Chyba nie. Później mi opowiesz.

– Serio chcesz to czytać? – Hugo się skrzywił. – Wątpię, czy ci w czymś pomoże.

– Hmmm – burknął Bruno i otworzył księgę na pierwszej stronie.

Znów ujrzał niedbałe, krzywe litery ojca, wypisywane z nonszalancją człowieka, który nie ma czasu uwiecznić swoich pomysłów, bo już popędzają go kolejne. Biegł wzrokiem po krótkich opisach transakcji, imionach kupców, inkasowanych kwotach i nazwach sprzedanych przedmiotów. I jak zwykle wystarczyła chwila, by odniósł wrażenie, że ojciec siada obok niego. Niemalże słyszał, jak jego plecy trą o kamienną ścianę i jak wzdycha, układając dłonie na kolanach. Niemalże czuł, jak spogląda mu przez ramię.

Uśmiechnął się. Oderwał na moment wzrok od księgi i spojrział w ciemny kąt, napawając się iluzją bliskości człowieka, za którym tęsknił całe życie, a potem znów spojrział na karty księgi. Otarł zawilgocone nieco

oczy. Niektóre nazwiska wydawały mu się znajome, od należności aż kręciło się w głowie, a nazwy artefaktów...

– Jasna cholera, ojciec – mruknął z podziwem, gdy niespodziewanie pewien element układanki sprzed paru tygodni wskoczył na miejsce. Uniósł głowę.

– Hugo, nigdy w to nie uwierzysz...

– Ktoś chyba jedzie! – odezwał się Francuz.

Złapał za linę i ze zwinnością przeczącą jego tuszy wspiał się na górę. Nieco zaniepokojony Bruno natychmiast zapomniał o kojącej iluzji i poszedł w jego ślady, a przez głowę przemknęło mu kilka scenariuszy.

Może to Claude albo Lawrent? – pomyślał. – Bo jeśli nie oni...

Wiedział, że to mała wyspa i nie mogą się ukrywać w nieskończoność. Prędzej czy później ktoś musiał się na nich natknąć.

Mam wielką nadzieję, że to nie bracia, powiedział sobie i wypadł ze zrujnowanej chaty.

Było jeszcze bardziej parno niż rankiem. Biegając, Bruno miał wrażenie, że niebo napiera na ziemię, jakby chciało wycisnąć z niej ostatnie poty.

– No, no – mruknął Hugo, który zatrzymał się za progiem chaty i zanurzył kubek w wiadrze z letnią wodą.

– Co? – warknął Bruno, zatrzymując się obok niego.

Francuz wskazał coś ruchem głowy. W dół łagodnego zbocza, klucząc między akacjami, schodziła Soave, prowadząc objuczonego konia. W siodle siedziała Florese, przyciskając królową Gineverę do piersi. Obie siostry miały twarze mokre od potu.

Bruno, nieco zdyszany, wyszedł im naprzeciw. Po gospodarsku wsparł dłonie na biodrach i przechylił lekko głowę, nonszalancją maskując przyspieszone bicie serca. Przez usta Soave przemknął cień uśmiechu.

– Pompea kazała mi dziś pielic ogródek – powiedziała tytułem wyjaśnień.

– Aha. – Bruno pokiwał głową z udawanym zrozumieniem. – A pielienie jest poniżej godności byłych sióstr zakonnych.

– Absolutnie nie – prychnęła Soave. – Żadna praca nie jest poniżej godności siostry zakonnej, o ile ta pracuje dla Boga bądź bliźnich. Pompea zaś... Cóż, wygląda na to, że dzieli ludzi w swym domu na gości i służbę, przy czym status tych pierwszych kończy się po tygodniu.

- Tutaj - Bruno pokazał kciukiem rozpadającą się chatę - nie ma ani gości, ani służby. Wszyscy pracujemy nad rozgryzieniem tajemnic moich rodziców.

Spojrzał przy tym bacznie na byłą klaryskę, a ta demonstracyjnie wzruszyła ramionami.

- W sumie - bąknęła - to nie rozmawialiśmy jeszcze o tym, co masz zamiar z owymi tajemnicami zrobić.

W jej oczach błąkały się wątpliwości.

- Nic złego, Soave - powiedział Bruno cicho. - Nic złego.

- Gdzie jest Hugo? - spytała nagle Florese, unosząc lalkę. - Królowa Ginevera ma dla niego misję! Nietrudną co prawda, ale może zginąć, jeśli nie będzie ostrożny.

- Chodźcie na dół. - Bruno wyłuskał wodze z dłoni Soave. Przeszył go dreszcz, gdy przypadkowo musnął jej palce. - Ciemno tam i ciasno, ale nie tak gorąco i...

Pociągnął nosem. Zmarszczył brwi i zrobił to ponownie.

Soave poszła w jego ślady.

- Też to czujecie? - spytał Hugo, podchodząc bliżej.

W ciężkim, dusznym powietrzu rozpełzał się dym.

Przez moment trójka dorosłych stała jak zakłeta, a Florese, której nagle udzielił się niepokój, rozejrzała się nerwowo. Ciszę przerwał odległy okrzyk. Bruno uniósł głowę i ujrzał biegnącego ku nim Erhana. Turek wymijał drzewa, ześlizgiwał się wśród skał i co rusz machał do nich ręką.

- Piraci! - wołał. - Piraci!

Niczym urzeczeni patrzyli, jak zbliża się do nich, ogromny, spocony, z mieczem podrygującym na plecach. Hugo podał mu kubek wody, który Turek wychleptał w kilku łykach. Strużki wody pociekły mu po czarnej brodzie.

- Piraci - powtórzył i spojrzał na Brunona. - Dwie galery. Tureckie.

- Palą wieś? - spytał Hugo.

- Palą - wysapał Erhan. - I łapią.

- Wszystko jasne. - Bruno spojrzał na słońce, białą, palącą kulę, która przesycala nisko wiszące chmury morderczym gorącem. - Żaden żeglarz nie wyjdzie w taką aurę w daleki rejs. Trzeba się gdzieś schronić, a jeśli można przy tym nałapać niewolników, to czemu nie skorzystać z okazji.

- Rycerze przyjdą im z pomocą? – spytała Soave z rozszerzonymi oczami.

- Za daleko. – Bruno pokręcił głową. – Szlag by to trafił... Birgu leży jakąś godzinę ostrym pędem stąd. Jeśli dostrzegli dymy, być może siodlają już konie, a to oznacza...

- Lawrent – przerwał mu Erhan. – Tam chadza Lawrent.

- Napadli na wieś, w której mieszka jego luba? – wycedził Bruno. – Piekło i szatani...

Zacisnął powieki, a gdy je otworzył, ujrzał wbity w siebie wzrok Hugona.

- Nie – rzekł Francuz. – Nie. Nie.

- Hugonie...

- Nie! – syknął przyjaciel. – Nie, Bruno. Narażaliśmy się przez ostatnie tygodnie jak banda szaleńców, ale nie mieliśmy nic do stracenia! A teraz? Odzyskaliśmy dziedzictwo twego rodu i zbudowaliśmy dla siebie przyszłość, a ty... Na ciernie z korony Jezusowej, chcesz się na nich rzucić? We trzech na dwie galery?

- Oni mają Lawrenta.

- Nie wiadomo, czy go mają! – krzyczał rycerz. – To krewki młodzian! Może już mu czaszkę rozłupali albo co? Naprawdę chcesz teraz ryzykować?

Bruno westchnął i odwrócił się ku Soave.

- Schowaj się z Florese w jaskini. Jeśli nie wrócimy do wieczora, wyjdź i wracaj do Mavru.

- Bruno... – zaczęła drżącym głosem była klaryska, ale młodzieniec przerwał jej zdecydowanym machnięciem dłoni.

- Nie wiadomo, czy piraci nie rozpuścili już patroli – rzucił. – Schowajcie się i nie wyściubiajcie nosów, a nocą wracajcie do Bormli. Pielenie ogródka to o niebo lepszy los od...

Chciał dodać coś o istambujskich haremach, ale urwał na widok przestraszonej buzi Florese. Odwrócił się do Hugona.

- Wrócimy tu – rzekł z naciskiem.

- Skąd to możesz wiedzieć? – jęknął Hugo.

- W sumie racja, nie wiem tego – wycedził Bruno. – Ale wiem, że jeśli Mavru się dowie, że mieliśmy okazję przyjść z pomocą jego synowi, ale

woleliśmy siedzieć okrakiem na kufrach Scozzich, nigdy nam tego nie wybaczy i cały interes pójdzie w cholerę.

Hugo sapnął ciężko i uniósł wzrok ku niebu, a potem, jakby nagle przypomniał sobie, że na szukanie ratunku w tym miejscu już za późno, westchnął ponownie i spojrzął z rozpaczą na Brunona.

– Nie cierpię cię.

– Zrozumiałe – wycedził Bruno. – Spójrz na Erhana. On, jak widzisz, mógłby cię uczyć, jak sobie radzić z napięciem.

– To co innego! – zaperzył się Francuz. – Ten drań umie wracać do życia, a ja nie, co jest niesprawiedliwe, zważywszy na to, ile czasu i uwagi poświęcam świętym!

Erhan wywrócił oczami.

– Ty też – rzucił Bruno, idąc ku jaskini – masz swego asa w rękawie. Dajcie mi chwilę. Ja też jakiegoś poszukam.

Po chwili wyłonił się z jaskini, wciskając coś za pasek. Po drodze złapał miecz oraz pistolet, przechwycił zaniepokojone spojrzenie Soave i wskoczył w siodło.

– Jedziemy – zarządził i ruszył tam, skąd płynął coraz gęstszy dym, a wraz z nim lęk.

Gdy Bruno później o tym myślał, miał wrażenie, że w istocie postąpił jak szaleniec, a w jego decyzji nie było wiele sensu. Coś, czego nie umiał nazwać, wołało go jednak ku zadymionej plaży, i nie mógł się temu wezwaniu oprzeć.

Erhan, który najlepiej znał okolicę, prowadził dwóch towarzyszy wąskimi ścieżkami, wijącymi się po suchych łąkach i zboczach wzgórz. Pośpiech mógłby okazać się zgubny, gdyż tu i ówdzie ścieżkę przecinały głębokie rozpadliny lub zaczynała się ona piąć ostro w górę, ale Bruno nienawidził każdej chwili zwłoki.

Na szczęście zaatakowana wioska leżała blisko. Dym gęstniał coraz mocniej i jadący jako trzeci Hugo zaczynał już pokasływać, a przez zgrzyt kopyt i pochrapywanie zdyszanych koni przebijały się huk fal i pokrzykiwanie ludzi. Krzyki niosły zarówno agresję, jak i skrajne przerażenie.

Erhan, który wysforował się kilkanaście kroków do przodu i znajdował się już w połowie zbocza niewysokiego wzniesienia, odwrócił się nagle i machnął dłonią. Pospiesznie zsunęli się z siodła i przywiązali konie do gałęzi rozłożystego drzewa oliwkowego. Resztę drogi na górę pokonali pieszo, sapiąc i kryjąc się wśród krzewów.

Z wzniesienia ujrzeli wstrząsający widok.

Dwie spośród chat stojących przy kamienistej plaży spowijały kłęby gęstego dymu, które rozplywały się po ziemi, jakby były zbyt tłuste i ciężkie, by się wznieść. Wśród nich uwijali się półnaczy zbrojni w turbanach, wywijający mieczami i biczami, wywlekający z chat przerażonych rybaków. Bez litości popychali ich ku kamratom, którzy pętali ich i ciągnęli za sobą ku galerze, kołyszącej się leniwie niedaleko brzegu. Wśród kłębow dymu przypominali stado rozszałych diabłów.

– Trzydziestu – mruknął Hugo. – Przynajmniej trzydziestu.

Erhan burknął coś pod nosem i uniósł rękę. Jego palec wskazywał drugą galerę, która unosiła się na nieporuszonej niemalże, oleistej tafli w odległości kilkudziesięciu kroków od brzegu. Z jej masztu spływał czarny, obumarły proporzec, którego widok wywołał u Brunona szybsze bicie serca.

Doskonale go znał, choć widział jedynie przez chwilę. Od niego – od wizyty na galerze, która pod nim pływała – wszystko się zaczęło.

Zwilżył spierzchnięte wargi. Złapał za manierkę i pił, pił długo, aż wysączył ostatnią kroplę.

– To... – wykrztusił – to Turgut Reis.

Na stalowoszarym niebie, miejscami przechodzącym w ciemny fiolet, rozlała się pajęczyna błyskawic.

– Aha – wychrypiął Hugo. – To dlaczego jeszcze nie uciekamy? – spytał po chwili.

– Bo wreszcie mam okazję zamknąć pewną sprawę – rzekł Bruno, po czym odetchnął i się podniósł.

– Oszałałeś! – jęknął Hugo, ale zignorowali go zarówno Bruno, jak i Erhan, który bez namysłu ruszył w ślad za Scozzim.

– Nienawidzę was – stęknął Francuz i podążył za przyjaciółmi.

We trzech zaczęli powoli schodzić ku uwijającym się na plaży, pokrzykującym korsarzom. Pierwsi z nich już ich zauważyli. Zatrzymywali

się i pokazywali ich sobie nawzajem, a paru wycelowało muszkiety. Zgiełk na plaży powoli cichł, nawet przerażeni jeńcy odwracali się ku przybyszom z nadzieją.

A Bruno, zeskakujący w dół po kamieniach, nie czuł strachu.

Wręcz przeciwnie, w jego sercu pojawiło się dziwne uniesienie, jak to się zdarza w chwilach, gdy przeznaczenie zaczyna się wypełniać. Wiedział, że przybył, by uratować Lawrenta, bo tego wymagała polityka. Chciał też uratować tych nieszczęśników, bo do tego zmuszała go przyzwoitość. Przede wszystkim jednakże chciał się spotkać z Turgutem, bo tak nakazywał honor.

– Tłumacz moje słowa – rzucił do Erhana, zatrzymawszy się kilkanaście kroków przed pierwszymi korsarzami, zastygłymi w pozycjach strzeleckich.

Ogromny Turek skinął głową. Po jego skórze płynęła kropla potu, która wniknęła w brodę.

– Jestem Bruno Scozzi – oznajmił były rycerz bez lęku, wpatrując się w korsarzy. – Nie znacie mnie, ale zna mnie wasz admirał. Chcę z nim porozmawiać. O transakcji sprzed lat. O Krwio pijcy. I o tych ludziach. Zaprzeście szaleństw i sprowadźcie go tu.

Chrapliwy, donośny głos Erhana niósł się nad zadymioną plażą. Na twarzach korsarzy odbiło się zdumienie, a potem oburzenie. Ten i ów zgrzytnął zębami, inny uniósł zakrzywiony miecz, jeszcze inny splunął na kamienie i wywarczał przekleństwo.

– Nie mógłbyś chociaż – bąknął Hugo – zaproponować, żeby to nas do niego zaprowadzono?

Szereg korsarzy roztrzącił Ikbala. Stał na szeroko rozstawionych nogach i skrzyżował ramiona na nagiej piersi, ozdobionej złotym łańcuchem. W jego mętnych oczach tańczyło szyderstwo, gdy wyrzucił z siebie kilka zdań po turecku.

– Nie tłumacz – rzekł Bruno, widząc, jak Erhan otwiera usta. – Gównu mnie obchodzi, co ten bydlak ma do powiedzenia. Przekaż mu, że zginie, jeśli mnie nie posłucha. On i reszta tych zwierząt.

Erhan wciągnął ze świstem powietrze w płuca i odpowiedział Ikbalowi. Rekin zaśmiał się gardłowo, a za nim kilku siepaczy.

– Masz skarb już? – powiedział w chrapliwym, okaleczonym włoskim. – My iść admirał. Ty opowiedz.

Skinął na korsarzy i ruszył ku przybyszom. Powietrze, choć wydawało się to już niemożliwe, zgęstniało jeszcze bardziej. Skądś pojawiły się ogromne, czarne muchy, na horyzoncie znów rozlała się niema błyskawica.

– Stój, bo zginiesz! – warknął Bruno. – Ostrzegam!

Szyderczy śmiech Ikbala, wzmocniony kilkoma przekleństwami, był wystarczająco wymowny. Ani myślał się zatrzymać.

Ruchem szybkim jak myśl Bruno wyszarpnął zza pasa szklaną fiolkę.

– Ostrzegalem – wycharczał i się zamachnął.

Czas, rozciągnięty tego dnia do niemożliwości, nagle przyspieszył jak narowisty rumak szarpiący się do tej pory na postronku. Któryś z korsarzy uniósł muszkiet, ale zginął na miejscu, zastrzelony przez czekającego w gotowości Hugona. Uderzenie serca później u stóp Ikbala roztrzaskała się fiołka, a powietrze wypełnił osobliwy szum. Ikbal zatrzymał się z wahaniem, patrząc na uwolniony ze szkła złocisty błysk, rozrastający się błyskawicznie i rozlewający w powietrzu na podobieństwo wielkiego leja, ale pozostali korsarze nie zwrócili na nic uwagi i dalej biegli ku nowo przybyłym.

Bruno nie cofnął się nawet o krok. Wpatrywał się z fascynacją w widowisko, jakby już przeczuwał, że dopiero to wydarzenie – nie odejście z zakonu ani nie odnalezienie skarbu rodziców – zadecyduje o jego przyszłości.

Dwa, trzy uderzenia serca później dzikie okrzyki szarżujących zmieniły swoją wymowę. Gdy od trójki śmiazków dzieliło ich zaledwie kilka kroków, we wrzaskach pojawiło się zdumienie, potem oburzenie, a na końcu zgroza.

Bo jak inaczej zareagować na świetlisty lej, zmieniający swój kształt niczym gruda gliny na kole garncarskim, który niespodziewanie wtargnął w ich nierówny szereg?

– *Cin!* – szepnął przerażony Erhan.

Skądś napłynął głuchy ryk i któryś z korsarzy, zwałisty, jednoręki Berber, wystrzelił w powietrze, zawirował i spadł na ziemię, gdzie zastygł w bezwładnej pozie. Inny zawył głucho i zamienił się w strzęp krwawych

odłamków, które bryzgnęły naokoło. Jego towarzysz, zbroczony krwią, zdążył zahamować i zwrócić przerażone spojrzenie w bok, gdy wirująca świetlistość rozcięła go w pół, od lewego ramienia aż po miednicę. Ikbal, cofający się krok za krokiem, przewrócił się o jakiegoś trupa i padł, a istota przemknęła nad nim, skupiła się i wbiła w ciało rudowłosego, niebieskookiego korsarza, w panice nakręcającego pistolet. Ułamek sekundy później rozszarpała go na strzępy.

W ciągu kilkunastu sekund oddział korsarzy przestał istnieć, a wirujący krąg wzniósł się wyżej.

Bruno, pobladły, choć niewzruszony, zrobił krok naprzód.

– Ściągnij tu admirała! – warknął do Ikbala, który bełkocząc coś pod nosem, próbował się podnieść. – W tej chwili, bo...

Świetlistość zawirowała i runęła na Brunona. Młodzieniec poczuł, jak potworna siła wyrywa go w powietrze i ciska nim prosto na kamienną ścianę chaty.

W życiu nic nie bolało go tak bardzo. Szczęściem ciemność nadeszła szybko.

Przez wieczność wydawała się nieprzenikniona i niezgłębiona, aż rozjaśnił ją płomień świecy. W jego blasku Bruno ujrzał twarz Soave, zatroskaną i skupioną.

– Jesteś idiotą, Bruno – szepnęła, jakby stała tuż przy nim i nachylała się ku jego uchu. – Straszny idiotą. Wziąłeś ze sobą tę fiolkę, prawda? Tę z sigilem?

Bruno chciał przytaknąć, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk.

– Bo zdołałeś dojść do tego, że ów sigil wziął się z arabskiego słowa oznaczającego dżina? Brawo, brawo – szeptała Soave pochylona nad czymś, co mogło być księgą. – I wtedy twa porażająca inteligencja podpowiedziała ci, że jeśli ją rozbijesz, dżin zniszczy twoich wrogów? Szkoda tylko, że nie zapytałeś sam siebie, jak ów dżin odróżni wrogów od przyjaciół. Już ci przywalił?

Bruno znów chciał odpowiedzieć, ale nie zdołał.

– Nie próbuj nic mówić! Pamiętasz tę świecę, którą ułożyłeś obok końskiego fiuta? Otóż służy ona do przekazywania wiadomości na odległość, ale na szczęście nie do rozmów. Na szczęście, bo serio nie mam ochoty słuchać teraz twoich głupich wyjaśnień. Posłuchaj, bo zostało

niewiele czasu, zanim się wypali. Musisz zapamiętać kilka słów po arabsku. Skup się...

Poruszał przez moment ustami, powtarzając słowa wypowiedane przez byłą klaryskę, a potem ta uśmiechnęła się lekko, pokręciła głową z udawaną dezaprobatą i dmuchnęła w świecę.

W tej samej chwili Bruno uzmysłowił sobie, że ktoś ciągnie go po ostrym żwirze plaży.

– Dureń! – dochodził skądś wściekły głos Hugona. – Król wszystkich durniów! Największy idiota spośród...

Bruno z trudem otworzył oczy i zamrugał parokrotnie, zanim odzyskał przytomne spojrzenie, a wtedy ból dziesiątków stłuczeń i obić znikł bez śladu.

Świetlisty wir śmigał nad wioską, znosząc dachy i rozrzucając kamienie. Jedna z galer pospiesznie odbijała od brzegu, a druga zawracała. Błyskawice uderzały coraz intensywniej.

– Jeśli coś ci się udało, to przynajmniej tyle, że zostawili część jeńców – gderał ciągnący go po ziemi Hugo. – Bo całą resztę spieprzyłeś tak, że w głupocie to już nigdy w życiu nie uda mi się cię pobić.

Mina idącego obok niego Erhana świadczyła, że zgadza się z Hugonem w całej rozciągłości. Podrapany na twarzy, utykający Lawrent burknął coś pod nosem, ale nie uniósł głowy, skupiony na podtrzymywaniu oszołomionej, poturbowanej dziewczyny o małym, perkatym nosku.

– Nie! – wychrypiał Bruno i wyrwał się Hugonowi. Z trudem stanął na nogi i przebiegł kilka kroków. – Nie, jeszcze nie.

– Co znowu nie? – wrzasnął ze złością Francuz. – Uratowałeś Lawrenta i jego sikorkę, a przy tym pół wsi tych nieboraków! Czego ci jeszcze brakuje, durniu jeden!

– *Waquf!* – krzyknął Bruno. – *Qaf almutabakh! Fawraan!*

Świetlisty lej znieruchomiał niczym rozszalały rumak ściągnięty szarpnięciem wodzy. A potem popłynął nad oleistymi, niemalże nieruchomymi wodami morza i zatrzymał się przed dziobem admirałkiej galery.

Turgut Reis się bał.

Albo przynajmniej czuł się niepewnie

Bruno nie miał co do tego wątpliwości, bo żaden człowiek, który zetknąłby się z nadprzyrodzoną potęgą i został zmuszony przez nią do zejścia na wrogą ziemię, nie mógłby się czuć komfortowo. Turecki admirał miał jednak za sobą wiele dziesiątków lat maskowania wszelkich emocji i stał teraz nieporuszony na kamienistej plaży, zwrócony plecami do swych okrętów. Gdy spoglądał na Brunona, w jego okolonych zmarszczkami oczach kryła się zaledwie wzgardliwa obojętność. Jediną oznaką tłumionych emocji było to, że jego silne, pomarszczone dłonie, splecione na brzuchu, zaciśnięte były tak mocno, że białeły mu kłykcie.

– W czasie pierwszego naszego spotkania zrobiłeś na mnie większe wrażenie – powiedział Bruno, założywszy ramiona na piersi.

Turgut prychnął wzgardliwie.

– Chciałeś mi coś powiedzieć – oznajmił wolno, wyniośle, świadomie kalecząc włoski. – A więc mów. Twe drwiny są mi obojętne, Scozzi.

W jego głosie pojawiła się wyższość i z trudem tłumiona złość. Wciąż był potężnym tureckim admirałem, równorzędnym partnerem do rozmów dla wszystkich agów i bejów Morza Śródziemnego, a do tego zacnym gościem na sułtańskim dworze, nienawykłym do traktowania, które by mu ubliżało.

– Wybacz, admirale. – Bruno uśmiechnął się krzywo. – Nie mogłem się oprzeć. Do głowy cisną mi się przypowieści o fortunie, która kołem się toczy, i inne takie, ale dobrze. Żarty na bok. Z radością wyłuszczę, co mnie pchnęło, by cię tu sprowadzić.

Urwał na moment. Turgut Reis nawet nie drgnął. W jego ciemnych oczach wzbierała wzgarda i nienawiść, ale splecione dłonie nadal białeły.

– Chodzi w sumie o drobiazg – rzekł Bruno. – Pamiętasz, jak podczas naszego pierwszego spotkania ujrzałeś we mnie syna Gilberta Scozziego? Jak wypytywałeś o jego skarb oraz o Krwiopijcę?

Admirał nastroszył bujne, krzaczaste brwi, ale nie powiedział ani słowa.

– Oszczędzę ci szczegółów całej sprawy, ale naprawdę nie wiedziałem wtedy, o co ci chodzi – ciągnął Bruno. – Paru wysoko postawionych ludzi w zakonie dołożyło wszelkich starań, bym nie wiedział nic o swoim dziedzictwie. Cóż, obudziłeś jednakże we mnie ciekawość i po tym, jak zatopiliśmy ci galerę i udaremniiliśmy wdarcie się zdradą do Mdyny,

bynajmniej nie próżnowałem. Odkryłem, kim byli moi rodzice. Wiem, czym zajmowali się na Rodos, a dziś poznałem prawdę o Krwiopijcy.

Admirał przechylił nieco głowę.

– Wiem, że był to bułat o niezwykłej mocy – ciągnął Bruno. – Wystarczyło drasnąć nim przeciwnika, a natychmiast wypływało z niego życie. Zaczyna broń, bezcenna. Jedna z najwartościowszych rzeczy kiedykolwiek sprzedanych przez mego ojca. Co więcej, Gilberto był przekonany o jej autentyczności, o czym dziś wyczytałem z książki zawierającej spis sprzedanych przezeń artefaktów. Ten argument wystarcza mi w zupełności.

Turek znów prychnął, po czym odsłonił zęby niczym dzikie zwierzę szykujące się do walki. W jego oczach, ciemnych jak chmury nad horyzontem, zakotłowała się wściekłość, rozbudzona rozgoryczeniem sprzed lat, a Bruno nagle uświadomił sobie, że igra z dzikim, starym lwem, weteranem tysiąca zażartych starć, mogącym pochłonać go jednym kłapięciem potężnych szczęk. Mimowolnie przeniósł wzrok za jego plecy, gdzie na nieruchomych wodach unosiły się dwie galery. Wzdłuż ich burt stał szereg piratów uzbrojonych w muszkiety.

Po jego plecach spłynął zimny dreszcz.

– Twój ojciec był oszustem – oznajmił admirał. Jego broda drgała z wściekłości. – Tak jak i ty!

– Nie – rzekł Bruno, wciąż udając swobodę. Robił wszystko, by rozmówca nie wiedział, że walczy z suchością w ustach. – Nie był oszustem, admirale. Wszak z pewnością sprawdziłeś, czy bułat rzeczywiście działa, prawda?

Ciche prychnięcie Turka potwierdziło jego słowa.

– Zastanów się więc dobrze. – Bruno zniżył głos. – Skup się i przypomnij sobie pierwsze miesiące po zakupie Krwiopijcy. Czy zdarzyło się może, że leżałeś przez jakiś czas ranny bądź chory? Czy zdarzyło się, że oddaliłeś się od broni na dłużej? Czy możliwe jest to, że zapomniałeś o niej na jakiś czas, a ktoś inny... Cóż, pamiętał?

Zapadła cisza tak intensywna, że Bruno słyszał gniewne pomruki stojącego kilkanaście kroków za nim Hugona oraz chrapliwy oddech Erhana. Gdzieś chrzęściły kamyki plaży, jakby ktoś ku nim szedł. Świetlisty dżin przemknął za drugą z galer, marszcząc na moment

powierzchnię wody, a błyskawice na horyzoncie zamigotały jakby w odpowiedzi. Zamruczał odległy grzmot.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Scozzi? - odezwał się w końcu admirał. W jego głosie pojawiła się nowa nuta.

- Że ktoś, kogo darzysz zaufaniem i często dopuszczasz blisko siebie, mógł wykorzystać twą słabość i podłożyć ci falsyfikat. - Bruno się wyprostował. - A potem rozbudzić w tobie podejrzliwość wobec chrześcijańskich oszustów, co na pewno trudne nie było.

Na czole Turguta Reisa pojawiły się głębokie, niebezpieczne bruzdy.

- Nie wiem, kto to mógł być. - Bruno wzruszył ramionami. - Ale ty z pewnością do tego dojdiesz. Będziesz chciał do tego dojść, a ja... Cóż, a ja ci w tym pomogę.

Był przekonany, że w chwili gdy sięgnął za pas, napięcie jeszcze wzrosło. Turgut wyczuł to samo, bo uniósł rękę, by powstrzymać w ten sposób jakiegoś nerwowego strzelca. Bruno powoli wyjął buteleczkę z białym proszkiem i ułożył na kamieniach, a potem cofnął się o kilka kroków.

- To serum prawdy - rzekł. - Wystarczy na kilka porcji.

Turgut Reis zacisnął usta. Wpatrywał się w Brunona przez moment, a potem uśmiechnął się wzgardliwie.

- Rozumiem, że nadeszła chwila, bym spytał, co za to chcesz - wychrypiał.

- Po pierwsze, admirał - wzrok Brunona stwardniał - dojdź do prawdy. Nie zależy mi na tym, byś znalazł Krwiopijcę, ale chcę, byś oczyścił imię mego ojca. Byś po dotarciu do zdrajcy powiedział głośno i wyraźnie przy swoich najbliższych, że ród Scozzich nigdy nie skałał się oszustwem.

W oczach Turguta zamigotało coś, co przywodziło na myśl rozbawienie.

- Zgadzam się - rzekł. - Posłuchajmy więc drugiego życzenia.

- Wypuścisz tych ludzi.

Za galerami znów przemknął z szumem dżin. Ta znajdująca się dalej zakotłosała się na wzburzonej lekko fali. Chrząst kamyków się zbliżał i Bruno skądś wiedział, że podchodzi doń Soave. Turek również ją zauważył. Wpatrywał się w nią przez moment, a potem przeniósł wzrok na Scozziego.

- Wypuszczę – powiedział. – Ale nie dlatego, że ty tego chcesz. Uwolnię ich na znak dobrej woli. Podoba mi się twoja śmiałość i szczerść. Spodobał mi się też twój pomysł oraz ten oto dar.

Podszedł powoli i podniósł fiolkę. Gdy się wyprostował, w jego oczach znów błysnęła zimna stal.

- I to wszystko, co mi się podoba – szepnął.

- Przykro mi. – Bruno rozłożył ręce z udawanym rozczarowaniem.

- Nie – rzekł Turgut Reis. – Nie jest ci przykro. Przykro to ci dopiero będzie.

- Czy to groźba? – Były rycerz uniósł brew. – Chcesz powiedzieć, że wrócisz tu z ogniem i mieczem, by plądrować i rabować? Że będziesz zatrzymywać się na tych wyspach, by łapać niewolników za każdym razem, gdy nie uda ci się rajd gdzieś indziej?

Turek wyrócił oczami i parsknął złym śmiechem.

- Ja jestem Turgut Reis! – wycharczał, pokazując żółte zęby. W lewym oku pękła mu żyłka. – Jestem wolą Allacha i jego biczem! Jestem jego mściwym oddechem i pochodnią, która pali jego wrogów! Uczynię wszystko, co mi każe bądź podpowie! Wypełnię każdą jego wolę!

Tak straszny był ten wybuch, że Bruno mimowolnie zrobił krok w tył i natrafił na Soave, która ujęła jego ramię. Hugo zaklął wściekle, Erhan wciągnął głęboko powietrze.

- Nie rozśmieszaj mnie, Scozzi – dodał Turgut po chwili. – Naprawdę mnie nie rozśmieszaj. Będę chciał, to tu wrócę – dodał niemalże beztrasko. – W tyle okrętów, ile ściągnę.

- Czyżby? – Bruno odzyskał nieco rezonu i wymownie powiódł wzrokiem za dżinem.

- Och, i tu docieramy do momentu, w którym wyjawię ci, dlaczego ci będzie przykro. – Turek zmarszczył brwi. – I bynajmniej nie chodzi o moje łupieskie plany. Zwróciłeś może uwagę, chłopcze, na to, że gdy wymieniałem twe przymioty, nie wspomniałem ani słowem o sprycie tudzież mądrości?

Znów zapadła cisza, przzerwana odległym pomrukiem burzy. Turgut, podrzucając w dłoni butelkę, zwrócił spojrzenie ku dżinowi.

- Tam, skąd pochodzę, i tam, dokąd pływam, znane są takie istoty – powiedział. – Nazywamy je *cin*, a w mowie Arabów *jinn*. Znamy też tych,

k którzy je przywołują. – Wbił wzrok w Brunona i się skrzywił. – W każdej znanej mi mowie zwani są idiotami.

Bruno przełknął ślinę. Soave ujęła go mocniej.

– Dżiny władają niezwykłą siłą. – Turgut kiwał głową z udawanym zrozumieniem. – Nic dziwnego, że wciąż na świecie znajdują się głupcy, którzy o takiej mocy marzą. Naciesz się tą chwilą, Scozzi. Myślę, że będziesz mógł swemu dżinowi jeszcze jakiś czas rozkazywać, wszak dopiero co się uwolnił, jest młody i głupi. Szaleje niczym żrebak wypuszczony na łąkę, wciąż powolny słowom opiekuna. Ale poczekaj. Poczekaj dzień, dwa, może trzy. Wtedy zrozumie, że może pomknąć dalej. Że właściwie nic go nie powstrzymuje, bo słowa opiekuna to nie zaklęcia, ale właściwie tylko rady. Patrz. – Turgut Reis odwrócił głowę ku morzu. – Już się oddala.

Bruno i Soave nie potrafili wykrztusić ani słowa, przeświadczeni, że Turek jeszcze nie skończył. Że najstraszniejsze jeszcze przed nimi.

– Nie bój się, na razie jest niegroźny. Raczej nie wyrządzi ci krzywdy, a co więcej, kiedyś w końcu umknie – mówił pirat. – Bo nie wiesz chyba, jak z powrotem zwabić go w niewolę, co? Nie znasz sztuki wykonania sigilu, który go uwięzi? Cóż, tak myślałem. Nie ma więc wyboru, niebawem dżin strząśnie resztki władzy, jaką nad nim masz, i odleci. Będzie się uczył życia, nabierał doświadczenia, poznawał świat, docierał do granic własnej mocy, aż kiedyś przypomni sobie o tym, który nim pomiatał. O tym, który gwizdał nań jak na psa i szczuł go na tureckich piratów. Przypomni sobie swe upokorzenie.

Pirat spojrział na Brunona, podrzucił trzymaną w ręce buteleczkę i machnął na swoich ludzi.

– I wiesz, co się wówczas stanie? – spytał, nie patrząc już na młodzieńca i była klaryskę. Nie słysząc odpowiedzi, rzekł: – On wróci.

Bruno ledwie słyszał radosne pokrzykiwania uszczęśliwionych miejscowych, ledwie czuł ich poklepywania po plecach i uściski. Patrzył w dal, gdzie na nieruchomym morzu rozlewały się kilwatery dwóch galer, odpływających ku granatowym obłokom i oddalającej się burzy.

Gdzie błąkał się świetlisty lej.

- Nawet nie zapytam, co sobie myślałeś, gdy rozbiłeś tę fiolkę - szepnęła cicho Soave, która wciąż trzymała go pod rękę. - I czy w ogóle myślałeś.

Bruno pokręcił głową bezradnie, z rezygnacją, na co Soave ujęła go jeszcze mocniej. Wspólnie patrzyli na dzina, który nagle wystrzelił i pomknął w stronę horyzontu.

- Szalony dzień - westchnął Hugo, stając za nimi. - Przyszło mi do głowy, by cię porządnie obrugać, Bruno, ale chyba Soave zrobiła to już za mnie, co?

- Zaczynam. - Była mniszka uśmiechnęła się blado. - Choć pomoc się przyda.

- Burza - odezwał się Lawrent i oblizwał usta, popękane i pokryte zakrzepłą krwią. - Burza daleko. Ogromna. - Wskazał migoczące błyskawice. - A morze spokojne. Jak to? - Spojrzał na Brunona. - Jak to możliwe?

- Nie wiem, bracie. - Hugo zarzucił mu rękę na ramię. - Ale tu wydarzyło się wiele niepojętych rzeczy, a jedynym pewnikiem jest to, że zaraz zjawią się tu bracia, groźni i gniewni, tym bardziej że wróg już sobie poszedł. Zaczną, dumam, zadawać pytania, któż to przepędził Turguta i czym tego dokonał. - Obrzucił przeciągłym spojrzeniem Brunona i niknącego na horyzoncie dzina. - Bo nie sądzę, by ci rybacy - wskazał roztańczonych miejscowych - naprawdę chcieli to przed kimkolwiek ukrywać.

- Chodźmy - odezwał się Erhan, a Lawrent pokiwał skwapliwie głową.

- Tak - powiedział cicho Bruno. - Chodźmy.

Po czym spojrzał na Hugona.

- Jeśli chcesz mnie zbesztać, nie krępuj się, bracie - oznajmił. - Jestem przekonany, że znasz wiele dosadnych określeń, o wiele więcej od naszej Soave, bądź co bądź byłej mniszki. Pomnij jednak - uśmiechnął się blado - że właśnie rozpuściłem wieści o naszym interesie na całe Morze Śródziemne.

- Zanim sprzedasz cokolwiek - wycedziła Soave - dasz mi to najpierw obejrzeć.

Mars na jej czole był tak groźny, że Bruno mimo woli parsknął śmiechem, a po nim Hugo i Lawrent. Nawet Erhan lekko wyduł wargi.

- Chodźmy więc - powiedział były rycerz. - Chyba w istocie czuję, jak ziemia zaczyna drżeć od kopyt i sprawiedliwego gniewu.

Znów się roześmieli i ruszyli w górę zbocza, by dotrzeć do spętanych koni, a potem udali się w drogę do jaskini. Mimo to Brunona przez cały czas nie opuszczało wspomnienie ostatnich słów Turguta.

On wróci.

POSŁOWIE

Malta i dzieje zakonu rycerskiego joannitów fascynują mnie od chwili, gdy jako młody chłopak kupiłem książkę *Szpitalnicy, joannici, kawalerowie maltańscy*, a później z zaskoczeniem odkryłem, że jej autor, doktor Tadeusz Wojciech Lange, jest moim wykładowcą na filologii norweskiej na UAM-ie. Zarażony jego pasją, raz na jakiś czas do dziejów zakonu powracałem – jako pisarz poświęciłem szpitalnikom sporo miejsca w treści *Miecza i kwiatów*, a jako turysta podziwiałem ich zamki w Łagowie i Drahimiu, a później na Rodos i Cyprze. Temat niespodziewanie powrócił, gdy w moje ręce wpadła znakomita pozycja *Wielkie oblężenie Malty* Allena. Przeczytałem ją od deski do deski i uznałem: „Tak, Malta. Tam właśnie pchnę potomków Vittoria Scozziego”.

Przyznam szczerze, że od dawna marzyłem o tym, by znów, tak jak w *Ostatniej Sadze* czy w *Mieczu i kwiatach*, połączyć historię z magią. Zadanie okazało się trudniejsze o tyle, że postanowiłem akcję osadzić w pierwszych latach bytności zakonu na Malcie, a więc w okresie słabiej opisanym niż czasy słynnego wielkiego oblężenia lub późniejsze. Udałem się więc tam z rodziną i przez tydzień przemierzałem drogi i bezdroża archipelagu w poszukiwaniu szczegółów, ciekawostek i odpowiedniego klimatu. Wdychałem kurz, syciłem się upałem, wpatrywałem się w lazur morza i pisałem w głowie to, co masz teraz przed sobą.

Wraz z opowieścią przelałem na papier mnóstwo własnych wspomnień, emocji i marzeń, ale tu i ówdzie zdarzyło mi się historię nagiąć bądź uzupełnić. Uważny czytelnik zarzuci mi więc być może, że budowę szpitala Sacra Infermeria rozpoczęto dopiero w 1574 roku, co stanowi

moje największe świadome przestępstwo wobec historii. Pojawiające się w książce miejsca (Ta' Hagra, Birgu, Mdina czy Bormla) oraz występujące w niej postacie historyczne (Juana de Homedesa, Nicolasa de Villegagnona, Turguta Reissa oraz – o dziwo! – Dieudonné de Gozon) przedstawiłem najlepiej jak umiałem.

Liczę na to, że Maleficjum nie przyniosło ci rozczarowania, bo w planach jest drugi tom, w którym Bruno, Hugo, Erhan, Claude i Soave będą się borykać z przeciwnościami losu na południu Hiszpanii i na Gozo, a także trzeci, dziejący się już podczas samego oblężenia Malty. Mam nadzieję, że odnajdziesz w tej opowieści choć cząstkę mojej fascynacji tymi dziejami.

Marcin Mortka

Maleficjum

Copyright © by Marcin Mortka 2023

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2023

Redakcja – Anna Włodarkiewicz

Korekta – Kornelia Dąbrowska, Paulina Stoparek

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Ilustracja na okładce – Piotr Sokołowski

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2023

ISBN epub: 9788383300108

ISBN mobi: 9788383300092



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotyńia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka, Julia Siuda

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda,

Piotr Jankowski, Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan

Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Czekań, Małgorzata Pokrywka

finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziać

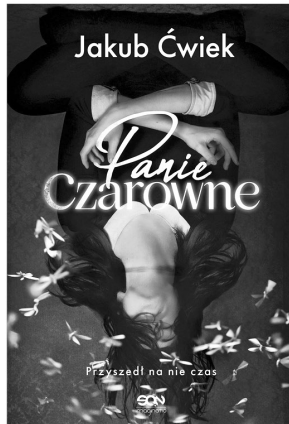
www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

PRZYSZEDŁ NA NIE CZAS

Głuchołazy, małe miasteczko na polsko-czeskim pograniczu ma w herbie kozi łeb. To miejsce, gdzie w siedemnastym wieku wieszano kobiety podejrzane o uprawianie czarów. Większość z nich trafiła na stryczek za nic. Ale były wśród nich także one. Te, które wiedzą. Te, które mogą umrzeć, ale nie odchodzą tak łatwo.



**CZY TE, KTÓRE MAJĄ W SOBIE MOC, BĘDĄ MUSIAŁY SIĘ
ZMIERZYĆ Z WNUKAMI MĘŻCZYŹN,
KTÓRZY PRÓBOWALI JE SPALIĆ?**

Szukaj w dobrych księgarniach



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

LOS PONOWNIE WYSTAWIA DRUŻYNĘ NA CIĘŻKĄ PRÓBĘ

W Dolinie rozhulały się jesienne wichry, co z reguły jest złym znakiem – nie dość, że zimno, to jeszcze nie wiadomo, co przywieją. Edmunda zwanego Kociołkiem, gospodarza w karczmie Pod Kaprawym Gryfem, martwi głównie to drugie, bo wrogów sobie w świecie narobił niemało. I choć jeszcze tego nie wie, do jego gospody zmierza właśnie pewna banda z Głodnej Puszczy.



**NO I KOMPLETNIE NIE MA POJĘCIA,
CO ZWIERZAK ROBI NA DACHU KARCZMY**

Szukaj w dobrych księgarniach

SQN

WYDAWNICTWO

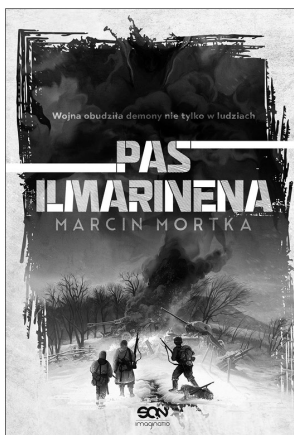
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

MROŻNĄ CISZĘ NAD FIŃSKIMI LASAMI ZBURZYŁ ŁOSKOT RADZIECKICH DZIAŁ

Powieść *Pas Ilmarinena* to Mortka, jakiego jeszcze nie było!

Wielka historia idzie tu ramię w ramię z pradawną magią, wewnętrzne demony głównego bohatera walczą z potworami w ludzkiej skórze, a powaga i autentyzm przydają jej dojrzałości, od czasu do czasu przełamywanej charakterystycznym „mortkowym” poczuciem humoru.



WOJNA OBUDZIŁA DEMONY NIE TYLKO W LUDZIACH

Szukaj w dobrych księgarniach

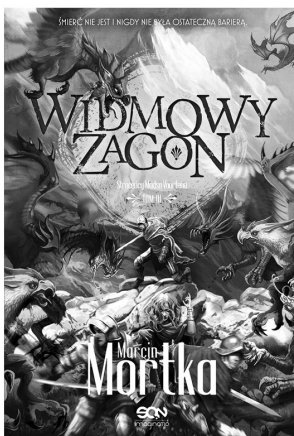


WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

ŚMIERĆ NIE JEST I NIGDY NIE BYŁA OSTATECZNĄ BARIERĄ

Mówią, że Jaszczur został ciężko ranny, lecz czy śmiertelnie?
A jeśli żyje, to gdzie się schronił? I czy wojna o Rozkrzyczone Krainy wreszcie
dobiegnie końca? Ciała pokonanych Bękartów skuwa mróz nocy, ale w sercach
tych, którzy przetrwali bitwę pod Brzaskiem, nie ma radości. Bo zagrożenie
nadal czai się wśród mgieł i skał.



**CZY ZIMA W KOŃCU USTĄPI WIOŚNIE,
A PRZEMOC MIŁOŚCI?**

Szukaj w dobrych księgarniach



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

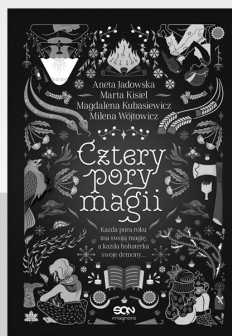
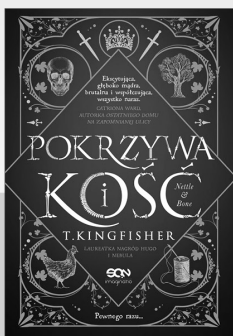
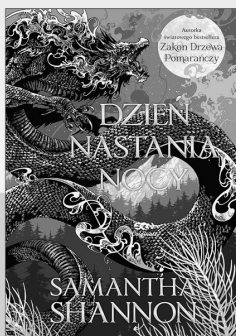
**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.

Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL

labotiga.pl